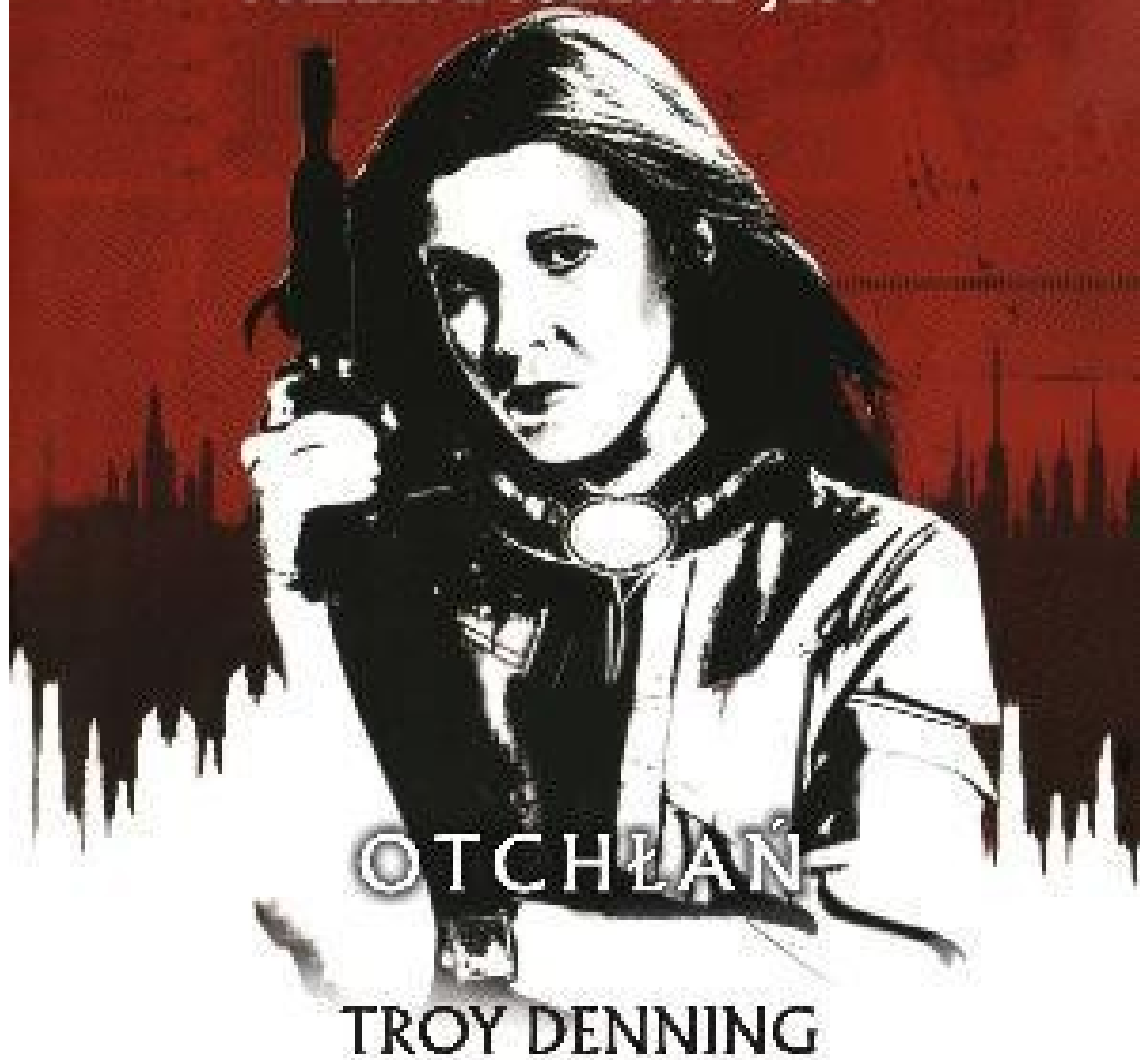


STAR WARS

PRZEZNACZENIE JEDI



Przekład
Błażej Niedziński
Anna Hikiert

Redakcja stylistyczna
Magdalena Stachowicz

Korekta
Elżbieta Steglińska

Ilustracja na okładce
Ian Keltie

Druk
Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp. z o.o.

Tytuł oryginału
Fate of the Jedi#3: Abyss

Copyright © 2009 by Lucasfilm Ltd. & ® or ™ where indicated.
All Rights Reserved.
Used Under Authorization.

For the Polish translation
Copyright © 2011 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.
ISBN 978-83-241-4063-3
Warszawa 2011. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 22620 40 13, 22620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Mojej siostrzenicy Jennifer Jane Denning, która kryje się za uśmiechem Allany

BOHATEROWIE POWIEŚCI

Ahri Raas - uczeń Sithów (Keshiri)

Ben Skywalker - Rycerz Jedi (mężczyzna)

Han Solo - kapitan „Sokoła Millenium” (mężczyzna)

Jagged Fel - przywódca Imperium Galaktycznego (mężczyzna)

Jaina Solo - Rycerz Jedi (kobieta)

Leia Organa Solo - Rycerz Jedi (kobieta)

Luke Skywalker - Wielki Mistrz Jedi (mężczyzna)

Olaris Rhea - Lady Sithów (kobieta)

Vestara Khai - uczennica Sithów (kobieta)

Yuvar Xal - Mistrz Sithów (mężczyzna)

ROZDZIAŁ 1

W głębi Świątyni Jedi na Coruscant znajdował się blok psychiatryczny - transpastalowy sześcian stojący pośrodku własnego ukrytego atrium, skąpany w sztucznym niebieskim świetle i otoczony równymi rzędami drzewek olbio w donicach. Spoglądając przez liście na ścianę drugiej kondygnacji, Leia Solo widziała Seffa Hellina klęczącego w rogu swojej celi. Wpatrywał się w swoje zakrwawione knykcie, jakby zaskoczony, że godziny walenia w spawy mogły faktycznie spowodować ich uszkodzenie. W sąsiedniej celi Natua Wan bezustannie drapała w drzwi, próbując wcisnąć poharatane pazury pod magnetyczną uszczelkę, której nawet nanoskalpel by nie naruszył.

Widząc ich w takim stanie, Leia czuła, jak krwawi jej serce. Czuła też przerażenie; to okropne, że oboje dzieci Corrana Horna padło ofiarą tej samej przypadłości. Naukowcy ze Świątyni wciąż nie potrafili znaleźć przyczyny tego stanu rzeczy i Leia zaczynała się obawiać, że ten dziwny obłęd może ogarnąć całe pokolenie Rycerzy Jedi. A na to nie mogła pozwolić - tym bardziej że każdy kolejny przypadek przypominał jej, jak bardzo zagubiona i bezradna się czuła, kiedy szaleństwo Sithów pochłonęło Jacena.

W niewidzialnym polu zaporowym otaczającym atrium pojawił się złocisty zarys portalu wejściowego. Leia weszła do pachnącego listowiem wnętrza, a tuż za nią podążyli Han i C-3PO. Nie była zaskoczona, czując lekkie ukłucie straty i wyobcowania. Drzewka olbio pełne były ysalamirów, niewielkich białych gadów, które ukrywały się przed drapieżnikami, tworząc luki w Mocy. Ta ich właściwość stanowiła nieocenione narzędzie dla każdego, kto chciał uwięzić krnąbrnego użytkownika Mocy - a ostatnio nader często byli nimi sami Jedi.

Gdy portal się za nimi zamknął, Han nachylił się i szepnął Leii do ucha:

- Nie wydaje mi się, żeby odcięcie ich od Mocy coś dawało. Wyglądają na jeszcze bardziej szalonych niż wcześniej.

- Seff i Natua nie są szaleni - zganiła go Leia. - Są chorzy i musimy im okazać zrozumienie.

- Hej, nikt nie rozumie szaleńców lepiej niż ja. - Han ścisnął ją za ramię dla dodania otuchy.

- Wszyscy mi mówią, że jestem wariatem.

- Kapitan Solo ma dużo racji - zgodził się C-3PO. Złoty android protokołarny stał tuż przy nich, tak że Leia czuła na lewym ramieniu chłód jego metalowego pancerza. - Od początku naszej znajomości zdrowie psychiczne kapitana Solo kwestionowane było średnio trzy razy na miesiąc. Według norm opieki psychiatrycznej wielu konformistycznych społeczeństw sam ten fakt stanowiłby wystarczający powód do umieszczenia go w bloku psychiatrycznym.

Han posłał droidowi groźne spojrzenie, po czym odwrócił się w stronę Leii ze swoim najbardziej uspokajającym uśmiechem.

- Widzisz? Pewnie jestem jedyną osobą w całej Świątyni, która nadaje na tych samych falach co oni.

- W to nie wątpię - odparła Leia. Rzuciła mu cierpki uśmiech i poklepała go po ręce, spoczywającej na jej ramieniu. - Ale mówiąc najzupełniej poważnie, naprawdę chciałabym, żebyś wiedział, co się z nimi dzieje.

Han także spoważniał.

- No, ich widok budzi złe wspomnienia. Bardzo złe wspomnienia.

- To prawda - przyznała Leia. - Ale to nie to samo. Zanim ktokolwiek się zorientował, co się dzieje z Jacenem, on stał już na czele Galaktycznego Sojuszu.

- Tak, a my byliśmy wrogami - zgodził się Han. - Szkoda, że nie mogliśmy wsadzić Jacena do więzie...

- Zrobilibyśmy to, gdyby dało się pojmać go żywego - przerwała mu Leia. Rzadko podejmowali ten temat, ale kiedy już to robili, zawsze czuła się przygnębiona, a teraz nie mogła sobie na to pozwolić. - Skupmy się lepiej na tych Jedi, których możemy ocalić.

Han pokiwał głową.

- Możesz na mnie liczyć. Nie życzę nikomu, żeby jego rodzina przeszła to co nasza.

Zanim Han skończył mówić, między dwoma rzędami drzewek olbio pojawiły się Mistrzynie Cilghal i jej asystentka Tekli. Ubrana w białe lekarskie szaty para sprawiała ponure wrażenie:

Cilghal - Kalamarianka o podłużnej głowie i smutnych wyłupiastych oczach, Tekli - drobna Chadra-Fanka z położonymi płasko uszami.

Cilghal podała dłoń z połączonymi błoną pławną palcami najpierw Leii, a potem Hanowi i przemówiła swoim szemrzącym kalamariańskim głosem:

- Jedi Solo, kapitanie Solo, dziękuję za przybycie. Mam nadzieję, że udało wam się znaleźć w tak krótkim czasie kogoś do przypilnowania Amelii?

- Żaden problem - zapewnił Han. - Barv ma na nią oko.

- Barv? - pisnęła Tekli. - Czyli Bazel Warv?

- Tak, Amelia po prostu uwielbia tego olbrzyma. - Han się uśmiechnął. - Zaczynam myśleć, że jak dorośnie, wyjdzie za Ramoanina.

Spojrzenie, które Tekli rzuciła Cilghal, było niemal niedostrzegalne, podobnie jak ruch bliższego oka Kalamarianki - jednak nie mogło ujść uwagi byłej dyplomatki.

- To jakiś problem? - spytała Leia. - Barv zawsze świetnie sobie z nią radził.

- Szczerze wątpię, żeby było się czym martwić - powiedziała Cilghal. - Tyle że jedyne, co udało nam się ustalić na temat tych pacjentów, to pewne łączące ich fakty.

- Jakie? - spytał Han.

- Wiek i miejsce pobytu - wyjaśniła Tekli. - Wszystkie cztery ofiary należały do uczniów ukrywających się w Schronisku.

Leia pokiwała głową. Schronisko było tajną bazą, w której Jedi ukryli swoich młodzików w końcowej fazie wojny z Yuuzhan Vongami. Położona w głębi skupiska czarnych dziur zwanej Otchłanią i sklecona z pozostałości opuszczonego laboratorium baza była ponurym miejscem jak na opiekę nad młodymi Jedi i - jak się teraz wydawało - być może też niebezpiecznym.

- Myślisz, że to mogły być jakieś toksyny z otoczenia? - spytała Leia.

- Odkaziliśmy to miejsce całkiem porządnie - dodał Han. - Ale pewnie mogliśmy coś przeoczyć. Imperialni robili tam różne dziwne rzeczy.

Cilghal rozłożyła ręce.

- Trudno powiedzieć. W tej chwili nie mamy nic poza prostą obserwacją. - Rzuciła swojej asystentce upominające spojrzenie. - Próbką jest zbyt mała, żeby ustalić na jej podstawie istnienie jakiejś statystycznej korelacji.

- To prawda, ale to jedyny ślad, jaki mamy - odparowała Tekli. - Zresztą niezależnie od tego, czy istnieje jakiś związek przyczynowo-skutkowy, Bazel jest blisko powiązany z Valinem i Jysellą.

- No i jeszcze z Yaqeel Saav'etu - wtrącił Han. - Słyszałem, jak Barv nazywał ich czwórkę „Paczką”.

Leia uniosła brew.

- Czy do tej Paczki należał też Seff? - Uniosła wzrok i zobaczyła, że Seff wciąż wpatruje się w swoje ręce; w celi obok Natua cały czas walczyła z drzwiami. - Albo Natua?

- Nic mi o tym nie wiadomo - powiedział Han.

Tekli potwierdziła jego słowa, kiwając pokrytą złotawym futrem głową.

- Widzisz? - spytała Cilghal. - Jest mnóstwo faktów i powiązań, ale które z nich mają znaczenie? Czy w ogóle któreś mają?

- Jeśli ktokolwiek może to ustalić, to tylko ty - stwierdziła Leia. - Tymczasem ostrożność nie zawadzi.

- Oczywiście - zgodziła się Cilghal. - Jeśli uznacie, że wolelibyście jak najszybciej wrócić do Amelii...

- To chyba nie będzie konieczne - przerwała jej Leia. - Jest tam Artoo-Detoo, który ma rozkaz skontaktować się z nami, jeśli tylko wydarzy się coś niezwykłego. A my bardzo chcemy wam pomóc.

- Właśnie. - Han zerknął w stronę cel. - Sądząc po zachowaniu tych dwojga, przyda się wam pomoc.

- Dziękuję. - Cilghal odwróciła się i skinęła na nich, żeby poszli razem z nią w kierunku bloku. - Ale tak naprawdę poprosiłam was o przybycie dlatego, że stan Seffa zaczął się poprawiać.

Han nie wyglądał na przekonanego.

- A nie poranił sobie rąk, waląc w ściany?

- Owszem - przyznała Cilghal.

- Ale już przestał - zauważyła Leia. - Na tym polega poprawa?

Cilghal pokiwała głową.

- Kilka dni po tym, jak odizolowaliśmy ich od Mocy, zaobserwowałyśmy zarówno u Seffa, jak i Natui silne objawy abstynencyjne. Obecny spokój Seffa sugeruje, że być może zaczął dochodzić do siebie.

- Chwileczkę. - Han rzucił niespokojne spojrzenie w kierunku Leii. - Chcesz powiedzieć, że oni są „uzależnieni” od Mocy?

- Wiemy tylko tyle, że najwyraźniej istnieje jakiś związek - powiedziała ostrożnie Cilghal.

- Zastanawiamy się, czy Moc nie pełni roli swego rodzaju nośnika obłędu - wyjaśniła Tekli.

- Czy też może katalizatora.

Cilghal jednym okiem popatrzyła z dezaprobatą na asystentkę.

- Oczywiście na tym etapie to wszystko są spekulacje. - Drugie oko zwróciło się w stronę Leii, w której ta zdolność Kalamarian wciąż wzbudzała lekki niepokój. - Jak dotąd nie udało nam się potwierdzić ani wystąpienia zespołu abstynencyjnego, ani powrotu do zdrowia.

- I do tego właśnie jesteście wam potrzebni? - domyśliła się Leia.

Cilghal pokiwała głową.

- Chciałybyśmy dyskretnie przebadać go encefaloskopem, żeby sprawdzić, jak bardzo uspokoił się Seff...

- I chcecie, żebyśmy odwrócili jego uwagę - dokończył Han.

- Nie macie nic przeciwko temu? - spytała Cilghal. - Nie możemy ustalić punktu odniesienia do poziomu stresu, jeśli nie skupi uwagi na czymś innym. A ty jesteś najlepszym kanciarzem w Świątyni.

- Na całym Coruscant - poprawił Han z nieco przesadną dumą. Wskazał kciukiem na C-3PO. - Ale Złota Sztaba za bardzo nam w tym nie pomoże. Dlaczego chciałaś, żebyśmy go zabrali?

- Natua syczy cały czas - wyjaśniła Tekli. - Zaczynam podejrzewać, że mówi do siebie.

- To najzupełniej możliwe - wtrącił C-3PO. - Fonetyka wielu gadzich języków charakteryzuje się nagromadzeniem spółgłosek syczących w rdzeniach wyrazów. Z chęcią pomogę w rozpoznaniu języka, jeśli pani sobie życzy.

- Tłumaczenie byłoby znacznie bardziej użyteczne - odparła Tekli. - Przydałoby się wiedzieć, co ona mówi.

- See-Threepio jest całkowicie do waszej dyspozycji - zapewniła Cilghal Leia. - Podobnie jak Han i ja.

Cilghal podziękowała im i zaprowadziła ich do bloku psychiatrycznego. Tekli udała się do sterowni po pałki ogłuszające dla Hana i Leii oraz pistolet ze środkiem uspokajającym dla Cilghal, a następnie oznajmiła, że dołączy do nich z encefaloskopem, jak tylko odwrócą uwagę Seffa. Leia i Han wetknęli pałki ogłuszające za paski na plecach i podążyli za Cilghal do turbowindy, która zawiozła ich na pomost drugiej kondygnacji.

Cele rozmieszczone wzdłuż pomostu miały wyraźnie za cel izolację, a nie karę, jako że były wyposażone w formokanapy, holograficzne centra rozrywki i zapewniające prywatność odświeżacze. Sądząc jednak po stłumionych odgłosach drapania dochodzących zza drugich drzwi, fakt ten nie był dla Natui Wan żadną pociechą.

Pierwsze drzwi były otwarte. W celi siedział, medytując, wysoki, potężnie wyglądający Jedi rasy ludzkiej ze zwróconą wierzchem do dołu dłonią opartą na jednym kolanie i kikutem uciętej przy nadgarstku ręki na drugim. Na podłodze obok niego leżała sztuczna dłoń ze stykającymi się kciukiem i palcem wskazującym. Dziesiątki operacji i przeszczepów skóry zatuszowały blizny po oparzeniach na tyle, że jego twarz wyglądała tylko plastikowo, nie zaś przerażająco, jednak jego uszy pozostały płaskie i zniekształcone, a szczeciniaste, krótkie blond włosy zdradzały syntetyczne pochodzenie.

Kiedy grupa zbliżyła się do jego drzwi, błękitne oczy Jedi otworzyły się i skierowały

najpierw na Leię, a następnie na Hana.

- Księżniczka Leia, kapitan Solo - powiedział. - Miło was znowu widzieć.
- Ciebie też, Raynar - odparł Han. - Wszystko u ciebie dobrze?
- Bardzo dobrze - zapewnił Raynar. - Dziękuję.

Raynar Thul, będący smutnym świadectwem ceny, jaką młodzi Jedi zbyt często płacili za swoją służbę na rzecz galaktyki, zaginął w trakcie tej samej misji uderzeniowej, która kosztowała życie najmłodszego dziecka Hana i Leii, Anakina. Po latach Raynar powrócił jako UnuThul, straszliwie oszepecony, obłąkany Dwumyślny, i stanął na czele ekspansji Kolonii Killików na terytoria Chissów. Na szczęście Raynar nie okazał się zbyt potężny, żeby pochwycić go żywego, i od ponad siedmiu lat przebywał w bloku psychiatrycznym, gdzie Cilghal pomagała mu poskładać umysł do kupy.

Gdyby Natasi Daala była już wówczas przywódczynią Galaktycznego Sojuszu, Raynar zostałby zapewne zamrożony w karbonicie i powieszony w najbliższym zakładzie karnym - tak samo jak Valin i Jysella Hornowie, kiedy zachorowali. Ta myśl wzbudziła w Leii gniew. Poczuli się jak zamknięta w saunie wampa. Każdy, komu pomieszało się w głowie z powodu ofiar, jakie poniósł dla Sojuszu, zasługiwał na pomoc w powrocie do zdrowia, a nie na etykietkę „niebezpiecznego dla otoczenia” i powieszenie na ścianie, jakby był dziełem sztuki.

Leia zatrzymała się przy wejściu do celi Raynara.

- Witaj, Raynar. Cilghal mówiła nam, jakie zrobiłeś postępy. - Tak naprawdę to Kalamarianka poinformowała ich, że Raynar musi jeszcze tylko zdać sobie sprawę z faktu, że jest już zdrowy. - Niczego ci nie trzeba?

- Nie, mogę nawet sam chodzić do stołówki - odparł Raynar. Zerknął w kierunku sąsiedniej celi, gdzie Natua wciąż drapała w drzwi, po czym uśmiechnął się szelmowsko. - Chyba że moglibyście coś zrobić z tym hałasem? Szału można dostać.

- Nie ma sprawy - powiedział Han, wyciągając rękę w kierunku panelu sterowania na zewnątrz celi. - Będzie ciszej, jak zamkniemy...

- Po namyśle - przerwał mu Raynar - zdecydowałem, że zacznym lubić ten hałas.

Han się uśmiechnął.

- Podejrzywałem, że to może rozwiązać twój problem.

- Powinieneś postarać się o uprawnienia terapeuty, kochanie - stwierdziła ironicznie Leia, a następnie zwróciła się do Raynara: - Mówiąc poważnie, Raynar... jeśli przeszkadza ci hałas, to dlaczego po prostu nie zmienisz lokum?

Raynar otworzył oczy tak szeroko, jak tylko umożliwiały mu to jego sztywne brwi.

- Miałbym opuścić swoją celę?

- Drzwi są otwarte już od jakiegoś czasu - zauważyła Cilghal. - A jeśli sytuacja z młodszymi Jedi będzie się pogarszać, twoja cela może nam być potrzebna.

- Na poziomie dormitorium jest mnóstwo wolnych kwater - przypomniał Han.

Raynar podniósł swoją sztuczną rękę, wstał i podszedł do drzwi.

- Czy byłbym tam mile widziany?

- To zależy - odparł Han z figlarnym uśmieszkiem. - Od tego, czy będziesz wykonywał swoje obowiązki.

- Czasy, kiedy stroniłem od pracy fizycznej, dawno minęły, kapitanie Solo. - Sądząc po głosie, Raynar był raczej roztargniony niż oburzony, jakby zbyt pochłonięty myślami, żeby dostrzec, że Han żartuje. Stał przy drzwiach, rozważając różne możliwości, aż w końcu wrzucił ramionami i zaczął przykręcać swoją sztuczną rękę. - Nie wiem, czy jestem gotowy. Nie wiem, czy oni są gotowi.

Leia chciała powiedzieć, że jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, ale zanim zdążyła się odezwać, Raynar ruszył w stronę środka celi. Cilghal pokręciła z rozczarowaniem głową, Han westchnął, a Leia zagryzła wargi.

- Spokojnie - zawołał przez ramię Raynar. - Spakuję się tylko. Trochę czasu tu w końcu spędziłem.

Ulga, jaką odczuła Leia, miała słodko-gorzki smak. Cieszyła się, widząc, jak Raynar

opuszcza swoją celę, a jednocześnie żałowała, że uwięzienie i rehabilitacja nie mogły pomóc w przypadku jej syna Jacena. Ale Jacen był zbyt potężny, żeby go schwycić, i zbyt niebezpieczny, żeby pozostawić go na wolności. I ostatecznie nie było innego wyjścia, niż go zabić.

Nie było innego wyjścia, naprawdę.

Leia powtarzała to sobie niemal każdego dnia. A mimo to wiedziała, że razem z Hanem do końca życia będą sobie zadawać pytanie, dlaczego w porę nie dostrzegli czyhającego na Jacena niebezpieczeństwa, dlaczego nie zauważyli, że ich syn ciąży ku Ciemnej Stronie, zanim było za późno.

Kiedy Raynar zaczął pakować swój skromny dobytek, Cilghal uśmiechnęła się i poprowadziła ich dalej wzdłuż pomostu. Gdy mijali następną celę, Natua przestała drapać w drzwi i przywarła do transpastali, wpatrując się w Hana spod przymrużonych powiek. Przesunęła rękę po ścianie, wyciągając ją ku niemu, a na delikatną łuskę jej twarzy wystąpił rumieniec.

- Kapitanie Solo. - Nawet przez głośnik, z którego dobiegały jej słowa, głos Natui brzmiał łagodnie i przymilnie. Leia była zadowolona, że silne feromony Falleenki nie mogą wydostać się z celi. - Proszę... wyciągnij mnie stąd. Oni robią mi krzywdę.

- Sama sobie robisz krzywdę - odparł Han, wskazując na szkarłatne smugi, jakie jej zakrwawione palce zostawiały na ścianie. - Przykro mi, Nat. Musisz tu zostać i pozwolić im sobie pomóc.

- To żadna pomoc! - Natua uderzyła w ścianę tak mocno, że C-3PO cofnął się i wpadł na zabezpieczającą barierkę. Zaczęła przeklinać w dziwnym syczącym języku, o którym mówiła wcześniej Tekli. - *Sseorhstki hszuma sahaslatho Shi`ido hses-stivaph!*

- Och, jej! - wykrzyknął C-3PO. - Jedi Wan grozi, że zabije kapitana Solo i innych sobowtórów w okropnie nieprzyjemny sposób. Na szczęście wygląda na to, że nie przemyślała zbyt dobrze swojego planu. Ja w ogóle nie mam jelit.

- A więc poznajesz ten język? - spytała Leia.

- Oczywiście - potwierdził Cofnął-3PO. - Klasyczny Hsoosh jest wciąż językiem obrzędowym w najlepszych falleeńskich domach.

- Obrzędowym? - powtórzył Han. - Takim, jakiego mogliby użyć do złożenia uroczystej przysięgi?

- Właśnie - powiedział C-3PO. - Elity kultywują go od ponad dwóch tysięcy lat, żeby odróżnić...

- Threepio, to nie jest w tej chwili najważniejsze - przerwała mu Leia. Widząc, jak Han zaciska zęby, poznała, że autentycznie zaniepokoił go fakt, iż szalona Jedi poprzysięgła ich zabić. Wykład na temat klasycznego Hsoosh mógłby sprawić, że sam wyrwałby wewnętrzną maszynę C-3PO. - Zaczekaj tu i przekaz nam, co jeszcze Natua ma do powiedzenia.

C-3PO przytaknął, a Leia i Han poszli za Cilghal do następnej celi. Seff przeniósł się w drugi koniec pomieszczenia; klęczał teraz w kącie, tyłem do drzwi, z rękami na udach. Ledwo dostrzegalne unoszenie się i opadanie ramion sugerowało, że medytuje; być może stara się uspokoić wzburzone myśli i zrozumieć, co się z nim dzieje.

Cilghal obejrzała się w kierunku turbowindy, gdzie czekała Tekli z czymś, co wyglądało jak długi na metr pręt rejestrujący zakończony dużą paraboliczną anteną. Kiedy Chadra-Fanka dała znak, że jest gotowa, Cilghal podeszła do celi Seffa i zastukała delikatnie w ścianę.

Seff, mocno zbudowany młody człowiek o kwadratowych ramionach i jasnych, kręconych włosach, odpowiedział nie odwracając się:

- Tak, Mistrzynie Cilghal?

Jego głos wydobywał się z niewielkiego głośnika obok drzwi. Cilghal, odpowiadając, zbliżyła usta do umieszczonego pod nim maleńkiego mikrofonu.

- Skąd wiedziałeś, że to ja? - spytała.

- To... - Seff szukał wyjaśnienia, aż wreszcie powiedział: - To zawsze jesteś ty... albo Tekli. A Tekli nie sięgnęłyby tak wysoko, pukając. - Wzruszył ramionami. - A odpowiadając na pytanie, które wyraźnie ci się na usta: nie, nie rozwinąłem jeszcze zdolności połączenia z Mocą poprzez próżniowy pęcherz ysalamirów.

- Ale wygląda na to, że czujesz się lepiej - powiedziała Cilghal.
- Muszę ci wierzyć na słowo. - Seff wciąż zwrócony był twarzą do kąta, jednak ton jego głosu złagodniał. - Nie pamiętam zbyt dobrze, jak się czułem wcześniej.

Cilghal spojrzała z nadzieją w kierunku Leii, po czym zwróciła się znów do Seffa:

- Pamiętasz, dlaczego się tu znalazłeś?

- To zależy od tego, co oznacza „tu”. Pamiętam, że próbowałem wyciągnąć Valina Horna z obiektu Służby Bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu. Pamiętam też, że wpadłem w zasadzkę urządzoną przez kogoś, kto wyglądał zupełnie jak Jaina Solo. - Seff przerwał i pokręcił głową. - Domyślam się, że jestem w bloku psychiatrycznym Świątyni Jedi, ale to wszystko wydaje się bez sensu.

- Nic dziwnego - odparła Cilghal. Uśmiechnęła się z ulgą, której Leia raczej nie podzielała. - Obawiam się, że cierpisz na urojenia paranoidalne.

Seff przekonująco zwiesił głowę i ramiona, w dalszym ciągu wpatrując się w milczeniu w kąt celi.

- Seff, wyjdiesz z tego - zapewniła Cilghal. Każdy dobry uzdrowiciel powiedziałby to samo, niezależnie od tego, czy było to prawdą, czy nie. - To dobry znak.

Leia nie potrafiła odczytać kalamariańskiej mimiki na tyle dobrze, żeby stwierdzić, czy Cilghal mówi szczerze. Wiedziała natomiast, że ona sama nie jest przekonana. Nie podobało jej się to, że Seff cały czas ukrywa twarz. I jeśli nie mógł sobie przypomnieć, co się z nim działo, to skąd wiedział, że to zawsze Cilghal lub Tekli go odwiedzają?

- Seff, masz gości - ciągnęła Cilghal, mówiąc wciąż do mikrofonu. - Możemy wejść?

- Gości? - Seff w końcu się obejrzał, a w jego jasnych oczach skrzyła się ciekawość. - Jak najbardziej. Wejdźcie.

Zanim Leia zdążyła wyrazić swoje wątpliwości, Cilghal wyciągnęła rękę i wprowadziła kod dezaktywujący zamek. Drzwi odsunęły się na bok, a Leia zerknęła na Hana i z ulgą dostrzegła w jego oczach tę samą niepewność, którą i ona odczuwała. Gdyby optymizm Cilghal okazał się nieuzasadniony, to przynajmniej był ktoś gotowy rzucić się na Seffa.

- Jedi Solo, kapitanie Solo... - Cilghal zaprosiła ich gestem do celi. - Proszę.

- Solo?

Głos Seffa wydawał się raczej sceptyczny niż uradowany. Młody Jedi wstał i odwrócił się w ich stronę. Ku zaskoczeniu Leii nie widać było żadnych niepokojących błysków w jego oczach ani drgania ust - nic, co by wskazywało, że ulga Cilghal była przedwczesna. Jednak jego brwi uniosły się odrobinę zbyt wolno, żeby jego zdumienie można było uznać za szczerze.

- Co tu robicie?

- Chcieliśmy po prostu zobaczyć, co u ciebie - powiedział Han. Wyciągnął rękę i podszedł bliżej, bo wolał, żeby Seff nie zbliżył się do drzwi. - Miło widzieć cię w lepszej formie.

Seff podał mu rękę, a Leia przygotowała się, żeby wkroczyć do akcji w razie jakichkolwiek oznak nadciągających kłopotów. Jednak Seff stał wciąż w rogu; wyglądał na nieco skonsternowanego, gdy wymieniali z Hanem uściski dłoni.

Leia odsunęła rękę od pałki ogłuszającej schowanej za plecami i stanęła obok Hana.

- Rzeczywiście wyglądasz dużo lepiej niż ostatnim razem, kiedy cię widzieliśmy.

Seff skierował wzrok w jej stronę.

- Zdaje się, że to nie było takie trudne.

Uśmiechnął się ironicznie, a Leia zaczęła się zastanawiać, czy przez te wszystkie zdrady i rozczarowania, jakich doświadczyła przez lata, nie stała się przesadnie podejrzliwa.

- Pamiętasz, kiedy ostatnio widziałeś państwa Solo? - spytała Cilghal. Stała tuż przy drzwiach, jakby jej obecność była przykrą koniecznością i jakby nie chciała przeszkadzać. - To znaczy poza Coruscant.

Seff zmarszczył na chwilę brwi i Leia spodziewała się, że zaprzeczy.

Jednak on rzucił znów ten niepewny uśmiech i powiedział:

- Czy to nie było na Tarisie, na wystawie zwierząt?

- Zgadza się - potwierdził Han. Klepnął Seffa w ramię, po czym ominął go zrećnie i stanął

w rogu, tak żeby młody Jedi, rozmawiając z nim, musiał odwrócić wzrok od drzwi. - Na tej, gdzie omuk zgarnął główną nagrodę.

- Han, to nie był omuk - wtrąciła Leia karcącym tonem. Ominęła Seffa z drugiej strony i stanęła naprzeciwko Hana, tak że otoczyli młodego Jedi z dwóch stron i mogli szybko odwrócić jego uwagę delikatnym dotykiem. - To był chitlik.

Han się skrzywił.

- Co ty opowiadasz? To był ten wielki omuk. Chyba ja wiem lepiej. Prawie mi odgryzł kostkę!

Leia przewróciła oczami i - widząc po minie Seffa, że ich plan przynosi efekty - pokręciła gwałtownie głową.

- To był *cannus solix*! Zapamiętałbyś, gdybyś nie był zajęty wszczynaniem bójek, kiedy sędziowie wyjaśniali różnicę.

- Hej, to nie ja zacząłem - odparował Han z taką wściekłością w głosie, że nawet Leia nie była pewna, czy udaje. - Czy to moja wina, że...

- Ile razy już to słyszałam? - przerwała mu Leia. Kątem oka widziała Tekli, która stała w drzwiach, celując lejkowatą anteną przenośnego encefaloskanera w tył głowy Seffa. - Nigdy nic nie jest twoją winą, tak?.

- Zgadza się, nie jest. Chłopcze - zwrócił się Han do Seffa - ty byłeś na wystawie. Kogo aresztowali?

Jednak Seff nie zwracał już uwagi na Hana. Miał wzrok skierowany na róg, w którym siedział, kiedy przyszli, i wpatrywał się w niewyraźną plamę na transpastali, której Leia nie rozpoznała - do czasu, aż zrozumiała, skąd Seff wiedział, że to pukała Cilghal. Chcąc skupić z powrotem jego uwagę na sobie, Leia położyła mu rękę na ramieniu.

- Seff, wybacz nam, proszę - powiedziała. Widząc, że wciąż obserwuje odbicie w rogu, ścisnęła go mocno za ramię. - Kiedy żyje się razem tak długo jak Han i ja, nabiera się pewnych...

Leia nie zdawała sobie sprawy, że Seff zamierza zaatakować, do chwili kiedy jego ręka założyła jej bolesną dźwignię na łokieć, z której nie mogła się uwolnić bez wyłamania stawu. Wyrwała się z krzykiem i z trudem powstrzymała go przed wyciągnięciem jej zza paska pałki ogłuszającej. Za chwilę Han był już między nimi, próbując trafić Seffa w ramię własną pałką.

Seff się cofnął i zasłonił się Leią, ale i tak przyjął na siebie główną siłę uderzenia. Leia jednak została porażona na tyle mocno, że zdrętwiały jej kolana, a zęby mocno przygryzły język.

O dziwo, Seff nie upadł. Zaatakował Hana łokciem, mierząc w twarz, a następnie posłał go na ścianę kopniakiem w brzuch. Odwracając się w stronę drzwi, puścił wreszcie rękę Leii i rzucił się na Tekli i Cilghal.

- O, nie! - wrzasnął, lądując dwa metry od nich. - Nie dam się skopiować!

Obu nóg i jednej ręki Leia nie mogła użyć, ale wciąż jeszcze miała jedną sprawną rękę, którą mogła chwycić swoją pałkę ogłuszającą.

Seff znalazł się już tylko o krok od Tekli i Cilghal.

Od strony drzwi dobiegły odgłosy pocisków ze środkiem uspokajającym. Seff się zachwiał. Jedną ręką próbował zrzucić tkwiące w klatce piersiowej pociski, jednocześnie starając się utrzymać równowagę. Zrobił jeszcze jeden krok, a wtedy Leia włączyła swoją pałkę ogłuszającą i trafiła go w nogi. Seff runął na podłogę zaledwie centymetry od stóp Cilghal. Jego ciałem wstrząsały drgawki, z ust ciekła mu ślina.

Cilghal odwróciła się w stronę Tekli i wydała z siebie bulgoczące westchnienie.

- Możesz wyłączyć skaner - powiedziała. - Chyba dowiedzieliśmy się już tego, czego chcieliśmy.

ROZDZIAŁ 2

W iluminatorze kabiny „Cienia Jade” widniały dwie bliźniacze czarne dziury. Ich idealną czerń otaczały ogniste pierścienie gazów akrecyjnych. Ponieważ „Cień” zbliżał się do nich pod

kątem, dziury przybrały podłużny kształt, przywodzący na myśl parę oczu w płomiennych obwódkach - i Ben Skywalker był niemal skłonny uwierzyć, że faktycznie nimi są. Miał wrażenie, że jest obserwowany, odkąd tylko wlecieli razem z ojcem do Otchłani, a im głębiej się zapuszczali, tym silniejsze było to odczucie. Teraz, w samym sercu skupiska czarnych dziur, przybrało formę niemiłego chłodu u podstawy czaszki.

- Ja też to czuję - powiedział jego ojciec. Siedział za Benem w fotelu drugiego pilota na głównym pokładzie załogowym. - Nie jesteśmy tu sami.

Bena przestało już dziwić, że Wielki Mistrz Zakonu Jedi zawsze zdawał się odgadywać jego myśli. Zerknął na siatkę aktywną z przodu kabiny. Niewielki fragment iluminatora zamienił się w lustro i Ben zobaczył odbicie swojego ojca wyglądającego przez boczny iluminator. Luke Skywalker wydawał się bardziej samotny i zamyślony niż kiedykolwiek - ale wcale nie smutny ani przestraszony. Chyba po prostu starał się zrozumieć, jak to się stało, że znalazł się w tym mrocznym i odludnym miejscu, wydalony z Zakonu, który założył, i wygnany ze społeczeństwa, którego bronił przez całe życie.

- Może to znaczy, że się zbliżamy - powiedział Ben, nie zamierzając rozpamiętywać niesprawiedliwości, jaka ich spotkała. - Nie żebym się specjalnie palił do spotkania z bandą istot zwanych Spijaczami Umysłów.

Jego ojciec stwierdził po chwili:

- A ja owszem.

Nic więcej nie dodał, bo nie musiał. Ben i jego ojciec wyruszyli szlakiem Jacena Solo z zamiarem odtworzenia jego pięcioletniej odysei poświęconej na zgłębianie Mocy. Podczas ostatniego przystanku dowiedzieli się od mnicha Aing-Tii, że po opuszczeniu Ryftu Kathol Jacen udał się w kierunku Otchłani. A że celem ich podróży było ustalenie, czy Jacen został popchnięty ku Ciemnej Stronie przez coś, co napotkał w czasie swojej wędrówki, nic dziwnego, że Luke chciał przyjrzeć się tajemniczej grupie zamieszkującej Otchłań, znanej jako Spijacze Umysłów.

Ben nie mógł wyjść z podziwu, jak spokojnie jego ojciec zdawał się do tego podchodzić. Chłopiec był przerażony, że mógłby paść ofiarą tego samego mroku, który pochłonął jego kuzyna. A jednak jego ojciec najwyraźniej miał ochotę zanurzyć się w jego odmętach i rozpalic płomień. A właściwie dlaczego miałoby być inaczej? Po tym wszystkim, co Luke Skywalker wycierpiał i osiągnął w życiu, nie było takiej siły w galaktyce, która mogłaby go ściągnąć w mrok. Jego potęga jednocześnie inspirowała syna i budziła w nim respekt. Ben zastanawiał się, czy sam kiedykolwiek będzie dysponował taką siłą.

Luke skierował wzrok na lustrzany fragment iluminatora i spojrzał Benowi w oczy.

- Czy to właśnie dręczyło cię, kiedy byłeś w Schronisku? - Mówił o czasach, które dla Bena były zamierzczłą przeszłością: o ostatniej fazie wojny z Yuuzhan Vongami, kiedy Jedi musieli ukryć swoją młodzież w tajnej bazie w głębi Otchłani. - Miałeś wrażenie, że ktoś cię obserwuje?

- A skąd mam wiedzieć? - spytał Ben. Poczuł się nagle nieswojo i nie wiedział dlaczego. Z tego co słyszał, podczas swojego pobytu w Schronisku był niesfornym, zamkniętym w sobie dzieckiem i pamiętał, że później przez całe lata bał się Mocy. Jednak nie pamiętał dobrze ani samego Schroniska, ani tego, jak się tam czuł. - Miałem dwa lata.

- Miałeś jakieś uczucia w tym wieku - zauważył łagodnie jego ojciec. - Miałeś też rozum.

Ben westchnął, wiedząc, czego oczekuje jego ojciec.

- Przejmij lepiej statek - powiedział.

- Przejmuję - potwierdził Luke, sięgając po drążek drugiego pilota. - Zamknij po prostu oczy. Pozwól, żeby Moc przeniosła twoje myśli z powrotem do Schroniska.

- Umiem medytować - odburknął Ben. Natychmiast zrobiło mu się z tego powodu głupio i dodał: - Ale dzięki za radę.

- Nie ma za co - odparł pogodnie Luke. - Taka jest rola ojców: udzielać niechcianych rad.

Ben zamknął oczy i zaczął oddychać powoli i z rozmysłem. Z każdym wdechem przyciągał ku sobie Moc; każdy wydech sprawiał, że przepływała przez jego ciało. Nie miał własnych świadomych wspomnień ze Schroniska, więc wyobraził sobie hologram obiektu, który widział w Archiwach Jedi. Obraz przedstawiał kilka mieszkalnych modułów przylegających do powierzchni

fragmentu asteroidy. Ich kopuły były skupione wokół górującego nad nimi cylindrycznego reaktora. W wyobraźni Ben przeniósł się na jaskrawożółte lądowisko na skraju obiektu... i nagle znów miał dwa lata, znów był przestraszonym chłopczykiem, który ścisnął za rękę obcą osobę, podczas gdy jego rodzice odlatywali „Cieniem Jade”.

Nieuzasadnione uczucie ulgi wzbierało w Benie, gdy tak zagłębiał się w czasie, kiedy życie wydawało się o wiele prostsze. Ostatnie czternaście lat postrzegał teraz jako długi, straszliwy senny koszmar. Jacen wcale nie przeszedł na Ciemną Stronę. Ben nie został młodocianym zabójcą, a jego matka nie zginęła w walce z Jacenem. Wszystkie te przykre wspomnienia to tylko złe sny, wytwory przerażonego młodzieńczego umysłu.

A potem „Cień” prześlizgnął się przez pole siłowe i odpalił silniki. W mgnieniu oka zmienił się z trzech błękitnych jonowych kół w świetlisty punkcik, a następnie zniknął zupełnie i nagle Ben został sam w najciemniejszym miejscu galaktyki - dziecko pośród wielu dzieci powierzonych niewielkiej grupie dorosłych, którzy, pomimo swoich pogodnych głosów i krzepiącej obecności, mieli lepkie dłonie i groźne, pełne niepokoju oczy.

Dwuletni Ben sięgnął w stronę „Cienia” wolną ręką i sercem i poczuł, jak jego rodzice odpowiadają tym samym. Wprawdzie był zbyt młody, żeby zrozumieć, że został dotknięty poprzez Moc, jednak przestał się bać... do czasu, aż ciemna macka pragnienia wślizgnęła się w bolesną wyrwę samotności. Przez chwilę myślał, że jest mu po prostu smutno z powodu porzucenia, jednak macka rosła, tak realna jak jego oddech. Zaczął wyczuwać w niej obcą samotność, równie rozpaczliwą i głęboką jak jego własna. Chciała przyciągnąć go do siebie i chronić, zająć miejsce jego rodziców i sprawić, żeby nigdy więcej nie został sam.

Przerażony i zagubiony młody Ben odsunął się i wyrwał rękę z dłoni srebrnowłosej damy, która go za nią trzymała.

I nagle znów był w kabinie „Cienia Jade” i wpatrywał się w otoczone ogniem kręgi próżni przed sobą. Na ich obrzeżach widniało sześć mniejszych i odleglejszych pierścieni, których jaskrawe światło płonęło jasno i równo na tle bezgwiazdowego mroku głębokiej Otchłani.

- No i co? - zapytał jego ojciec. - Poczujesz coś znajomego?

Ben przełknął ślinę. Nie wiedział dlaczego, ale znów miał ochotę wycofać się z Mocy.

- Na pewno musimy znaleźć tych gości?

Luke uniósł brew.

- A więc coś ci to przypomina.

- Może. - Ben nie potrafił stwierdzić, czy te dwa uczucia są ze sobą powiązane, ale w tej chwili nic go to nie obchodziło. Otchłań była głodna i wciąż na niego czekała. - To znaczy, ten Aing-Tii nazywał ich Spijaczami Umysłów. To nie może być nic dobrego.

- Ben, zmieniasz temat. - Ton Luke'a wyrażał raczej zainteresowanie niż dezaprobatę, jakby zachowanie Bena było tylko jednym z elementów większej układanki. - Czy jest coś, o czym nie chcesz rozmawiać?

- Chciałbym, żeby tak było. - Ben opowiedział ojcu o ciemnej macce, która go dosięgła po tym, jak „Cień” opuścił przed laty Schronisko. - Myślę, że to, co teraz czujemy, może mieć z nią jakiś związek. W Schronisku na pewno było coś... co miało mnie na oku.

Luke rozmyślał o tym przez chwilę, po czym pokręcił głową.

- Byłeś bardzo przywiązany do swojej matki. Może po prostu czułeś się porzucony i wymyśliłeś sobie „przyjaciela”, który zajął jej miejsce.

- Przyjaciela mackę?

- Mówiłeś, że to była ciemna macka - przypomniał mu Luke - a poczucie winy to mroczne uczucie. Może czułeś się winny, że zastąpiłeś nas wymyślonym przyjacielem.

- A może ty nie chcesz uwierzyć, że macka była prawdziwa, bo to by oznaczało, że zostawiłeś swojego dwuletniego syna w naprawdę niebezpiecznym miejscu - odparował Ben. Znów spojrzął w oczy lustrzanego odbicia swojego ojca. - Mam nadzieję, że nie będziesz próbował zbyć tego psychoanalizą, bo w twojej teorii jest potężna luka.

Luke zmarszczył brwi.

- To znaczy?

- Miałem dwa lata - przypomniał mu Ben. - A z tego co mi wiadomo, w tym wieku nie można mieć poczucia winy.

Luke uśmiechnął się szeroko.

- Słuszna uwaga, ale i tak nie sądzę, że powinniśmy się szczególnie obawiać tego twojego maćkowego potwora.

- To nie jest żaden mój potwór - zaprotestował Ben, dotknięty tym, że jego obawy zostały wyśmiane. - To ty kazałeś mi go odgrzebać.

Twarz Luke'a stężała.

- Ale to ty wciąż się go boisz.

Spostrzeżenie było celne. Niezależnie od tego, czy mroczna obecność, którą pamiętał, była prawdziwa, czy nie, po pobycie w Schronisku Ben długo czuł strach przed porzuceniem i bał się Mocy. I to właśnie te lęki pozwoliły Jacenowi sprowadzić go w mrok.

Chłopiec westchnął.

- No tak. Cokolwiek to jest, muszę się z tym zmierzyć - stwierdził, a po chwili zapytał: - Więc jak mamy znaleźć tych Spijaczy Umysłów?

- „Ścieżka Prawdziwego Oświecenia wiedzie przez Otchłań Nieprzeniknionej Ciemności” - zacytował Luke Tadar'Ro, mnicha rasy Aing-Tii, który powiedział im, że Jacen opuścił Kathol Rift z zamiarem odnalezienia Spijaczy Umysłów. - „Jest wąska i zdradliwa, ale jeśli nią podążycie, znajdziecie to, czego szukacie”.

Ben skierował wzrok z powrotem na czarne dziury, które miał przed sobą. Olśniewające kręgi ich dysków akrecyjnych płonęły najmocniej i najjaśniej wokół wewnętrznych krawędzi, gdzie mieszanina wpadających gazów i pyłu ulegała sprężeniu do niewyobrażalnej gęstości i znikła w ciemności bliźniaczych horyzontów zdarzeń.

- Chwileczkę. Tadar'Ro powiedział „nieprzenikniona ciemność”, tak? - Ben zaczął mieć złe przeczucia co do wskazówek mnicha. - To znaczy za horyzontem zdarzeń?

- Wewnątrz czarnej dziury prawdopodobnie jest bardzo jasno - zauważył Luke. - Owszem, grawitacja jest zbyt silna, żeby światło mogło się wydostać, ale nie oznacza to, że ono nie istnieje. Cały ten gaz, sprężany i wsysany coraz głębiej, emituje światło.

- No, ale wtedy jest się już martwym - odparł Luke - a jak się jest martwym, to widzi się tylko ciemność. Ale rozumiem, o co ci chodzi. Wątpię, żeby Tadar'Ro chciał, żebyśmy wlecieli do środka czarnej dziury.

- Nie, nie do środka.

W głosie Luke'a było tyle niepokoju, że przykuło to ponownie wzrok Bena do lustrzanej części iluminatora. Jego ojciec, marszcząc brwi, wpatrywał się w ognisty obłok pomiędzy dwiema czarnymi dziurami. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego, aż Ben poczuł ściskanie w żołądku.

- Między te dziury? - Ben domyślał się, co chodzi ojcu po głowie, i wcale nie był tym zachwycony. W każdym systemie zdominowanym przez dwa duże ciała występowało pięć obszarów, gdzie siły odśrodkowe i grawitacji nawzajem się neutralizowały i utrzymywały mniejsze ciało, takie jak satelita czy asteroida, w stanie wiecznej równowagi. Tylko jedno z tych pięciu miejsc znajdowało się dokładnie pomiędzy dwoma ciałami. - Masz na myśli strefę stabilną numer jeden?

Luke pokiwał głową.

- Otchłań Nieprzeniknionej Ciemności to starożytna alegoria, przedstawiająca dwa zagrożenia: ego i ignorancję - wyjaśnił. - Tythonianie opisywali ją jako głęboki, ciemny kanion między wysokimi, wiecznie osypującymi się urwiskami.

- A więc życie jest otchłanią, wszędzie dookoła panuje mrok - Ben spróbował rozszyfrować znaczenie alegorii - a jedynym sposobem na pozostanie w świetle jest podążanie środkiem.

Luke się uśmiechnął.

- Masz prawdziwy talent do mistycznych wskazówek. - Wypuścił drążek z rąk. - Przejmij stery, synu.

- Ja? Teraz? - Ben wiedział, że ojciec jest znacznie lepszym pilotem, ale oczywiście nie o to chodziło. Skoro Ben miał się zmierzyć z własnymi demonami, musiał też wziąć na siebie

pilotowanie. Przelknął ślinę, wyprostował ramiona i potwierdził: - Przejmuję statek.

Wyłączył lustrzany panel i przyspieszył, kierując się w stronę czarnych dziur. W miarę jak „Cień” się do nich zbliżał, ich ciemne oczy pęczniały i rozjeżdżały się coraz dalej, aż w końcu widać było jedynie obszary mroku po bokach kabiny. Na wprost znajdowała się ognista konfluencja rozgrzanych gazów, spływających ruchem wirowym z dwóch stron i tak jasnych, że Bena bolały oczy pomimo przyciemnianych iluminatorów „Cienia”.

Spojrzał na główny monitor i zobaczył zakłócenia; sensory nawigacyjne były zalane elektromagnetycznym promieniowaniem sprężanego gazu. Wewnętrzne sensory „Cienia” działały jednak bez zarzutu i pokazywały, że temperatura kadłuba rośnie w szybkim tempie, w miarę jak zagłębiają się w obłok. Ben wiedział, że niebawem stanie się to niebezpieczne. Wkrótce straszliwy żar wewnątrz dysku akrecyjnego uszkodzi systemy sterowania i przekaźniki, co może zagrozić rozpadem całego kadłuba.

- Tato, dałoby się coś zrobić z tymi filtrami sensorów? - spytał Ben. - Moje odczyty nawigacyjne są mylące.

- Regulacja filtrów nic nie da - odparł spokojnie Luke. - Lecimy między parą czarnych dziur, zapomniałeś?

Ben westchnął z irytacją, zaklął pod nosem i dalej wpatrywał się w ogniste wstęgi przed sobą. W najlepszym razie mógł dostrzec strefę konfluencji, gdzie dwa dyski akrecyjne ocierały się o siebie, jednak oślepiający blask utrudniał nawet to.

- Jak mam pilotować? - jęknął. - Nic nie widzę.

Luke się nie odzywał.

Ben wyczuł cień dezaprobaty w aurze swojego ojca w Mocy i wezbrała w nim gwałtowna chęć buntu. Wziął oczyszczający oddech, wyrzucając z siebie to uczucie na poduszce stęchłego powietrza, i nagle się zorientował, że to zaślepił go niepokój spowodowany trudnościami w nawigacji.

- Eee... no właśnie - powiedział, czując się głupio. - Zaufać Mocy.

- Nie przejmuj się - odparł Luke, wyraźnie rozbawiony. - Za pierwszym razem, kiedy to ja próbowałem czegoś równie szalonego, też trzeba było mi przypominać.

- No cóż, ja przynajmniej mam wymówkę. - Ben wyłączył sensory nawigacyjne, żeby zakłócenia nie utrudniały mu koncentracji. - Trudno się skupić, jak ci ojciec patrzy przez ramię.

Luke rozpiął swoją uprząż ochronną.

- W takim razie może sobie pójde...

- Kogo ty chcesz oszukać? - Ben pchnął drażek, wykonując gwałtowną beczkę. - Wolisz po prostu obgryzać paznokcie na osobności.

- Nawet mi to nie przeszło przez myśl - powiedział ojciec, opadając z powrotem na fotel. - Aż do teraz, niewdzięczne dziecko.

Ben się zaśmiał, po czym wyrównał lot i sprawdził temperaturę kadłuba. Rosła szybciej, niż się spodziewał. Zamknął oczy i pchnął dźwignię przepustnicy do przodu w nadziei, że gaz nie jest na tyle gęsty, by tarcie pogorszyło sytuację.

Wkrótce zaczął wyczuwać spokojne miejsce po lewej stronie. Skorygował kurs i skierował swoją świadomość Mocy w tę stronę. Poczul dziwną, mglistą obecność, której nie potrafił zidentyfikować - coś mrocznego i rozproszonego na ogromnej przestrzeni.

Ben otworzył oczy.

- Tato, czujesz...

- Tak, to coś jak Killikowie - potwierdził Luke. - Możemy mieć do czynienia z umysłem zbiorowym.

Zimny dreszcz przebiegł Benowi po plecach. Ledwie ojciec zdążył napomknąć o Killikach, a już wspomnienia czasu, jaki mimowolnie spędził jako Dwumysłny z gniazda Gorog, powróciły do niego. Po raz drugi w ciągu niecałej godziny Ben rozpaczliwie zapragnął wycofać się z Mocy. Gorog było mrocznym gniazdem, które potajemnie kontrolowało całą cywilizację Killików, żywiąc się schwytanymi Chissami, a Ben trafił pod jego władzę w wieku zaledwie pięciu lat. Był to najbardziej przerażający i dezorientujący okres jego dzieciństwa i Ben podejrzewał, że gdyby nie

Jacen, który zauważył, co się dzieje, i pomógł mu wrócić do Mocy i do swojej prawdziwej rodziny, nigdy nie zdołałby się od niego uwolnić.

Na szczęście obecność, jaką wyczuwał przed sobą, nie była taka sama jak ta z Gorog. Niewątpliwie była mroczna i złożona z wielu różnych istot, połączonych ze sobą mimo odległości między nimi. Ich rozmieszczenie jednak wydawało się bardziej nieregularne niż w przypadku zbiorowego umysłu Killików, jakby dziesiątki odrębnych istot złączyło coś, co przypominało nieco bitwowież.

Ben miał właśnie opisać swoje wrażenia ojcu, kiedy poczuł dziwnie znajomą obecność pełzającą w górę. Była zimna i potępiająca niczym zdradzony przyjaciel i chłopiec czuł jej gniew spowodowany wtargnięciem do jej kryjówki. Moc stawała się wzburzona i złowieszcza. Po plecach przebiegł Benowi dreszcz niepokoju. Czuł, jak wokół niego gromadzi się mrok, próbując go odepchnąć, ale to jedynie wzmocniło jego postanowienie, by wreszcie zmierzyć się z widmem. Otworzył się w Mocy, chwycił i zaczął ciągnąć.

Obecność cofnęła się gwałtownie i próbowała zniknąć, jednak było już za późno. Ben trzymał mocno i był zdeterminowany, żeby odkryć jej położenie. Sprawdził temperaturę kadłuba i zobaczył, że oscyluje w oznaczonej na żółto strefie ostrzegawczej. Następnie skoncentrował się na tym, co miał przed sobą, i zobaczył - naprawdę zobaczył - wlot do ciemnego tunelu szerokości palca, prowadzący przez wirujące języki ognia. Skierował dziób jachtu w czarny owal, po czym pchnął przepustnicę aż do ograniczników przeciążenia i patrzył, jak ogniste wstęgi gazu przemykają obok kabiny.

Wstęgi robiły się coraz jaśniejsze i bardziej jaskrawe, w miarę jak statek zagłębiał się w dysk akrecyjny. Wkrótce gaz stał się tak gęsty, że „Cień” zaczął drgać pod wpływem jego turbulencji. Ben trzymał się kurczowo drążka... oraz mrocznej obecności, którą uchwycił w Mocy.

Za plecami usłyszał głos ojca:

- Jak tam, Ben?

- Wszystko w porządku, tato - zapewnił chłopiec. - Znalazłem dojście.

- Co takiego? - Luke wydawał się autentycznie zaskoczony. - Zdajesz sobie, mam nadzieję, sprawę, że temperatura kadłuba jest już prawie na czerwonym?

- Tato! - warknął Ben. - Pozwolisz mi się skupić?

Luke zamilkł na chwilę, a potem westchnął głośno.

- Ben, gaz jest tutaj za gęsty na takie prędkości. Lecimy praktycznie przez atmo...

- To był twój pomysł - przerwał mu Ben. Czarny owal urósł do rozmiaru pięści. - Zaufaj mi!

- Ben, „zaufaj mi” może zadziałać tylko w przypadku Jedi tak, jak w przypadku twojego wujka Hana. My nie mamy tyle szczęścia.

- Może byliby inaczej, gdybyśmy bardziej w nie wierzyli - odparował Ben.

Czarny owal wciąż się rozszerzał, aż przybrał wielkość włazu. Zmagając się z turbulencjami, Ben zdołał jakoś utrzymać dziób „Cienia” wycelowany w jego stronę i nagle statek zanurzył się w ciemności. Lecił płynnie, otoczony stożkiem pomarańczowej poświaty. Zaskoczony gwałtowną zmianą światła, Ben próbował przyzwyczaić się do nowej sytuacji. Przez chwilę obawiał się, że mroczna obecność zepchnęła go z kursu - może nawet wyprowadziła poza dysk akrecyjny.

Nagle pomarańczowy stożek zaczął się równocześnie zwężać i blaknąć, przechodząc w ciemny tunel, i Benowi przyszła do głowy znacznie gorsza ewentualność.

- Słuchaj, tato... zauważylibyśmy, gdybyśmy wlecieli w czarną dziurę?

- Prawdopodobnie nie - powiedział Luke. - Zniekształcenie czasoprzestrzeni wydłużyłoby podróż do nieskończoności, przynajmniej w porównaniu z czasem coruskańskim. Czemu pytasz?

- A, tak sobie - odparł Ben. Postanowił nie niepokoić ojca niepotrzebnie. Jeśli faktycznie przelecieli przez horyzont zdarzeń, to i tak już było za późno, żeby cokolwiek zrobić. - Z ciekawości.

Luke się roześmiał.

- Spokojnie, Ben. Nie wlecieliśmy w czarną dziurę, ale proszę, zwolnij. Jak będziesz tak pędził, to naprawdę stopisz w końcu kadłub.

Ben zerknął na monitor i zmarszczył brwi. Temperatura kadłuba osiągnęła stan krytyczny, co nie miało najmniejszego sensu. Otaczająca ich ciemność i brak turbulencji oznaczały, że nie podlegają już działaniu ciepła dysku akrecyjnego. Kadłub powinien się szybko ochładzać, a skoro tak się nie działo...

Ben pociągnął dźwignię przepustnicy do siebie i siła odrzutu, która natychmiast zaczęła spowalniać „Cień”, rzuciła nim o ochronną uprząż. Otaczająca ich przestrzeń nie była ciemna dlatego, że była pusta - była ciemna, ponieważ była wypełniona zimną materią. Znajdowali się w strefie stabilnej numer jeden, gdzie gaz, pył i kto wie co jeszcze unosiły się w stanie zawieszenia między dwiema czarnymi dziurami. Obawiając się, że nie zwalniają dostatecznie szybko, użył silników manewrowych, żeby jeszcze bardziej spowolnić statek... i nagle zdał sobie sprawę, że stracił kontakt z mroczną obecnością, która mimo woli służyła mu za przewodnika.

- Cholera - warknął Ben. Rozszerzył ponownie swoją świadomość w Mocy, jednak poczuł jedynie tę samą zbiorową obecność, którą wyczuwał wcześniej, była jednak zbyt rozproszona, żeby mogła pełnić rolę boi nawigacyjnej. - Znowu lecimy na ślepo. Nie czuję nic użytecznego.

- To żaden problem - zauważył Luke. - Tu jest tylko jedno miejsce, gdzie jakieś istoty mogą mieć swoje siedlisko.

Ben pokiwał głową.

- Racja.

Strefa stabilna numer jeden tak naprawdę nie była zbyt stabilna. Nawet najdrobniejsza perturbacja mogła spowodować długie, powolne opadanie masy do jednej z przyległych studni grawitacyjnych. A zatem wszystko, co było ulokowane w strefie, musiało znajdować się w samym środku, ponieważ było to jedyne miejsce, gdzie siły idealnie się równoważyły.

Ben włączył z powrotem sensory nawigacyjne. Tym razem na ekranie pojawił się jedynie nikły wachlarz światła na samym dole, szybko gasnący, w miarę jak gaz i pył zakłócały sygnały. Uruchomił przednie reflektory „Cienia” i kontynuował lot. Snopy światła sięgały najwyżej kilometr do przodu, zanim zniknęły w czarnej mgłę z pyłu i gazu. Ben zwolnił jeszcze bardziej. Potem skorygował kurs, tak że wszystkie zewnętrzne siły oddziałujące na tor lotu „Cienia” wynosiły dokładnie zero, i wyznaczył punkt końcowy. Zmierzali teraz, przynajmniej teoretycznie, do serca strefy stabilnej.

Gdy Ben spojrział znów przed siebie, dostrzegł jakiś niebieski odłamek unoszący się w świetle reflektorów. Natychmiast odpalił silniki manewrowe, żeby zwolnić jeszcze bardziej, jednak w kosmosie nawet żółwie tempo oznacza prędkość rzędu kilkuset kilometrów na godzinę i zanim „Cień” zareagował, pokonali już połowę odległości dzielącej ich od obiektu.

Wbrew oczekiwaniom Bena okazał się on nie kamienną czy lodową bryłą, ale młodym Durosjaninem. Ben rozpoznał, jaka to rasa, ponieważ osobnik nie miał na sobie hełmu ciśnieniowego, a jego niebieska, beznosa twarz i duże czerwone oczy były wyraźnie widoczne ponad kołnierzem standardowego kombinezonu lotniczego używanego przez Jedi. Na ramieniu trzymał coś, co wyglądało jak ręczna wyrzutnia rakiet.

- Tato, widzisz to co ja? - spytał chłopiec.

- Durosjanina bez hełmu?

- Właśnie.

Luke pokiwał głową.

- Owszem widzę.

Sylwetkę Durosjanina otoczył biały blask, a na wprost kabiny „Cienia” zaczęła rosnać srebrna aureola nadlatującego pocisku. Ben pchnął drążek do przodu i odpalił silniki, jednak nawet refleks Jedi nie był tak szybki. Metaliczny huk odbił się echem od kadłuba, a potem włączył się alarm sygnalizujący uszkodzenia wyciem i migającymi światłami. Niemal w tej samej chwili Durosjanin wraz ze swoją wyrzutnią przeleciał parę metrów nad kabiną, a z rufy dobiegł stłumiony odgłos uderzenia.

- Zdecydowanie to nie była halucynacja - stwierdził Luke.

- Tato, to wyglądało jak...

- Qwallo Mode, wiem - dokończył Luke. Mode był młodym Rycerzem Jedi, który zniknął

podczas standardowego lotu kurierskiego jakiś rok wcześniej. Kiedy wyteżone poszukiwania nie dały żadnych rezultatów, Mistrzowie uznali w końcu, że zginął. - Daleko zawędrował od sektora Tapani.

- Jeżeli to naprawdę był Qwallo. - Ben skierował swoją świadomość Mocy do tyłu, jednak nie wyczuł żadnych śladów obecności Jedi. - Mam zawrócić i go poszukać?

Luke zastanowił się chwilę, a potem pokręcił głową.

- Nawet jeśli jeszcze żyje, lepiej nie dawać mu kolejnej okazji do strzału. Zanim podejmiemy takie ryzyko, musimy się zorientować, co się tutaj dzieje.

- No właśnie - zgodził się Ben. - Na przykład jakim cudem nie potrzebował hełmu.

- I skąd się tu w ogóle wziął. I dlaczego do nas strzelał. - Luke rozpiął swoją uprząż ochronną, po czym dodał: - Zajmę się uszkodzeniami. Jeśli zobaczysz jeszcze kogoś latającego z wyrzutnią raket i bez skafandra, nie zadawaj pytań, tylko...

- Strzelaj, wiem. - Ben przygotował działka blasterowe, sprawdził informacje o uszkodzeniach i zauważył, że tracą zarówno powietrze, jak i chłodziwo hipernapędu. Co gorsza, drażek się zacinał, co mogło oznaczać mnóstwo rzeczy, ale na pewno nic dobrego. - Rozumiem. Już wystarczająco oberwaliśmy.

Przełączył informacje o zagrożeniach na główny monitor. Na górze ekranu z ciemności wyłaniał się szary kształt. Żółte cyfry zmieniały się, dodając kolejne tony do szacunkowej masy, tak szybko, że oko nie było w stanie za nimi nadążyć, jednak Ben z niepokojem zauważył, że liczba zbliża się już do sześciocyfrowej. Ogólny kształt obiektu i ilość produkowanej przez niego energii pozostawały na razie nieznane, jednak sama waga wskazywała na wielkość przynajmniej lotniskowca.

Nie wiedząc, czy lepiej zwolnić, żeby uniknąć zderzenia, czy przyspieszyć, żeby nie stać się łatwym celem, Ben zaczął kluczyć i lawirować. Odbierał jedynie mgliste sygnały niebezpieczeństwa - czuł łaskotanie u podstawy czaszki - ale to oznaczało tylko tyle, że nikt jeszcze nie obrał sobie „Cienia” za cel.

Przy trzecim uniku drażek się zacinał i nie chciał wrócić do pozycji wyjściowej. Ben zaklął i spróbował odciągnąć go na siłę, ale gdyby przy systemie hydraulicznym użył zbyt dużej siły, mógł zerwać przewody sterujące. Włączył awaryjny mechanizm uwalniający ciśnienie, wyrzucając całą zawartość rezerwuaru systemu sterowania w kosmos, a następnie sprawdził ponownie informacje o zagrożeniach.

Znajdująca się przed nimi masa nie była już cieniem. Srebrzysty, wydłużony owal nabierał kształtu pośrodku monitora, a rząd cyfr wskazywał już ponad siedem ton wagi. Owale zmierzało powoli w dół ekranu i wyrzucało alfanumeryczne oznaczenia, które informowały o obecności dryfującego rumowiska oraz o niebezpieczeństwie rychłego zderzenia z samym obiektem. Ben wycisnął pełną moc z silników manewrowych i „Cień” zwolnił.

Usłyszał szcęk skrzynki z narzędziami uderzającej o tylną gródź głównej kajuty, a następnie głos swojego ojca z głośnika interkomu:

- W co przywaliłeś?

- Jeszcze w nic. - Ben pociągnął za drażek, używając siły bezwładu do opuszczenia płyt wektorowych. - Wspomaganie drażka sterowniczego nie działa i wlecieliśmy w rumowisko.

- Co to za rumowisko? - zapytał jego ojciec. - Lód? Skały? Żelazonikiel?

Ben aktywował bąbel z napisem „Wybierz” i najechał nim na jedno z oznaczeń: Obiekt B8. Po chwili analiza gęstości wykazała z siedemdziesięcioprocentowym prawdopodobieństwem, że Obiekt B8 jest średniej wielkości transportowcem nieznanego marki i modelu.

Jednak nie przekazał natychmiast tej informacji ojcu. W miarę jak dziób „Cienia” powracał do pierwotnej pozycji, oczom Bena ukazywała się stopniowo olbrzymia szarobiała kopuła. Odwrócona do góry nogami w stosunku do statku była zawieszona u podstawy dużego, obracającego się walca, okolonego tuzinem niewielkich, przymocowanych do niego rur. Pomiedzy walcem a „Cieniem” unosiło się blisko dwadzieścia ciemnych plam o gładkich liniach i ostrych rogach, przywodzących na myśl statki kosmiczne, które dryfowały bez celu, zimne jak asteroidy.

- Ben, zaczynam się niepokoić - zwrócił mu uwagę ojciec. - Bardzo źle to wygląda?

- Yyy... jeszcze nie wiem. - Przez ten czas reflektory „Cienia” przesuwają się po wirującym walcu, aż dotarły do miejsca, gdzie łączył się z szarą metalową kulą wielkości jednego z mniejszych dryfujących miast Bospina. - Ale może powinieneś wrócić do kabiny, jak tylko wszystko tam zabezpieczysz.

- Masz rację - zgodził się Luke. - Też o tym pomyślałem.

W miarę jak snopy reflektorów odsłaniały stację - w każdym razie Ben zakładał, że to właśnie ma przed oczami - młody Jedi odczuwał coraz większą konsternację i niepokój. Z kuli wyrastał drugi zakończony kopułą walec, dokładnie naprzeciwko pierwszego, a całość przypominała Benowi stację, w której infiltracji brał udział podczas niedawnej wojny domowej. Wydawało się niemożliwe, żeby dwie takie konstrukcje mogły istnieć w galaktyce przez przypadek lub żeby rzuciło go tutaj zwykłe zrządzenie losu, jeśli były ze sobą powiązane. Miał nieprzyjemne wrażenie, że działa tutaj Moc - a raczej, że Moc oddziałuje na niego.

Teraz, kiedy mieli już cel w zasięgu wzroku, Ben włączył z powrotem wszystkie sensory i zaczął analizować dane. Z ulgą i zdziwieniem stwierdził, że wszystkie mniejsze obiekty wyglądają na porzucone statki różnej wielkości - od małych jachtów gwiazdnych, takich jak „Cień”, po przestarzały tankowiec do przewozu gazu tibanna o ładowności przekraczającej sto milionów litrów. Ben podliczył szybko w głowie łączny tonaż porzuconych statków i aż się wzdrygnął. Jeśli to były zdobyte łupy, to gdzieś tu się ukrywali wyjątkowo groźni piraci.

W obawie przed zasadzką Ben ukrył „Cień” za starą korwetą klasy Marauder. Statek wyglądał na opuszczony, dokładnie tak, jak wskazywały na to dane dostarczone przez sensory. Obracał się powoli z zimnymi silnikami i otwartymi śluzami powietrznymi, nie wydzielając żadnej energii. Nie nosił jednak żadnych śladów walki ani innych oznak świadczących o tym, że został porwany przez piratów.

Ben skierował sensory na samą stację i stwierdził, że jest niewiele mniej zaniedbana. Jej rdzeń mocy działał, ale ledwo, ledwo. Kilka ciepłych obszarów świadczyło o tym, że przynajmniej niektóre hermetyczne zamknięcia pozostały nienaruszone. Kiedy podlecieli bliżej, Ben zauważył, że trzy z ciemnych rur przymocowanych do górnego walca się obłuzowały i mogły w każdej chwili odpaść, wyrzucone przez siłę odśrodkową. Ktokolwiek tu mieszkał - jeśli w ogóle ktoś mieszkał - nie poświęcał zbytnej uwagi konserwacji.

Z tyłu kabiny przez otwarty właz dobiegł odgłos szybkich kroków, po czym nagle ustał. Ben aktywował lustrzany panel na iluminatorze i zobaczył ojca, który stał za fotelem drugiego pilota, wpatrzony w obracającą się powoli stację.

- Coś ci to przypomina? - spytał Ben.

Luke nie odrywał wzroku od stacji kosmicznej.

- A jak myślisz? - odparł. - To może być miniaturowa stacja Centerpoint.

Centerpoint była starą stacją kosmiczną, położoną w strefie stabilnej między koreliańskimi światami Talusem i Tralusem. Jakkolwiek jej pochodzenie było owiane tajemnicą, stacja była swego czasu najpotężniejszą bronią w galaktyce, zdolną do unicestwienia całych systemów gwiazdnych z odległości setek lat świetlnych. Jej zniszczenie było według Bena jednym z niewielu pozytywnych efektów niedawnej wojny domowej. Nie był więc zadowolony z odkrycia jej kolejnej wersji ukrytej tutaj, w głębi Otchłani.

- Bałem się, że to powiesz - przyznał, wzdychając. - To co robimy? Wystrzelimy w nią pocisk z baradium?

- A mamy pocisk z baradium? - W głosie Luke'a pojawiła się nuta dezaprobaty.

Ben spuścił wzrok.

- Przepraszam. Wujek Han mówił, że zawsze dobrze mieć...

- Twój wujek nie jest Jedi - przerwał mu Luke. - Chciałbym, żebyś o tym pamiętał.

- Jasne - odparł Ben. - Ale może tym razem powinniśmy rozważyć, co on by zrobił. Jeśli to urządzenie zostało zbudowane przez te same istoty, które zaprojektowały stację Centerpoint, to najrozsądniej byłoby się tego pozbyć.

- I może tak zrobimy. Jak tylko odblokujemy płyty wektorowe i uzupełnimy hydraulikę. - Luke usiadł w fotelu drugiego pilota za plecami Bena. - A tymczasem postaraj się w nic nie

uderzyć. Poszukam jakiegoś bezpiecznego miejsca, w którym moglibyśmy zadokować tę ptaszynę.

ROZDZIAŁ 3

Hangar wyglądał jak pobojuwisko. Na wpół otwarte główne wrota zacięły się w tej pozycji, pozostawiając cały kompleks nieosłonięty przed ciemną próżnią kosmosu. Pokłady, które obracały się wokół „Cienia” razem z całą stacją, były zastawione statkami kosmicznymi różnych klas i z różnych epok. Wszystkie one kierowały się przodem w stronę otwartych wrót z myślą o szybkim odlocie. Na kadłubach leżały porzucone narzędzia, o wsporniki oparto kiedyś wózki ze zbiornikami, pod zdjętymi panelami dostępu zaś spoczywały akumulatory. Wszystko pokrywała warstwa jasnego pyłu - na starszych statkach tak gruba, że trudno było rozpoznać kolor kadłubów. Żaden ze statków nie nosił śladów ataku, jednak zebrane tu narzędzia wskazywały, że wymagały one jakichś napraw, a ich załogi porzuciły pracę, często nie zwracając sobie nawet głowy podniesieniem rampy.

Podczas gdy jego syn próbował się dopasować do tempa, w jakim obracała się stacja, Luke rozszerzył swoją świadomość Mocy w kierunku środkowej części obiektu. Podczas lotu wyczuł w tej kuli koncentrację energii życiowej - mglisty obłok, zbyt rozległy i rozrzedzony, by stanowił jeden byt, bez żadnych wyraźnych punktów, które mogłyby oznaczać poszczególne istoty. Nadal był obecny w postaci cieplejszego obszaru w delikatnej mgiele energii Mocy, która przenikała tę część Otchłani. Luke zrozumiał, czując, co się dzieje, że ów obłok energii zaczął się wić w jego wnętrzu, że nie tylko obserwował ich przyłot, ale wręcz ich oczekiwał.

Ben obrócił „Cień” przodem do wylotu hangaru, a następnie wylądował - dość niezgrabnie - między starym krążownikiem typu Galaxy Runner firmy TheedSpeed a igłostatkiem wielkości grawicykla, o węższym od ludzkiej dłoni. Szybko zakończyli rutynowy przegląd, rozpięli ochronne uprząże i udali się na rufę. Ben jednak, zamiast podejść za Lukiem do szafki z kombinezonami próżniowymi, zatrzymał się przy stanowisku serwisowym, żeby zebrać raporty na temat stanu systemów.

- Zostawmy naprawy na później - zaprotestował Luke. Wyciągnął z szafki lekki wojskowy skafander i rzucił go Benowi, a następnie sięgnął po drugi dla siebie. - Chcę się najpierw rozejrzeć.

Ben złapał skafander, nie okazując niepokoju, ale trudno było nie dostrzec nagłego wzburzenia w jego aurze w Mocy. Bał się tej dziwnej obecności, która obserwowała ich ze środka stacji, a Luke bardzo chciałby zrozumieć dlaczego. Jej wężowaty dotyk w Mocy wskazywał na tę samą „mackę”, którą jego syn czuł w Schronisku. Ale co ona takiego zrobiła, że po przeszło dziesięciu latach wciąż nie dawało to Benowi spokoju?

- Ben, będzie dobrze - powiedział Luke, rozpiął swój skafander próżniowy i zaczął naciągać nogawki. - Jeśli pamiętasz coś jeszcze ze swojego pobytu w Schronisku, byłoby lepiej, gdybyś się tym podzielił...

- Tato, ja nie robię uników - odparł Ben. - Już raz zostaliśmy jednak zaatakowani i „Cień” porządnie oberwał. Rozsądek nakazuje przygotować się na wypadek, gdybyśmy musieli się stąd szybko wynosić.

Trudno było stwierdzić, czy Ben nie zdaje sobie sprawy z tego, że kieruje nim strach, czy po prostu pozwala, żeby strach zaburzał jego zdolność oceny sytuacji, jednak nie miało to większego znaczenia. Tak czy owak, chłopiec już niedługo będzie musiał się zmierzyć ze swoimi demonami lub się im poddać, a choć Luke bardzo chciał mu pomóc, rozumiał, że takiej decyzji żaden ojciec nie może podjąć za swojego syna.

Zanim skończył wkładać swój skafander, Luke wyjrzał przez iluminator i skrzywił się, widząc flotę porzuconych statków.

- Wyjrzyj na zewnątrz, zastanów się jeszcze raz i powiedz, co ci dyktuje rozsądek.

Ben zmarszczył brwi i powiódł wzrokiem po zastawionym sprzętem hangarze. Zarumienił się, wyraźnie zawstydzony.

- No tak... rozumiem - powiedział, rozpinając swój kombinezon próżniowy. - Nie będziemy

mieli czasu na dokończenie napraw.

- Zapewne nie - zgodził się Luke. - Jedi musi być spostrzegawczy, a to znaczy, że musi...

- Myśleć o tym, co widzi - dokończył Ben, cytując jedno z ulubionych powiedzeń Kama Solusara. - Powiniennem zadać sobie pytanie, dlaczego wszyscy zostawili porzucane narzędzia. Może coś ich odciągało... albo nawet porywało załogi statków. Najwyraźniej nikt nie wrócił, żeby dokończyć napraw.

- A co to oznacza?

Ben długo wyglądał przez iluminator, szukając jakiegoś przegapionego szczegółu, który mógłby wyjaśnić, co odrywało załogi od ich statków i dlaczego nikt nie powracał. Wreszcie odwrócił się w stronę Luke'a i pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia - przyznał. - Nie przychodzi mi do głowy nic poza tym, że nie powinniśmy popełnić tego samego błędu co wszyscy.

Luke uśmiechnął się szeroko.

- Gratulacje. O to właśnie chodziło.

Ben wyglądał na coraz bardziej skonsternowanego.

- Problem z rozsądkiem polega na tym, że kiedy się nim kierujesz, twoje poczynania są łatwe do przewidzenia - wyjaśnił Luke. - Jedi powinien być nieprzewidywalny.

W oczach Bena pojawił się wreszcie błysk zrozumienia.

- Kapuję - powiedział. - Od tej pory będziemy jeść, kiedy ja zgłodnieję.

Luke się roześmiał, zadowolony, że Ben wreszcie pozwolił sobie na żarty.

- Chyba nie mamy aż tyle zapasów. - Wyciągnął z szafki hełmy. - Jachty kosmiczne nie mają takiej ładowności.

Zapięli skafandry i wyszli przez słuź powietrzną na zewnątrz, gdzie panowała siła ciężenia równa mniej więcej jednej czwartej standardowej grawitacji. Luke natychmiast poczuł lekki zawrót głowy. Podobnie jak Centerpoint, stacja nie miała właściwie sztucznej grawitacji. Tworzyła tylko jej niedoskonałą imitację, obracając się wokół własnej osi. Ta metoda miała fatalny wpływ na błędnik wielu dwunożnych ras.

Gdy zewnętrzny właz „Cienia” się zatrzasnął, Luke zabezpieczył go ukrytym w jego konstrukcji rygłem, do którego można było się dostać jedynie przy użyciu Mocy. Ben w tym czasie zebrał trochę sprzętu z pobliskich statków i użył go do kamuflażu „Cienia”. Ben porzucił narzędzia na osłonie silników, a Luke oparł zestaw lamp lutowniczych o wspornik jachtu. Wreszcie, posługując się Mocą, wznieśli chmurę pyłu, która osiadła na „Cieniu” tworząc taką samą szarą pokrywę, jaka pokrywała okoliczne jednostki.

Klucząc pośród masy statków, dotarli do głównej słuzy powietrznej w głębi pokładu ładowiskowego. Podobnie jak w hangarze, zastosowano tu reagujące na ruch oświetlenie, wciąż w pełni sprawne. Gdy Ben zamknął za nimi właz hangaru, obaj Skywalkerowie zaczęli cierpliwie, aż automatyczny zawór się otworzył i wyrówna ciśnienie między komorą a wnętrzem stacji.

Dwie minuty później wciąż jeszcze czekali, bo reagujące na ruch światła zgasły.

- Wspaniale, nie ma co - odezwał się głos Bena w głośnikach hełmu. - Może trzeba było jednak wziąć się do napraw. - Mówił żartobliwym tonem, w którym jednak słychać było nerwową nutę. - Zaczekalibyśmy, aż kogoś po nas wyślą.

- Raczej coś - sprostował Luke. Podniósł rękę i światła znów się włączyły. W przeciwieństwie do hangaru, oświetlonego na niebiesko światła wewnątrz słuzy powietrznej miały wyraźnie zielonkawy odcień. - A może musimy sami wyrównać ciśnienie.

Luke wyciągnął rękę w kierunku bocznej ściany komory i pchnął dźwignię, która, jak sądził, uruchamiała awaryjną pompę ręczną. Cała słuza zatrząsa się z hukiem, a sufit przesunął się w bok, odsłaniając nieprzenikloną ciemność nad ich głowami.

Ben położył rękę na zawieszonym u paska mieczu świetlnym.

- Co to takiego? - zapytał.

- Chyba drzwi.

Luke rozszerzył swoją świadomość i wysłał ją poza otwór. Nie wyczuł żadnego zagrożenia, więc posługując się Mocą, skoczył w mrok i wylądował tuż obok otworu. Niemal natychmiast

pobliska ściana wyemitowała słabe zielone światło, rozjaśniając krótki odcinek niskiego, szerokiego korytarza. Ben dołączył do ojca chwilę później - po prostu podłoga śluzy, na której stał, podjechała do góry.

- Nie masz wrażenia, że ktoś nam ułatwia zadanie? - spytał.

- A może ten sprzęt jest po prostu niezawodny? - zauważył Luke. - Nie wiem, co by było bardziej niepokojące.

- Zdecydowanie sprzęt - powiedział Ben przez system łączności skafandra. - To miejsce wygląda zupełnie jak stacja Centerpoint, zapomniałeś? To nie może być przypadek.

- Pewnie masz rację - przyznał Luke. - Ale ta stacja nie może być równie groźna. Tkwi między dwiema czarnymi dziurami, a stąd trudno byłoby w cokolwiek wycelować. Nie mamy nawet odczytów nawigacyjnych.

- My nie - zgodził się Ben. - Ale przecież to nie my ją zbudowaliśmy.

Luke zmarszczył brwi. Okropnie było pomyśleć, że mogłaby istnieć w galaktyce jeszcze jedna broń podobna do stacji Centerpoint. Na szczęście ta była znacznie mniejsza, więc raczej nie pełniła takiej samej funkcji. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Sprawdził zewnętrzne odczyty i nie zdziwił się, dochodząc do wniosku, że znajdują się cały czas w próżni. Dał znak Benowi, żeby przeszedł na drugą stronę korytarza.

- I w tym radosnym nastroju... - mruknął.

Ruszyli w stronę środka stacji, przyglądając się po drodze otoczeniu. Korytarz miał nie więcej niż dwa metry wysokości, za to trzy razy więcej szerokości. Wyglądał, jakby został zaprojektowany z myślą o dużym natężeniu ruchu. Wrażenie to potęgowały dwa metalowe pasy biegnące wzdłuż podłogi, które mogły służyć jako szyny prowadzące dla zautomatyzowanego wózka repulsorowego. Ściany i sufit wykonano z półprzezroczystego kompozytu; nie zakrywał on całkowicie pajęczyny włókien, rur i przewodów, które za nimi biegły.

Gdy Skywalkerowie przeszli jakieś dziesięć metrów, ściany za nimi pograżyły się w ciemności, a bladozielony blask zaczął się sączyć z kolejnego odcinka korytarza. W miarę jak zapuszczali się coraz dalej w głąb stacji, napotykali najróżniejsze przedmioty: hełmy od kombinezonów próżniowych, zbiorniki z powietrzem dla istot oddychających amoniakiem, karabiny blasterowe, miotacze strzałek, a nawet kilka wózków na jednym kółku, o okrągłym podwoziu i ławeczkach do klęczenia. Co jakiś czas włączała się iluminacja kolejnego odcinka; światło wyglądało coraz bardziej anemicznie i wkrótce stało się raczej żółte niż zielone.

- To miejsce zaczyna mi działać na nerwy - zdecydował Ben, zatrzymując się przy nadmuchiwanym do połowy skafandrze próżniowym. - Nie mogą się zdecydować na jeden kolor oświetlenia?

- Dobrze pytanie - odparł Luke. Nie był zadowolony, że Ben kieruje się emocjami zamiast koncentrować się na problemie. - Może kolor ma cię informować, gdzie się znajdujesz. Masz inną teorię?

- No, może. - Ben przewrócił skafander czubkiem buta i oświetlił latarką na przegubie dłoni osłonę hełmu. Za nią ukazała się twarz tak szara i pomarszczona, że mogła równie dobrze należeć do Ho'Dina, jak i do człowieka. - Te światła mogą służyć za system alarmowy. Na przykład niebieskie znaczy, że jest bezpiecznie, zielone oznacza zagrożenie, a żółte poważne kłopoty.

Luke ledwo odczuwał mrowienie zwiastujące niebezpieczeństwo, ale nie znaczyło to, że teoria Bena jest błędna, zwłaszcza od kiedy znaleźli ciało. Włączył kontrolny wyświetlacz wewnątrz swojego hełmu i stwierdził, że wszystkie poziomy promieniowania mieszczą się w normie.

- Ben, wyczuwasz coś niepokojącego? - zapytał syna.

- To znaczy oprócz tej dziwnej obecności w centrum kuli? - upewnił się Ben.

- Właśnie.

- I poza drobiazgiem, że szwendamy się po stacji widmo bez możliwości skontaktowania się z kimkolwiek?

- Tak.

- Mam też pominąć fakt, że ktoś bardzo stary i potężny najwyraźniej zadał sobie dużo trudu,

żeby utrzymać to miejsce w tajemnicy przed takimi jak my?

- Owszem.

Ben wzruszył ramionami i pokręcił głową.

- A, oprócz tego wszystko w porządku. - Przeszedł nad ciałem i ruszył korytarzem. - Idźmy dalej.

Przeszli jeszcze dwieście kroków, mijając skrzyżowania i obszerne pomieszczenia zastawione sprzętem tak obcym i tajemniczym, że Luke nie próbował nawet odgadnąć jego zastosowań. Były tam olbrzymie beczki wykonane z tego samego materiału co ściany, otoczone zwojami świecących kabli, które wyglądały na światłowody. W kolejnym pomieszczeniu zobaczyli srebrną kulę wielkości „Sokoła Millennium” wiszącą nad kręgiem z ciemnego metalu. Następna przepastna sala mieściła kompleks sześcianów z pola siłowego. W każdym z nich znajdował się hamak, dwie miednice i szkielet o klinowatej czaszce, nadal owinięty cienką żółtą szatą.

Nie chcąc wchodzić w skrzące się nieustannie pole zaporowe, które zapewne blokowało wejście od stuleci, jeśli nie dłużej, ojciec i syn przystanęli przed wejściem do sali, zastanawiając się, czy więźniowie należeli do tej samej rasy, która zbudowała stację, czy też byli wrogami jej twórców. A może stanowili załogę jednego z porzuconych w hangarze statków, pozostawionego tu przez jakąś zapomnianą od dawna bandę piratów. Luke i Ben rozważali jakiś czas prawdopodobieństwo każdej z tych ewentualności, aż w końcu doszli do wniosku, że i tak nigdy nie poznają odpowiedzi, więc ruszyli w dalszą drogę.

Po dwudziestu metrach trafili na kolejne więzienie, gdzie znaleźli resztki szkieletów zewnętrznych. Sądząc po wielkości klatek piersiowych i brzuchów, osadzeni byli nieco mniejsi od ludzi. Mieli duże chitynowe czaszki w kształcie serca z otworami na ogromne fasetkowe oczy. W każdej celi wałało się co najmniej pół tuzina krótkich kawałków kończyn i nie więcej niż cztery większe, co wskazywało na insektoidy o dwóch mocnych nogach i czterech długich rękach.

Z głośników hełmu Luke'a dobiegł głos Bena:

- Hej, to wygląda jak...

- Killikowie - zgodził się Luke. - Unu mówił, że brali udział w budowie Otchłani i stacji Centerpoint.

- Prawdopodobnie jako niewolnicy - zauważył Ben. - Tato, co to za miejsce?

- Nie wiem - przyznał Luke. Pokręcił głową i ruszył znów korytarzem. - Ale zamierzam się dowiedzieć.

Po kilku krokach włączyła się następna część oświetlenia i zobaczyli przed sobą zakrzywioną gródź. Był to fragment kuli, która stanowiła centralną część stacji. Dalszą drogę zagradała im półprzezroczysta błona, wybrzusząca się w ich stronę. Luke dotknął jej końcami palców w rękawicze, lekko nacisnął i poczuł, jak błona ustępuje pod naporem.

- Ciśnienie atmosferyczne - zauważył Ben. - To musi być awaryjne zamknięcie grodzi.

- Zapewne - zgodził się Luke.

Luke włączył latarkę na przegubie dłoni i poświecił nią przez błonę. Widok po drugiej stronie był niewyraźny, jednak Luke zobaczył dosyć, żeby zachwiało to jego zmysłem orientacji. Było tak, jakby patrzył w dół pomieszczenia w kształcie półkuli, stojąc prawie na samej jego górze i nieco z boku. Na wysokości ramienia znajdowała się barierka biegnąca w dół po pochyłej ścianie ku okrągłej podłodze, otoczonej kręgiem włazów. Niektóre z nich wydawały się otwarte, ale nie wiedział tego na pewno.

Luke ponownie uwolnił myśli i gdzieś za pomieszczeniem wyczuł Obecność. Była wyraźna, silna i wielka niczym chmura. Jej jądro tkwiło w panującym przed nimi mroku, ale unosiła się też wszędzie dookoła - u góry, u dołu i za nimi. Czuł, jak wije się w jego wnętrzu - odbierał to jako rosnący głód, nie do zaspokojenia.

Po plecach przebiegł mu dreszcz niepokoju. Wyłączył latarkę i odsunął się od błony.

- Też to czujesz? - spytał Ben.

Luke pokiwał głową.

- W dodatku to coś czuje nas.

- Też tak myślę. - Ben odwrócił głowę, włączył latarkę na hełmie i oświetlił korytarz

krzyżujący się z tym, którym przyszli. - To którą do śluzy powietrznej?

Luke był zanadto skoncentrowany, żeby się uśmiechnąć, ale ucieszył się, słysząc zdeterminowany ton syna. Nie musiało to sugerować, że Ben jest gotów zmierzyć się ze wszystkimi demonami swojej przeszłości, ale dowodziło, że dostrzega taką konieczność.

Kiedy Luke nie odpowiedział od razu, Ben odwrócił znowu głowę i powiedział:

- No tak. Mamy zaufać Mocy.

- To zawsze jest dobre wyjście - przypomniał mu Luke - ale myślałem o czymś innym.

Przyłożył pionowo dłoń do błony i zaczął napierać końcami palców.

- Myślisz, że to killickie zamknięcie ciśnieniowe? - spytał Ben.

- Coś w tym stylu. - Luke nadal rozciągał błonę, aż wepchnął rękę po łokieć. - Wiemy, że tu byli, więc mogli pozostawić swoje techniki budowlane.

Ręka Luke'a weszła już aż po bark. Zrobił teraz krok do przodu, wsuwając się bokiem, błona cały czas się rozciągała. Włączył się rząd lamp, zalewając pomieszczenie białym światłem, a jednak widok, jaki miał przed sobą Luke, stał się jeszcze bardziej niewyraźny. W dole widział jedynie stromą, pochyłą ścianę. Poczul się, jakby stał nad urwiskiem pełnym gęstej mgły. Chwycił się jednej z barierek, które zauważył wcześniej, i przelożył przez nią jedną, a potem drugą nogę.

Zaczął się ześlizgiwać po ścianie, spowalniany przez błonę, która utworzyła za nim długi, pusty w środku rękaw. Był mniej więcej w połowie drogi, kiedy rękaw się zamknął i Luke nagle się zatrzymał. Spróbował się uwolnić, jednak w miejscu, gdzie błona się zrosła, stała się wyjątkowo mocna. Luke puścił więc barierkę, odpiął miecz świetlny i już miał rozciąć błonę, kiedy rękaw nagle pękł i Mistrz Jedi poleciał w dół.

Zsuwał się po pochyłej ścianie, usiłując utrzymać równowagę. Nieustannie zmieniające się przyciąganie i położenie jego ciała względem trajektorii ruchu stanowiły nie lada wyzwanie nawet dla refleksu Jedi. Zanim dotarł na sam dół, siła ciężenia wzrosła do połowy normalnej grawitacji. Miał teraz wrażenie, że stoi na ścianie, po której właśnie zjechał.

Z systemu łączności skafandra dobiegł go głos Bena:

- Tato, wszystko w porządku?

- W porządku. - Luke unióś rękę, żeby przetrzeć osłonę hełmu, i zauważył, że błona rozplywa mu się przed oczami. Nie widząc niebezpieczeństwa, dodał: - Złaz na dół.

- Robi się - powiedział Ben. - Ja też będę tak tańczyć na koniec?

Luke zachichotał i spojrzał w górę, w kierunku błony.

- To zależy wyłącznie od twojej zwinności.

Błona wybrzuszyła się do wewnątrz pod naporem Bena. Luke przypiął miecz świetlny z powrotem do paska. Wreszcie mógł przyjrzeć się dokładniej pomieszczeniu. Niewątpliwie było to główne dojście do centrum stacji. Przypominało postawioną na boku misę. Ściana po prawej stronie Luke'a stanowiła jej wnętrze i biegła łukiem ku błonie, przez którą dostał się do środka. Trzy metry nad nią widniała druga błona, prowadząca z pewnością do innej części stacji.

Luke stał na chodniku unoszącym się łagodnie z obu stron, jakby stanowił wewnętrzny brzeg misy. Po jego lewej stronie, tam gdzie powinna być pokrywka, wznosiła się okrągła ściana, otoczona włazami, które dostrzegł wcześniej. Mniej więcej połowa z nich była otwarta, a w jednym z nich migotało czerwone światelko alarmowe.

Luke kończył już oględziny, kiedy zjawił się Ben, o mało go nie przewracając, kiedy zsunął się ze ściany i wpadł na jeden z zamkniętych włazów. Zawstydzony schylił głowę i wysyczał wiązanek niezrozumiałych przekleństw, które Luke odebrał jako długie pasmo zakłóceń w głośnikach swojego hełmu.

- To tyle, jeśli chodzi o niezwykły zmysł równowagi Jedi - zauważył, spoglądając na pokrytą błoną osłonę hełmu syna.

Ben przechylił głowę.

- Myślałem, że trzeba się z tego wyrwać - wyznał.

- Ja też. - Luke pomógł Benowi wstać i sprawdził, czy skafander próżniowy nie uległ uszkodzeniu. - Chyba wszystko w porządku. Przynajmniej umiesz dobrze upadać.

- Cóż, lata praktyki - mruknął Ben. Kiedy resztki błony znikły z jego hełmu, spojrzał na

miecz świetlny, który Luke wciąż trzymał w ręku. - Kłopoty?

- Niewykluczone. - Luke wskazał na właz z migającym czerwonym światłem. - Chodźmy to sprawdzić.

Mistrz Jedi przypiął z powrotem miecz świetlny, po czym ruszył w tamtą stronę, a Ben za nim. Kiedy szli pod górę, siła odśrodkowa obracającej się stacji przyciskała ich do chodnika; cały czas mieli przez to wrażenie, że stoją w miejscu. Mdłości, które Luke poczuł po opuszczeniu „Cienia”, przybrały na sile, a stacja wydawała mu się teraz bardziej obca i niebezpieczna niż wcześniej. To nie było miejsce przyjazne dla ludzi.

Po drodze minęli dwa włazy, obydwa otwarte. Za jednym z nich znajdowała się pochyła ściana, podobna do tej, przez którą dostali się do środka. Drugi prowadził do długiego korytarza, w którym co parę metrów rozmieszczono proste rozsuwane drzwi. Sądząc po pomiętych ubraniach i częściach zamiennych do skafandrów próżniowych, wysypujących się z niektórych drzwi, kabiny za nimi służyły ostatnio jako prywatne kwatery.

Kiedy zbliżyli się do włazu z migającym czerwonym światłem, Luke usłyszał dochodzące ze środka ciche brzęczenie. Sprawdził informacje na temat warunków środowiskowych. Atmosfera w tej części stacji wydawała się normalna, więc otworzył osłonę hełmu - i natychmiast tego pożałował.

Powietrze tutaj było nie tylko stęchłe, ale też cuchnące. Śmierdziało wieloma różnymi rodzajami zgnilizny - coś podobnego Luke czuł ostatnio na bagnach Dagobah. Ale rozróżnił także bardziej niepokojący smród. Taki fetor aż nazbyt często wypełniał kabinę jego myśliwca - kwaśny zapach stopionych obwodów. Brzęczenie zaś okazało się oczywiście tym, czego się obawiał - dźwiękiem syreny alarmowej.

Luke usłyszał, że za jego plecami Ben tłumi odruch wymiotny i z trudem łapie oddech.

- Mój próbnik chyba wariuje. Niemożliwe, żeby to się nadawało do oddychania - wykrztusił chłopiec.

- Na pewno nie jest to przyjemne - przyznał Luke. - Możesz zamknąć hełm, jeśli chcesz.

- A ty?

Luke pokręcił głową.

- Mam przeczucie, że będę potrzebował wszystkich zmysłów, żeby to rozwikłać.

- W takim razie przyda ci się dodatkowy nos do węszenia - stwierdził Ben. - Nie musisz być dla mnie taki pobłażliwy. Yoda by tego nie pochwałał.

- Yoda zrzuciłby całe węszenie na ciebie - uświadomił mu ojciec, przechodząc przez właz. - I jeszcze by cię przekonał, że to dla twojego dobra.

Po przejściu przez próg znaleźli się na platformie widokowej dużego, trypoziomowego pomieszczenia. Z przodu, za iluminatorem pulsowało fioletowe światło, poprzecinane skwierczącymi żyłkami wyładowań elektrostatycznych i otoczone aureolą strzelających płomieni. Dziwny blask tak mocno przykuwał wzrok, że Luke ruszył w jego stronę, nie zwracając uwagi na otoczenie. Zatrzymał się trzy kroki od włazu i dopiero się rozejrzał.

Każdy z poziomów był zastawiony wysokimi, białymi częściami aparatury z jakiegoś węglowo-metalowego kompozytu, którego Luke nie potrafił zidentyfikować. Ustawione w równe rzędy - po jednym na każdy poziom - segmenty sięgały mniej więcej jego ramion i były zakończone pochyłymi pulpitemi sterowniczymi, pełnymi czerwonych migających światełek. Znad niektórych konsol unosiły się smugi błękitnego i żółtego dymu, gromadząc się pod sufitem, gdzie tworzyły wielowarstwową chmurę.

Chociaż na podłodze wały się zużyte ubrania i pojemniki, wszystko pokryte obfitą warstwą brudu, nigdzie nie było widać ciał, na co mógł wskazywać smród. Luke wysłał Bena, żeby zbadał front pomieszczenia, a sam zszedł do pierwszego rzędu i podszedł do najbliższego z białych segmentów.

Natychmiast tuż nad jego powierzchnią pojawił się holograficzny obraz całej stacji i zaczął się powoli obracać. Na obrzeżach schematu widniały teksty pisane dziwnym, zamaszystym alfabetem, którego, jak podejrzewał Luke, nawet C-3PO by nie rozpoznał. Migaly i zmieniały kolory. Kiedy dotknął jednego ręką, hologram natychmiast się powiększył i ukazał wnętrze

magazynów, tak zarośnięte szarozieloną pleśnią, że szafy wyglądały jak prostokątne drzewa.

Luke podszedł do kolejnego segmentu; zauważył małą szczelinę między migającymi czerwonymi światłkami, z której wydobywał się żółty dym. Tu także pojawił się hologram stacji. Luke dotknął jednego z mrugających światełek. Schemat się obrócił, tak że jeden z podłużnych walców wymierzony był prosto w niego. Pojawiły się nad nim dwa kółka: zielone i czerwone. Zielone ulokowane było centralnie nad walcem, czerwone zaś wisiało lekko w lewo i mrugało, wydając przy tym natarczywe dźwięki, mieszające się z wszechobecnym brzęczeniem. Najwyraźniej coś było nieprawidłowo ustawione, jednak Luke nie zamierzał zgadywać co.

Przeszedł do następnego rzędu. Środkowy segment zdobił długi rząd migających światełek. Tym razem na hologramie ukazały się jedynie wektory grawitacji, otoczone słowami i cyframi w tym dziwnym alfabecie. W końcu Luke'a olśniło: obraz przedstawiał rozmieszczenie czarnych dziur.

Kiedy tak wpatrywał się w holograficzny obraz, przyszło mu coś do głowy. Aby zweryfikować swoją teorię, przeszedł trasę, którą razem z Benem dotarli na tę stację, i serce podeszło mu do gardła. Nie ulegało wątpliwości, że ma przed sobą mapę całej Otchłani.

Dotknął podwójnego układu, w którym ulokowano stację. Tym razem hologram się nie powiększył, żeby ukazać bardziej szczegółowy widok najbliższego otoczenia. Za to cały obraz się obrócił, tak że podwójny system znalazł się po drugiej stronie owalnego skupiska czarnych dziur, tak gęstego, że Luke nie potrafił go wyodrębnić w gąszczu liter i wektorów grawitacji. Wreszcie wypatrzył szczelinę w kształcie półksiężyca tuż obok podwójnego układu, w jako tako pustym miejscu. Przyłożył palec do górnej części tego obszaru.

Kilka zbiorów wektorów grawitacji zamrugało na czerwono, wyznaczając długie pęknięcie w gęstej masie czarnych dziur. W ramce w rogu obrazu pojawiały się kolejno kopie wszystkich odczytów, otoczone literami i cyframi, których Luke nie próbował nawet rozszyfrować. Nie miał pojęcia, co to wszystko znaczy, a w dodatku odniósł niepokojące wrażenie, że wolałby nie wiedzieć.

Z zamyślenia wyrwał go spanikowany okrzyk Bena, dochodzący z przedniej części sterowni:

- O, *kriff!* Niedobrze!

- Co niedobrze? - Luke znów chwycił miecz świetlny, posługując się Mocą przeskoczył trzy rzędy aparatury i wylądował obok Bena. - Mów, o co chodzi!

Ben spojrział na Luke'a. Był błądy i wystraszony. Wskazał ręką na ciemność pomiędzy nimi a pulsującym fioletowym światłem.

- Ciała - wykrztusił. - Mnóstwo ciał!

ROZDZIAŁ 4

Wierzchołek Świątyni krył się co chwila w chłodnej mgłę kłębiącej się nad Placem Wspólnoty. Rycerz Jedi Bazel Warv czuł się tak, jakby unosił się w powietrzu. Może ta wilgoć budziła zapisane w zbiorowej świadomości jego rasy wspomnienia ciemnych lasów, które niegdyś pokrywały jego ojczystą Ramoę. A może czuł się tak lekko dlatego, że spędził rano dwie godziny, pilnując ulubienicy, Amelii Solo, resztę dnia zaś spędził w towarzystwie swojej przyjaciółki Yaqeel Saav'etu. Każdy dzień w towarzystwie Yaqeel był dobry. Yaqeel była bystra i smukła, miała jedwabiste bothańskie futro, które w mgliste dni, takie jak ten, przypominało złotą przędzę, i nigdy nie wstydziła się pokazywać z taką zwalistą pokraką o zielonkawej skórze i malutkich oczkach jak Bazel.

Jednak tego dnia Yaqeel sprawiała wrażenie dziwnie niespokojnej. W jej aurze w Mocy dało się wyczuć napięcie; podobne pojawiało się u niej zwykle wtedy, jak miała zamiar kogoś skarcić. Bazel nie wyobrażał sobie, że to on mógłby być powodem jej gniewu - nigdy dotąd się to nie zdarzyło. Nie przypuszczał też, żeby rozpamiętywała do tej pory, jak podczas lunchu Bazel próbował zamówić dziesięciokilogramowy kosz liści robalu, czym rozśmieszył kelnera.

Yaqeel mogła być zdenerwowana, że nie udało się wykonać ich jedyne zadania na ten dzień - mieli dostać się do mieszkania Tahiri Veili, żeby sprawdzić, dlaczego nie odpowiada na wiadomości Jaina Solo. Niestety nie wolno im było dać się przyłapać na czymś nielegalnym, a toydariański zarządca budynku nie dość, że nie uległ wysyłanym poprzez Moc sugestiom Yaqeel, ale nawet poczuł się urażony i zapowiedział, że od tej pory będzie starannie pilnował mieszkania.

Yaqeel jednak nie wydawała się wtedy szczególnie wkurzona. Wzruszyła tylko ramionami i wyszła, a Bazelowi zapowiedziała, że wrócą w nocy, kiedy Toydarianin zmęczy się czuwaniem. A więc pozostawała tylko jedna możliwość.

Kiedy szli przez słynny Ogród Spacerowy na Placu Wspólnoty w stronę Świątyni, Bazel, mrużąc i chrząkając w gardłowym języku swojej rasy, zapewnił Yaqeel, że to nie jej osobiście wszyscy unikają przez cały dzień. Ona jest na to zbyt ładna. Chodzi o to, że po oświadczeniach prasowych przywódczyni Galaktycznego Sojuszu i holoprogramie Javisa Tyrra obywatele Coruscant najwyraźniej uwierzyli, że cały Zakon Jedi popada w obłąd. Kiedy więc ktoś widział parę Rycerzy Jedi idących chodnikiem, najchętniej dawał nura za najbliższy róg - zwłaszcza jeśli jeden z tych Jedi miał ponad metr szerokości.

Yaqeel położyła po sobie swoje długie uszy, co, jak Bazel już zdążył się zorientować, było wyrazem wdzięczności i sympatii.

- Dzięki, Barv. - Nazywała go Barv, odkąd ukrywali się w Otchłani razem z resztą młodzików Jedi, i to przezwisko do niego przyłgnęło. - Ale mnie nie chodzi o społeczeństwo.

Zastrzygła uchem w kierunku rzędu równo przyciętych drzewek blar, stojących po drugiej stronie szerokiego chodnika.

- Chodzi o nich.

Bazel nie musiał patrzeć, żeby wiedzieć, kim są ci „oni”, więc zaryzykował stwierdzenie, że nie ma się czym denerwować. Solo mieli po prostu na nich oko, bo obawiali się, że on i Yaqeel mogą zachorować, podobnie jak ich przyjaciele.

Yaqeel przechyliła głowę, zaskoczona.

- Kiedy ich zauważyłeś?

Bazel potarł długi podbródek, a że jego ramoańskie gardło nie pozwalało mu posługiwać się basikiem, wchrząkał odpowiedź we własnym języku. Nie mógł sobie przypomnieć, czy poczuł ich zapach, kiedy on i Yaqeel wchodzili do budynku Tahiri, czy dopiero kiedy wychodzili. Prawdopodobnie jednak po wyjściu.

Yaqeel pacnęła go mocno w ramię.

- I nic mi nie powiedziałaś?

Bazel uznał, że nie musi; w końcu Yaqeel ma nos równie duży jak on.

Uszy Bothanki nachyliły się do przodu.

- Wiesz co? Wielkie dzięki.

Przyspieszyła kroku. Bazel popędził za nią, a jego ciężkie kroki brzmiały na płytach chodnikowych niczym uderzenia w bęben. Istoty w promieniu dziesięciu metrów rozglądały się, szukając dogodnych miejsc, gdzie mogłyby się schronić.

Bazel nie zwracał na to uwagi. Yaqeel jednak zwykle nie była taka drażliwa, więc przestraszył się, że naprawdę zranił jej uczucia. Zalewał ją nieprzerwanym potokiem chrząknięć i jęków, próbując wytłumaczyć, że jej nos jest niewielki i tylko wydaje się duży na drobnej twarzy. Ale Yaqeel nie miała ochoty słuchać jego wyjaśnień. Szła coraz szybciej, po chwili już niemal biegła.

Dotarli do końca chodnika i wyszli z Ogródu Spacerowego na ogromną otwartą przestrzeń dziedzińca Świątyni. Yaqeel, nadal zwawym krokiem, skierowała się w stronę południowego boku potężnej piramidy, gdzie znajdowała się podziemna brama dla śmigaczy. Wielu Jedi chodziło tędy, bo nie wpuszczano tu Javisa Tyrra i innych holopismaków.

Wreszcie Bazel dogonił Yaqeel i zagroził jej drogę. Bothanka miała przekrwione oczy, a zza warg wystawały koniuszki kłów. Bazel, coraz bardziej zaniepokojony, położył jej na ramieniu potężną łapę i zapytał, dlaczego nagle tak się go wystraszyła.

Yaqeel rozłożyła uszy na boki.

- Nie chodzi o ciebie, Bazel.

Yaqeel nigdy nie zwracała się do niego po imieniu; ewidentnie coś było nie tak. Chrząknął, pytając, o co chodzi.

Yaqeel spojrzała przez ramię w kierunku Ogrodu Spacerowego.

- O nich, oczywiście - wyjaśniła. - Nie wyczuwasz zmiany?

Teraz Bazel zaczął się naprawdę bać. Zapytał, jaką zmianę ma na myśli, a jego głos zabrzmiał tak piskliwie, że przechodnie obchodzili ich jeszcze szerszym łukiem.

- Och, Barv, jesteś taki... ufny. - Yaqeel chwyciła Bazela za rękę i ruszyła znów w stronę bramy dla śmigaczy, tym razem w normalnym tempie. - Nie daj po sobie poznać, że ich przejrzelśmy. Inni popełnili ten błąd, i co?

Bazela tknęło złe przeczucie. Zapytał, o jakich innych mówi.

Yaqeel spojrzała na niego jednym przymrużonym okiem.

- Inni... tacy jak my, oczywiście.

Bazel zapytał, czy chodzi jej o resztę Paczki: Jysellę i Valina.

Yaqeel pokiwała głową i dodała:

- I o Seffa, i Natuę też.

Mijali właśnie główne wejście, przy którym Daala rozmieściła oddział szturmowy Służby Bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu, łącznie z opancerzonymi patrolowcami, a wszystko to dla zmanifestowania swojej władzy. Po obu stronach stały furgonetki reporterów, spoczywające na wspornikach postojowych w oczekiwaniu na następną okazję do skompromitowania Zakonu Jedi. Bazel nie dostrzegł nigdzie Javisa Tyrra, ale rozpoznał jego charakterystyczne logo przedstawiające oko na jednej z furgonetek, więc wiedział, że ten żywiący się skandalami reporter musi być gdzieś w pobliżu. Przeszedł na drugą stronę Yaqeel, żeby zasłonić ją swoim zielonkawym cielskiem przed wścibskimi kamerami.

Yaqeel nie zwróciła zupełnie na to uwagi, potwierdzając tym samym najgorsze obawy Bazela.

- Najpierw uwolnimy Seffa i Natuę - zarządziła. - Potem może uda nam się odbić Jysellę i Valina i znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, żeby ich rozmrozić i dowiedzieć się, co tu jest grane.

Niewątpliwie dobrze byłoby rozwiązać tę sprawę, zgodził się Bazel. Nie zdradził się natomiast z tym, że Yaqeel łamie mu serce. Z Seffem i Natuą nie zżył się w czasie pobytu w Schronisku tak mocno jak z Yaqeel i rodzeństwem Hornów, jednak w panującej tam ciasnocie z konieczności zaprzyjaźnił się z większością uczniów i bardzo by chciał, żeby mogli opuścić blok psychiatryczny - ale dopiero kiedy będą na to gotowi. A teraz najlepsza przyjaciółka Bazela zaczynała się zachowywać tak, jakby zamierzała do nich dołączyć, co i tak było lepszym wyjściem niż gdyby miała zostać zamrożona w karbonicie jak Valin i Jysella. Na to Bazel nigdy by nie pozwolił.

Kiedy zbliżali się do rogu Świątyni, Bazel obejrzał się jeszcze raz na furgonetki reporterów i zobaczył jeden skierowany na nich obiektyw kamery - z pewnością filmowali go, na wszelki wypadek, żeby mieć coś pod ręką, kiedy zechcą nadać materiał o zagrożeniu ze strony Jedi. Uniósł rękę, jakby chciał im pomachać, a przy okazji posłał w stronę furgonetki błysk Mocy, wymazując swój obraz - i większość nagrań z tego dnia - z cyfrowej pamięci kamery.

Skręcili za róg i doszli do żywopłotu z wysokich krzewów rutolu o fioletowych liściach, długich i wąskich jak sztylety. Świeżo wydeptana ścieżka wiodła przez żywopłot do niewysokiego murku, który osłaniał wpuszczoną w podłoże bramę dla śmigaczy, i właśnie w tym miejscu Yaqeel sięgnęła po swój miecz świetlny. Bazel nie mógł dopuścić, żeby wywołała awanturę poza Świątynią; mogłaby kogoś zranić i z pewnością zwrócić na siebie uwagę oddziału szturmowego SBGS. Chwycił ją za rękę i odciągnął dalej.

Yaqeel odwróciła się ku niemu z błyskiem w oczach. Momentalnie poraziła go w rękę ładunkiem energii Mocy, tak potężnym, że zaskoczony Bazel aż jęknął. Nigdy wcześniej nie zaobserwował u niej takich zdolności; właściwie to aż dotąd nie widział, żeby jakikolwiek Jedi używał Mocy w ten sposób.

- Ty także, Barv? - Yaqeel położyła dłoń na mieczu świetlnym. - Ciebie też skaptowali...

Bazel prychnął z niesmakiem i zauważył, że nie uda im się nikogo uwolnić z bloku psychiatrycznego, jeśli spróbują wdrzeć się do Świątyni siłą. Chodzi przecież o to, żeby przechytrzyć Jedi, powiedział.

Dłoń Yaqeel pozostała na rękojeści miecza, a futro na jej czole nastroszyło się, gdy zmierzyła Bazela badawczym spojrzeniem.

- Barv, to my jesteśmy Jedi - powiedziała wreszcie.

Przeklinając w duchu ociążałość umysłową swojej rasy i lotność umysłu Bothan, Bazel wziął głęboki oddech i spróbował pogodzić się z faktem, że wkrótce dozna następnej potężnej dawki bólu. Nawet w sprzyjających okolicznościach nie potrafił zbyt dobrze kłamać, a teraz Yaqeel bez wątplenia użyje Mocy, żeby sprawdzić jego prawdomówność. Pozostawało mu tylko jedno wyjście - obezwładnić ją i spróbować wciągnąć do Świątyni, zanim zjawi się oddział SBGS. Bo wtedy zginą obydwójce.

I wtedy Bazel zdał sobie sprawę, że może Bothankę okłamać. Kluczem do sukcesu było uwierzenie we własne kłamstwo, a Bazel umiał to zrobić. Nie wiedział nawet, gdzie i kiedy się tego nauczył, ale jeżeli nasyci swoje słowa energią Mocy, to na pewno mu się uda uwierzyć w to, co mówi. I wszystkim innym też.

Tak więc Bazel wzruszył po prostu ramionami i odsunął rękę od miecza świetlnego Yaqeel. Zasugerował jej, że próba oswobodzenia Seffa i Natui nie jest najlepszym pomysłem. Ci „falszywi” na pewno ich obserwują, więc gdy tylko on i Yaqeel zbliżą się do bloku psychiatrycznego, prawdopodobnie zostaną schwytani i sami skończą w celi.

Yaqeel rozważała przez chwilę jego słowa, po czym puściła swój miecz świetlny.

- Pewnie masz rację, Barv. Ale uważam, że musimy spróbować.

Bazel odetchnął z ulgą, wykorzystując swoją świeżo odnalezioną w Mocy zdolność, żeby udać rezygnację. Spytał Yaqeel, czy jest gotowa.

Yaqeel pokiwała głową.

- Bardziej już nie będę. - Podciągnęła się na murek, przykucnęła na jego śliskim od mgły szczytce i obejrzała się na Bazela. - Pamiętaj, Barv, zachowuj się normalnie. Nie daj się wyprowadzić z równowagi.

Zapewnił ją, że nie zdradzi ich zamiarów nikomu wewnątrz Świątyni. Było to oczywiście kolejne kłamstwo, ale nie czuł się winny z tego powodu. Kiedy będą już bezpieczni, gdzieś w głębi Świątyni, spróbuje przemówić przyjaciółce do rozumu, przekonać ją, że z innymi Jedi nie dzieje się nic złego. A jeśli mu się nie uda, to przynajmniej będzie tam mógł liczyć na pomoc życzliwych osób, które nie pozwolą, żeby Yaqeel wpadła w ręce SBGS i skończyła tak jak Valin i Jysella.

Bazel oparł łokieć na murku, przerzucił wierzchem potężną nogę i usiadł na nim okrakiem. Spojrzał w dół i zobaczył białą durabetonową studnię, głęboką na jakieś pięć metrów i szeroką akurat na tyle, żeby mogły się minąć dwa śmigacze lecące w przeciwnych kierunkach. Na dnie studnia przechodziła w tunel, który prowadził do południowych hangarów dla śmigaczy. Broniąca do niego dostępu durastalowa brama była otwarta na oścież; mały, półkulisty droid czyszczący Lovolol polerował akurat próg.

Tuż przed bramą, obok opancerzonego luksusowego śmigacza ozdobionego godłem Szczątków Imperium, stali Jaina Solo i Jagged Fel. Przywódca Szczątków miał na sobie mundur galowy z przypiętą stójką. Jaina była ubrana w fioletową suknię, przypominającą krojem płaszcz Jedi, dzięki czemu zwisający z paska miecz świetlny nie wyglądał niestosownie. Obejmowali się i całowali, nie zwracając uwagi na nikogo.

Futro na karku Yaqeel się zjeżyło, a jej ręka powędrowała znów w kierunku miecza świetlnego. Bazel zrozumiał, że jego plan wprowadzenia Bothanki bezpiecznie do Świątyni napotkał właśnie na poważną przeszkodę.

Nachylił się do Yaqeel i wymruczał jej do ucha, że Jaina i jej przyjaciel są zainteresowani tylko sobą nawzajem. Bazel i Yaqeel mogą więc po prostu zeskoczyć z murku, powiedzieć „przepraszam” i wejść do Świątyni.

Yaqeel pokręciła odmownie głową.

- Co tu robi ten droid czyszczący? - wyszeptwała. - Wcale mi się to nie podoba.

Bazel zaklął pod nosem i wyjaśnił, że Jaina pewnie była gdzieś z Felem na późnym lunchu albo wczesnym obiedzie.

- Bazel, to nie są ludzie - wyszczała Yaqeel. - Musisz o tym pamiętać.

Zapewnił ją, że się postara. Jaina musiała chyba wyczuć, że jest obserwowana, bo nagle otworzyła oczy i spojrzała na nich ponad ramieniem Fela. Nie przerwała jednak pocałunku, tylko uniosła rękę i pomachała do nich. Był to zwykły gest, jaki mógłby wykonać każdy w podobnej sytuacji, ale Bazel zaczynał rozumieć, o co chodzi Yaqeel. Mając za plecami Hana i Leię, a przed sobą Jainę, która blokowała wejście do Świątyni, mogli czuć się otoczeni przez Solo. Czy to na pewno był zwykły przypadek?

Jaina musiała wyczuć jego zmieszanie, ponieważ odsunęła się od swojego towarzysza i skinęła na nich, żeby zeszli na dół.

- Przepraszam - zawołała. Na policzkach miała rumieniec, delikatny, jednak wystarczająco wyraźny, by Bazel go dostrzegł. - W niczym nam nie przeszkodziliście, naprawdę.

Przywódca Imperium także się odwrócił, a na jego policzkach widoczny był taki sam rumieniec. Bazelowi mocniej zabiło serce. Jak mógł wątpić w przenikliwość Yaqeel? W końcu była Bothanką, a Bothanie znali się na podstępach znacznie lepiej niż Ramoanie.

- Nie zwracajcie na nas uwagi - zawołała istota, która wyglądała jak Jagged Fel. - Właśnie wychodziłem.

Yaqeel zastygła, wyraźnie niezdolna do podjęcia jakiejś decyzji, więc Bazel zmusił się do uśmiechu i odparł, że nie ma problemu i że nigdzie im się nie spieszy. Włożył w swoje słowa troszkę energii Mocy, jednak najwyraźniej jego dar umiejętnego kłamstwa nie na każdego działał. Istota udająca Jainę zmarszczyła brwi i ruszyła w ich stronę, obchodząc pojazd, a Nie-Fel nachylił się do otwartych drzwi, żeby powiedzieć coś szoferowi.

Bazel zaryzykował stwierdzenie, że być może wpadli w zasadzkę.

- Być może? - Yaqeel złapała miecz świetlny i odwróciła się w stronę żywoplotu z rutolu. - Wynośmy się i to...

Yaqeel urwała w pół zdania na widok istot wyglądających zupełnie jak Han i Leia Solo, które przedzierały się przez żywoplot. Nie miały takiego samego rumieńca, jaki Bazel widział na twarzach JAINY i Fela, ale wiedział, że to nie mogą być prawdziwi Solo, ponieważ Han nie potrafił skakać, używając Mocy, a to oznaczało, że nie mógłby dostać się do Świątyni tym wejściem. Poza tym oboje Solo trzymali coś za plecami, a Bazel wiedział, że prawdziwi Han i Leia nigdy nie skrzywdziliby jego ani Yaqeel.

Wzrok Nie-Leii padł na miecz świetlny w ręce Yaqeel.

- Yaqeel, po co ci ten miecz? Coś nie w porządku?

Zanim skończyła mówić, Yaqeel skoczyła w jej stronę, krzyżąc:

- Wy nie jesteście...

W tym czasie sobowtór Hana wyciągał już rękę zza pleców. Bazel dostrzegł przelotnie srebrny błysk jakiejś ręcznej broni, a potem usłyszał świst nadlatujących strzałek.

Pod Yaqeel ugięły się kolana i upadła z krzykiem przed fałszywą Leią. Włączyła swój miecz świetlny i wyciągnęła rękę w niezdarnym ataku, jednak Nie-Leia zdążyła już się odsunąć na bezpieczną odległość. Broń wypadła z drżącej dłoni Yaqeel i klinga zgasła.

Bazel patrzył z przerażeniem, jak Yaqeel przewraca oczami, a z jej długiego czerwonego języka cieknie ślina. Wykrzyczał jej imię i sięgnął po swój miecz świetlny - i wtedy zobaczył w ręce fałszywej Leii wycelowany w niego pistolet.

- Bazel, to tylko środek uspokajający - powiedziała do niego. - Yaqeel nic nie będzie.

- Właśnie - zgodził się Han. - A co z tobą?

Bazel rozważał przez chwilę wykorzystanie swojej siły, żeby obezwładnić ich oboje i uciec z Yaqeel. Jednak wiedział, że siedzi wciąż okrakiem na murku z mieczem świetlnym przypiętym do paska, a sobowtór Solo trzymają w dłoniach pistolety ze środkiem uspokajającym. Zrozumiał, że nie jest wystarczająco szybki, więc odsunął rękę od miecza świetlnego i pokiwał głową, używając swojej nowej zdolności, żeby wzmocnić gest energią Mocy.

Twarze fałszywych Solo natychmiast złagodniały, a Nie-Han odetchnął z ulgą.

- Cieszę się. Przez chwilę myślałem, że straciliśmy was oboje.

Bazel pokręcił głową, żeby upewnić go, że nie, nie stracili. Wypatrzył miejsce blisko Yaqeel i zaczął przygotowywać się do skoku. Jeśli zadziała dostatecznie szybko, może uda mu się złapać przyjaciółkę i uciec za żywoplot, zanim...

- Bazel, zostań tam - rozkazała Nie-Leia. - Zaczekaj, aż Han ci ją poda.

- Tak, musimy się stąd zmywać. - Sobowtór Hana odkopnął miecz świetlny Yaqeel, schował własny pistolet do kabury i schylił się, żeby podnieść nieprzytomną Bothankę. - Ten oddział SBGS ruszał już w tę stronę, kiedy przechodziliśmy przez żywoplot.

Bazel, siedząc na murku, wyciągnął ręce, żeby przejąć bezwładne ciało Yaqeel. Tak, umiejętność kłamania to całkiem przydatna rzecz, stwierdził. Jeśli sobowtórzy mu ją po prostu podadzą, to może zdoła utrzymać ją przy sobie, aż nadarzy się sposobność, żeby...

Jego nadzieje na łatwą ucieczkę rozwiały się nagle, kiedy usłyszał, że jakaś lekka istota ląduje na murku za jego plecami. Oboje Nie-Solo bardzo przekonująco udawali zaskoczenie. Fałszywy Han też otworzył usta.

- Jaina? - wykrztusił. - Co ty tu robisz?

- To długa historia - powiedział sobowtór Jaina. Sądząc po głosie, znajdowała się niecałe dwa metry od Bazela; bez wątpienia w zasięgu jego długich ramion. - Ale może lepiej ja wezmę Yaqeel.

Nie-Han i Nie-Leia spojrzeli niepewnie w stronę Bazela. I wtedy właśnie Bazel dostrzegł błąd w swoim planie. Skoro oszuści zastępują prawdziwych Jedi sobowtórami, to przecież wiedzą, kogo już podmienili, a kogo nie. Zwodzili tylko Bazela, żeby uspić jego czujność i łatwiej go obezwładnić. A jego ramoański mózdzek był zbyt głupi, żeby to zauważyć! Czasami nienawidził się za to, że jest takim wielkim cętkowanym tumanem, i za to, że tak łatwo daje się wyprowadzić w pole. Ale także nienawidził ich za to, że go wykorzystali.

Bazel wydał z siebie wściekły ryk, odwrócił się i sięgnął długą ręką w kierunku fałszywej Jaina. Usłyszał jej zdumiony okrzyk i poczuł z satysfakcją, że trafił i posłał ją w powietrze.

Chwilę potem usłyszał świst lecących strzałek. Jego twarz i ręce przeniknął piekący ból. Zakręciło mu się w głowie i dostał mdłości. Poczuł, że spada i gniecie pod sobą metal pojazdu. Miał nadzieję, że ten rwący ból, który czuł w całym ciele, oznacza, że nie pozostanie z niego zbyt wiele do skopiowania.

ROZDZIAŁ 5

- Przykro mi z powodu twojej limuzyny, Jag. - Han wpatrywał się w uszkodzony śmigacz Jaggeda Fela, ukryty częściowo pod zielonym cielskiem Bazela Warva. Przez boczne okno zauważył, że siła uderzenia wgniotła dach nad przedziałem pasażerskim na dobre sześćdziesiąt centymetrów. - Może powinieneś zmienić diler. Opancerzony śmigacz powinien chyba lepiej znosić uderzenia.

- Strefy zgnioty to część konstrukcji. Zapewniam pana, że mój pojazd może przyjąć serie granatów udarowych i dalej śmigać. - Jag odwrócił się w stronę Jaina, która stała przy przednim błotniku limuzyny. Przeciwdeszczowy płaszcz szofera zarzuciła na podartą suknię. - Ważne, że Jainie nic się nie stało.

Jaina rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Ja też jestem odporna na uderzenia, Jag.

Stalowe oczy Jaga lekko się rozszerzyły.

- Nie wątpię - powiedział przepaszającym tonem. - Chciałem ci tylko uświadomić, że jesteś dla mnie ważniejsza niż limuzyna za milion kredytów.

- Mam nadzieję - prychnęła Jaina. - Ale to nie znaczy, że nie potrafię sama o siebie zadbać.

Han musiał przygryźć sobie policzek, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Wciąż nie mógł uwierzyć, że Jaina ma zamiar wyjść za tego faceta, i słowne przepychanki takie jak ta dawały mu nadzieję, że w porę się opamięta. Jagged Fel był całkiem porządnym gościem i świetnym pilotem,

bez dwóch zdań. Ale miał też obsesję na punkcie zasad i własnego honoru, a Han poznał wystarczająco wielu takich jak on, żeby wiedzieć, że Fel nigdy, ale to nigdy, nie przedłoży uczucia do Jaina nad swoje obowiązki. A jego jedyna córka zasługiwała na więcej - dużo więcej.

Jag w końcu ustąpił przed piorunującym wzrokiem Jaina i odwrócił się w stronę Hana, który roześmiał się i poklepał go po ramieniu.

- Synu, musisz się jeszcze wiele nauczyć, zanim będziesz gotowy poślubić silną kobietę - powiedział. - Na początek zapamiętaj, że w każdej chwili może skrócić ci kark samym spojrzeniem.

- Han! - zganiła go Leia. Siedziała na murku z jedną ręką wyciągniętą nad pasem dla śmigaczy, opuszczając w ten sposób ciało nieprzytomnej Yaqeel Saav'etu przy użyciu Mocy. - Chcesz go wystraszyć!

- Hej, powinien wiedzieć, co go czeka. - Han mrugnął do córki i jej gniewna mina znikła; widocznie Jaina zdała sobie sprawę, że jest zbyt drażliwa na punkcie opiekuńczej natury Jaga. - Sama od czterdziestu lat grozisz mi skręceniem karku - przypomniał Leii.

- Ale nie dlatego, że jestem silną kobietą - zripostowała Leia. - Tylko dlatego, że moja cierpliwość zbyt często była wystawiana na próbę.

- Aha, jeszcze jedno - zwrócił się Han do Jaga. - Warto zadbać o to, żeby wasze życie było ciekawe. Te kobiety szybko się nudzą siedzeniem w domu.

- To zależy od tego, z kim się siedzi - zauważyła cierpko Leia. Machnęła lekko ręką w stronę limuzyny, opuszczając Yaqeel na maskę. - Wiem, że teorie mojego męża na temat małżeństwa mogą się wydać ogromnie interesujące, ale zajmijmy się lepiej naszymi pacjentami. Oddział SBGS jest tuż za mną.

- Ja wezmę Bazela. - Jaina odwróciła się w stronę Hana. - Tato, gdybyś mógł zabrać Yaqeel...

- Pomogę - zaproponował Jag i stanął przy nogach Bothanki. Jednocześnie zerknął ponad maską śmigacza na barczystego gburę, stojącego przy drzwiach kierowcy z wielostrzałowym blasterem typu T-21 w pogotowiu. - Baxton, odłóż tę broń i ani pary z gęby na ten temat.

- Tak jest - potwierdził Baxton, chowając broń do skrytki w drzwiach. - Jeśli chodzi o SBGS, to nic nie widziałem.

- Okłamywanie funkcjonariuszy SBGS jest tu uznawane za przestępstwo - powiedział Jag. - Mów po prostu, że nie jesteś upoważniony do rozmów na temat moich działań. To mieści się w ramach immunitetu dyplomatycznego i nie narazi cię na aresztowanie.

Baxton stanął na baczność.

- Dziękuję, że ma pan na względzie moje dobro.

Han chwycił Yaqeel za ramiona i pomógł Jagowi ją podnieść, po czym ruszył w stronę tunelu. Potężne ciało Bazela Warva sfrunęło z dachu limuzyny i poszybowało za nimi przez bramę, gdzie Han potknął się o droida czyszczącego z wadliwym mechanizmem ustępowania pierwszeństwa. Zachwiał się i runął na podłogę, przygnieciony ciałem Yaqeel.

- Kapitanie Solo? - zwrócił się do niego Jag. - Jeśli jest za ciężka, to mogę...

- Potknąłem się - warknął Han, jedną ręką przytrzymując Bothankę, a drugą wykorzystując do dźwignięcia się z podłogi. - Nie jestem taki stary.

- Oczywiście, że nie. Wcale tak nie pomyślałem.

Han rzucił Jagowi gniewne spojrzenie ponad nieprzytomną Yaqeel.

- Chłopcze, jak na głowę państwa mamy z ciebie kłamca.

Twarz Jaga pobladła.

- Kapitanie Solo, nie mam żadnych wątpliwości co do pańskiej...

- Jag! - Głos Jaina dobiegał zza potężnego cielska Ramoanina, które wciąż unosiło się przed bramą, czekając, żeby wlecieć do tunelu. - Przestań się przejmować uczuciami staruszka i bierz się do roboty. Chyba nie chcesz, żeby oddział SBGS zobaczył, jak pomagasz nam ukryć parę szalonych Jedi?

- Masz rację. - Jag ominął Hana i ruszył tyłem w głąb tunelu. - Ja pójdę przodem.

Wiedząc, że nie ma czasu na dyskusje, Han pokiwał tylko głową, po czym spiorunował wzrokiem małego droida o kopulastej głowie, który obserwował ich, stojąc tuż przy bramie. Jego

moduły odpowiadające za reakcje musiały wykryć gniew Hana, ponieważ robocik wydzielił z siebie obłok pary i szybko odwrócił fotoreceptor.

Przeklinając pod nosem, Han skręcił za Jagiem do hangaru. Przy wejściu stało dwoje zaniepokojonych uczniów; najwyraźniej nie byli pewni, czy powinni opuścić swoje stanowiska. Han wepchnął Yaqeel w ramiona bliższego wartownika, Jeneta o czerwonym futrze, po czym odsunął się, żeby przepuścić unoszące się za nimi zielone cielsko Bazela Warva.

- Powiadomcie Mistrzynie Cilghal, że straciliśmy następnych dwoje - polecił Han.

Wyciągnął zza paska pistolet ze środkiem uspokajającym i wcisnął go w rękę młodej Durosjanke, której ciemne oczy wydawały się jeszcze bardziej wylupiaście niż normalnie. - A gdyby którekolwiek z nich się poruszyło, zanim ktoś po nich przyjdzie, to wpakujcie obojgu po parę strzałek.

Durosjanka wzięła pistolet ze zdumioną i przerażoną miną.

- Zachorowali? Oboje?

- Słyszałaś rozkaz, uczennico - powiedziała Jaina, opuszczając Bazela na puste stanowisko dla śmigacza. - Teraz proszę go wykonać.

Ruszyła z powrotem w kierunku wylotu tunelu, a Han i Jag podążyli za nią.

Zanim minęli zakręt, Han dostrzegł Leię stojącą przy wejściu, twarzą w twarz z kapitanem w niebieskim mundurze, który zdążył się pojawić, zanim Leia opuściła bramę. Parę kroków za nim ustawiło się dziesięciu funkcjonariuszy w pancierzach szturmowych. A trochę dalej kolejnych czterech funkcjonariuszy SBGS trzymało na muszce szofera Jaga, Baxtona.

Jednak Hana najbardziej zaniepokoiły holokamery. Umieszczone na przyległym murku, skrupulatnie rejestrowały każde słowo i gest, jakie wymieniali Leia i kapitan SBGS.

- Nie wiem, o czym pan mówi, kapitanie Atar - zapewniała Leia. - Nie zdarzyło się tutaj nic, co mogłoby pana interesować.

- To ja decyduję o tym, co mnie interesuje, Jedi Solo - odparł Atar, wysoki człowiek o ciemnych wąsach i ramionach równie kwadratowych jak jego szczeka. Ten typ aroganckiego oficera uważa, że odznaka na jego piersi daje mu nieograniczone uprawnienia. - A szaleni Jedi zdecydowanie należą do moich zainteresowań.

Leia wzruszyła ramionami.

- Nie mamy tu takich.

- Nie? - Atar odpiął od paska datapad i pokazał Leii ekranik. - A to co?

Han, Jaina i Jag byli teraz na tyle blisko, że mogli dostrzec zieloną plamę, która mogła być tylko Bazelem lądującym na dachu limuzyny Jaga. Po chwili przed śmigaczem pojawiła się Jaina; chwiała się lekko, przytrzymując podartą suknię. Następnie kamera objęła murek, ukazując Hana i Leię, którzy gapili się z przerażeniem w dół, a w dłoniach trzymali pistolety ze środkiem uspokajającym.

Han poczuł ucisk w żołądku. A więc Atar ich przyłapał. A to nawet nie były ujęcia z jednej holokamery. Jakimś cudem nagrał cały incydent na... Han przypomniał sobie droida czyszczącego i odwrócił się gwałtownie z zamiarem wyprucia mu obwodów.

Na szczęście Jag miał lepszy pomysł i przejął inicjatywę.

- Co zrobiliście z moją limuzyną, kapitanie? - zapytał ostro Atara.

Atar nie stanął wprawdzie na baczność - Jag nie był głową jego państwa. Jednak zareagował tak, jak zareagowałby na jego miejscu każdy oficer sił bezpieczeństwa: zaczerwienił się, rozdarty między ważnym zadaniem a groźbą oskarżenia o wywołanie incydentu dyplomatycznego.

- Nic nie zrobiliśmy - powiedział wreszcie. Odwrócił datapad w stronę Jaga. - Zechce pan spojrzeć...

- Nie interesują mnie holofilmy, kapitanie. - Jag wyrwał komputerowy notes z rąk kapitana i rzucił nim w stronę tunelu; urządzenie roztrzaskało się na kilkanaście kawałków. - Widzę, że maczaliście w tym palce. Chyba że to nie pańscy ludzie trzymają mojego szofera na muszce.

- Nie, to... yyy, to znaczy tak. - Atar obejrzał się przez ramię. - Ale nie wiedzieliśmy, że to pańska limuzyna.

- Nie sprawdziliście sygnału transpondera? - spytał Jag. Zrobił krok do przodu, celowo

wypychając kapitana za próg. - Czy po prostu postanowiliście zlekceważyć kodeks dyplomatyczny?

- Ani to, ani to. - Atar najwyraźniej zdał sobie w końcu sprawę, że Jag próbuje go wykiwać, i nie dał się dalej odepchnąć. - Ścigamy dwoje niepoczytalnych Rycerzy Jedi - oświadczył - i immunitet dyplomatyczny nie daje panu prawa nam w tym przeszkadzać. Jeśli dalej będzie pan...

- Ależ możecie kontynuować pościg - odparł Jag - jak tylko zwolnicie mojego szofera i pojazd.

Jag ani myślał się ruszyć. Atar przez chwilę spoglądał na niego z wściekłością, ale wreszcie skinął na swoich ludzi, żeby odstepili od limuzyny.

- Dziękuję - powiedział Jag. - Nie omieszkać wspomnieć o pańskiej życzliwości przywódczyni Sojuszu, kiedy spotkam się z nią jutro rano.

- To nie będzie konieczne - odparł lodowatym głosem Atar. - Jeszcze dziś wieczorem otrzyma pełny raport. A teraz zechce się pan odsunąć. Mam zadanie do wykonania.

- Naturalnie.

Jag odwrócił się na pięcie, dokładając wszelkich starań, żeby się nie odsunąć zbyt daleko. Han inaczej by to rozegrał, ale musiał przyznać, że Fel potrafi być prawdziwym wrzodem na tyłku, nie łamiąc przepisów. Dopóki był w pobliżu, kapitan SBGS nie śmiałyby ryzykować strzelaniny, żeby nie narażać życia głowy państwa.

Kiedy Atar pogodził się w końcu z tym, że Jag nie odejdzie dalej, prychnął ze złością i ruszył naprzód. Przez ten czas Han ustawił się przy panelu sterowania bramy, Jaina i jej matka zaś stanęły przed progiem z mieczami świetlnymi w dłoniach. Ich klingi nie były zapalone, jednak przekaz był czytelny: SBGS nie wejdzie do środka bez walki.

- Jedi Solo, muszę aresztować Rycerzy Jedi Bazela Warva i Yaqeel Saav'etu. Zejdziecie nam z drogi czy mamy was usunąć?

Leia ani drgnęła.

- Nie widzę, żeby komukolwiek tutaj groziło bezpośrednie niebezpieczeństwo - powiedziała - a to oznacza, że musielibyście mieć nakaz, żeby ich aresztować. Dopóki go nie zobaczę, nigdzie się stąd nie ruszymy.

Atar uśmiechnął się lekko pod gęstym wąsem.

- W takim razie... - Wyciągnął rękę i zawołał: - Karpette, do mnie!

Podeszła do niego Rodianka, której fasetkowe oczy błyszczały z radości.

- Tak, kapitanie?

- Nakaz.

Podala mu świeżo zadrukowany arkusz flimsiplastu w tej samej chwili, gdy wypowiedział to słowo. Han zobaczył miniaturową drukarkę zwisającą z jej paska i poczuł ściskanie w dołku.

Atar spojrział na dokument, pokiwał głową i podał go Leii.

- Druk jest nieco mniejszy niż zazwyczaj, ale sądzę, że nie znajdzie pani żadnych uchybień.

Leia wzięła do ręki dokument. Jej niewzruszona mina w najmniejszym stopniu nie zdradzała szoku, jakiego musiała doznać. Przyjrzała się nakazowi, po czym stwierdziła:

- Bardzo sprytnie, kapitanie.

- To nie moja zasługa, Jedi Solo - odparł Atar. - W kwestii zagrożenia ze strony Jedi przywódczyni Galaktycznego Sojuszu nakazała maksymalne uproszczenie procedur.

- Właśnie widzę. - Leia dała znak Jainie, żeby pozostała na swoim miejscu przed bramą, i podetknęła dokument Hanowi. - Co o tym sądzisz?

Han wziął nakaz i popatrzył przymrużonymi oczami na drobne linijki prawniczego tekstu. Był to raczej rozkaz zatrzymania niż prawdziwy nakaz aresztowania, jednak nie podważało to jego prawomocności. Nazwiska były napisane prawidłowo, rasy właściwie rozpoznane, incydent uzasadniający zatrzymanie opisany dokładnie, chronopieczątka zaś - która miała nie więcej niż pięć minut - była niewątpliwie ważna.

- Nie jestem ekspertem, ale wszystko wygląda prawidłowo. - Spojrział na Atara. - Kto to jest sędzia... Lortle?

- Arabelle Lorteli - poprawił Atar. - Wyznaczona do prowadzenia wszystkich spraw związanych z Jedi.

- Mianowana przez Daalę? - spytała Leia. - Jakaś nowa?
- Tak jest - potwierdził Atar. - Skoro nawet wy przyznajecie, że wszystko jest w porządku, przystąpimy teraz do aresztowania Rycerzy Jedi Warva i Saav'etu.

Już zamierzał razem z oddziałem przekroczyć próg, kiedy Leia wyciągnęła rękę w jego stronę.

- Chwileczkę.

Atar się cofnął, a Leia odwróciła się w stronę Hana z wyzywającym błyskiem w oczach; tak wyglądała zawsze, gdy wyczuwała zapach zgnilizny na szczytach władzy.

- No, nie wiem, Han. Co z tym zrobimy?

Nie było to oficjalne pytanie, skoro Han nie był ani Jedi, ani radcą prawnym. Był to sygnał. Han zauważył, że Jaina dyskretnie sprawdza, czy nie stoi na drodze bramy, i wiedział już, że ona także zrozumiała.

- Wygląda na to, że nie mamy wyboru - powiedział. Wzruszył ramionami i podał nakaz z powrotem Leii, po czym zwrócił się do Atara. - Zaczekajcie tu. Będziemy musieli powiadomić o tym Mistrza Hamnera.

Atar zrobił gniewną minę.

- Nie zamierzamy czekać - oświadczył. - Proszę natychmiast przyprowadzić tych dwoje Jedi.

Han westchnął i obejrzał się na Leię.

- Chyba lepiej zrobimy, co nam każe. Jak myślisz?

Leia pokiwała głową.

- Tak, chyba tak.

Zerknęła na panel sterowania, a przełącznik przesunął się w pozycję „zamknięte”. Brama zaczęła się opuszczać tak szybko, że Leia ledwie zdążyła zauważyć zdumiony wyraz twarzy Atara.

- Dobrze, kapitanie. Wygrał pan - powiedziała. - Zaraz wracamy.

- Co? Chwileczkę! - wykrztusił. - Dlaczego zamy...

Brama zatrzasnęła się ze szczękiem i Han z Leią zostali sami.

Han wcisnął przełącznik blokujący bramę, żeby nie otworzył jej niechcący jakiś wracający Rycerz Jedi, po czym zwrócił się do Leii:

- Wiesz, czasami naprawdę się cieszę, że się z tobą ożeniłem.

- Tylko czasami?

- Eee... zawsze się cieszę, ale w takich chwilach jak ta jeszcze bardziej. - Wziął ją za rękę i poszli tunelem, żeby zobaczyć, co z nowymi pacjentami. - Jak myślisz, długo będą czekać?

- Minie dobrych parę minut, zanim pan kapitan przewycięży wstyd i zgłosi się do przełożonych po nowe rozkazy - orzekła Leia. - Więc mamy troszkę czasu.

- To dobrze. Myślisz, że Jaina sobie poradzi?

- Oczywiście. - Leia zamknęła na chwilę oczy; Han zrozumiał, że uwalnia myśli i wysyła je poprzez Moc ku córce. - Przecież jest z Jagiem.

ROZDZIAŁ 6

Pomimo wgniecionego dachu w imperialnej limuzynie było wystarczająco dużo miejsca, żeby Jaina mogła siedzieć wyprostowana. Co innego Jag. Chociaż nie był wysoki jak na człowieka płci męskiej, znaczną część jego ciała stanowił tułów. Jaina miała nadzieję, że ta niefortunna cecha nie przeniesie się na ich przyszłe dzieci, podobnie jak jej krótkie nogi... zakładając oczywiście, że w ogóle będą chcieli mieć dzieci. Założenie rodziny było jedną z wielu rzeczy związanych z ich zbliżającym się małżeństwem, których nie zdążyli jeszcze przedyskutować, przynajmniej nie tak, jak należy.

W tej chwili długi tułów Jaga zmuszał go do jednej z nielicznych rzeczy, w których Jagged Fel nie był zbyt dobry - garbienia się. Siedział skulony, z głową przyciśniętą do podsufitki i ramionami wepchniętymi w oparcie siedzenia.

- Dzięki za możliwość ucieczki. - Jaina spojrzała przez tylny iluminator na wciąż zdezorientowanych funkcjonariuszy SBGS. Kilku z nich waliło kolbami w zamkniętą bramę, żądając jej otwarcia. - Chyba lepiej, żeby nie było mnie w pobliżu, kiedy ten cymbał Atar zorientuje się, że dał się wykiwać.

- Chyba tak - zgodził się Jag. - Ale to dziwne, że tak łatwo dał się zmanipulować twojej matce. Myślałem, że Daala jest wystarczająco rozsądna, żeby nie wysyłać dowódcy o słabej psychice do obserwacji Świątyni Jedi.

- Jag, to nie była sugestia poprzez Moc. - W chwili gdy Jaina wypowiadała te słowa, Atar odwrócił się, żeby odprowadzić wzrokiem odlatującą limuzynę. - To był Śliski Sligh.

- Śliski Sligh?

- Taka sztuczka, którą moi rodzice wymyślili, jeszcze zanim się urodziłam - wyjaśniła Jaina. Pomachała Atarowi na pożegnanie. Kapitan poczerwieniał i zaczął wykrzykiwać rozkazy do połączonego ze słuchawkami mikrofonu. - Nie widziałeś, jak tata załatwił Atara?

Jag zamilkł na chwilę, a jego brwi zaczęły się powoli unosić. Wreszcie prychnął z niedowierzaniem.

- Dobrze, że twój ojciec nie jest Jedi - powiedział. - Han Solo obdarzony zdolnościami Mocy to byłoby coś przerażającego.

Jaina uśmiechnęła się i otworzyła usta, żeby przytaknąć, gdy nagle limuzyna zahamowała tak gwałtownie, że Jaina omal nie została wyrzucona z siedzenia. Podniosła wzrok i zobaczyła śmigacz szturmowy SBGS pięć metrów przed nimi, blokujący wylot z tunelu, z działkiem skierowanym w ich stronę. Trudno było jednak powiedzieć, czy celuje w limuzynę Jaga, czy w znajdującą się za nią bramę.

- Ci goście z SBGS robią się nachalni - rzucił Baxton z fotela kierowcy. Przegrody oddzielającej go od pasażerów nie dało się podnieść z powodu wgniecionego dachu, więc nie musiał używać interkomu pojazdu. - Mogę po prostu przelecieć nad nimi. Nawet jeśli otworzą ogień, nasz pancierz to wytrzyma.

Jag pokręcił głową.

- Nie, wtedy mogliby mówić, że mieliśmy wobec nich wrogie zamiary - powiedział. - Wsiądź i poproś, żeby nas przepuścili.

- A jeśli odmówią? - spytał Baxton.

- Nalegaj - odparł Jag. - Kapitan Atar za wszelką cenę chce nas sprowokować, ale nie będzie ryzykował międzygalaktycznego skandalu, próbując wyciągnąć Jedi Solo z pojazdu dyplomatycznego.

Baxton przytaknął, po czym wysiadł z pojazdu i podszedł do tarasującego im drogę śmigacza. Z wieżyczki wychynął młody durosjański oficer, który wskazał palcem na limuzynę, wykrzykując gniewne żądania. Baxton jednak nie ustępował. Pokręcił głową i również wyciągnął palec, nalegając, żeby śmigacz się wycofał. Po minucie wzajemnego przekrzykiwania się Durosjanin zeskoczył i stanął twarzą w twarz z Baxtonem.

- Wygląda na to, że Atar ma wyraźne rozkazy - zauważyła Jaina. - Może nie powinnam była go drażnić.

Jag spojrział na nią spod wgniecionego dachu.

- Drażnić w jaki sposób?

- Nic takiego - odparła Jaina. - Pomachałam mu tylko.

Jag zamknął z irytacją oczy.

- Pomachałaś mu? - powtórzył. - Jak odlatywaliśmy?

- Oczywiście, że jak odlatywaliśmy - odparowała Jaina. - A niby kiedy miałabym mu pomachać?

Jag opuścił podbródek.

- Musisz przestać prowokować ludzi Daali. - Odwrócił wzrok, a w jego aurze w Mocy pojawiła się brudna mgiełka tajemnicy. - Ta sytuacja wymyka się spod kontroli.

Jaina odwróciła się twarzą do niego.

- Jaka sytuacja?

- Cała sytuacja. - Jag wciąż patrzył w inną stronę. - Między Jedi i Daalą. To nie służy Zakonowi.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem - odparła Jaina. - Na przykład co ukrywasz.

Nozdrza Jaga się rozszerzyły i z wyraźnym wysiłkiem odwrócił się, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Jag... - Jaina rozsunęła pożyczony płaszcz, odsłaniając miecz świetlny wiszący u paska jej rozdartej sukni. - Jestem Jedi, zapomniałeś? Wiem, kiedy kłamiesz.

Jag westchnął.

- Usłyszałem coś, czego nie powinienem usłyszeć. A już na pewno nie powinienem tego powtarzać Jedi.

- Jag, jestem twoją narzeczoną - powiedziała Jaina. - I tak się składa, że jestem też Jedi. Jeśli z tego powodu masz zamiar ukrywać przede mną różne rzeczy, to może powinniśmy przemyśleć...

- Dobra, poddaję się - oznajmił Jag, unosząc ręce. - Ale skoro ty grasz kartą narzeczeństwa, to ja też mogę. To musi pozostać między nami.

Jaina pokiwała głową.

- To chyba uczciwe.

- Żadnego „chyba” - odparł Jag. - Tym razem nie może być tak jak na Qoribu.

Jaina się skrzywiła. To był cios poniżej pasa, ale być może na niego zasługiwała. W czasie kryzysu killickiego złożyła Jagowi obietnicę, którą później złamała. Ostatecznie doprowadziło to do wygnania Jaga z imperium Chissów.

- W porządku - powiedziała. - To sekret. Nikomu nie powiem.

- Choćby nie wiem co - nalegał Jag.

Jedyną odpowiedzią Jaina była kamienne milczenie. Dała mu w końcu słowo i zaczynała ją to irytować, że on wciąż je podważa. Spojrzała przed siebie i zauważyła brzeg czegoś metalowego, tkwiącego za schowkiem na napoje między dwoma zwróconymi przodem do niej siedzeniami. Być może jakiś pręt jarzeniowy, czy coś takiego, wypadł ze swojej skrytki, kiedy Bazel spadł na dach.

Podczas gdy Jaina nachylała się, żeby wyciągnąć przedmiot, Jag westchnął ciężko.

- Czy mam potraktować twoje milczenie jako zgodę?

Rozzłoszczona jak nigdy, Jaina zapomniała o pręcie jarzeniowym i odwróciła się ku niemu z nachmurzoną miną.

- Traktuj to, jak tylko chcesz.

- W porządku. - Jag wziął głęboki oddech, po czym powiedział: - Kiedy byłem wczoraj w kancelarii Daali, usłyszałem przypadkiem coś niepokojącego. Daala myśli o wynajęciu kompanii Mandalorian.

- Mandalorian? - powtórzyła Jaina. - Po cholere?

Teraz to Jag zamilkł i Jaina szybko zdała sobie sprawę, jak niedorzeczne było jej pytanie. Swego czasu spędziła kilka bardzo smutnych miesięcy, szkoląc się pod okiem Mandalorian, kiedy przygotowywała się do pochycenia swojego brata, Dartha Caedusa, i przychodziło jej do głowy pół tuzina powodów, dla których Daala mogłaby wynająć kompanię mandaloriańskich komandosów. Jednak tylko jeden z nich mógł wywołać u Jaga taką nerwowość.

- Z myślą o nas? - wykrztusiła Jaina.

Jag pokiwał głową.

- Pytała, ilu superkomandosów może być potrzebnych do okiełznania Jedi - potwierdził. -

Co dokładnie planuje, tego nie wiem. Ale nie może to być nic dobrego.

Jaina nie wiedziała, czy powinna być bardziej zła na niego, czy na Daalę.

- I ty chciałeś to przede mną ukryć?

- Oczywiście - odparł Jag. - Nie chciałem cię stawiać w takim położeniu.

Jaina zmarszczyła brwi.

- W jakim położeniu?

- Takim, żebyś musiała dotrzymywać mojej tajemnicy - powiedział Jag. - Nie powinnaś być obciążona tym brzemieniem.

Jaina opadła na siedzenie, a jej gniew zamienił się w szok, gdy zaczęła pojmować, o co mu chodzi.

- Oczekujesz, że zachowam tę wiadomość dla siebie?

Jag nic nie mówił, tylko przyglądał jej się swoimi stalowymi oczami, próbując odgadnąć, którego zobowiązania dotrzyma - obietnicy, którą mu przed chwilą złożyła, czy przysięgi wobec Zakonu, która nakazywała jej stawiać zawsze interes Jedi na pierwszym miejscu.

- Stang... to nie w porządku, Jag.

- Przykro mi.

Jaina pokiwała głową.

- To już coś.

- Staram się wynegocjować autonomiczne członkostwo w Galaktycznym Sojuszu - wyjaśnił Jag. - Jak na razie Daala mówi: „wszystko albo nic”. Uważa, że spreczne interesy doprowadziły do ostatniej wojny domowej.

- Może i ma rację. - Mówiąc to, Jaina zaczęła dostrzegać iskierkę nadziei, że może jednak nie będzie musiała dokonywać tego wyboru. - Jag, może to jakiś...

- Test? - dokończył za nią Jag. - Dobrze by było. Ale nie usłyszałem tego od samej Daali, tylko od kogoś, kto rozmawiał przez komunikator, nie zdając sobie sprawy z mojej obecności.

- Mimo wszystko to mógłby być test - powiedziała Jaina. - Szeffowie państw wykorzystują czasem swoich zastępców do takich rzeczy.

Jag pokręcił głową.

- Nie wydaje mi się, żeby Wynn Dorvan bawił się w tego rodzaju gierki.

Jaina poczuła ściskanie w żołądku. Wynn Dorvan był prawą ręką Daali i rzadkim przykładem coruskańskiego biurokraty znanego zarówno z uczciwości, jak i kompetencji.

- Niech to szlag - mruknęła. - I to naprawdę konieczne, żeby Daala zgodziła się na twoje warunki?

- Niestety tak - potwierdził Jag. - Gdybym chciał podporządkować nasz rząd Galaktycznemu Sojuszowi, zwłaszcza Sojuszowi, któremu przewodzi Natasi Daala, Moffowie wszczęliby jawny bunt. Ledwie mam poparcie, żeby wprowadzić nas jako równorzędnego partnera.

- I odwaliłeś kawał dobrej roboty, żeby je sobie zapewnić - zauważyła Jaina. - Chyba nawet wujek Luke nie spodziewał się, że uda ci się przekonać Moffów, żeby w ogóle rozważyli zjednoczenie.

- Mam motywację. Po raz pierwszy w ostatnim czasie w całej galaktyce panuje pokój. - Jag wziął Jainę za rękę, a w jego głosie pojawiła się nuta nadziei. - A jeśli zdołam przekonać Daalę, żeby pozwoliła Imperium przyłączyć się na własnych warunkach, to może uda się go zachować.

- Ale jeśli Zakon Jedi dowie się, że wezwała kompanię Mandalorian, to Daala uzna to za dowód, że takie wewnętrzne rozdarcie jest nie do zaakceptowania.

- Właśnie. - Jag ścisnął jej rękę. - Przykro mi, ale to jest ważniejsze niż Zakon Jedi. Myślę, że nawet Mistrz Skywalker chciałby, żebyś zachowała to dla siebie.

- On by chciał, żebym poinformowała o tym Radę w nadziei, że Mistrzowie podejmą właściwą decyzję - odparła oschle Jaina.

Jag rozluźnił uścisk, ale Jaina nie pozwoliła mu zabrać ręki. Bolała ją świadomość, że myślał, iż mogłaby go zdradzić po raz drugi, jednak nawet ona musiała przyznać, że jego nieufność jest uzasadniona. Podjął ogromne ryzyko, kiedy zawierzył jej w czasie kryzysu killickiego, i słono za to zapłacił. Nic dziwnego, że teraz trudno mu było jej zaufać.

Jaina odwróciła się twarzą do niego.

- Ale wujek Luke nie stoi już na czele Rady - powiedziała. - A biorąc pod uwagę uległość Kentha Hamnera wobec Daali, to jak tylko zobaczy kilku Mandalorian, może nas wszystkich wydać, żeby zamrozili nas w karbonicie.

- Więc nie powiesz Mistrzom?

- Oczywiście, że nie - odparła Jaina. - Nawet jeśli to byłoby słuszne, przecież obiecałam, że nie powiem.

Jag rzucił jej jeden ze swoich rzadkich uśmiechów.

- Dzięki. To dużo dla mnie znaczy.

- Mam nadzieję. - Jaina nachyliła się ku niemu. - Bo nie zrobiłabym tego dla nikogo innego. Zanim zdążyła go pocałować, Jag odwrócił głowę i spojrzał przez przednią szybę, marszcząc brwi.

- Cholera - powiedział. - Patrz, kto idzie.

Jaina zobaczyła dwoje ludzi przeciskających się między murkiem a śmigaczem SBGS.

Jednym z nich była kępna kobieta w słuchawkach na głowie i bluzie wiadomości HoloNetu. Była skupiona na ręcznym drążku sterowym, za pomocą którego kierowała unoszącą się przed nią ciężką holokamerą. Towarzyszył jej szczupły mężczyzna w żółtym tabardzie, o płowych włosach przyciętych w modną krótką grzywkę. Javis Tyrr.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? - mruknęła Jaina.

Kamerzystka Tyrra natychmiast się odwróciła, żeby uchwycić trwającą cały czas kłótnię między Baxtonem i oficerem SBGS. Tymczasem Tyrr wyciągnął spod tabardu pręt rejestrujący i szedł dalej w stronę limuzyny Jaga.

- Pora się zbierać - stwierdził Jag, otwierając drzwi. - Ja usiądę za kierownicą. Ty złap po drodze Baxtona.

Zanim Jaina zdążyła przytaknąć, Tyrr wycelował w nich pręt rejestrujący, a zza schowka na napoje dobiegło ledwo słyszalne pstryknięcie. Jaina przypomniała sobie metalową krawędź, którą zauważyła wcześniej, i rzuciła się przez otwarte jeszcze drzwi.

- Padnij!

Wpadła na Jaga z boku, posyłając go na durabetonową ścianę z taką siłą, że wydał z siebie głośne „uch!”, po czym oboje runęli na permabeton.

Ku zaskoczeniu Jainya nie była to ostatnia rzecz, jaką usłyszała w swoim życiu. Usłyszała natomiast, jak Jag wykrzykuje instrukcje do Baxtona i jak pyta ją, co się stało. Usłyszała zaszokowane milczenie Baxtona i porucznika SBGS, którzy przerwali swoją sprzeczkę i odwrócili się, żeby spojrzeć na nią i Jaga leżących na permabetonie. Zaś z wnętrza limuzyny dobiegło jej uszu ledwie słyszalne buczenie małego silniczka repulsorowego.

Jaina spojrzała w stronę pojazdu i zobaczyła niewielkiego droida czyszczącego o kształcie kopuły, który wymykał się przez te same drzwi, przez które ona przed chwilą wyskoczyła. Skierował na nią swój fotoreceptor i nagle zrozumiała, w jaki sposób Javis Tyrr zdobywał materiały ze Świątyni Jedi. Zaczęła się podnosić, a droid ominął pospiesznie otwarte drzwi limuzyny i zaczął uciekać.

- Nic z tego!

Wstając, Jaina wyrzuciła rękę w stronę droida i posłużyła się Mocą, żeby przyciągnąć go do siebie. Tyrr krzyknął ze zdumienia i popędził w ich kierunku, stukając wściekle w swój pręt rejestrujący, tak jakby mógł zapewnić silniczkom repulsorowym robota wystarczającą moc, żeby wyrwał się z uchwytu Jainya.

Zanim droid wpadł jej w ręce, Tyrr był już tylko o parę kroków od niej, a jego pełne usta wykrzywiły się w zarozumiałym uśmiechu.

- Nie może pani tego zrobić - powiedział, wciąż celując prętem rejestrującym w droida. - Ukryć...

- Czego dokładnie nie może zrobić Jedi Solo? - wtrącił Jag, stając przy jej boku. - Zabrać droida czyszczącego, który ewidentnie szwankuje?

- To nie jest zwykły droid czyszczący - odparował Tyrr. - Dobrze pan o tym wie.

- Chcesz powiedzieć, że należy do ciebie? - spytała Jaina. Robot cały czas próbował wyrwać się z jej objęcia, więc obróciła go i wcisnęła główny wyłącznik. - Bo jeśli to twój droid, to bardzo bym chciała się dowiedzieć, jak znalazł się w Świątyni Jedi.

- Nie tylko ty - dodał Jag. Przechylił nieznacznie głowę w stronę bramy hangaru, po czym popchnął delikatnie Jainę w kierunku limuzyny. - Jestem pewien, że prywatne szpiegostwo jest w Galaktycznym Sojuszu nielegalne, podobnie jak w Galaktycznym Imperium.

Jaina zrozumiała jego wskazówkę. Skierowała swoją świadomość Mocy ku bramie i wyczuła kilku funkcjonariuszy SBGS, którzy ruszyli w ich stronę. Wsiadła z powrotem do limuzyny tuż

przed tym, jak zza pojazdu dobiegł głos kapitana Atara.

- Co tu się dzieje? - zapytał. - Mam nadzieję, Tyrr, że Jedi nie próbują pana zastraszyć.

- Ależ skąd - powiedział Jag, odwracając się w stronę kapitana i jego ludzi, którzy zblizali się do limuzyny. - Szanowny redaktor Tyrr miał chyba właśnie się przyznać do tego, że umieścił prywatne urządzenie szpiegujące w Świątyni Jedi.

Atar zmarszczył brwi.

- Jestem pewien, że reporter o takiej renomie jak Javis Tyrr nigdy nie posunąłby się do niczego nielegalnego. - Kapitan przeniósł wzrok na Tyrra. - Prawda, Tyrr?

Tyrr poczerwieniał, ale pokiwał głową.

- Oczywiście.

Jag zacisnął usta w ponurym uśmiechu.

- Musiałem się pomylić. - Uniósł rękę, przywołując Baxtona, po czym wsiadł do limuzyny i zajął miejsce obok Jaina. - Byłbym wdzięczny, kapitanie, gdyby rozkazał pan swoim ludziom nie strzelać, kiedy będziemy nad nimi przelatywać. Spieszę się na ważne zebranie.

Twarz Atara pochmurniała, ale nachylił się, żeby zajrzeć do środka pojazdu.

- To nie będzie konieczne. Każę przesunąć śmigacz, jak tylko Jedi Solo wysiądzie z pojazdu. - Jego wzrok padł na droida w rękach Jaina. - I powinna wziąć ze sobą tego droida czyszczącego. Może być potrzebny jako materiał dowodowy.

Jaina odpięła swój miecz świetlny i nachyliła się, spoglądając gniewnie na Atara.

- Nic z tego, kapitanie. - Za nic w świecie nie miała zamiaru oddać droida szpiegowskiego, który zarejestrował, jak Jag przekazuje jej to, co usłyszał w kancelarii Daali. - Znajdujemy się w pojeździe imperialnego dyplomaty, a to oznacza, że ten droid stanowi własność Imperium.

Atar wpatrywał się przez chwilę w rękojeść miecza świetlnego w dłoni Jaina, aż wreszcie pokiwał głową.

- W porządku, Jedi Solo. Tym razem pani wygrała. - Odwrócił się i dał znak, żeby śmigacz SBGS się wycofał, po czym spojrział ponownie na Jainę. - Ale nie będzie pani mogła wiecznie chować się za plecami swojego chłopaka. Prędzej czy później Szczątki znajdą się w Sojuszu, a wtedy SBGS będzie cały czas w pobliżu, czekając, aż znów powinie się pani noga.

ROZDZIAŁ 7

Jedyną siłą bardziej niszczycielską od wściekłego Ramoanina, stwierdziła Leia, jest Ramoanin w konwulsjach. Bazel leżał teraz między dwoma zmiażdżonymi śmigaczami, trzęsąc się i wymachując kończynami; na szczęście był uwięziony w jednym miejscu. Ale i tak połowa pojazdów w hangarze miała już powyginane maski lub porozbijane błotniki, drzwi dźwigu towarowego zaś były tak wgniecione, że nie chciały się otwierać. Najbardziej niepokojący był jednak fakt, że ściany i kolumny zostały obryzgane żółtą pianą, tak cuchnącą, że każdy oddech powodował odruch wymiotny.

- Nie powinnam była wystrzelić w niego drugiej strzałki - kajała się Melari Ruxon, durosjańska uczennica, której Han powierzył wcześniej pistolet. - Ale po pierwszej ciągle próbował wstać, a kapitan Solo powiedział...

- Nie zrobiłaś nic złego, uczennico Ruxon - zapewniła ją Leia. - Jedi Warv jest zdolnym Rycerzem. Dopóki by był choć częściowo przytomny, wykorzystałby Moc, żeby zneutralizować działanie środka uspokajającego.

- Nie miałaś wyboru, młoda - zgodził się Han. - Na twoim miejscu zrobiłbym to samo. Na twarzy Melari pojawił się wyraz ulgi.

- Naprawdę?

- Ależ tak - potwierdziła Leia. - Wiesz, jak ta choroba mąci umysł. Jak byś się czuła, gdybyś nie wystrzeliła tej drugiej strzałki, a on by się ocknął i uciekł z powrotem na plac?

- To prawda, Mel, wyświadczyłaś mu przysługę - dodał partner Melari, Jenet imieniem Reeqo. Położył jej na ramieniu pokrytą rudym futrem dłoń. - Gdybym to ja zbzikował, nie

chciałbym skończyć w bloku karbonitu zawieszonym gdzieś na posterunku SBGS. Wolałbym trafić do klatki tu na dole.

Gdybym zbzikował...

Do tej pory Leia nie zdawała sobie sprawy, że sytuacja tak bardzo się pogorszyła. Teraz już młodzi Jedi zastanawiali się, czy to nie oni w następnej kolejności postradają zmysły. Dopóki natura choroby pozostawała nieodgadniona, pewne było jedynie to, że każdy młody i wrażliwy na Moc ryzykował tę chorobę. Nic dziwnego, że byli przerażeni.

- Posłuchajcie mnie oboje. - Leia stanęła tak, żeby patrzeć obojgu uczniom w oczy. -

Wiemy, że w tej chwili sytuacja nie wygląda dobrze, ale Mistrzynie Cilghal z pewnością to rozwikła. A wtedy Barv dziękuje wam, że nie pozwoliliście mu trafić do karbonitu.

Uczniowie wymienili spojrzenia, a Melari spytała:

- Jesteś pewna?

- Jest pewna, jest - potwierdził Han. - Wierzcie mi, byłem kiedyś zamrożony w karbonicie i wszystko jest lepsze od tego.

Reeqo pokiwał głową, najwyraźniej wierząc im na słowo. Melari jednak zerknęła na cętkowane zielone cielsko podrygujące między dwoma śmigaczami.

- Wszystko jest lepsze od karbonitu? - spytała. - Nawet śmierć?

Han rzucił Leii pytające spojrzenie. Skinęła głową, dając mu znak, żeby powiedział prawdę. Położył dłonie na ramionach uczniów.

- Gdybyście mieli nigdy się z niego nie wydostać, to tak, wszystko jest lepsze - przyznał. - Nawet śmierć. Ale Barv nie umrze, w każdym razie nie dzisiaj.

Uczucie, które pojawiło się w ich aurze w Mocy, było czymś w rodzaju ulgi połączonej ze zrozumieniem. Leia wzmocniła ich emocje poprzez Moc, po czym skierowała ich w stronę wlotu do hangaru, gdzie nieprzytomna Yaqeel Saav'etu leżała oparta o budkę wartowniczą. Ręce miała przywiązane do ochronnej bariery za pomocą pasków na przeguby, wykonanych z plastyfłókna.

- Przygotujmy pacjentów do transportu, żeby Mistrzynie Cilghal mogła ich od razu zabrać - poleciła Leia. - Wy zajmijcie się Jedi Saav'etu. Han i ja...

Przerwał jej zgrzyt nadjeżdżającej turbowindy. Leia odwróciła się w jej stronę, spodziewając się ujrzeć Cilghal i Tekli. Tymczasem z kabiny wyszedł Kenth Hamner. Jego dostojne rysy były stężałe ze zgrozy, a kiedy szedł przez pobojowisko w stronę Hana i Leii, miał coraz bardziej oburzoną minę.

Leia chwyciła Hana za rękaw i pospiesznie poprowadziła go do wciąż dygocącego ciała Bazela Warva. Widziała po minie Kentha, że nie będzie to rozmowa, którą powinni słyszeć uczniowie.

Kenth dołączył do nich, stanął przy olbrzymich stopach Ramoanina i zapytał:

- Co się stało?

- Reakcja na somatol - odparł Han. Przykucnął, gotowy odskoczyć, gdyby Bazel zaczął wierzgać, i spróbował wyczuć tętno w potężnej kostce zielonego faceta. - Najwyraźniej na Ramoan wpływa trochę inaczej niż na większość ras. Kto mógł przypuszczać?

- Nie pytam o Jedi Warva - warknął Kenth. - Co się stało z oddziałem SBGS? Grożą wyważeniem bramy, jeśli nie wydamy więźnia. Nie mówcie mi, że naprawdę odbiliście Bazela z rąk SBGS.

- Oczywiście, że nie - powiedział Han, zerkając na Kentha. - W ogóle nie był w ich rękach.

Kenth zagapił się na Hana, po czym skierował gniewne spojrzenie na Leię.

- Jedi Solo, może ty mi to wyjaśnisz?

- Z przyjemnością. - Leia starała się, żeby jej głos brzmiał miło i swobodnie. Kenth rzadko bywał taki nieuprzejmy, więc domyślała się, że musiało się stać coś bardzo niedobrego, skoro doprowadziło go do takiego zachowania. - Han ma rację. Kapitan Atar nie aresztował żadnego z pacjentów. Zdołaliśmy sami ująć ich oboje...

- Chwileczkę - przerwał jej Kenth, unosząc rękę. - Tracimy ich teraz dwójkami?

- Obawiam się, że tak - potwierdziła Leia. Odwróciła się i wskazała na budkę wartowniczą, gdzie Reeqo i Melari ostrożnie odwiązywali ręce Yaqeel. - Najpierw zachorowała Jedi Saav'etu, a

zaraz potem Bazel.

Kenth zaklął głośno.

- Więc to jest zaraźliwe.

- Tego nie wiemy - odparła Leia. - Jeśli to jakaś utajona przypadłość, mogła ujawnić się w odpowiedzi na ten sam bodziec.

Na twarzy Kentha znów pojawił się gniewny wyraz.

- Chyba już wiem, po kim twoja córka odziedziczyła ten upór, Jedi Solo - powiedział. -

Byłbym wdzięczny, gdybyś mogła nie wyprowadzać mnie z równowagi.

- Zaraz, zaraz - wtrącił Han, wstając. - Wszyscy wiedzą, że Jaina upór ma po mnie.

Kenth rzucił mu spojrzenie, które mogłoby przerazić wampę.

- Nie pomaga pan, kapitanie Solo. Wręcz przeciwnie.

Oczy Hana przybrały gniewny wyraz i Leia zrozumiała, że za chwilę może mieć na głowie niejednego, ale dwóch wściekłych mężczyzn. Przynęła się do męża i dotknęła jego ramienia, po czym skinęła w stronę budki wartowniczej.

- Han, może poszukasz jakiegoś stołka czy innego przedmiotu, który można by wsadzić Bazelowi między zęby? - poprosiła. - Tymi swoimi kłami może rozszarpać sobie język na strzępy.

Han zerknął na nią przelotnie i znów popatrzył na Kentha.

- Dobra - powiedział. - Ale jeśli ten typ dalej będzie cię traktował, jakbyś była jakąś...

- Han! - Leia obróciła go w stronę budki wartowniczej. - Proszę cię, idź. Poradzę sobie.

Han oddalił się niechętnie, cały czas rzucając przez ramię gniewne spojrzenia. Leia ponownie skupiła uwagę na Kencie i czekała w milczeniu. Już dawno nauczyła się nie przeproszać za Hana... zwłaszcza kiedy to nie on zawinił. Zresztą może kilka ostrych słów z ust krewkiego przemytnika to właśnie to, czego Kenth potrzebował, żeby odzyskać panowanie nad sobą.

Ale tak się nie stało. Kiedy Kenth w końcu przemówił, jego ton był ostry jak nigdy.

- Jedi Solo, czy chcesz doprowadzić do rozwiązania Zakonu?

Leia uniosła brew i odparła spokojnie:

- Wiesz dobrze, że nie, Mistrzu Hamner.

- Więc dlaczego, do jasnej cholery, lekceważysz nakaz aresztowania, i w dodatku robisz to przed holokamerami? - Kenth prawie krzyczał. - Sama Daala oświadczyła mi przez komunikator, że nie może pozwolić na taki brak poszanowania dla porządku publicznego, i zaczynam się z nią zgadzać. Wiesz, jaki fatalny mamy teraz wizerunek, a relacje na żywo z tego, jak ty i Han lekceważycie prawomocny nakaz, tylko powiększają nasze problemy.

Leia nie odzywała się, dopóki nie była pewna, że skończył, a potem przemówiła równie ostrym tonem:

- A co niby mieliśmy zrobić? Wydać Bazela i Yaqeel, żeby zamrozili ich w karbonicie?

- Tak, jeśli tego wymaga prawo - odparował Kenth. - Jedi nie przetrwają, jeśli będziemy stawiać się ponad rządem i istotami, którym rzekomo służymy.

Leia pokręciła ze smutkiem głową, zastanawiając się, jak taki przyzwoity człowiek może być tak ślepy w kwestii tego, co jest słuszne.

- Kenth, wiem, że jesteś w trudnym położeniu, ale zastanów się nad tym, co mówisz. Prawo to nie sprawiedliwość. Nie możemy zacząć wydawać młodych Rycerzy Jedi Daali tylko dlatego, że zachorowali. Zwłaszcza jeśli jej jedyną terapią jest zamrażanie ich w karbonicie.

Błysk bólu w oczach Kentha świadczył o tym, że Leia trafiła w czułe miejsce.

- Jedi Solo, ta decyzja nie należy do Rycerza Jedi. - Wskazał na tunel prowadzący do bramy i dodał: - Jeśli będziemy mieli szczęście, to może złapiemy jeszcze kapitana Atara i jego ludzi...

Leię ocalił dźwięk nadjeżdżającej turbowindy. Tym razem wysiadły z niej wreszcie Mistrzynie Cilghal i Tekli. Kalamarianka spojrzała tylko na drżące Bazela i poleciła swojej asystentce podać mu leki; potem podeszła do Leii i Kentha.

- Przyszłam, jak tylko się dowiedziałam - zwróciła się do Leii. - Oboje?

Leia dla uspokojenia wzięła głęboki oddech i pokiwała głową.

- Obawiam się, że tak.

Cilghal uniosła płetwowatą dłoń.

- Nie powinnaś się obawiać - powiedziała. - Czegoś się dowiedzieliśmy.
- Czego? - spytał Han, wracający ze stołkiem, o który prosiła Leia. - Wiecie już, co im jest?
- Jeszcze nie. - Cilghal machnęła z roztargnieniem w kierunku Bazela, któremu Tekli zaaplikowała już lekarstwo. - Ale skoro zarówno Bazel, jak i Yaqeel zachorowali, możemy zacząć wyciągać pewne wnioski.

- Na przykład jakie? - spytał Kenth. W jego głosie nie było ulgi, ale przynajmniej cień nadziei. - Akurat teraz bardzo przydałyby się nam jakieś dobre wiadomości.

- Powiedziałam, że dopiero zaczynamy, Mistrzu Hamner. - Cilghal obejrzała się na Hana i Leię. - Kapitanie Solo, gdybyś zechciał pomóc Tekli przy Yaqeel... Jedi Solo i ja poradzimy sobie z Bazelem.

Han spojrział krzywo na Kentha, jakby sugerując, że tymczasowy Wielki Mistrz ma inny pogląd na to, jak należałoby postąpić w tej sytuacji.

Cilghal też skierowała w tamtą stronę swoje wielkie oko.

- Masz coś przeciwko temu?

- Prawdę mówiąc, tak - przyznał Kenth. - Na zewnątrz czeka oddział SBGS z nakazem aresztowania.

Cilghal spuściła wzrok, a jej aurę w Mocy wypełniło poczucie winy.

- Rozumiem. - Spojrzała na Leię. - Ile osób ucierpiało?

Odpowiedział jej Han:

- Ucierpiało? Ani jedna. Od razu potraktowaliśmy ich środkiem uspokajającym. SBGS ich ściga tylko dlatego, że całe zajście zarejestrowała holokamera.

Cilghal otworzyła z wrażenia usta.

- Więc dlaczego SBGS chce ich aresztować?

- Mówią, że to zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego - wyjaśniła Leia. - Chociaż to i tak przesada. Wciągnęliśmy ich do środka w dwie minuty.

Cilghal spojrzała ponownie na Kentha. Poczucie winy na jej twarzy ustąpiło miejsca konsternacji, a wreszcie irytacji.

- I ty chcesz ich wydać?

- Doręczono nam nakaz i musimy go respektować - upierał się Kenth, a na jego policzkach pojawił się rumieniec. Leia domyślała się, że Daala nie raczyła poinformować go o zarzutach, kiedy wezwała go, żeby poskarżył się na ich niesubordynację. - Ale to może nawet zadziałać na naszą korzyść. Kiedy sąd przeanalizuje okoliczności, Nawara Ven z pewnością zdoła przekonać opinię publiczną, że zarzuty są całkowicie nieuzasadnione.

- Wykluczone - warknęła Cilghal. - Nie pozwolimy Daali na zamrażanie moich pacjentów w karbonicie po to tylko, żebyś ty mógł spróbować zdobyć przychylną opinię publiczną.

Twarz Kentha spochmurniała.

- Mistrzyni Cilghal, decyzja nie należy do ciebie...

- Ale też nie wyłącznie do ciebie. Należy do Rady. A jeśli chcesz honorować bzdurny nakaz dla doraźnej korzyści, to będę nalegać, żebyś uzyskał jej zgodę. - Cilghal popchnęła lekko Hana i Leię w stronę pacjentów, po czym dodała: - Do tego czasu, Mistrzu Hamner, pacjenci pozostaną w bloku psychiatrycznym.

Nie dając Kenthowi szansy na uchylene rozkazu, Leia natychmiast wysłała Hana po Yaqeel, a sama zajęła się Bazelem. Podany przez Tekli lek zatrzymał już konwulsje, więc posłużyła się Mocą, żeby unieść potężnego Ramoanina spomiędzy zniszczonych śmigaczy.

Ileż to razy słyszała, że przy unoszeniu czegoś siłą woli „rozmiar nie ma znaczenia”. I pewnie ten, kto wypowiadał te słowa, był o tym przekonany. Ona jednak ledwie zdołała przesunąć Bazela w stronę turbowindy i już się zmęczyła. W dodatku za plecami usłyszała głos Hana:

- Hej, chyba właśnie straciliśmy kolejną dwójkę!

Leia natychmiast się zdekoncentrowała i Bazel spadł tak ciężko, że podłoże aż się zatrzęsło. Z nadzieją, że kilka dodatkowych siniaków nie sprawi mu większej różnicy, Leia odwróciła się w stronę budki wartowniczej i zobaczyła, że Han stoi nad ciałem nieprzytomnej Yaqeel.

Bothanka wciąż była oparta o ścianę budki, ale ręce miała znowu przywiązane do barierki.

Leia z niepokojem stwierdziła, że jedynym śladem po Reeqo i Melari są szare uczniowskie szaty, starannie poskładane na podłodze obok Yaqeel. Na wierzchu leżały miecze świetlne.

- Co się stało? - spytał Kenth, podchodząc do budki wartowniczej. Leia z ulgą, i może zaskoczeniem, stwierdziła, że w jego głosie nie było pretensji ani gniewu, tylko znużenie i żal. - Widziałeś to?

Han pokręcił głową.

- Niestety. Byłem zajęty obserwowaniem... eee... dyskusji nad Barvem. - Wskazał na szaty i miecze świetlne. - Nie zauważyłem nawet, że Reeqo i Mel zniknęli, dopóki nie zobaczyłem tego.

- No cóż, nie mogą być daleko. - Kenth wyciągnął komunikator i ruszył tunelem w stronę wyjścia. - Może zdążymy ich zatrzymać, zanim zrobią komuś krzywdę.

- To nie jest konieczne, Mistrzu Hamner - powiedziała Cilghal. Wyciągnęła płetwowatą rękę w kierunku Kentha, używając Mocy, żeby go zatrzymać. - Ta dwójka nie stanowi dla nikogo zagrożenia.

Kenth odwrócił się ku niej, marszcząc brwi.

- Cilghal, jeśli chcesz omówić kwestię nakazów aresztowania na forum Rady, to w porządku. Ale nie możemy sobie pozwolić na kolejnych szalonych Jedi grasujących po Coruscant.

- Oni nie są szaleni, nawet w twoim rozumieniu tego słowa, Mistrzu Hamner - odparła Cilghal. - Jestem tego pewna w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach.

Kenth uniósł brwi.

- A to dlaczego?

- Ponieważ nigdy nie byli w Schronisku - odpowiedziała Tekli. - Są za młodzi.

- A wszyscy inni pacjenci byli - wtrąciła Leia, przypominając sobie ich rozmowę przy okazji wizyty u Seffa Hellina. - Chcesz powiedzieć, że udało wam się ustalić istnienie jednoznacznej korelacji?

- Jednoznacznej statystycznej korelacji - uściśliła Cilghal. - Nie jest to związek przyczynowo-skutkowy, ale jeśli uwzględnimy Bazela i Yaqeel, to margines błędu spada do niecałych dwóch procent. Tylko ci Jedi, którzy ukrywali się w Otchłani w czasie wojny z Yuuzhan Vongami, są narażeni na zachorowanie.

Brwi Hana zmarszczyły się z niepokojem. Leia wiedziała, o czym myśli, zanim jeszcze zadał pytanie:

- A co z tymi, którzy niezupełnie tam się ukrywali?

Cilghal mogła jedynie wzruszyć ramionami.

- Chciałabym móc rozwiązać twoje wątpliwości, kapitanie Solo, ale prawdę mówiąc, po prostu tego nie wiemy.

- Chociaż... gdyby chodziło o czynniki środowiskowe, to prawdopodobnie ryzyko zachorowania uzależnione byłoby od długości kontaktu - dodała Tekli, zerkając w stronę Leii. - A że Mistrzowie Solusar nie zachorowali, może to sugerować, że dorośli są mniej podatni. Ty i księżniczka Leia jesteście najprawdopodobniej bezpieczni.

Na twarzy Hana wciąż jednak malował się niepokój, a Leia wiedziała, że nie martwi się o siebie ani nawet o nią. Myślał o pewnej rudowłosej dziewczynce, zastanawiając się, kto będzie ją chronił, jeśli jej dziadkowie obiorą nagle kurs na najbliższą czarną dziurę.

- Spokojnie, Han - powiedziała jego żona. - Jeśli poczuje, że zaczynam wariować, ty pierwszy się o tym dowiesz.

Na twarzy Hana pojawił się zakłopotany uśmiešek.

- To słaba pociecha, księżniczko - odparł. - Po tylu latach ze mną nie poczułabyś zmiany.

- Poczulałabym, poczuła - zapewniła z uśmiechem Leia. - Uwierz mi.

- Jeśli chcecie znać moje zdanie, to oboje już od dawna jesteście szaleni - dodał Kenth, zapewne tylko półżartem. - Ale nie przekonuje mnie ta nowa teoria. Jeśli ci uczniowie nie zachorowali, to dlaczego uciekli?

Han spojrział na złożone szaty i porzucone miecze świetlne, a potem zmarszczył brwi.

- Gdybym miał zgadywać - odparł - powiedziałbym, że się wypisali z tego interesu.

ROZDZIAŁ 8

W przestrzeni na wprost nich unosiło się odległe skupisko ognistych kręgów. Były wielkości mniej więcej obrączki, ale szybko rosły w miarę, jak „Niestrudzony Pogromca” się do nich zbliżał. Sądząc po tym, jak ciasno krawędzie kręgów stykały się ze sobą, skupisko było zbyt zwarte, by mogło być naturalne. A jednak średnica ponad miliarda kilometrów świadczyła raczej o tym, że było naturalne. Przez środek tej dziwnej formacji biegł pas większych, jaśniejszych kręgów. Pośrodku tego pasa jedna para obręczy była złączona ze sobą charakterystycznymi zakrzywionymi pasami akrecyjnymi ciasnego systemu podwójnego.

Podwójny układ stanowił jedyną niedoskonałość w tej jednorodnej formacji. Przemieszczał się względem swojego pierwotnego położenia i wyglądało na to, że może wpaść na któregoś ze swoich sąsiadów. Pomiędzy nim a przylegającymi kręgami, po przeciwnej stronie niż niebezpieczeństwo zderzenia, pojawił się niewielki półksiężyc ciemności, przez który Vestara Khai dostrzegła błękitny żar odległej gwiazdy, płonący w głębi pustej skorupy mroku.

Mistrzynie Vestary, Lady Olaris Rhea, wskazała na ciemny półksiężyc.

- Widzisz? To tam.

Lady Rhea, jasnowłosa kobieta o bladej cerze i jasnoniebieskich oczach, miała smukłą sylwetkę i surową urodę, równie uderzającą, co onieśmielającą. Jej sposób bycia odznaczał się pewnością siebie graniczącą z arogancją. Wyraźnie nie przywiązywała wagi do tego, co Vestara czy ktokolwiek inny o niej myśli. Była Lady Sithów z Kesh i to inni powinni przejmować się tym, co ona myśli o nich.

- Widzisz? - spytała jeszcze raz. - Tam musiał polecieć Statek.

- Tak, Lady Rhea. Sprawdzę, czy wciąż tam jest.

Vestara nie powiedziała, że spróbuje zlokalizować Statek, a nawet nie spytała, czy powinna. Uczniowie Sith nie próbowali nawet pytać o pozwolenie. Mieli wiedzieć, czego oczekują od nich Mistrzowie, i spełniać to. Jeśli zawadzili w jakiejś dziedzinie, ponosili karę; jeśli zawadzili zbyt często, ich cierpienia się kończyły - na zawsze.

Vestara skoncentrowała uwagę na ciemnym półksiężycu, a następnie uwolniła myśli i wyczuła mroczną, niestrudzoną obecność, którą natychmiast zidentyfikowała jako Statek. Wydawał się zaskoczony jej dotykiem, jednak tym razem nie wzdragał się ani nie próbował ukryć, jak to robił wiele razy przedtem. Pozwolił jej po prostu utrzymywać kontakt i wyczuwać jego radość, jakby znalazł się poza zasięgiem Zapomnianego Plemienia i nie bał się już, że może zostać ściągnięty z powrotem na Kesh.

I może naprawdę tak było. Vestara poczuła jeszcze jedną obecność, ukrytą w głębi szczeliny. Starsza i bardziej obca niż sam Statek, ta nowa obecność, wypełniona głodem i tęsknotą za Ciemną Stroną, była obdarzona niepojętą potęgą. Mimo że Statek nigdy nie przemawiał do niej z tak wielkiej odległości, Vestara wyczuwała, że chce, by zrozumiała jego związek z tą dziwną obecnością. Statek był stworzony, by służyć. Kiedy istota o silnej woli przejmowała nad nim kontrolę, służba stawała się dla niego największą radością - jedyną radością. Statek nie mógłby być nieposłuszny, tak samo jak Vestara nie mogłaby nie oddychać.

Vestara wreszcie rozumiała. Poczwała, jak pradawna obecność kieruje myśli w stronę Kesh, tak jak to robili Statek i całe Plemię. Jednak Statek powinien był poczekać, zanim odleciał, aż Lord Vol wyznaczy pilota. Statek był stworzony przez Sithów i był im winien posłuszeństwo. Dlatego musiał powrócić do „Niestrudzonego Pogromcy” i przyjąć Vestarę jako swojego pilota. Wtedy wszyscy razem wyruszą w dalszą drogę.

Statek był wyraźnie rozbawiony. Łączyła go z Vestarą szczególna więź. Vestara była pierwszym nowicjuszem, jakiego spotkał na Kesh, i jej obecność zawsze odczuwał mocniej niż inne. Ale czy Vestara naprawdę wierzyła, że jest wystarczająco silna, by teraz zapanować nad Statkiem? Czy była na tyle niemądra, by sądzić, że może mierzyć się z wolą równie starą i mroczną jak sama Otchłań?

I nagle obecność Statku zniknęła.

Vestara w dalszym ciągu wpatrywała się w ciemny półksiężyc, usuwając z umysłu gniew za pomocą uspokajającej sztuczki, której nauczyła się od ojca - wypowiadała klątwę i składała sobie obietnicę, że nie zrezygnuje z zemsty, a jedynie da jej czas, by dojrzała. Uciekając jeszcze raz, Statek stawiał ją w niezręcznym położeniu wobec jej Mistrzynie, Lady Rhei - niebezpiecznie bliskim klęski.

Oczywiście gniew Vestary wynikał po części ze świadomości, że przeceniła własne możliwości. Chciała zaimponować Lady Rhei i innym Sithom, zmuszając Statek do powrotu do „Niestrudzonego Pogromcy”. Myliła się jednak, sądząc, że może dorównać siłą woli pradawnej obecności, która dosięgła ich na Kesh - a Vestara nie pozwalała sobie na błędy. Błędy kosztowały uczniów życie. A co gorsza, nie pozwalały im awansować do stopnia Miecza Sithów.

- Znow go zgubiłaś - odezwała się po chwili Lady Rhea. Było to stwierdzenie, a nie pytanie, i w jej głosie słychać było zawód. - Statek cały czas się z tobą bawi.

Vestara pokręciła głową. Nie lubiła sprawiać swojej Mistrzynie zawodu - zwłaszcza kiedy chodziło o jej własny błąd - i w tym wypadku nie widziała potrzeby kajania się.

- Statek kieruje się do środka. - Wskazała na ciemny półksiężyc. - Tam.

Lady Rhea uniosła cienką brew.

- Skąd to wiesz?

- Czuję to - wyjaśniła Vestara. - Coś, co wywołało Statek z Kesh, kryje się właśnie tam.

Lady Rhea zmrużyła oczy i przyglądała się przez chwilę półksiężycowi. Potem stwierdziła:

- Statek pozwala ci się znaleźć, bo sam tego chce.

- Tak mi się wydaje - potwierdziła Vestara. Nie śmiałyby sprzeciwić się Lady Rhei, nawet gdyby było inaczej. - Nie widzę innego powodu, dla którego ja mogłabym go wyczuć, podczas gdy Lordowie i Mistrzowie nie mogą.

- Jeśli Vestara faktycznie go wyczuwa.

Słowa te dobiegły z przeciwnej strony Lady Rhei, gdzie stał Mistrz Yuvar Xal. Miał zielone, głęboko osadzone oczy i czarne włosy do ramion. Jego twarz była zanadto wyrazista, by uznać go za prawdziwie przystojnego, co niewątpliwie przyczyniło się do spowolnienia jego kariery na wyczulonym na piękno Kesh.

- Wydaje mi się to zastanawiające - ciągnął Xal - że Statek objawił się właśnie poprzez ucznia.

Lady Rhea odwróciła się i spiorunowała go wzrokiem.

- Mistrzu Xal, czy sugerujesz, że moja uczennica przywiodła nas tutaj dla zabawy?

- Ależ skąd, Lady Rhea - odparł szybko Xal. - Obawiam się jedynie, że mogła mylnie zinterpretować to, co czuje w Mocy.

Vestara za plecami Lady Rhei zauważyła ucznia Xala, Ahri Raasa, który patrzył w jej stronę. Ten Keshiri był równie piękny jak większość przedstawicieli jego rasy. Miał jasną, lawendową skórę, białe włosy sięgające ramion i duże, pełne wyrazu oczy, w których było widać znużenie i zniecierpliwienie.

Vestara rzuciła mu półuśmiech i pokiwała głową. Xal został przydzielony na „Niestrudzonego Pogromcę” jako pierwszy oficer Lady Rhei. Zgodnie z tradycją Plemienia oznaczało to, że stał się jej głównym konkurentem do dowództwa nad statkiem. Według wszelkiego prawdopodobieństwa konflikt powinien przebiegać właśnie tak - wykorzystując ciągłe insynuacje i polityczne manipulacje. Zawsze jednak istniała możliwość, że dojdzie do przemocy, ale o tym Vestara wolała nie myśleć. Gdyby na statku faktycznie doszło do rozlewu krwi, ona i Ahri znaleźliby się po przeciwnych stronach, a ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła, była konieczność zabicia najlepszego przyjaciela.

Ku zaskoczeniu Vestary Lady Rhea postanowiła nie prowadzić sporu z Xalem bezpośrednio, lecz wykorzystując uczennicę.

- Co ty na to, Vestaro? Uważasz, że podążamy za Statkiem, czy za jakimś wytworem twojej wyobraźni?

Idąc za przykładem Lady Rhei, Vestara nachyliła się lekko do przodu i odwróciła się, żeby spojrzeć Xalowi w oczy. Był to straszny afront dla Mistrza, gdy zwykły uczeń patrzył na niego ten

sposób. Powinno to udowodnić całej załodze, jak wielka jest siła Lady Rhei, skoro nawet jej podwładni nie boją się rzucić wyzwania Xalowi.

- Wyczuwam obecność Statku nie gorzej niż inni - oświadczyła Vestara. - I wiem, że się nie mylę.

W oczach Xala pojawił się szmaragdowy błysk wściekłości i wszyscy na mostku zamarli, zaszokowani, w oczekiwaniu na jego reakcję. Vestara była pewna, że gdyby nie obecność Lady Rhei, tą reakcją byłby kolec Mocy wymierzony w jej serce. Gdyby jednak Xal zaatakował ją publicznie, zostałoby to odebrane jako atak na samą Lady Rheę, a Xal nie mógł jeszcze zdobyć poparcia, jakie byłoby mu wtedy potrzebne. Mankamenty jego wyglądu nie pozwalały mu działać tak szybko.

Powinien teraz zrobić jedno: zażądać, żeby Mistrzynie przywołała swoją uczennicę do porządku. Tymczasem Xal wciąż gapił się gniewnie na Vestarę, próbując wymusić na niej przeprosiny; niestety Lady Rhea pozbawiła go tej szansy.

- Mam pełne zaufanie do twojego zmysłu Mocy, Vestaro - oznajmiła. - Ale jestem ciekawa, czy zastanawiałas się nad tym, dlaczego Statek pozwala się nam znaleźć.

- Owszem - powiedziała Vestara, domyślając się, co Lady Rhea miała na myśli. - Ale nie sądzę, żeby Statek wciągał nas w pułapkę, przynajmniej nie celowo. Myślę, że chce po prostu, żebyśmy zrozumieli, dlaczego odleciał.

Lady Rhea zawahała się i spojrzała na Xala.

- Mistrzu Xal, co ty o tym sądzisz?

- A kimże ja jestem, żeby podważać słowa twojej uczennicy, Lady Rheo? - Tą szyderczą odpowiedzią Xal odrzucił możliwość honorowej kapitulacji, którą oferowała mu Lady Sith. - Skoro dziewczyna twierdzi, że łączy ją ze Statkiem szczególna więź, a ty jej wierzysz, to jak mógłbym kwestionować twoją opinię?

- Wiem, o co ci chodzi - odparła Lady Rhea.

Xal w istocie poinformował ją właśnie, że jeśli jej wiara w Vestarę okaże się błędem, zamierza to wykorzystać, żeby przejąć dowództwo nad „Niestrudzonym Pogromcą”. Cóż, popełnił gafę. Zdradził swoje zamiary z wściekłości, a taki błąd w ocenie sytuacji musiał osłabić jego pozycję w oczach załogi. Teraz jedyną szansą na jej poprawę i możliwość zagrożenia Lady Rhei, byłoby pozbycie się Vestary w taki sposób, by nigdy nie wykryto sprawcy - i z pewnością miał taki zamiar.

Lady Rhea pokręciła z rozczarowaniem głową po czym oznajmiła:

- Powiem wam, co o tym sądzę. - Mówiąc to, nie patrzyła na Xala; zwracała się bezpośrednio do załogi mostku. - Myślę, że Statek pozwala się odnaleźć Vestarze tylko dlatego, że jest młoda. Ktoś starszy mógłby mieć na tyle silną wolę, żeby zmusić go do powrotu.

Na mostku rozległ się szmer aprobaty, a kilku członków załogi pokiwało otwarcie głowami. Wszyscy oni byli Mieczami Sithów; w większości wywodzili się od rozbitków z załogi pierwotnego „Omenu”. Była też jednak wśród nich spora liczba lawendowoskórych Keshirich, którzy, jak przyjaciel Vestary, Ahri, awansowali z podrzędnej pozycji społecznej do statusu pełnoprawnych członków Plemienia Sithów. Na pokładzie „Pogromcy” nie było odrębnej grupy oficerów, ale trzy miejsca zarezerwowane dla najwyższych rangą członków załogi zajmowały Miecze rasy Keshiri. A wszystko dlatego, że na statku - tak jak w całym Plemieniu - panowała merytokracja i eksponowane stanowiska przyznawano wyłącznie na podstawie predyspozycji.

- Jeśli Statek nie chce zostać zmuszony do powrotu - odezwał się melodyjny głos Keshiriego - to dlaczego pozwala się w ogóle odnaleźć?

Vestara odwróciła głowę w jego kierunku.

- Uważam, że skoro może się ukryć przed tobą - ciągnął Ahri - to mógłby się też ukryć przed Vestarą.

Spojrzał niepewnie na przyjaciółkę, a ona posłała mu przepaszający uśmiech. To nie Ahri kwestionował słowa Lady Rhei, tylko Xal; to on starał się ją wprowadzić w zakłopotanie, posługując się swoim uczniem. Tyle że Lady Rhea miała wystarczającą władzę, by obrócić tę sztuczkę przeciwko niemu. Gdyby postanowiła sama ukarać Ahriego, Xal nie mógłby ochronić swojego

uczni, a reszta załogi uznałaby to za jeszcze jedną oznakę jego słabości. I to był powód, dla którego Lady Rhea niemal na pewno zabije Ahriego.

Jednak Lady Sith musiała dostrzec pułapkę, której Vestara nie zauważyła. O dziwo, zamiast ukarać Ahriego za jego zuchwałość, spojrzała na niego z uśmiechem.

- Bardzo dobrze, uczniu Raas - powiedziała.

Vestara wzdygnęła się, myśląc o biednym Ahrim; teraz to Xal na pewno go wychłoscze.

- Cieszę się, że choć jeden z was myśli o czymś innym niż pozbawienie mnie dowództwa - ciągnęła Lady Rhea.

- Eee... naprawdę? - bąknął Ahri.

- Naturalnie. Powiedz mi, dlaczego twoim zdaniem Statek zadał sobie tyle trudu, żebyśmy mogli za nim podążyć? - Lady Rhea rzuciła Xalowi pogardliwe spojrzenie. - Dlaczego akurat tutaj pozwolił nam się ponownie odnaleźć?

Ahri przełknął ślinę.

- Ponieważ Vestara się myli - powiedział. - Statek wciąga nas w pułapkę.

- Otóż to - zgodziła się z nim Lady Rhea. - A wiesz dlaczego?

Ahri zrobił zamyśloną minę, wyraźnie próbując rozwikłać tę samą zagadkę co Vestara. Jeśli Statek był tym, na co wskazywały zapiski na pokładzie „Omena”, to służył on starożytnym Sithom. Wszystkie jego poczynania od czasu odnalezienia Plemienia - nawet to, że badał okoliczności bitwy o Kirrek i zadał sobie trud, by ich wytropić - niewątpliwie za tym przemawiały. A zatem dlaczego Statek miałby wciągać „Niestrudzonego Pogromcę” w pułapkę? Nie istniało żadne dobre wytłumaczenie.

Ahri najwyraźniej sam doszedł do tego wniosku.

- Przykro mi, Lady Rtheo. - Głos mu drżał, jakby Keshiri spodziewał się cięgów. - Nie mam pojęcia.

- Nie? - Na twarzy Lady Rhei pojawił się rozbawiony uśmiech. - Szkoda. Miałam nadzieję, że ktoś to odgadnie.

Na mostku zapadła cisza, a Sithowie wymieniali nerwowe spojrzenia, wypatrując kogoś, kto znałby odpowiedź, na którą czekała Lady Rhea.

Lady Rhea pozwoliła jeszcze chwilę, by napięcie rosło, po czym pokręciła smutno głową.

- Dajcie sobie spokój - rozkazała. - To był żart.

Wybuch śmiechu przetoczył się przez mostek, równie potężny jak napięcie, które rozładował. Lady Rhea zaczęła, aż wybrzmi do końca; chciała, by ten śmiech zmył z załogi cały lęk, tak żeby znów mogła pracować z pełną wydajnością. W końcu uniosła rękę, żeby ich uciszyć.

- A poważnie, ja też nie mam pojęcia, co Statek tu robi - powiedziała. - Wierzę jednak, że Vestara się nie myli co do niego, a przecież Lord Vol kazał nam sprowadzić Statek z powrotem na Kesh. Teraz wszyscy na stanowiska i zachować czujność. Ruszamy.

Mostek zaczął znów tętnić życiem, a maleńki półksiężyc przed nimi szybko zamieniał się w przepastną półkolistą otchłań. W miarę jak się zbliżali, błękitny żar w jej wnętrzu rozjaśniał się, przyjmując postać niebieskiego punktu, a mroczna obecność, którą Vestara wcześniej wyczuła, choć coraz bardziej odległa, stawała się jakby potężniejsza. Vestara zastanawiała się przez chwilę, czy tej obecności nie wytwarza Statek, który bawi się z nią, udając coś innego. Zauważyła jednak miny członków załogi i uświadomiła sobie, że jeśli faktycznie tak jest, to nie tylko z nią Statek się bawi. Jedni Sithowie wyglądali na zaniepokojonych, inni na zdezorientowanych, a dwóch z Keshirich nawet na oczarowanych. Nikt jednak nie zdradzał się z tym, że rozpoznaje wyczuwaną obecność.

Vestara obejrzała się na Lady Rheę i zauważyła, że jej Mistrzynie marszczy w skupieniu brwi. Nie patrzyła już na ciemny półksiężyc, do którego zmierzał „Pogromca”. Oczy Lady Rhei skierowane były na dwie czarne dziury, krążące wokół siebie w podwójnym systemie. Minę miała nieufną i czujną. Vestara wiedziała, że jej Mistrzynie coś wyczuwa - coś, czego ona sama nie wykryła.

Uczennica skierowała swoją świadomość Mocy na podwójny układ i otarła się o trzecią obecność. Była rozległa i mglista, ciemna i przyjazna, naznaczona dwoma jasnymi punktami, które

uderzały swoją intensywnością. Sprawiały wrażenie bardziej świetlistych niż obłok, w którym się unosiły, niczym stałe wysepki w oceanie pary.

Nagle Lady Rhea zbladła i oparła się o barierkę mostka, zaciskając na niej rękę, aż zbieleły jej knykcie.

- Co się stało, Mistrzynie? - zwróciła się do niej Vestara.

Lady Rhea wpatrywała się wciąż w podwójny system.

- Nie wiem. To mi przypomniało... - Urwała i pokręciła głową. - Trudno to wyrazić. Przez chwilę wydawało mi się, że rozpoznałam tę obecność.

- Jaką obecność, Lady Rheo? - spytał Xal. - Jeśli Ahri miał rację, że to pułapka...

- To niczego nie zmienia - przerwała mu Lady Rhea. - Mamy zadanie do wykonania.

- Pod warunkiem że Statek faktycznie tam jest - przypomniał jej Xal. - Lord Vol nie kazał nam poświęcać życia w pogoni za fantomami.

Rosnący niepokój załogi zmącił Moc. Vestara zrozumiała, że Lady Rhea popełniła dziwny jak na nią błąd: przyznała, że Statek może ich wciągać w pułapkę. Wszyscy na pokładzie czuli czyhającą na nich dziwną obecność, a Vestara była przekonana, że wielu z nich wyczuwa także mniejszą obecność w pobliżu podwójnego układu. Jeden przekonujący argument ze strony Xala mógł sprawić, że załoga zwątpi w mądrość Lady Rhei. A kiedy Sithowie zaczynają wątpić w mądrość swojego przywódcy, zwykle nie mija dużo czasu, nim obiorą sobie nowego.

Vestara wiedziała, że Lady Rhea jest wystarczająco silna, by utrzymać dowództwo do czasu, aż „Pogromca” znajdzie się w środku układu. Jeśli jednak nie znajdą szybko Statku lub napotkają nieprzewidziane przeszkody, Xal może zdobyć dostatecznie silną pozycję, żeby rzucić jej wyzwanie. A co będzie, jeśli wygra? Vestara nie miała złudzeń co do własnego losu.

Skupiła uwagę na rosnącej przed nimi otchłani, która zajęła całe pole widzenia. Wyglądała jak uśmiechnięte usta, zawieszzone ukośnie w przestrzeni i otwarte szeroko, żeby ich połknąć. Maleńka błękitna kulka odległego słońca żarzyła się w ich głębi. Vestara uwolniła myśli i wysłała je w stronę Statku, otwierając się na Moc i błagając go, by odpowiedział na jej wezwanie. Pragnęła, żeby objawił się nie tylko jej, ale także reszcie załogi.

Zamiast Statku poczuła jednak ciemną mackę pragnienia, która wślizgnęła się w powstałą próżnię. Była zimna, samotna, ale przychylna. Chciała przyciągnąć ją do siebie i chronić przed Xalem, przed zazdrosnymi rywalami na Kesh, przed członkami załóg, z którymi walczyła w trakcie pirackich wypadów i przed Jedi, do walki z którymi przygotowywało się Plemię. Chciała, żeby Vestara przybyła do otchłani, żeby dołączyła do niej w jej pradawnej kryjówce, gdzie byłaby bezpieczna... już zawsze.

Przeżazona i skonsternowana, Vestara próbowała się wyrwać, starając się skupić ponownie uwagę na mostku „Pogromcy”. Było to tak, jakby próbowała uwolnić się od własnych wnętrzności. Macka zdążyła ją przeniknąć i teraz przyciągała ją do siebie prawie fizycznie. Nie, nie prawie. Vestara naprawdę czuła, jak przyciska ją do barierki, posługując się Mocą, żeby wciągnąć ją w głąb otchłani.

Usłyszała nagle stłumiony, zbiorowy okrzyk strachu i już wiedziała, że załoga też to poczuła.

ROZDZIAŁ 9

- Kiedy powiedziałeś: „Ciała, mnóstwo ciał” - narzekał do mikrofonu w hełmie Luke - to spodziewałem się raczej, że to naprawdę będą ciała. Martwe.

- Skąd mogłem wiedzieć? - oburzył się Ben. - Czy oni wyglądają na żywych? Wyczuwasz w nich życie?

Luke musiał przyznać, że nie. Stali razem z Benem tuż przy wejściu do pomieszczenia, które zauważyli ze sterowni, przyciskani do podłogi przez siłę odśrodkową stacji. Latarki na hełmach skierowali w górę, gdzie łagodnie falujące morze kończyn i korpusów przesuwano się powoli nad ich głowami.

Pulsujące światło, które zaobserwowali przez iluminator sterowni, było wciąż widoczne, choć już tylko jako zmienna fioletowa poświata, podkreślająca sylwetki w górze. Czasami jakaś ręka lub noga poruszyła się lekko albo z ust wydobywał się obłoczek pary. Były to jedyne widoczne oznaki życia, ledwo zauważalne, nawet w Mocy. Wydawały się tak słabe i rozproszone, że nie dało się ich oddzielić od niewyraźnej aury, jaka przenikała całą tę część Otchłani.

- Nie wyczuwam - przyznał Luke. - A przynajmniej niczego takiego, co kiedykolwiek czułem w Mocy.

Wcisnął podbródkiem przełącznik wewnątrz hełmu, aktywując wyświetlacz na osłonie, który pokazywał informacje o warunkach w pomieszczeniu. Nie zauważył nic bardziej niepokojącego niż lekko podwyższony poziom dwutlenku węgla i dość niska temperatura, więc wyłączył system podtrzymywania życia i podniósł osłonę hełmu.

Natychmiast poczuł amoniakalny smród niemytych ciał. Jako że nie był obdarzony szczególnie wrażliwym węchem, z trudem rozpoznawał poszczególne zapachy. Najsilniejszy z nich był po prostu efektem nagromadzenia wielu ciał w zamkniętej przestrzeni, prócz tego jednak przebijał też odór rozkładu i ledwo wyczuwalna woń wyschniętej skóry. Nie wszyscy w tym pomieszczeniu żyli.

Wszystkie te zapachy połączyły się w jeden wyciskający łzy z oczu smród i Luke musiał się posłużyć Mocą żeby opanować buntujący się żołądek. Po kilku płytkich wdechach zwalczył w sobie odrazę i poczuł zimne powietrze na twarzy. Temperatura była tak niska, że zaczął się zastanawiać, czy ktoś - lub coś - nie usiłuje spowolnić tempa rozkładu.

Hełm Bena otworzył się z sykiem.

- Fuj! - parsknął chłopiec. - A myślałem, że już bardziej śmierdzieć nie może.

- Widocznie nie spędziłeś dostatecznie dużo czasu z Huttami - zauważył Luke. - Trzeba będzie to naprawić.

Ben stłumił odruch wymiotny.

- Zrobiłbyś to własnemu synowi? - zapytał.

- Potraktuj to jak dalszy ciąg edukacji - zaproponował Luke. - Rycerz Jedi powinien czuć się swobodnie w każdych warunkach.

- Założę się, że Yoda nie był aż tak okrutny.

- Yoda żył na bagnach - przypomniał synowi Luke. - Kazał mi jeść rzeczy, które pachniały gorzej niż to.

- Niemożliwe.

- Ależ możliwe. Hm... ikra slaura prosto z bagna... - mlasnął Luke, naśladując Yodę. -

Podniebienie łechce i brzuch napęlnia.

Z hełmu Bena dobiegł bulgotliwy odgłos. Luke zachichotał.

- Oddychaj przez usta - poradził. - Przyzwyczaisz się.

Poświecił latarką na hełmie na unoszące się nad nimi istoty. Wszystkie miały na sobie lekkie kombinezony lub dwuczęściowe ubrania robocze, takie, jakie nosiło się pod skafandrami próżniowymi. Stopy nagie lub w butach. Przeważnie byli to ludzie, ale zdarzali się też przedstawiciele najbardziej mobilnych ras: Falleenowie, Twi'lekowie, Bothanie i dziesiątki innych. Wszyscy byli wychudzeni i zaniedbani, a ci staromodnie ubrani zdawali się wyraźnie chudsi i bardziej niechlujni niż ci, którzy mieli na sobie współczesne stroje.

Kiedy światło padało im na twarze, zwykle odwracali wzrok lub nawet unosili rękę, żeby osłonić oczy. Jednak w przypadku istot szczególnie wychudzonych, często ubranych w wyjątkowo przestarzałe stroje, źrenice nie chciały się zwaćać, więc nie było w ogóle żadnej reakcji. Ben oświetlił latarką jedno z takich ciał - na wpół zmumifikowanego Bitha płci męskiej w kombinezonie bez rękawów z czasów Starej Republiki. W końcu jęknął sfrustrowany:

- To naprawdę zaczyna przyprawiać mnie o dreszcze.

- Mnie też. - Luke wyciągnął rękę w kierunku młodej samicy Wookie i oświetlił ją latarką.

Patrzył z rosnącą konsternacją, jak jej oczy skupiają się na moment na jego dłoni, by zaraz zwrócić się ponownie do wewnątrz. - Oni chyba przesadzili z medytacją.

- No, ponuro tu - stwierdził Ben. - Ale spójrz na to.

Luke odwrócił się i zobaczył sznur czegoś w rodzaju paciorków, unoszących się w świetle latarki. Paciorki opadały z ciał nad ich głowami. Zbyt wiele widział czegoś takiego w zbyt wielu bitwach kosmicznych, by nie wiedzieć, co to jest. Jasnoszkarłatny kolor tych kropli wskazywał, że są stosunkowo świeże.

- Kto z nich krwawi? - spytał Luke.

Ben włączył latarkę na przegubie ręki i poświecił nią, podążając szkarłatnym śladem w kierunku płataniny fruwających ciał. Kilka istot miało na ubraniach czerwone plamy, jednak nie było widać żadnych rozdarć ani ran; nic nie mogło być źródłem tak obfitej strugi krwi.

- Chyba jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. - Ben wskazał kciukiem na środek pomieszczenia. - Ruszamy?

Chłopiec udawał beztroskiego, jednak coś w jego głosie sugerowało, że nie ma ochoty zgłębiać tajemnicy tam w górze. Luke wcale mu się nie dziwił. Pulsujący blask mógł pochodzić z okiełznanej energii grawitacyjnej, podobnej do Ogniokuli na znacznie większej stacji Centerpoint. Mógł też być namacalnym wcieleniem Mocy, źródłem dziwnej tęsknoty, która tak przerażała Bena, gdy był dzieckiem. Cokolwiek to miało oznaczać, Ben był gotów się z tym zmierzyć i spojrzeć w oczy swoim dawnym demonom. Luke nigdy nie był z niego bardziej dumny niż w tej chwili.

- Tak, chyba powinniśmy - zgodził się. - Ktoś z nich musi być ranny. Ty pierwszy.

Ben pokiwał głową i wyskoczył w górę. Nie było tu sztucznej grawitacji, która mogłaby go ściągnąć z powrotem w dół, musiał jednak użyć Mocy, żeby nie wpaść na nikogo. Po chwili krzyknął głośno, a w jego aurze w Mocy pojawił się chłód przerażenia.

- Ben? - zawołał Luke. - Co się stało?

- Eee, nic - zapewnił go syn. - Po prostu mała niespodzianka. Chyba mój stary przyjaciel mnie znalazł.

Luke zmarszczył brwi.

- Jaki stary przyjaciel?

- No, na pewno nie jest to Tahiri - odparł Ben. - Ale nie martw się. Poradzę sobie.

- Jesteś pewien?

- To się okaże. - Ben zatrzymał się między parą dryfujących ciał, jakieś trzy metry ponad Lukiem. - Dołączysz do mnie?

- Jestem tuż za tobą.

Luke odbił się od podłogi i zaraz posłużył się Mocą, żeby zneutralizować moment pędu. Zaczął kierować się ku przeciwległej ścianie pomieszczenia i zaraz poczuł w sobie zimną mackę tęsknoty, która przyciągała go do siebie, nakłaniała, żeby się poddał... ale czemu? Luke nie miał pojęcia; wiedział jedynie, że ta obecność wydawała się bardzo stara i potężna, a także w jakiś sposób znajoma; że zdawała się go rozpoznawać, troszczyć się o niego i łaknąć jego towarzystwa.

- Ojej - jęknął. Odbił się od ciepłego ciała, po czym użył Mocy, żeby podążyć za synem. - To trochę... niepokojące.

- Chyba można to tak określić - odparł Ben. - Ja bym nawet powiedział, że przerażające.

- Tak - zgodził się Luke. - To też.

Dołączył do Bena i razem ruszyli krwawym śladem w głąb pomieszczenia. Gdy dotarli dalej, dostrzegli promienie fioletowego światła przeslizgujące się między dryfującymi ciałami. Chwilami wręcz przeświecały przez ciała. Wydawało się, że blask jest wszędzie dookoła, spowija ich i trzyma przy sobie.

W końcu dotarli do miejsca, gdzie nie było już śladów krwi, za to mnóstwo istot pokrytych od stóp do głów szkarłatnymi plamami. Jedną z nich był Durosjanin, któremu czerwona strużka ciekła z paskudnego otwartego złamania uda. Sądząc po kolorze, rana była dość świeża. Durosjanin stracił widocznie tak dużo krwi, że jego beznosa twarz zmieniła się z niebieskiej w prawie białą, a wielkie czerwone oczy zrobiły się różowe. Jeśli nawet jakieś istoty w pobliżu zauważyły kłopoty towarzysza, nie wybudziło ich to z medytacji. Wyjątkowo szokujący, przynajmniej dla Luke'a, był fakt, że ofiara miała na sobie standardowy kombinezon lotniczy Jedi, a jej twarz przypominała rysopis istoty, który Luke pamiętał z doniesień o pewnym zaginionym Jedi.

- Ben, czy on nie wygląda jak Qwallo Mode?

- Owszem - potwierdził Ben. - Zresztą Durosjanin w kombinezonie lotniczym Jedi nie może być nikim innym. Zastanawiam się tylko, co on tu robi.

- Dobrze pytanie. Może sam nam odpowie. - Luke otworzył jedną z kieszeni na udach swojego skafandra próżniowego i wyjął zestaw medyczny. - To znaczy, jeśli zdołamy go uratować.

Wyciągnął nożyce laserowe i odciął nogawkę kombinezonu rannego, a Ben założył zestaw uciskowy na złamane udo. Ledwie zaczął pompować opaskę, gdy pacjent odwrócił gwałtownie głowę i spojrzał na nich. Luke położył rękę na ramieniu Durosjanina.

- Spokojnie, Qwallo. Wszystko będzie dobrze, jak tylko zatamujemy krwotok. - Właściwie to nie był o tym przekonany, ponieważ Mode, jeśli to faktycznie był to Qwallo Mode, stracił już dużo krwi. Cóż, jedną z pierwszych rzeczy, jakich uczono na szkoleniu z udzielania pierwszej pomocy, było to, że pacjenta należy uspokoić. - Poznajesz mnie?

Mode spojrzał na Luke'a, otworzył szeroko oczy i niespodziewanie wpadł w panikę. Zaczął wymachiwać rękami i zdrową nogą, okładając obu Skywalkerów.

- Cholera! - wykrzyknął Ben, mocując się z opaską uciskową. - Myślisz, że on też to złapał?

- Może i tak. - Luke nie musiał pytać, co Ben ma na myśli. Zanim jeszcze dotarli do Otchłani, otrzymali od Cilghal wiadomość, co się stało z Natuą Wan na wystawie zwierząt. Skywalkerowie zdawali sobie sprawę, co to oznacza: Jedi po prostu nie mieli pojęcia, jak bardzo ta psychoza może się rozprzestrzenić. - To chyba równie prawdopodobne wytłumaczenie dla jego zniknięcia jak każde inne.

Luke okrążył Mode'a, związał mu ręce i zaczął przekazywać kojące uczucia poprzez Moc. Macka w jego wnętrzu natychmiast urosła i stała się silniejsza, wypełniając go lodowatą tęsknotą. Przypominało mu to samotny ból, z którym żył od śmierci Mary.

Mode obrócił się i wymierzył cios kolanem; Ben ledwo zdążył go przyjąć na przedramię.

- *Stang!* - zaklął. - Podać mu środki uspokajające?

- Raczej nie - odparł Luke. - Stracił tyle krwi, że to mogłoby go zabić.

- Więc może powinniście zostawić go w spokoju - odezwał się niski głos za ich plecami. - Zdaje się, że wasze starania przynoszą więcej szkody niż pożytku.

Luke obejrzał się i zobaczył za sobą płaskonosą twarz starego Gotala, który wisiał do góry nogami w blasku fioletowego światła. Sądząc po płatach skóry odpadających z wysokich czuciowych rogów na jego głowie i twarzy tak wychudzonej, że widać było głównie zęby, Gotal najwyraźniej sam był bliski śmierci. Miał na sobie resztki przypominającej tabard szaty Jedi, pochodzącej sprzed ery Palpatine'a.

Za Gotalem unosiło się kilka innych istot w różnych stadiach zagłodzenia. Był tam pożółkły ze starości Givin, który wyglądał jak istny szkielec. Był też chudy Ortolanin z zanikającą trąbą i ciałem tak wiotkim, że przypominało szorstki worek pełen zmarszczek. Była nawet para jasnowłosych ludzi: wychudły mężczyzna i wymizerowana kobieta; nosili kombinezony w zielone pasy, które były w modzie przed niedawną wojną domową.

Luke nie dostrzegł więcej oznak, że cała reszta obecnych może być związana z Zakonem Jedi. Uznał obecność dwóch Jedi z różnych epok za zwykły zbieg okoliczności. Dał znak Benowi, żeby kontynuował opatrunek, a sam, trzymając cały czas Mode'a za ręce, obejrzał się na Gotala.

- Bezczyność jest szkodliwa, Jedi... - Luke urwał, szukając w głowie imienia Gotala, ale bezskutecznie. Wzruszył ramionami i dokończył: - Staramy się uratować temu Durosjaninowi życie.

- Nie ma życia - odparł Gotal. - Jest tylko Moc.

- To nieprawda - zaprotestował Luke, marszcząc brwi. Gotal błędnie zacytował jedno z najważniejszych założeń kodeksu Jedi, które leżało u podstaw gotowości Jedi do poświęcania własnego życia dla dobra innych: „Nie ma śmierci, jest tylko Moc”. - Jeśli jesteś Jedi, to musisz o tym wiedzieć.

- Kiedyś myślałem, że jestem Jedi. - Gotal odwrócił wzrok, nie wiadomo, czy ze wstydu, czy po prostu dlatego, że przypominał sobie dawne czasy. - Nazywałem się Seek Ryontarr.

- Widziałem to nazwisko w Holocronie Jedi - powiedział Luke, posługując się Mocą dla odświeżenia pamięci. - Zaginałeś w czasie misji ratunkowej, wysłanej w celu odbicia dziedziców

Nath Goordian.

Ryontarr znów spojrzął na Luke'a.

- Wcale nie zaginałem. Znalazłem ich niedaleko stąd - wyjaśnił. - Obezwładniłem porywaczy i ocaliłem dziedziców.

- Nie ma żadnych informacji o ich powrocie na Nath Goordi - zauważył Luke. - A gdyby wrócili, to pewnie by wybuchła wojna o sukcesję.

Na wychudzonej twarzy Ryontarra pojawił się zagadkowy uśmiech.

- Są różne rodzaje ocalenia.

Za plecami Luke'a rozległ się głośny trzask, a Mode zawył z bólu. Luke obejrzał się i zobaczył, że Ben siedzi na zranionej nodze pacjenta. Przytrzymał ją kolanem i próbował nastawić złamaną kość udową. Używał Mocy do unieruchomienia górnej połowy ciała delikwenta, ale Mode wymachiwał wściekle wolną nogą, starając się odepchnąć swojego pielęgniarza.

Luke posłużył się Mocą, żeby opanować szalejącego Jedi. Spodziewał się, że Ryontarr albo inny z obserwatorów zaatakuje go, korzystając z odwróconej uwagi, jednak grupa najwyraźniej wolała czekać i patrzeć. Ben szybko skończył nastawiać nogę - przynajmniej na tyle, na ile się dało w tych warunkach - i wycie Mode'a zamieniło się w cichy jęk.

- Proszę... przestańcie - wykrztusił po chwili pacjent. - Ja tylko chciałem... chciałem ci pomóc, Mistrzu Skywalker.

Luke uniósł brwi.

- Poznajesz nas, Qwallo?

- Oczywiście... przecież cię znam - potwierdził Mode. - Widzę cię.

Ostatnie słowa sugerowały, że Mode miał na myśli coś więcej, jednak Luke'a bardziej interesowało to, czego Durosjanin nie powiedział.

- Więc nie uważasz, że jesteśmy sobowtórami?

Qwallo pokręcił głową.

- Niemożliwe - stwierdził. - Teraz już to wiem.

- Więc dlaczego strzelałeś do „Cienia”? - zapytał Ben. - To byłeś ty, prawda?

- Oczywiście, że to on - powiedział Ryontarr, zaglądając Benowi przez ramię. - Nie poznajesz go?

- Owszem... ale w jaki sposób mu się to udało? - spytał Ben. - Przecież nie miał nawet skafandra próżniowego. I skąd się tutaj wziął?

- Wkrótce zrozumiesz, młody Rycerzu Jedi - odparł Ryontarr. Popatrzył na Luke'a. - Obaj zrozumiecie, jeśli tylko zostawicie biednego Qwallo w spokoju. Pewnie nie zdajecie sobie z tego sprawy, ale wyrządzacie mu tylko krzywdę.

- Stracił dużo krwi - zauważył Luke. - Nie pozwolimy mu umrzeć.

- Nie? - Ryontarr pokręcił głową. - Chciałbym, żebyście to jeszcze przemyśleli. Nie macie pojęcia...

Gdzieś w górze rozległ się wystrzał z blastera i z płataniny dryfujących ciał przesączył się zapach przypalonej skóry.

Ryontarr westchnął, wypuszczając powietrze tak stęchłe, że musiało zalegać w jego płucach od dziesiątków lat, po czym zapytał:

- Myślicie, że naprawdę możecie zapobiec naszej śmierci?

Odezwał się kolejny blaster, tym razem na tyle blisko, że Luke dostrzegł krótki błysk wiązki laserowej która pomknęła od strony lufy. Rozległ się krótki jęk bólu i gryzący swąd przypalonej skóry przybrał na sile.

- Eee, tato... - Ben spojrzął przez ramię w stronę, z której dobiegł drugi strzał. - Może powinniśmy wysłuchać Jedi Ryontarra.

- Nie nazywaj go tak - wycodził Luke przez zaciśnięte zęby i spojrzął z odrazą na Gotala. - Nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek byłeś Jedi.

Ryontarr wzruszył ramionami.

- Kiedyś jako młodziak też byłem niewolnikiem cudzych przekonań.

- Ale oni umierają z winy Seeka - wtrącił się jeden z towarzyszy Ryontarra, wychudły

Ortolanin. Jego nosowy, ochryply głos był trudny do zrozumienia; najwyraźniej trąba tak bardzo zwiotczała w wyniku długiego nieużywania, że nie mogła się rozwinąć. - To wasza wina.

Luke nadal patrzył gniewnie na Ryontarra, nie puszcżając rąk Qwalla.

- Ja im nie każę się nawzajem zabijać.

- Zakładasz, że ja tu dowodzę, że względu na to, kim byłem kiedyś. - Ryontarr rozłożył ręce, jak gdyby zachęcał Luke'a, by przyjrzał mu się poprzez Moc. - Ale to ty nic nie rozumiesz.

- Widzisz, to nic takiego umrzeć Poza Cieniami. - Tym razem przemówiła jasnowłosa kobieta. Głos miała ciepły i dobrotliwy, niczym matka, która strofuje dziecko. - Ale żyć uwięzionym w swoim ciele to... męka.

- Chwileczkę. - Ben wciąż unosił się przy Modzie, trzymając go za zranioną nogę. - Chciecie powiedzieć, że oni się zabijają, bo nie chcą, żebyśmy im przerwali medytacje?

- Wędrowka Umysłów to niezupełnie medytacja, ale masz rację - potwierdził jasnowłosy mężczyzna. Miał głos tak podobny do głosu kobiety, że musieli być rodzeństwem. - Życie jest tylko snem, a nasze ciała jedynie sennymi urojeniami. Kiedy nie pozwalacie nam uwolnić się od ciała, to przeszkadzacie nam w przebudzeniu.

- Nie chcemy wam w tym przeszkadzać - zapewnił Luke. Nie był pewien, czy rozumie i wierzy we wszystko, czego się tu dowiedział. Ale teraz życzenie Qwalla, żeby zostawić go w spokoju, zaczynało mieć sens. - Nie ma jednak powodu, żebyście się zabijali.

- A więc pozwolicie Qwallowi wrócić Poza Cienie? - spytał Ryontarr. - Jeśli jego ciało umrze, zanim zdąży je opuścić, powrót będzie bardzo trudny.

Luke spojrział na Mode'a. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było pozwolić Durosjaninowi umrzeć, Mode jednak dał jasno do zrozumienia, że nie chce ich pomocy. Poza tym Ryontarr miał rację co do jednego - jeśli nie chciał, żeby to miejsce zapełniło się zwłokami, Luke nie miał innego wyboru, jak tylko się zgodzić.

- Jeśli takie jest życzenie Qwalla, to zgoda. - Luke odwrócił się w stronę Mode'a. - Pozwolimy ci wrócić Poza Cienie, ale najpierw chciałbym cię o coś zapytać.

Mode pokiwał głową.

- Tylko szybko.

- Co się z tobą działo, kiedy zaginałeś? - spytał Luke. - Dlaczego nie wypełniłeś zadania?

- Dałem się... - Mode pokręcił ze smutkiem głową. - Dałem się zwieść.

Luke i Ben wymienili spojrzenia.

- Myślałeś, że otaczają cię sobowtóry, prawda? - dociekał Mistrz Jedi.

Mode otworzył szeroko oczy.

- Skąd wiedziałeś?

- To przydarza się też innym Rycerzom Jedi - wyjaśnił Luke.

- W takim razie trafiliście... we właściwe miejsce - powiedział Mode. - Tutaj wszystko stanie się jasne.

- Cieszę się, Qwallo. - Luke rozejrzał się dookoła, spodziewając się, że Ryontarr będzie próbował uciszyć Durosjanina, zanim ten wyjawí jakąś wielką tajemnicę. Widząc jednak, że Gotal i jego towarzysze nie zamierzają przerywać rozmowy, zadał następne pytanie: - Ale już nie myślisz, że jesteśmy sobowtórami?

Mode pokręcił głową.

- Teraz już wiem, że nie jesteście.

- Skąd się dowiedziałeś? - spytał Ben, nie starając się nawet ukryć podniecenia. Gdyby się dowiedzieli, co uzdrowiło Mode'a, mogliby tę przydatną informację przekazać Cilghal, kiedy opuszcza Otchłań. - Co się stało?

Mode ułożył ciało w odpowiednik pozycji siedzącej, tak że miał teraz Bena przed sobą.

- Udałem się Poza Cienie i ujrzalem prawdę. Nie możecie być sobowtórami... bo nie jesteście prawdziwi. - Wziął Bena za ręce. - Tylko Moc jest prawdziwa... a także jest piękna, Benie. Bardzo, bardzo piękna.

Ben zdołał się powstrzymać od wyrwania rąk Mode'owi, ale uniósł wysoko brwi. Nawet na wpół martwy Durosjanin dostrzegł przerażenie w jego oczach.

Mode cofnął ręce, a jego ton stał się bardziej surowy.

- Zobaczysz to, Ben - powiedział. - Teraz, kiedy już tu dotarłeś, będziesz musiał zobaczyć. Spróbował się odsunąć, posługując się Mocą, ale Luke wciąż trzymał go za ramiona.

- Jeszcze jedno pytanie - powiedział Mistrz Jedi. - Dlaczego do nas strzelałeś?

Mode spojrział przez ramię na Luke'a, marszcząc brwi.

- Mówiłem wam... po to, żeby pomóc.

- Rakietą? - spytał Ben. - Ładna mi pomoc.

- Owszem - wtrącił się Ryontarr. Przesunął się w dół i zaczął odrywać dłonie Luke'a od ramion Mode'a. - Wiemy, ile więzi łączy cię ze światem fizycznym, Mistrzu Skywalker. Qwallo chciał jedynie przeciąć te więzi, żeby cię nie kępowały.

Luke popatrzył ze zdumieniem na Mode'a.

- Chciałeś nas zestrzelić?

- Chciał was uwolnić - poprawił Ryontarr. - Bo te więzi przykuwają was do życia we śnie.

Dał znak Luke'owi i Benowi, żeby puścili Mode'a. Kiedy posłuchali, odwrócił się i zaczął odpływać. Luke zmarszczył brwi i ruszył za nim, ale jasnowłosa kobieta zagroziła mu drogę.

- Twoje sny sprowadzają cię na manowce, Mistrzu Skywalker - powiedziała.

- Tak samo jak twojego siostrzeńca - dodał jej brat. - To właśnie jeden ze snów Jacena przekonał go, że musi wrócić do nierzeczywistej galaktyki.

- Więc Jacen tu był? - zdumiał się Ben.

Jego podniecenie zatrzęszczało w Mocy niczym wyładowanie elektryczne. Luke poznał po błysku w oczach rodzeństwa, że wyczuli reakcję Bena i że taki właśnie efekt chcieli osiągnąć.

- Słyszeliśmy, że Jacen tu był - powiedział Luke, trącając przynętę. - To jeden z powodów, dla których i my tu przybyliśmy.

- Mimo że wam to odradzano - wtrącił Ortolanin. - Mówiono, że my spijamy umysły.

- Coś w tym rodzaju - przyznał Luke. Wyczuwał, że teraz, gdy zabrakło Ryontarra, dyskusja wkracza w nową i bardziej niebezpieczną fazę, ale nie wiedział, o co tu chodzi. Czego Spijacze Umysłów chcieli od niego i od Bena? - Ale skąd wiedzieliście, co nam mówiono na wasz temat?

Kobieta się uśmiechnęła.

- Ponieważ Aing-Tii boją się prawdy, tak samo jak boją się Tych, Którzy Mieszkają za Zastoną - odparła. - Jacenowi powiedzieli to samo, kiedy ruszał na poszukiwanie zimna.

Luke i Ben wymienili zaciekawione spojrzenia, po czym Luke zapytał:

- Jak to „zimna”?

- Tak mówił na to Jacen: zimno w Mocy - wyjaśnił Ortolanin. - Twierdził, że wyczuł je, kiedy przebywał wśród Aing-Tiich.

Luke pokiwał głową. To by pasowało do zakłócenia w Mocy, które on i Ben poczuli tuż przed odlotem z ojczystego świata Aing-Tiich. Tadar'Ro powiedział im przecież, że Jacen opuścił Ryft Kathol po tym, jak wyczuł coś niedobrego w Otchłani.

- I znalazł je? - naciskał Ben.

Kobieta uśmiechnęła się do niego.

- Znalazł nas, Benie.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Jest, ale boisz się ją zobaczyć. - Odwróciła się i zaczęła dryfować między ciałami, a jej brat podążał tuż za nią. - Kiedy przestaniesz się bać, otrzymasz odpowiedź.

Ben nachmurzył się i ruszył za nią, ale Luke go zatrzymał. Nie był jeszcze gotowy na połknięcie przynęty Spijaczy Umysłów, przynajmniej dopóki nie dowie się, dlaczego chcą ich na nią złapać.

- Mój siostrzeniec nie znalazł zimna w Mocy - domyślił się. - Inaczej nie pozwoliłoby mu stąd odlecieć.

Kobieta zatrzymała się i rzuciła mu uśmiech.

- Bardzo dobrze, Mistrzu Skywalker. Jacen dostrzegł jednak coś innego, coś mrocznego; uważał, że to nadciąga i że tylko on może to powstrzymać.

Luke przypomniał sobie wizje, które miał w pierwszych dniach niedawnej wojny domowej,

i poczuł mdłości. W snach widywał tajemniczego, mrocznego człowieka o zakrytej twarzy - a ta twarz pozostała zakryta do czasu, aż Jacen zabił Marę i stał się mrocznym człowiekiem, Lordem Sithów Darthem Caedusem.

To wtedy właśnie wszystko się zaczęło. Wtedy Jacen zrobił pierwszy, nieśmiały krok w stronę cienia.

Luke pokręcił głową, rozpamiętując w ciszy tragiczne wspomnienia. Zastanawiał się, jak mógł nie zauważyć niepokornionej pychy, która doprowadziła Jacena do popełnienia okropnego błędu. Jak mógł pozwolić, żeby młody człowiek, torturowany przez Yuuzhan Vongów i poddany praniu mózgu przez Sithów, uznał, że ciężar galaktyki spoczywa wyłącznie na jego barkach.

- Nie powinienem był go puścić. - Luke mówił raczej do siebie niż do Spijaczy Umysłów czy Bena. Wyrzucał sobie, że nie należał, by Jacen został po wojnie z rodziną i przyjaciółmi; że nie zrozumiał w porę, iż ktoś, kto wycierpiał tyle co jego siostrzeniec, nie powinien samotnie błąkać się po galaktyce. - Wszedł w mrok, którego się bał, i sam stał się mrokiem.

- Mówisz o Jacenie, Mistrzu Skywalker? - Kobieta i jej brat odwrócili się ku nim z wyrazem bólu i niedowierzania na twarzach. - Sądysz, że Jacen stał się mrokiem?

Luke wydawał się zdziwiony ich zdziwieniem.

- To stało się przed przybyciem Qwalla, więc myślałem, że wiecie. Jacen stał się Darthem Caedusem.

Rodzeństwo popatrzyło po sobie i pokiwało głowami, po czym brat powiedział:

- Słyszeliśmy o tym, ale to nie jest tak. To po prostu część snu, który ty bierzesz za prawdę.

- Jacen nie mógł stać się mrokiem - dodała kobieta. - Jego motywacje były czyste. Nie mógł pogрузić się w mroku tak samo, jak nie może się w nim pogрузić gwiazda.

Luke pokręcił ze smutkiem głową.

- Chciałbym, żeby to była prawda - odparł. - Ale...

- To jest prawda - upierał się Ortolanin. - Jeśli nie wierzysz nam na słowo, zobacz sam.

- Niby jak? - spytał Ben. Po jego nachmurzonej minie widać było, że wie równie dobrze jak Luke, co sugerują Spijacze i Umysłów, i że podchodzi do tego tak samo podejrzliwie. - Jacen nie żyje od dwóch lat.

- Śmierć nie istnieje - powiedział ochrypłym głosem Givin, który do tej pory się nie odzywał. Żywy szkielet okrążył ich, i oparł się kościstym ciałem o ramię Luke'a. - Nie ma życia; i jest tylko Moc.

Luke odwrócił się, żeby spojrzeć Givinowi w oczy. W ciemnych zagłębieniach jego czaszki dostrzegł puste oczodoły ludzkiego szkieletu.

- Twierdzicie, że mogę spotkać Jacena Poza Cieniami?

- Twierdzimy, że możemy ci pomóc zobaczyć to, co widział Jacen - wychrypiął Givin. - Wówczas będziesz mógł wejrzeć w jego serce. To, czy ono do ciebie przemówi, nie zależy już od nas.

- Rozumiem - powiedział Luke.

Nie łudził się, że będzie mógł porozmawiać z prawdziwym Jacenem; zresztą nie wiedział nawet, czyby tego chciał. Jednak Givin obiecał, że pomoże mu zrozumieć, co się stało z siostrzeńcem - a czyż nie to właśnie było celem ich wyprawy?

Słyszając, że Luke nie odrzuca z miejsca propozycji, Ben otworzył szeroko oczy.

- Tato, przecież wiesz, że cię podpuszczają. Jacen nie żyje i nic tego nie zmieni.

- Wiem. - Zimna macka we wnętrzu Luke'a zaczęła rosnać i przesuwając się w górę, próbując zapuścić korzenie. - Ale to może mi pomóc zrozumieć, co się z nim stało.

- A więc wrócisz z nami Poza Cienie? - Kobieta się uśmiechnęła. - Jestem pewna, że będzie to dla ciebie bardzo... pouczające.

- Nie wiem, czy w ogóle zdecyduję się pójść z wami - sprostował Luke. - Najpierw muszę wiedzieć, czego chcecie ode mnie i od Bena.

- Czego od was chcemy, Mistrzu Skywalker? - powtórzył brat. - Dlaczego sądzisz, że czegoś chcemy?

- Bo widać, jak bardzo wam na tym zależy - odpowiedział szczerze Ben. - Podsuwacie nam

Jacena pod nos jak przynętę.

- Tak to odbieracie? - Kobieta przestała się uśmiechać, odwróciła się i odfrunęła kawałek. -

W takim razie pozostaje tylko jedno pytanie: czy potraficie się oprzeć?

Jej brat mrugnął do Bena, po czym skinął na Ortolanina i ruszył za nią. Givin pozostał na swoim miejscu obok Skywalkerów, czekając na ich decyzję.

- No cóż, cokolwiek się tu dzieje, odbywa się to Poza Cieniami. - Luke spojrzął synowi w oczy. - Chyba nie mamy wyboru, Ben.

Ben z trudem przełknął ślinę, ale wreszcie skinął głową.

- Szkoda tylko, że nie wiemy, co to znaczy „poza cieniami”. - Popatrzył na wychudzone ciała krążące wokół nich i dodał: - Może powinniśmy najpierw coś zjeść.

- Doceniam twoje dobre chęci, Ben. Ale wiesz, że nie mogę pozwolić, żebyś mi towarzyszył.

Ben zmarszczył brwi.

- Tato, ja też muszę się z tym zmierzyć. Nie możesz mnie przed tym chronić.

- Nie chronię cię, Ben. Rozkazuję ci. - Po czym dodał z uśmiechem: - Ktoś musi naprawić „Cień”.

Teraz Ben wyglądał na naprawę przerażonego.

- Sam to mam robić? To może potrwać tydzień!

- Miejmy nadzieję, że nie. - Luke rozejrzał się po pomieszczeniu i zmarszczył nos. - Chyba nie chciałbym tu zostać tak długo.

- To zrozumiałe - zgodził się Ben. - Pewnie nigdy nie pozbędziemy się tego smrodu.

Luke zachichotał.

- Widać, że nigdy nie utknąłeś w zgniataczu śmieci na gwiazdym niszcycielu. - Podleciał do syna i położył mu obie dłonie na ramionach. - A teraz posłuchaj: nie szukaj mnie. Jeśli coś pójdzie nie tak, masz wrócić na Coruscant i opowiedzieć Mistrzom o tym, co tu znaleźliśmy. Zgoda?

Ben się nachmurzył.

- Co ma pójść nie tak?

- Prawdopodobnie nic. - Luke zerknął na Givina, który odrobinę za szybko skinął głową dla potwierdzenia jego słów. - Ale gdyby jednak coś nie wyszło, niedobrze by było, gdybyśmy tu obaj zmarnieli i nikt by się nie dowiedział, co znaleźliśmy. A więc to rozkaz.

- Dobra. - Ben odwrócił wzrok. - Rozumiem - dodał.

- Obiecujesz? - naciskał Luke.

- Tato, zrozumiałem. - Ben spojrzął znowu na Luke'a. - Nie ma sensu, żebyśmy tu obaj utknęli. Nie jestem głupi. Rozumiem to.

Luke patrzył przez chwilę Benowi w oczy, zanim pokiwał głową.

- Cieszę się. - Uścisnął Bena i zapewnił: - Postaram się, żeby to nie trwało zbyt długo.

- Mam nadzieję - odparł Ben. - Jest jeszcze jedna sprawa.

- Tak?

Ben obejrzał się na Givina.

- Ile mamy czasu?

Givin przechylił głowę.

- Ile czasu?

- Zanim to wszystko wybuchnie. - Ben wskazał na sterownię, skąd wciąż było słychać ciche piski alarmów. - Chyba zauważyliście, co się tam dzieje?

- Aha, alarmy - machnął ręką Givin. - Zapomniałem o nich. Wyją tak od ponad dwóch lat. Ben rzucił Luke'owi zaniepokojone spojrzenie.

- Ponad dwa lata? - zapytał. - Może dwadzieścia siedem miesięcy?

- Tak, dokładnie. - Givin pokiwał głową. - Zaczęły hałasować wkrótce po tym, jak została zniszczona stacja Centerpoint, o ile daty, które nam podano, są prawidłowe.

Na twarz Bena wypłynął niepokój - równie wielki jak ten, który zagościł w sercu Luke'a.

- I co, nie zauważyliście żadnych problemów? - naciskał chłopiec. - Nic was nie

zaniepokoiło?

- A czym tu się niepokoić? - Givin rozłożył kościste ręce. - Nie ma życia, nie ma śmierci...
- Tak, wiem - mruknął Ben. - Jest tylko Moc.

ROZDZIAŁ 10

Warunkiem, by zostać wielkim przywódcą, stwierdził Drikl Lecersen, jest zdolność rozpoznania u innych inteligencji i ambicji, całkowicie nieskrępowanych moralnością. A ten wymuskany redaktorek, siedzący właśnie na kanapie w jego wynajętym coruskańskim apartamencie, miał tych cech pod dostatkiem.

Szeroki, promienny uśmiech Javisa Tyrra był pułapką, jego aksamitny, ciepły głos - oszustwem, jego wytworna powierzchowność - przynętą na haczyku. Tyrr sprzedałby własną siostrę lub dźgnął najlepszego przyjaciela wibronożem za sensacyjny materiał, co potwierdzały dowody dostarczone przez prywatnego detektywa. Krótko mówiąc, był on idealnym narzędziem dla przypartego do muru drapieznika, takiego jak Lecersen - rannej piranii, która musi uciekać się do atakowania z ukrycia.

Rozważania Lecersena przerwała nagle scena na wideościanie hotelowego apartamentu: przedstawiała durastalową bramę, która opadła, zasłaniając postaci Hana i Leii Solo. Patrzył, jak ta para uchodzi cało - jak zawsze, z każdych niemal tarapatów, w jakie się pakowali - i poczuł znajome pieczenie w żołądku.

Nie mógł pojąć, jak Solo mogą tak bezceremonialnie lekceważyć to samo prawo, którego przestrzegania wymagali od innych. Ta obrzydliwa arogancja była wystarczającym powodem, żeby ich zniszczyć, podobnie jak wspomnienie Hana Solo, mierzącego do niego z blastera na pokładzie „Anakina Solo”. Jednak Lecersen nie dlatego robił to, co robił. Chodziło o przetrwanie, o to, żeby ani Solo, ani żadni Jedi nie mogli już nigdy zagrozić jemu lub Radzie Moffów.

Bo przecież Jagged Fel nie będzie wiecznie przywódcą Galaktycznego Imperium. Nie jest wystarczająco sprytny, nikczemny ani bezwzględny. Prędzej czy później popełni błąd, a Lecersen był tylko jednym z wielu moffów, którzy tylko czekają z wibrosztyletem w dłoni, gotowi wbić mu go w plecy.

Na wideościanie ukazała się teraz Jaina Solo; wsiadała do zgniecionej imperialnej limuzyny, nie bacząc na żądania otwarcia bramy, powtarzane kilkakrotnie przez kapitana SBGS. Lecersen zatrzymał obraz, po czym odwrócił się w stronę swojego gościa, który siedział rozparty na kanapie, sącząc ryboreński gax, wart tyle co jego miesięczne zarobki.

- Javis, drogi przyjacielu, widziałem to na żywo trzy godziny temu - powiedział. - Świetnie się spisałeś, przedstawiając Solo i Jedi w złym świetle i nie wspominając o tym, że nie było podstaw do aresztowania. Ale nie widzę powodu, żeby jeszcze raz to oglądać. Możesz być spokojny, naprawdę cenię sobie twoją przyjaźń.

- Wkrótce będziesz ją sobie cenił o wiele bardziej. - Tyrr pociągnął solidny łyk gaksu. - Oglądaj dalej. Nie wyemitowałem jeszcze wszystkiego.

Lecersen uniósł siwą brew.

- Mam nadzieję. Bardzo nie lubię, jak ktoś marnuje mój czas.

- To nie będzie zmarnowany czas, zapewniam cię. - Tyrr jednym haustem opróżnił kieliszek, wlewając w siebie resztkę trunku, wartą zapewne trzysta kredytów, po czym sięgnął po karafkę stojącą na stoliku na kółkach. - Pozwolisz?

- Oczywiście - wycedził przez zęby Lecersen. - Następnym razem otworzę braboli.

Gospodarz odwrócił się z powrotem w stronę wideościany i wcisnął guzik na pilocie, przewijając sprzeczkę między szoferem Fela a porucznikiem SBGS, a następnie przybycie Tyrra. Wreszcie na wideościanie pojawiło się zbliżenie twarzy Jaina Solo. Po chwili Lecersen domyślił się, że ciemne pasy po bokach to wykonane z nerfiej skóry siedzenie śmigacza i schowek na napoje.

- Imponujące - powiedział. - Przemyciłeś szpiegowskiego droida do limuzyny Fela.

- Twojego szpiegowskiego droida - poprawił Tyrr. - To z tej małej jednostki czyszczącej,

którą mi dostarczyłeś.

Z głośników wideościany dobiegał głos Jainy. Lecersen z umiarkowanym zainteresowaniem słuchał, jak Jedi dziękuje Felowi za schronienie i wyjawia, że to jej ojciec kanciarz wykiwał dowódcę SBGS, tak że tamten dał sobie zamknąć bramę przed nosem. Następnie Fel wspominał o Daali. Po przedłużającej się pogawędce rozmowa zrobiła się nagle bardzo ciekawa.

- Kiedy byłem wczoraj w kancelarii Daali, usłyszałem przypadkiem coś niepokojącego - mówił Fel. - Daala myśli o wynajęciu kompanii Mandalorian.

- Mandalorian? - wykrzyknęła Jaina z nieznacznie tylko większym zdumieniem, niż poczuł Lecersen. Odwrócił się twarzą do uśmiechniętego Tyrra, słuchając z rosnącym niedowierzaniem, jak Jaina zasypuje Fela pytaniami.

- Pytała, ilu superkomandosów może być potrzebnych do okiełznania Jedi - potwierdził Jag. - Co dokładnie planuje, tego nie wiem. Ale nie może to być nic dobrego.

Lecersen zatrzymał nagranie, po czym zapytał:

- Czy ja właśnie słyszałem, jak Fel zdradza Jedi tajemnicę Galaktycznego Sojuszu?

Tyrr skinął głową.

- Każe jej obiecać, że nikomu nie powie - wyjaśnił. - To nawet wzruszające, jeśli lubisz takie historie o tragicznej miłości.

- Wolę tragiczne losy przywódców - odparł Lecersen.

Wcisnął znów przycisk na pilocie i teraz oglądał z coraz większą przyjemnością, jak Fel przypomina Jainie o jej obietnicy i każe przyrzec, że nie przekaze tej informacji Radzie Jedi. Rozmowa zakończyła się chwilę później, gdy Jag zaklął i powiedział:

- Patrz, kto idzie.

Wideościana pociemniała, a Tyrr pospieszył z wyjaśnieniem:

- To już wszystko z droida szpiegowskiego, ale na końcu czipu jest jeszcze jedno ujęcie, które musisz zobaczyć.

- Dlaczego ujęcie z limuzyny tu się kończy? - spytał Lecersen, nie przerywając odtwarzania. - Kogo zobaczyli?

- Mnie - odparł Tyrr. - Sytuacja robiła się nieciekawa i musiałem wkroczyć, żeby ściągnąć nagranie z droida.

- Jak dalece nieciekawa? - zapytał Lecersen, nagle zaniepokojony. Nie byłaby to katastrofa, gdyby droid szpiegowski wpadł w ręce Jedi, jeśli Jedi by się nie dowiedzieli, że to Tyrr przemycił go do ich Świątyni. - Ostrzegałem cię, żebyś nie dał się przyłapać. Jeśli Jedi się dowiedzą, że masz imperialne wsparcie, przestaniesz być dla mnie użyteczny.

- Spokojnie... - Tyrr upił duży łyk gaksu, po czym dodał: - Droid wcale nie opuścił Świątyni. Pobrałem nagranie przez fale komunikacyjne. A teraz popatrz na to. Początek mam tylko ja. Wszyscy byli zajęci przekazywaniem swoich relacji, kiedy trafiła mi się ta perełka.

Na wideościanie pojawił się ponownie tunel prowadzący do hangaru. Oddział SBGS wciąż stał przed bramą, funkcjonariusze wyglądali na znudzonych, a kapitan kręcił ze złością głową w odpowiedzi na to, co ktoś krzyczał do niego przez słuchawki. Nagle brama uniosła się na jakiś metr i opadła z powrotem tak szybko, że Lecersen ledwie to zauważył.

Zaskoczeni funkcjonariusze odwrócili się i wycelowali broń w ziemię, kapitan SBGS zaś warknął coś do połączonego ze słuchawkami mikrofonu. Po chwili w polu widzenia pojawiła się para młodych Jedi: Durosjanka i Jenet, którzy próbowali precyzyjnie się między funkcjonariuszami SBGS. W każdym razie Lecersen podejrzewał, że są to Jedi. Byli ubrani tylko w tuniki i spodnie, a przy paskach nie mieli mieczy świetlnych, więc trudno było to jednoznacznie stwierdzić.

- To byli uczniowie Jedi - wyjaśnił Tyrr.

- Byli? - wykrztusił Lecersen. - To znaczy, że SBGS...

- Nie, nic im nie jest - odparł Tyrr. - Wystąpili z Zakonu, i tyle.

- Wystąpili? - powtórzył Lecersen. - Jedi tak mogą?

Tyrr wzruszył ramionami.

- A kto im zabroni?

Lecersen odwrócił się z powrotem w stronę wideościany i przyglądał się z zaciekawieniem,

jak kapitan SBGS przesłuchuje tę parę. Mimo że nie było słycać słów, wyglądało na to, że byli Jedi nie są w najmniejszym stopniu speszeni. Po chwili postaci zaczęły rosnać, w miarę jak Tyrri i jego operatorka się do nich zbliżali.

- W końcu ich puścił, kiedy już tam dotarliśmy - wyjaśnił Tyrri.

- Nic na nich nie mieli? - spytał Lecersen.

- Lepiej - odparł Tyrri. - Jedi powiedzieli, że odeszli, bo nie chcieli brać udziału w łamaniu prawa.

Lecersen spojrział na niego.

- Proszę, powiedz, że masz to nagrane.

- Niestety - powiedział Tyrri. - Ale to i tak były banialuki. Gadali tak tylko po to, żeby SBGS musiało ich puścić.

- Skąd wiesz?

Tyrri uśmiechnął się z samozadowoleniem.

- To jest w moim wywiadzie - oznajmił. - Zrobiłem długi materiał z nimi, w którym przyznają że nie chcą już być Jedi, bo nie podoba im się to, jak Daala przejmuje kontrolę nad Zakonem.

Na twarzy Lecersena pojawił się szeroki, spontaniczny uśmiech.

- Naprawdę? - Poszedł do stolika, sięgnął po kieliszek dla siebie, po czym wziął karafkę z gaksem i nalał dla nich obu. - Obejrzymy sobie ten wywiad, a potem ci opowiem, jak zrobię z ciebie bardzo bogatego człowieka.

ROZDZIAŁ 11

Na kolanach ośmioletniej wnuczki leżała kulka jasnego futra imieniem Anji, ostatnie z młodych nexu, które Leia musiała osierocić na wystawie zwierząt trzy tygodnie wcześniej. Jego dwie pary oczu błyszczały w migającym świetle wideościany, ale pazury miało schowane, a kolce położone płasko na grzbiecie. Najwyraźniej stworzonko czuło się dobrze w swoim nowym domu - nawet ze stępienymi kolcami, przyciętymi pazurami i implantem, który uniemożliwiał ugryzienie do krwi. Widok Allana z Anji powodował u Leii ściskanie w gardle, ponieważ Jacen również kochał i rozumiał zwierzęta. Cieszyła się, że część tego, co było w nim dobre, przetrwała w jego córce.

Anji uniosła głowę i zaczęła węszyć, na co Allana zmarszczyła brwi i spojrziała na Leię, siedzącą na końcu kanapy.

- Babciu, nie bądź smutna, bo Anji myśli, że coś jest nie tak.

Leii łza zakręciła się w oku, ale uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać nexu.

- Tak naprawdę nie jestem smutna, Allano. - Otworzyła serce na Moc i pozwoliła, by wypełniła je radość, jaką dawało jej wychowywanie dziewczynki. - Czasami przypominają mi się smutne chwile, ale dziadek i ja jesteśmy bardzo, bardzo szczęśliwi, że jesteś tu z nami... i nic nigdy tego nie zmieni.

Kiedy Allana rozważała te słowa, na jej czole pojawiły się dwie zmarszczki, w tych samych miejscach, w których miał je w tym wieku Jacen. Leia przez chwilę myślała, że wnuczka zapyta, czy Anji także ją uszczęśliwia.

Tymczasem w szarych oczach małej pojawił się cień lęku i dziewczynka spytała:

- Nawet jeśli zachoruję i zwariuję tak jak Barv?

Leia nagle poczuła, że jej serce się zatrzymało.

- Kochanie, ty nie zachorujesz, w każdym razie nie tak jak Barv i Yaqeel. Ty nigdy nie widziałas Otchłani.

- Ale się ukrywam, tak samo jak oni. - Allana pokręciła głowę, aż jej długie, ufarbowane na czarno włosy się zakołysały. Anji postawiła kolce i zaczęła się rozglądać, wypatrując kłopotów. - A nie chcę żyć w karbonicie. Nigdy.

- Och, Allano, nie musisz się tym martwić. - Leia w końcu zrozumiała. Ona i Han przez całe

popołudnie byli podenerwowani, ponieważ Rada Jedi wciąż nie podjęła decyzji, jakie zająć stanowisko w kwestii nakazów aresztowania Bazela i Yaqeel. - Tobie to nie grozi.

- Skąd wiesz? - spytała Allana.

- Bo masz Anji - powiedział Han, który wszedł właśnie do pokoju, niosąc tacę z gorącą czekoladą. - Myślisz, że ona pozwoliłaby komukolwiek wsadzić cię do karbonitu?

Oczy Allany rozbliły i Leia natychmiast poczuła, jak strach dziewczynki rozwiewa się w Mocy.

- Pewnie, że nie - odparła jej wnuczka. Zaczęła głaskać Anji po głowie, a małe nexu zwinęło się ponownie na jej kolanach, mrucząc z zadowolenia. - Rozłożyłaby ich na łopatki, gdyby tylko o tym pomyśleli.

- Nie wątpię. - Leia posłała Hanowi uśmiech mówiący „niezły ruch”. Jako dziadek zdawał się mieć przypominające Moc wycucie, które podpowiadało mu, co Allana powinna usłyszeć, żeby czuła się kochana i bezpieczna. No i jak można było się spodziewać w przypadku Hana Solo, nie miało to na ogół nic wspólnego z logiką. - Pewnie dlatego dziadek poprosił twoją mamę, żeby pozwoliła ci zatrzymać Anji.

Allana otworzyła szeroko oczy i spojrzała na Hana.

- Na zawsze?

Han się uśmiechnął.

- Nic nie trwa wiecznie, mała - powiedział. - Ale dopóki Anji jest szczęśliwa i nie zamierza zjadać naszych znajomych, to tak.

Ku zaskoczeniu Leii Allana nie wydawała się zmartwiona szczerą odpowiedzią Hana. Przytuliła tylko małego zwierzątko, po czym uśmiechnęła się do dziadka.

- Dziękuję, że ją przekonałeś, dziadku.

- Nie ma za co, skarbie. - Han postawił tacę na stoliku przed kanapą, a sam usiadł po drugiej stronie Allany. - Twoja mama jako dziewczynka jeździła na rankorach. Nie było więc takie trudne przekonać ją, że poradzisz sobie z takim maleństwem jak dwustukilowy leśny drapieżnik.

Oczy Allany zrobiły się jeszcze większe.

- Moja mama jeździ na rankorach?

- Jeździła. To było dawno temu. - Leia wzięła dwa kubki z tacy i podała jeden Allanie, a Hanowi posłała ostrzegawcze spojrzenie za plecami wnuczki. - A rankor był oswojony.

Allana odwróciła głowę w kierunku Leii.

- Są oswojone rankory? - aż się zachłysnęła. - Będę mogła na takim pojeździć?

- Jasne, mała - odparł z uśmiechem Han, rozbawiony tym, że strategia Leii przyniosła skutek odwrotny od zamierzonego. - Następnym razem, jak będziemy na Dathomirze, znajdziemy ci ładnego, dużego rankora.

- Naprawdę? - Allana wciąż patrzyła na Leię. - Zgadzasz się, babciu?

Leia spojrzała na Hana spod przymrużonych powiek.

- Oczywiście, kochanie. - Leia uznała, że może bez większych obaw złożyć taką obietnicę. Dathomir był jednym z ostatnich miejsc, jakie spodziewała się odwiedzić w najbliższej przyszłości. Wzięła pilota od wideościany i podała go Allanie. - A tymczasem program dziadka już się zaczął. Chcesz zmienić kanał?

- Tak. - Allana wycelowwała pilota w odbiornik sygnału. - Zaczyna się Przegląd Wydarzeń Perrego Needma!

- Dzięki, mała.

Han wziął swoją gorącą czekoladę, rozsiadł się wygodnie i objął wolną ręką wnuczkę. Ten rytuał zapoczątkowała Allana, kiedy zły sen zakłócił pewnego razu jej drzemkę i przybiegła do Hana, żeby zwinąć się obok niego w kłębek. Następnego dnia zjawiała się, jak tylko zaczął się program. Kolejnego czekała już na kanapie, kiedy Han i Leia weszli do pokoju. Potem Han zaczął przynosić trzy kubki gorącej czekolady zamiast jednego piwa Gizer i tak narodziła się nowa tradycja. Leia czasem obawiała się, jak taka dawka informacji może wpłynąć na młodziutki umysł, ale jednym z powodów, dla których ona i Han lubili Przegląd Wydarzeń Perrego Needma, był fakt, że przynajmniej jedną trzecią tematów stanowiły dobre wiadomości. Poza tym - jak zauważyła

sama Allana - Chume'da Konsorcjum Hapes powinna wiedzieć, jak funkcjonuje galaktyka.

Allana wcisnęła guzik na pilocie i rysunkowe pajęczki na wideościanie ustąpiły miejsca pomarszczonemu obliczu starszawego prezentera, Perrego Needma. Twarz tego Chevina wyglądała, jakby składała się z samego pyska, nie licząc paciorkowatych oczu, szarych warg i kwadratowych, żółtych zębów. Miał dwie kępki niesfornych srebrzystych włosów - jedna pokrywała czubek wąskiej głowy, druga zaś zwisała z ledwo dostrzegalnego podbródka.

Tak jak można się było spodziewać, głównym tematem były wydarzenia, w których uczestniczyli tego dnia Solo. W rogu wideościany znajdowała się niewielka ramka ukazująca Świątynię Jedi, a z głośników w suficie grzmiał baryton Needma:

- ...kolejna odsłona kryzysu prawnego nastąpiła dzisiaj, gdy Rycerze Jedi Saav'etu i Warv padli ofiarą urojeń paranoidalnych. - W rogach wideościany pojawiły się wizerunki Yaqeel i Bazela. - Według świadków wydarzeń oboje zaczęli się dziwnie zachowywać przed Świątynią Jedi, po czym zostali szybko wciągnięci do środka przez Hana i Leię Solo. Sytuacja zaogniła się, kiedy oddział do zadań specjalnych SBGS próbował dokonać aresztowania dwójki Rycerzy Jedi, ale nie został wpuszczony do środka. Według naszych informacji Rada Jedi w tej właśnie chwili zastanawia się, czy ma obowiązek respektować taki nakaz. Za chwilę szczegółowa analiza precedensów oraz implikacji konstytucyjnych.

Obrazki na wideościanie zastąpiło zbliżenie zgniecionej limuzyny Jaga mknącej przez Plac Wspólnoty.

- Nikt nie odniósł obrażeń - ciągnął Needma - ale dyplomatyczny śmigacz został poważnie uszkodzony po tym, jak Jedi Warv pod wpływem środków uspokajających stracił przytomność i spadł na jego dach.

Leia zerknęła na wnuczkę i zobaczyła jej zatroskaną minę.

- Allano, wiesz, że Barv i Yaqeel nie chcieliby, żebyś się o nich martwiła, prawda?

Allana pokiwała głową.

- Pewnie, że tak. To moi przyjaciele.

- Dlaczego czuję, że nadciąga jakieś potężne „ale”? - spytał Han, widząc marsową minę małej.

Allana nagrodziła go szerokim uśmiechem.

- Bo jesteś bardzo mądry, dziadku - powiedziała. - Może Barv nie chce, żebym się martwiła, ale nic na to nie poradzę. On i Yaqeel są moimi przyjaciółmi.

- Ja też się martwię, skarbie - przyznała Leia. - Ale musimy przestać się przejmować.

Mistrzynie Cilghal robi wszystko, żeby pomóc Barwowi i innym chorym Rycerzom Jedi, a nie ma nikogo, kto znalazłby się na tym lepiej. Coś wymyśli.

Te zapewnienia nie rozwiały jednak do końca wątpliwości Allany.

- Chyba że Rada Jedi wyda ich Daali.

Leia chciała powiedzieć, że Mistrzowie nigdy by tego nie zrobili, ale się powstrzymała. To oczywiście nie byłoby prawdą. Rada nie obradowałaby do tej pory, gdyby Mistrzowie przynajmniej nie rozważali wydania Bazela i Yaqeel Daali, a Allana była na tyle bystra, że musiała zdawać sobie z tego sprawę.

Leia spojrzała na Hana, ale nie znalazła wsparcia. Niedawno chciał wtargnąć na zebranie, żeby oni też mogli zająć stanowisko w sprawie. Leia upierała się jednak, że ich obecność będzie tylko niepożądanym zakłóceniem obrad i że muszą wierzyć, iż Kenth i pozostali Mistrzowie sami będą umieli podjąć właściwą decyzję. Teraz, po pięciu godzinach niepewności, zaczynała się zastanawiać, czy dobrze zrobiła.

Leia nie miałaby za złe Hanowi, gdyby zostawił ją samą sobie i przyglądał się z rozbawieniem, jak próbuje znaleźć odpowiedź, która uspokoiłaby Allaną. I może gdyby chodziło o coś mniej ważnego niż ich wnuczka, tak właśnie by zrobił. Było jednak parę spraw, z których Han Solo nigdy nie żartował i Allana była jedną z nich.

Po chwili milczenia ścisnął wnuczkę za ramię i powiedział:

- Posłuchaj, nawet jeśli Rada Jedi wyda Barva Daali, to nie na zawsze. Zrobimy wszystko co się da, żeby go wyciągnąć. W porządku?

- Obiecujesz? - upewniła się Allana. - Będziemy się starać tak mocno jak Mistrz Horn i jego żona, prawda? Wszyscy wiedzą, że oni się nie poddadzą, dopóki nie odzyskają Valina i Jyselli.

- Tak, równie mocno - potwierdziła Leia. - I my też się nie poddamy.

- Masz na to nasze słowo, mała - dodał Han.

Leia wyzbyła się wszelkich wątpliwości co do tego, czy powinni pozwalać Allanie oglądać wiadomości. Wychowywali z Hanem nie tylko swoją wnuczkę. Wychowywali następczynię hapańskiego tronu. Leia nie wyobrażała sobie lepszego sposobu na przygotowanie Allany do jej przyszłej roli niż pokazanie jej, jak Han i Leia Solo radzą sobie z niepewnością i przeciwnościami losu.

- A kiedy twój dziadek postanawia coś zrobić - dodała Leia - niełatwo go powstrzymać.

- Jasne - powiedziała Allana, kiwając głową. - Jest uparty jak ronto w czasie godów.

Han prychnął, a Leia uniosła brew.

- Gdzie to usłyszałaś? - spytała.

- Mistrz Durronek tak powiedział - odparła Allana, zaniepokojona. - A bo co? Co to są gody?

- To jest wtedy, jak żyjesz z kimś bardzo długo - wyjaśnił Han. Kiedy Leia odetchnęła z ulgą, spojrzał na nią i mrugnął. - Myślisz, że Kypowi chodziło o coś innego?

- Ależ skąd - odparła Leia. - O cóż innego mogłoby mu chodzić?

Allana popatrzyła badawczo najpierw na nią, a potem na Hana.

- Nie jestem małym dzieckiem. Mama nauczyła mnie rozpoznawać, kiedy ktoś buja.

Mogliście po prostu powiedzieć, że wytłumaczycie mi później.

Leia się uśmiechnęła.

- I tak właśnie zrobimy.

- Kiedy skończysz pięćdziesiąt lat - dodał Han.

Allana przewróciła oczami i spojrzała z powrotem na wideościanę, na której widać było teraz Melari Ruxon i Reeqa Swena, wychodzących ze Świątyni bez płaszczy i mieczy świetlnych.

- Wygląda na to, że kryzys odbija się także na morale Jedi - donosił Needma. - Wkrótce po tym incydencie widziano dwoje uczniów opuszczających Świątynię. W wywiadzie, jakiego udzielili później redaktorowi Javisowi Tyrrowi, przyznali, że wystąpili z Zakonu. W dalszej części programu będziemy się zastanawiać, czy ich krok ma być ostrzeżeniem dla Daali i jak masowe odejścia Jedi mogą wpłynąć na stabilność rządu. Porozmawiamy także o zaskakującym wystąpieniu przywódczyni Sojuszu, która stwierdziła, że Jedi, podobnie jak wysocy stopniem wojskowi, podlegają władzom nawet po odejściu ze służby.

Obraz Melari i Reeqa zastąpiło ujęcie Tahiri Veili w porażających kajdankach, prowadzonej pod strażą do Galaktycznego Centrum Sprawiedliwości. Han poderwał się z kanapy, krztusząc się i plując gorącą czekoladą; Leia swoją po prostu upuściła.

- Co, u licha? - wykrzyknął Han w kierunku wideościany. - Teraz posunęli się za daleko!

- Dawna adiutantka zbuntowanego Jedi, a później Lorda Sithów, Jacena Solo, została aresztowana pod zarzutem zbrodni przeciw galaktyce - relacjonował Needma. - Tahiri Veila, która sama była w przeszłości Rycerzem Jedi, została oskarżona o popełnienie kilku zbrodni w czasie niedawnej wojny domowej, między innymi o zamordowanie lubianego przywódcy Szczątków Imperium, Wielkiego Admirała Gilada Pellaeona. W dalszej części programu przedstawimy pełną listę zarzutów.

- Nie mogę tego słuchać. - Han wskazał na pilota w dłoniach Allany. - Wyłącz to, kochanie.

Allana wycelowwała pilota w receptor urządzenia i wideościana zamieniła się z powrotem w transpasterowy iluminator, wychodzący na Plac Wspólnoty i Galaktyczne Centrum Sprawiedliwości. Han stał przez chwilę bez ruchu, kipiąc z gniewu, po czym odwrócił się twarzą do Leii.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, odezwała się Allana:

- Nie rozumiem. Czy admirał Pellaeon zabił ktoś inny?

- Nie, skarbie - odparła Leia. - Było wielu świadków i wszyscy mówią, że zrobiła to Tahiri.

- Więc czemu nie powinna stanąć przed sądem?

Leia spojrzała na Hana, szukając pomocy, jednak on wciąż zgrzytał zębami i kręcił głową.

Popatrzyła ponownie na Allanę.

- To skomplikowana sprawa - powiedziała. - Niestety w czasie wojen ginie wiele osób.

Wiesz o tym.

Allana pokiwała głową.

- Z rąk żołnierzy - zauważyła. - Wrogów. Ale myślałam, że Tahiri była po stronie mojego ojca.

- Przez większą część wojny, tak - przyznała Leia. - Ale pod koniec już nie.

- Ale kiedy Tahiri zabiła admirała Pellaeona, była po stronie mojego ojca, prawda? I admirał Pellaeon też.

- Niezupełnie - powiedziała Leia. - Admirał Pellaeon nie był wtedy właściwie po niczyjej stronie.

- Więc nie brał udziału w wojnie?

- Oficjalnie nie - odparła Leia. - Z tego co wiemy, cały czas zastanawiał się, po której stronie chce być.

- Więc Tahiri nie powinna go zabijać - nie dawała za wygraną Allana. - Nie można atakować kogoś, kto nie bierze udziału w wojnie.

Leia uśmiechnęła się i pokręciła głową, podziwiając żelazną logikę swojej wnuczki. Allana zaczęła ją przekonywać, że Tahiri naprawdę powinna stanąć przed sądem. Leia podniosła swój kubek z podłogi, a potem zawołała C-3PO, żeby zyskać na czasie.

- Będiesz kiedyś świetną królową matką, Allano - odezwała się w końcu. - Zadajesz bardzo wnikliwe pytania.

Allana, promieniejąc z dumy, powiedziała:

- Potrafię rozpoznać procę Solo, babciu. Nie próbuj mnie zbyć pochlebstwami.

To sprawiło, że Hanowi minął napad złości.

- Zagięła cię, babciu.

Popatrzył na gorącą czekoladę, którą opryskał białe urządzenie pokoju, po czym wzruszył ramionami, wychylił to, co zostało w kubku i odwrócił się ponownie w stronę Allany.

- To jest tak, mała. Wiesz, kim są szpiegzy, prawda?

W oczach Allany pojawiła się nieufność i odrobina lęku, a leżąc na jej kolanach Anji podniosła się i wygięła grzbiet w pałąk. Dziewczynka odstawiła ostrożnie swój kubek na stół i pokiwała głową.

- Wiem.

Han przybrał zbolaną minę, ale ciągnął dalej.

- Tak myślałem. No więc Tahiri tak jakby szpiegowała na rzecz Jacena. A kiedy się dowiedziała, że admirał Pellaeon nie chce przystąpić do wojny po jego stronie, Jacen wydał jej rozkaz.

- Zabicia admirała Pellaeona?

- Właśnie - potwierdziła Leia, po raz kolejny zdumiona, ale uradowana, że Han tak dobrze rozumie się z ich wnuczką. - Tahiri wykonywała rozkazy jak każdy żołnierz.

Allana cały czas miała zmarszczone brwi.

- Czy żołnierze zawsze wykonują rozkazy?

- Prawie zawsze - powiedział Han. - Muszą mieć naprawdę ważny powód, żeby nie wypełnić rozkazu.

Allana zastanawiała się przez chwilę, po czym spojrzała na dziadka, przechylając głowę.

- W takim razie ty musiałeś mieć mnóstwo naprawdę ważnych powodów, kiedy byłeś żołnierzem.

Leia parsknęła głośnym śmiechem. Nachyliła się i zmierzwiła czarne włosy wnuczki.

- Nawet nie masz pojęcia ile, kochanie.

- Tak, ale zawsze robiłem co trzeba - odparł Han. Puścił oko do Allany. - Zresztą nikt nie kocha potakiwaczy.

Allana pokiwała z powagą głową.

- Mama też tak mówi - przyznała. - Pewnie dlatego ciągle jest taka samotna. Wszyscy

Hapanie są potakiwaczami.

Leii stanęła nagle przed oczami smutna wizja przyszłości jej wnuczki: uśmiechnięta rudowłosa kobieta stojąca przy białym tronie, otoczona istotami wszelkich ras - Bothanami i Huttami, Ishi Tibami i Kalamarianami, a nawet ludźmi i Squibami - a jednak w jakimś sensie wciąż sama. Nie było przy niej żadnego mężczyzny, nikogo takiego jak Han Solo, do kogo mogłaby się zwrócić po pociechę czy wsparcie. Allana Solo miała żyć w czasach niespotykanego pokoju i harmonii, w okresie dobrobytu dla wszystkich ras Galaktycznego Sojuszu. Ale to ona miała stać na straży tego pokoju i to do niej miała się zwracać reszta galaktyki w obliczu jego zagrożenia.

Oboje Solo przygotowywali ją do tej roli. Leia zrozumiała w trakcie ich krótkich wizyt u Tenel Ka, jak samotne może być takie życie, jak męczący i przerażający jest każdy jego dzień. Nie wiedziała natomiast, czy ma odwagę skazać Allaną na taką przyszłość, na życie, w którym jej słowo miało decydować o losach światów.

- ...prawda, Leio?

Wyrwana z zamyślenia, Leia zdobyła się na uśmiech i skinęła głową.

- Eee... skoro tak twierdzisz, kochanie.

Han zmarszczył brwi, zdziwiony i rozdrażniony.

- No pewnie. W końcu mówimy o jej dziadku.

- No tak. Książę Isolder był dobrym człowiekiem - powiedziała Leia. - I niezależnym.

Han pokręcił z irytacją głową i zaczął wymawiać Leii, że nie słucha, ale Allana weszła mu w słowo:

- To nic, dziadku. Ty też nie zawsze słuchasz babci.

Wyraz twarzy Hana zmienił się z gniewnego w pełen poczucia winy, a Leia poklepała wnuczkę po plecach.

- Niezły z ciebie rozjemca - zauważyła. - Zawsze taka bądź, dobrze?

- Dobrze, babciu - powiedziała Allana. - Ale o czym myślałaś? Byłaś taka smutna.

Leia zawahała się, przerażona perspektywą ukrywania swojej wizji przed Allaną. Na szczęście w samą porę zjawił się C-3PO i uchronił ją przed tą koniecznością.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale... - Threepio zatrzymał się trzy kroki od wejścia i powiódł fotoreceptorami po zalanych czekoladą kanapie, stoliku i podłodze. - Och, jej. Widzę, że panienska Allana znów rozlała gorącą czekoladę.

- Hej, to wcale nie ja! - Allana rzuciła w niego swoim kubkiem, rozlewając jeszcze więcej czekolady na kanapę.

- Obawiam się, że tym razem to my z Hanem jesteśmy winowajcami - przyznała Leia. - Gdzieś ty był? Wzywałam cię z pięć minut temu.

- Najmocniej przepraszam, księżniczko Leio. Odbierałem połączenie na bezpiecznym holołączu. - Android wskazał na pokój w końcu korytarza. - Wynn Dorvan chciałby rozmawiać z panią lub z kapitanem Solo. Próbowałem wytłumaczyć, że w czasie Przeglądu Wydarzeń Perrego Needma z nikim państwo nie rozmawiają, ale bardzo naciskał. Twierdzi, że zignorowali państwo jego wiadomość.

- Ten Wynn Dorvan? - spytał Han.

- Osobisty asystent Natasi Daali? - dodała Leia.

- Tak, właśnie o niego chodzi - potwierdził C-3PO. - Chociaż w pełni rozumiem państwa niepewność. Na Coruscant zameldowanych jest ponad sto siedemdziesiąt tysięcy Wynnów Dorvanów.

Han i Leia wymienili zaintrygowane spojrzenia. Znali Wynna Dorvana z czasów Nowej Republiki. Jako wicedyrektor rezerw tenolodium wykrył malwersacje, jakich dopuszczał się jego przełożony. Zamiast domagać się swojej działki - jak zrobiłoby wielu biurokratów na jego miejscu - poinformował o sprawie, narażając własne życie, przywódczynię Nowej Republiki, którą była wówczas Leia. Potem dzięki swojej reputacji wspinał się powoli po szczeblach kariery. A teraz był osobistym asystentem Daali.

- Czy mam powiedzieć panu Dorvanowi, że skontaktują się z nim państwo po programie Perrego Needma?

- Nie, porozmawiamy z nim teraz - zdecydowała Leia, ruszając korytarzem. - Zostań z Allaną.

- I wezwij Ess-Nine - dodał Han, wskazując ręką na ślady po czekoladzie. - Jak się tego nie wywabi od razu, to zostaną plamy.

Leia poszła przodem do dodatkowej sypialni, która służyła im za centrum komunikacyjne, i od razu podeszła do niewielkiej jednostki hololączności w rogu. Nad holoprojektorem unosiła się głowa wielkości pięści, należąca do niepozornego mężczyzny, który miał jedyną godną uwagi cechę: każdy kosmyk jego brązowych włosów był na swoim miejscu.

- Witaj, Wynn - powiedziała Leia, krzyżując ręce na piersi. - HoloNet to raczej kosztowny sposób na skontaktowanie się z kimś, kto znajduje się w innej części miasta, nie uważasz?

- Dlatego nikomu nie przyjdzie do głowy go monitorować - odparł Dorvan. - Czy łącze jest zabezpieczone od waszej strony?

- Zabezpieczone, a sygnał zakodowany - zapewnił go Han. - O co chodzi? Jeśli Daala chce przekazać jakieś nieoficjalne informacje na temat tych nakazów...

- Prawdę mówiąc, Daala nic o tym nie wie - przerwał mu Dorvan. - I mam nadzieję, że się nie dowie. Dlatego używam bezpiecznego hololącza.

- A więc słuchamy - powiedziała Leia. - Podobno twierdzisz, że zignorowaliśmy jakąś wiadomość od ciebie?

- Tak, na temat Mandalorian - odparł Dorvan. - Czy Jedi usiłują przekonać Daalę, że nie ma innego wyjścia? Jak tylko ci uczniowie opuścili Świątynię, poleciła mi zabezpieczyć środki na opłacenie całej kompanii. Mogę to przeciągać przez jakiś tydzień, bo Daala chce to zataić przed księgowymi, ale potem...

- Chwileczkę - wtrącił Han. - Kompanii? Chcesz powiedzieć, że Daala chce ściągnąć całą kompanię Mandalorian?

- No przecież mówię - odparł Dorvan. - Nie widzieliście się z Jaggedem Fel w ciągu ostatnich paru dni?

Han i Leia wymienili spojrzenia, a Leia zaczęła mieć złe przeczucia. Jag miał dosyć kategoryczne podejście do takich spraw jak honor i obowiązek, więc mógł uznać, że przekazywanie wiadomości od Dorvana postawi go w niezręcznej sytuacji.

- Ach, tę kompanię?

Dorvan opuścił głowę.

- A więc nic wam nie powiedział.

- Fel nie wydaje się najlepszym kandydatem na posłańca - zauważyła Leia. - Zwłaszcza jeśli jesteś gotów zaryzykować bezpośredni kontakt z nami.

Dorvan podniósł znowu wzrok.

- Właściwie to nie był posłańcem - wyjaśnił. - Postarałem się tylko, żeby usłyszał o planach Daali, po prostu żeby nie musiał narażać swojej posady i wolności, kontaktując się z wami bezpośrednio. Mając na uwadze związek Fela z waszą córką...

- ...zakładałeś, że zrobi co należy - dokończył Han surowym tonem. - Ja też.

Jednak Leia nie dała się tak łatwo przekonać.

- Wszystko pięknie, Wynn, ale możesz powiedzieć Daali, że nie daliśmy się nabrać.

Dorvan zmarszczył brwi.

- Na co nabrać?

- Na jej blef. - Leia nachyliła się bliżej do obiektywu holokamery, tak żeby jej twarz wydawała się większa na drugim końcu łącza. - Jesteś najuczciwszym biurokratą, jakiego znam. Nigdy byś nie zdradził Daali.

- A już na pewno nie za darmo. - Han przysunął się do Leii i rzucił jeden ze swoich kpiących półuśmiechów. - Tak jak powiedziała Leia: wszystko pięknie. Prawie się nabrałem.

Twarz Dorvana poczerwieniała.

- To nie jest żaden blef! - zawołał. - I nigdy nie zrobiłbym tego dla pieniędzy.

- Nie? - spytała Leia. - Więc dlaczego?

- Dla dobra Sojuszu, oczywiście! - odparował Dorvan. - Czy tylko ja myślę, że to byłaby

głupota ze strony Daali, gdyby doprowadziła do rozwiązania Jedi?

- A czy nie to właśnie stara się osiągnąć? - spytała Leia.

- Niewątpliwie jest gotowa zaakceptować taki rozwój wypadków, jeśli będzie to konieczne.

Ale ona chyba autentycznie wierzy, że Zakon powinien znaleźć się pod kontrolą rządu. - Dorvan oblizał usta, po czym dodał: - I szczerze mówiąc, po ostatnich wydarzeniach zastanawiam się, czy nie ma racji.

- Więc dlaczego z nami rozmawiasz? - zapytał Han.

- Bo nawet jeśli Daala ma rację w tej kwestii, to myli się we wszystkich innych - wyjaśnił Dorvan. - Ona uważa, że Sithowie to nic innego jak Jedi w ciemnych szatach i że jedynym sposobem, żeby nie dopuścić do ich powrotu, jest wzięcie Jedi na rządową smycz.

- A ty tak nie uważasz? - spytała Leia.

- Czy podejmowałbym takie ryzyko, gdybym tak uważał? - oburzył się Dorvan. - Są w galaktyce mroczne sprawy, księżniczko, wiem o tym. I wiem też, że błędem przypisywanie tych spraw Rycerzom Jedi, którzy starają się nas przed nimi chronić.

Leia rozważała przez chwilę jego słowa.

- Powiedzmy, że ci wierzę i że Daala faktycznie zamierza sprowadzić Mandalorian. Co chcesz, żebym zrobiła z tą informacją?

- Wykorzystaj ją, księżniczko. - Twarz Dorvana zmniejszyła się, co oznaczało, że odsunął się od własnej holokamery. - Przekaż ją dalej i wykorzystaj.

ROZDZIAŁ 12

Dziesięć minut po tym, jak skończyli rozmawiać z Dorvanem, Han i Leia byli już na szczycie Świątyni Jedi i wysiadali z turbowindy w pokrytym białym kamieniem larmal holu. Ciężkie drzwi pancerne po jednej stronie prowadziły do sali taktycznej - supernowoczesnego centrum dowodzenia, pełnego wyświetlaczy taktycznych, przekazów z HoloNetu i stanowisk komunikacyjnych zgromadzonych w takiej liczbie, że większość okrętów flagowych Galaktycznego Sojuszu mogłaby się schować. Drzwi przeciwwłamaniowe po drugiej stronie broniły dostępu do gabinetu Wielkiego Mistrza, w którym Kenth Hamner dopiero ostatnio zaczął urzędować.

Mówiło się, że Kenth zajął gabinet niechętnie - i tylko dlatego, że trudno było doglądać spraw Zakonu z jego dotychczasowego pokoju piętro niżej. Han jednak tego nie kupował. Przeprowadzka Kentha była całkiem oczywistą próbą zaznaczenia swojej władzy jako zastępcy Luke'a. Ta próba nie mogła się jednak powieść, ponieważ Luke'a nie dało się zastąpić. Był tylko jeden Luke Skywalker i Zakon Jedi bez niego u steru nie mógł długo pozostać Zakonem.

Na wprost turbowindy znajdowały się bogato zdobione podwójne drzwi prowadzące do sali Rady. Wejścia pilnowała zawsze dwójka uczniów, ale tego dnia nadzorował ich wysoki Rycerz Jedi o brązowych włosach, pociągłej twarzy i ciemnych, przesywających oczach. Sama obecność Rycerza Jedi wskazywała, że Mistrzowie nie chcą, by im przeszkadzać; fakt, iż tym Rycerzem był Jaden Korr, mówił Hanowi, że ktoś - z pewnością Kenth Hamner - nie chciał, żeby przeszkadzali im przede wszystkim Solo.

Han nachylił się do Leii i szepnął jej do ucha:

- Powinniśmy byli zabrać Allanę.

- Jest z Threepio i Artoo, nic jej nie będzie - stwierdziła Leia. - Threepio sam jest już praktycznie droidem niańką, a zresztą zabawimy tu nie dłużej niż parę minut.

Han pokręcił głową.

- Skoro tak długo dyskutują, może być trudno ich przekonać.

- Han, przecież coś ustaliliśmy - przypomniała mu Leia. - Nie przyszedliśmy tu rozmawiać o nakazach aresztowania.

- Tak, wiem - odparł Han. - Ale jak już tu jesteśmy, to możemy o tym wspomnieć.

Leia westchnęła z irytacją, ale Han wybrał odpowiedni moment - zanim zdążyła go przestrzec, żeby nie podważał władzy Kentha, Jaden Korr stanął przed nimi, zagradzając im drogę.

- Jedi Solo - powiedział Korr. Przeniósł wzrok na Hana. - Kapitanie Solo. Przykro mi, ale Rada wydała ścisłe instrukcje, żeby nikogo nie wpuszczać.

- Założę się, że wymienili nas z nazwiska - wyraził przypuszczenie Han.

Korr się uśmiechnął.

- Prawdę mówiąc, kapitanie Solo, owszem.

- A skoro o tym wiemy - wtrąciła Leia - to rozumiesz chyba, że nie byłoby nas tutaj, gdyby nie chodziło o coś niezmiernie ważnego.

- Mimo wszystko mam swoje rozkazy - uparł się Korr. - I uczulano mnie szczególnie na wasz dar przekonywania.

- Tak, ale jesteś też Rycerzem Jedi - zauważył Han - a to oznacza, że powinieneś umieć podejmować własną inicjatywę.

- Oczywiście.

- Teraz właśnie przyszedł na to czas, Jedi Korr - oznajmiła Leia. - Weszliśmy w posiadanie pewnych informacji, które Mistrzowie muszą usłyszeć, zanim podejmiemy ostateczną decyzję w sprawie Barva i Yaqeel.

Wyraz zdecydowania na twarzy Korra zaczął słabnąć, ale jego przenikliwy wzrok utkwiony był cały czas w Hanie - z pewnością dlatego, iż wiedział, że w jego aurze w Mocy łatwiej będzie odczytać prawdę.

Po chwili Korr westchnął i odwrócił wzrok.

- No dobrze, przekażę waszą wiadomość, chociaż nawet tego nie powinienem robić. Wielki Mistrz Hamner powiedział...

- Wielki Mistrz Hamner? - wykrzyknął Han. - Chyba mi nie powiesz, że Mistrzowie naprawdę tak do niego mówią?

- Od jakichś dwóch godzin, kiedy Mistrz Katarn wyszedł na przerwę - potwierdził Korr. - Powiedział, że nadeszła pora, żeby Mistrzowie dali właściwy przykład całemu Zakonowi.

- Domyślam się, czy to pomysł - powiedziała Leia zjadliwym tonem. - Co za bezczelność.

Korr pokiwał głową, ale dodał:

- Czy wspominałem, że to tymczasowe? Widocznie Rada uważa, że Mistrz Hamner może zyskać nieco większy posłuch u... no cóż, u was, jeśli Mistrzowie okażą mu poparcie.

- Rada tak uważa? - Han zerknął z niepokojem na Leię. Jeśli Kenth zdołał przekonać Mistrzów, żeby nazywali go „Wielkim”, to pewnie miał też wystarczające poparcie, żeby przeforsować wydanie chorych Jedi Daali. - Czy może Kenth?

Korr wzruszył nerwowo ramionami.

- Czy to ważne? - Spojrzał na Leię. - Mówiłaś, że macie jakieś ważne informacje?

Leia popatrzyła na Hana, jakby sugerując, żeby to on je przekazał, a jej mąż wiedział, że doszła do takiego samego wniosku co on. Musieli koniecznie dostać się do środka i naświetlić Radzie sytuację.

Han rzucił znaczące spojrzenie w kierunku dwojga uczniów stojących za plecami Korra, po czym dał mu znak ruchem głowy, żeby odszedł z nim na bok. Korr uniósł brew, ale poszedł za nim. Han objął Rycerza Jedi ramieniem i nachylił się do niego, pilnując, żeby był cały czas odwrócony tyłem do drzwi.

- Nie mogę ci powiedzieć skąd, ale wiemy to z pewnego źródła - przemówił Solo ledwo słyszalnym głosem, tak żeby Korr musiał się skoncentrować na nim, a nie na tym, co działo się za jego plecami. - Daala planuje ściągnąć Mando.

Korr otworzył szeroko oczy.

- Mandalorian? - wykrztusił. - Superkomandosów?

Han zrobił pogardliwą minę.

- Daj spokój - powiedział. - Ci goście nie potrafią nawet uzgodnić koloru zbroi. Co w nich takiego „super”?

To wywołało uśmiech na twarzy statecznego zazwyczaj Jedi.

- Może umiejętność przegrzewania naszych silników odrzutowych? - Pokręcił z niedowierzaniem głową. - Czy Daala chce nas sprowokować?

- Nie sędzę - odparł Han. - Damulka jest po prostu stuknięta i wydaje się jej, że parę setek blaszanych kostiumów może naprawdę wystraszyć Jedi.

Korr wyraził prychnięciem swoje zdanie na temat takiej możliwości i zaraz usłyszał cichy szcęk zwalnianej zasuwy. Odwrócił się w stronę sali Rady w samą porę, żeby zobaczyć, jak Leia otwiera drzwi, podczas gdy dwójka stojących za nią uczniów - człowiek i Kalamarianka - protestuje, twierdząc, że nie mogą jej wpuścić do środka. Korr otworzył ze zdumienia usta, potem zamknął je ze złością wreszcie wykrzywił w pełnym zakłopotania grymasie. Spojrzał na Hana, trochę tylko nachmurzony.

- Wiedziałem, że to zrobi - burknął.

Han poklepał go po plecach.

- Skoro tak twierdzisz, Jaden.

- No cóż... i tak bym was wpuścił. - Korr ruszył w stronę drzwi. - Rada musi się o tym dowiedzieć.

- Jasne - zgodził się Han, idąc obok niego. - Choćby po to, żeby się pośmiać.

Korr za to nawet się nie uśmiechnął.

- Co jest takiego zabawnego w zabijaniu Mandalorian, kapitanie Solo?

Zatrzymał się przy drzwiach, żeby zapewnić dwójkę uczniów, że nikt nie oczekiwał, żeby powstrzymali Leię Solo siłą, po czym weszli razem z Hanem do sali. Było to jasne, średniej wielkości pomieszczenie, eleganckie w swojej prostocie, z kręgiem wysokich foteli rozmieszczonych wzdłuż wykuszowego transpastalowego iluminatora. Miało to wywoływać u odwiedzających podświadome wrażenie, że Mistrzowie unoszą się ponad miastem. Każde miejsce było wyposażone w jednostkę holołączności, żeby w posiedzeniach mogli uczestniczyć także Mistrzowie przebywający akurat poza Świątynią, jednak tego dnia wszyscy - poza Lukiem, rzecz jasna - byli obecni osobiście.

W dodatku wyglądało na to, że wszyscy są wściekli jak sto diabłów. Saba Sebatyne siedziała nieruchomo na swoim miejscu, wodząc wąskimi źrenicami od jednego Mistrza do drugiego, a jej rozwidlony język przesuwiał się między wargami. Cilghal przycupnęła na krawędzi swojego fotela, a jej kalamariańska skóra była szkarłatna ze złości. Kenth Hamner i Kyle Katarn patrzyli na siebie gniewnie z przeciwległych stron kręgu, Kyp Durrone zaś stał, wymachując pięścią; jego siwiejące włosy były krótko i schludnie przycięte, za to pomięty brązowy płaszcz wyglądał tak, jakby Kyp w nim spał.

A Corran Horn... Corran wyglądał najokropniej ze wszystkich. Siedział odrętwiały w fotelu ze wzrokiem utkwionym w podłogę, jakby chciał skupić całą energię Mocy, jaką da radę zgromadzić, w tym jednym punkcie. Han mógł sobie tylko wyobrazić, jak Corran musi przeżywać tę debatę, słuchając, jak kilkunastu najpotężniejszych Jedi w galaktyce dyskutuje nie o tym, jak wyciągnąć dwoje jego chorych dzieci z karbonitu, tylko o tym, czy powinni wydać kolejną parę młodych Rycerzy Jedi w ręce tych, którzy zamrozili Valina i Jysellę.

Na miejscu Corrana Han nie przebywałby teraz w sali Rady, tylko siedział w jakimś magazynie, planując, jak wdrzeć się do placówki SBGS, gdzie przetrzymywano jego dzieci, i je stamtąd wyciągnąć. Corran jednak zawsze był typem praworządnego obywatela. Nawet teraz, kiedy rząd, któremu zawsze tak wiernie służył, zwrócił się przeciw jego dzieciom, wciąż starał się znaleźć rozwiązanie mieszczące się w granicach prawa. Han nie potrafiłby tak postępować, nie umiał tego nawet do końca zrozumieć, a jednak podziwiał przyjaciela. Corran był człowiekiem zasad i był tym zasadom wiemy, nawet kiedy stały się nożem wbitym w jego własne serce.

Kiedy Leia dotarła do wnęki mieszczącej fotele Mistrzów, zatrzymała się i skrzyżowała ręce na piersi, czekając w milczeniu, aż ktoś z kręgu zwróci na nią uwagę. Han i Korr zachowali się tak samo. Przeszkadzanie Mistrzowi Jedi w trakcie sporu z innym Mistrzem Jedi mogło się skończyć zakneblowaniem Mocą. Wprawdzie wyglądało, jakby Rada ich nie zauważyła, jednak Han dobrze wiedział, że każdy ze znajdujących się w sali Mistrzów zdawał sobie sprawę z ich nadejścia, zanim jeszcze Leia minęła uczniów.

Jednak ku zaskoczeniu Hana Mistrzowie nie dyskutowali już o tym, czy powinni respektować nakazy aresztowania. Spierali się o coś, co według niego powinno być oczywiste - czy

powinni wstawić się za Tahiri.

- ...zająć jej uwolnienia - mówił właśnie Kyp. - Tahiri odegrała kluczową rolę w bitwie o Shedu Maad. Gdyby do nas nie wróciła, stracilibyśmy cały kompleks hangarów.

- Nie jestem pewien, czy to równoważy niektóre z czynów, jakich się dopuściła w czasie wojny - powiedział Kenth. Zachowywał się powściągliwie, jednak Han nie potrzebował Mocy, żeby zorientować się po jego utkwionym w Kyle'u Katarnie wzroku, że dopiero co musiało dojść między nimi do nieprzyjemnej wymiany zdań. - Zamordowała Gilada Pellaeona, prawda?

- Wiele osób zabijało - odparł Kyle. Głos miał równie opanowany, ale cały czas patrzył Kenthowi w oczy. - A Cha Niathal? Odegrała nie mniej istotną rolę w zamachu stanu Jacena, a jakoś nikt nie wnosi przeciwko niej żadnych zarzutów. Akcja przeciwko Tahiri to pokazówka wymierzona w nas.

- Zgadza się z Mistrzem Katarnem - oświadczyła Cilghal. - Daala odebrała odejście Melari i Reeqa jako sygnał ostrzegawczy.

- Jak to? - spytał Kyp.

- Jedyną rzeczą, której Daala boi się bardziej niż niezależnego Zakonu Jedi, jest brak Zakonu - wyjaśniła Cilghal. - Odczytała więc te rezygnacje jako przestrożę: jeśli będzie kontynuować swoją politykę, to Jedi się rozwiążą i rozproszą po galaktyce jako niezależni agenci. Wtedy nikt nie będzie w stanie nas kontrolować.

Kyp się uśmiechnął.

- Niezły pomysł, jak się nad tym zastanowić.

- Fatalny pomysł - burknął Kenth, odwracając w końcu wzrok od Kyle'a. - Jak według ciebie mielibyśmy wtedy cokolwiek zdziałać?

- W dodatku wciąż mamy dziesiątki Rycerzy Jedi, którzy ukrywali się za młodu w Schronisku - zauważyła Cilghal. - Jeśli rozwiążemy Zakon...

- Spokojnie - wtrącił Kyp, machając rękami. - To był żart, w porządku?

Oczy Cilghal zwięzły się nieznacznie, ale Kalamarianka skłoniła tylko głowę.

- Oczywiście, wybacz. - Odwróciła się w stronę pozostałych Mistrzów. - A może gdybyśmy wysłali Leię, żeby wyjaśniła...

- Nie. Niczego Daali nie będziemy wyjaśniać. - Powiedział to Corran, chociaż wzrok wciąż miał utkwiony w podłodze. - To by oznaczało, że Zakon przed nią odpowiada. A kiedy do tego dojdzie, to nie tylko uczniowie zaczną odchodzić.

Nad kręgiem zapadła pełna powagi cisza; to Mistrzowie rozważali jego słowa.

- Missstrz Horn ma rację - wysyczała w końcu Saba Sebatyne. - Zakon Jedi to nie stado thedyklae. Jesteśmy shartuukami.

Kyp spojrział na nią z wyraźną konsternacją.

- Eee, jasne - powiedział. - A co to jest shartuuk?

- Zwierzę stróżujące - wyjaśniła Saba. - Ssstrzeże legowisska przed zo'oxi i tamoggami.

- A, to wszystko jasne - odparł Kyp, przewracając oczami, po czym zapytał: - A zo'oxi i tamoggi to czym są właściwie?

- Ssą zawsze głodne. - Saba nachyliła się do przodu i postukała pazurem w iluminator, wskazując na ledwo widoczny srebrzysty, cylindryczny gmach Galaktycznego Centrum Sprawiedliwości po drugiej stronie Placu Wspólnoty. - Jak każdy tyran.

Kyp pokiwał głową.

- Aha, oczywiście. - Odwrócił się ponownie w stronę Cilghal. - Nie możemy tego wyjaśnić Daali. My jesteśmy shartuukami, a ona zo'oxi.

- Tamoggiem - sprostowała Saba. - Zo'oxi to passsożyty ssskóry. Shartuuk je zjada.

- No, nie wiem - zastanowił się Kyp. - Opis zo'oxi pasuje do większości polityków, jakich...

- W każdym razie - wtrąciła Cilghal - jesteśmy shartuukami, a shartuuki nie wyjaśniają. Co zatem możemy zrobić w sprawie Tahiri?

- No cóż, ona nie jest już Jedi - zauważył Kenth. - A to oznacza, że nie możemy się niczego domagać w jej imieniu.

- Zresztą nawet gdybyśmy próbowali, Daala i tak by nas nie posłuchała - dodał Kyle. - Ale

możemy i powinniśmy ją wspierać. I będę przy tym obstawał.

- Ona też - zgodziła się Saba. - Zakon wysłał Nawarę Vena, żeby ją reprezentował.

- I podsunie paru przedstawicielom mediów myśl, że istnieją różnice w traktowaniu jej i Cha Niathal - zaproponował Kyle. - Może nawet dostarczymy nieco informacji na temat współpracy Niathal i Daali po bitwie o Fondor.

- Dobrze - zgodził się Corran. - W ten sposób wyrzemy presję na Daali, żeby odpuściła Tahiri.

Kiedy nikt nie wyraził sprzeciwu, Kenth westchnął przeciągle.

- Zgoda.

Po raz pierwszy, odkąd Solo weszli do sali, Corran podniósł wzrok i skierował go na Jadena Korra.

- A teraz, Jedi Korr, może zechcesz nam wyjaśnić, dlaczego zignorowałeś rozkazy i pozwoliłeś państwu Solo nam przeszkodzić?

Korr poczerwieniał, ale spojrzał Corranowi w oczy i powiedział:

- Przepraszam, Mistrzu Horn. Nie miałem wyjścia.

- Oczywiście, że nie miał. - To powiedział dawny Mistrz Korra, Kyle Katarn. Spojrzał na Kentha i dodał: - Mówiłem ci, żebyśmy poszli gdzie indziej, Wielki Mistrzu Hamner.

W głosie Kyle'a było tyle sarkazmu, że Kenth zacisnął mocno zęby.

- Następnym razem tak zrobimy - odparł. - Ale skoro już tu są, to może zechcesz poinformować ich o naszej decyzji w kwestii nakazów?

Hanowi serce podeszło do gardła.

- Co? - warknął i ruszył bez namysłu naprzód, ale Leia złapała go za rękę i przytrzymała. - Już zdecydowaliście?

- Obawiam się, że tak - potwierdził Kyp. Ruszył w stronę Hana. - I była to trudna decyzja...

- Ale chyba jeszcze tego nie zrobiliście? - zapytał Han, coraz bardziej zdesperowany. Skoro Kyle Katarn tytułował Kentha „Wielkim Mistrzem” w zaciszu sali Rady, to Bazel i Yaqeel mogli już wisieć u Daali na ścianie. - Jest coś, o czym koniecznie musimy wam najpierw powiedzieć.

- Szczerze w to wątpię - odparł Kenth. Wziął głęboki oddech, wstał i wyszedł na środek kręgu. - Hanie, Leio... wiem, jak bardzo przejmujecie się losem wszystkich naszych Rycerzy Jedi dotkniętych chorobą, i chyba nawet rozumiem dlaczego. Ale Luke'a teraz tu nie ma, więc musicie respektować hierarchię dowodzenia. Wasze zachowanie zaczyna być szkodliwe i nie zmieni naszych decyzji.

- Jest coś, co może zmienić - stwierdziła Leia. W jej głosie było mnóstwo tłumionego gniewu; kiedy puściła Hana i ruszyła naprzód, mąż złapał ją za rękę. - Właśnie się dowiedzieliśmy, że Daala chce wynająć kompanię Mandalorian.

Kenth zatrzymał się trzy kroki od nich.

- Kiedy?

- Tego jeszcze nie wiemy - powiedział Han. Chociaż był wściekły na Kentha, podziwiał jego wewnętrzną dyscyplinę i koncentrację. Hamner nie tracił czasu na podawanie ich słów w wątpliwość ani nie zadawał głupich pytań w rodzaju „po co?”. Przeszedł od razu do istotnych szczegółów. - Dopiero zbiera pieniądze. Ale naprawdę chce to zrobić.

- Rozumiem. Możecie nam powiedzieć coś więcej?

- Obawiam się, że nie - odpowiedziała Leia. - Ale nasz informator ma trzymać rękę na pulsie. Jak tylko się czegoś dowiemy, od razu wszystko wam przekazemy.

- Dziękuję - powiedział Kenth, nie próbując nawet pytać o tożsamość ich informatora ani kwestionować jego wiarygodności. Zawrócił w stronę kręgu Mistrzów. - Niewątpliwie mamy coś jeszcze do...

- Hej, chwileczkę - wtrącił Han. - A co z Barvem i Yaqeel? To chyba zmienia ich sytuację?

Kenth zatrzymał się, popatrzył przez chwilę w sufit, po czym pokręcił głową.

- Nie, nie sędzę. - Spojrzał po pozostałych Mistrzach. - Czy ktoś uważa, że powinniśmy ponownie rozpatrzyć decyzję w sprawie nakazów?

Mistrzowie pokręcili zgodnie głowami - nawet Corran Horn.

- Chyba żartujecie! - zaprotestował Han. - Nie możecie ich tak po prostu wydać!

Pierwszą wskazówką, że źle zinterpretował sytuację, był głośny syk dochodzący z miejsca zajmowanego przez Sabę Sebatyne.

- Och, kapitanie Solo! - Klepnęła potężną, pokrytą łuską dłonią o kolano, po czym wychrypiała: - Tak łatwo można tobą manipulować!

Han zmarszczył brwi i obejrzał się na Leię, która rozłożyła tylko bezradnie ręce. Wyglądała na jeszcze bardziej zdezorientowaną niż on.

Po chwili odezwał się Kenth:

- Rada doszła do... porozumienia, które, jak wszyscy wierzymy, będzie korzystne dla Zakonu Jedi i dla pacjentów. - Spojrzał na Sabę. - Mistrzynie Sebatyne, może zechcesz wyjaśnić, czego Zakon oczekuje od państwa Solo?

Saba skłoniła okrytą pancerzem głowę.

- Oczywiście, Wielki Mistrzu Hamner. - Podniosła wzrok na Leię. - Jedi Solo, Rada chciałaby, żebyś skontaktowała się z królową matką Tenel Ka. Musimy ją poprosić o wielką przysługę.

ROZDZIAŁ 13

Jaina nie zdawała sobie sprawy z niezwykle złożonej konstrukcji droida czyszczącego, dopóki sama nie rozebrała go na części. Na długim stole laboratoryjnym porzucane były pachnące mydłem rozpylacze, opryskiwacze, szczotki, głowice polerujące, dysze ssące, dezintegratory, infrasuszarki, płytki logiczne i dziesiątki innych elementów na wpół zminiaturyzowanego sprzętu, które wydawały się całkowicie zgodne z funkcją droida. Jedyną rzeczą, która okazała się do niej nie pasować - gdy tylko Jaina odkryła jej prawdziwą naturę - był maleńki droid pasożyt, którego znalazła w systemie sterowania robota.

Zakamuflowany jako moduł analizy i wywabiania plam, pasożyt był cudem techniki szpiegowskiej, tak sprytnie zaprojektowanym, że trudno było mieć pretensje do ochrony Świątyni o przeoczenie go. Pasożyt nie miał własnego obiektywu czy mikrofonu, lecz wykorzystywał foto- i audioreceptory droida czyszczącego. Nie potrzebował nawet nośnika danych. Zamiast tego nadpisywał cały bank danych nosiciela, wykorzystywany do rozpoznawania plam, a następnie wydzieliał tę część czipu na własny użytek. Aby przesłać dane, pasożyt czekał po prostu, aż znajdzie się w pobliżu otwartych drzwi, po czym wprowadzał skompresowane informacje - kodowane tak, żeby brzmiały jak zwykłe zakłócenia - do kanału łączności droida czyszczącego. Tyle Jaina zdążyła ustalić.

Nie wiedziała natomiast, jakim cudem Javis Tyrr wszedł w posiadanie sprzętu tej klasy. Droid pasożyt był niewątpliwie supernowoczesnym urządzeniem, takim, którego wyprodukowanie kosztowało miliony - prawdopodobnie dziesiątki milionów - kredytów. Dziennikarze po prostu nie mieli do dyspozycji takich środków, zwłaszcza trzeciorzędne pismaki w rodzaju Tyrra.

Jaina wypięła bardzo jej potrzebny łyk kawy. Błądziła wzrokiem po stole, zastanawiając się, kto mógłby mieć wystarczające środki, żeby zdobyć wysoce profesjonalny sprzęt szpiegowski, a także interes w tym, żeby powierzyć go Tyrrowi. Jedną z możliwych odpowiedzi była Daala, jednak jej współpraca z Tyrrem wydawała się mało prawdopodobna, choćby dlatego, że Tyrr krytykował ją równie ostro jak Jedi.

Za plecami Jajny rozległ się cichy brzęczyk. Obróciła się na stolku, żeby zobaczyć, co tym razem znalazł dla niej komputer... i dostała odpowiedź.

Na monitorze zobaczyła wizualne porównanie dwóch zminiaturyzowanych czipów logicznych. Ten po lewej pochodził z droida pasożyta. Czip po prawej był częścią aparatury podsłuchowej, zdobytej pod koniec ostatniej wojny domowej, kiedy to Jedi dokonali abordażu „Anakina Solo”. Według podpisu widniejącego pod obrazem aparatura została znaleziona w tymczasowej kwaterze jednego z Imperialnych, którzy przebywali wówczas na pokładzie, niejakiego moffa Lecersena.

Jaina poczuła nagły ucisk w brzuchu. Zobaczyła w swojej dłoni komunikator, chociaż nawet nie pamiętała, żeby po niego sięgała. Wstukała kod szybkiego połączenia z Jagiem i odczekała z rosnącą wściekłością pięć sekund, które minęły, nim się zgłosił.

- Miło cię słyszeć - powiedział, nie pozostawiając wątpliwości, że jego asystent sprawdził kto to, zanim podał mu komunikator. - Musimy się streszczać. Jesteśmy w drodze na...

- Odwołaj - zażądała Jaina. - Musimy porozmawiać.

- Jaina, nie mogę. Dała mnie oczekuje.

- Nieważne, nawet gdyby sam Imperator zmartwychwstał, żeby się z tobą spotkać - warknęła Jaina. - Musisz to usłyszeć, i to natychmiast.

Jag zamilkł na chwilę, a potem zapytał:

- Co się stało?

- Powiem ci, jak przylecisz. - Jaina nie chciała mu dawać żadnej wskazówki; jeśli Lecersen pomógł Tyrrowi umieścić pluskwę w Świątyni Jedi, to równie dobrze mógł założyć podsłuch w limuzynie Jaga. - We wschodnim hangarze będzie na ciebie czekał uczeń.

Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź, a następnie połączyła się z dormitorium uczniów, żeby zorganizować eskortę dla Jaga. Starła się zachować trzeźwość umysłu pomimo wzbierającej w niej wściekłości. Po ostatniej wojnie domowej Lecersen i inni moffowie skwapliwie przyjęli wskazanego przez Jedi przywódcę; chcieli w ten sposób uniknąć egzekucji za zbrodnie wojenne, jakich się dopuścili, rozprzestrzeniając nanowirusa. Nigdy jednak nie zapomnieli upokorzenia, jakim było przyjęcie warunków podyktowanych przez Luke'a Skywalkera. A teraz dodatkowo podrażniła ich zdecydowana postawa nowego przywódcy, który postanowił położyć kres tradycyjnej korupcji w Szczątkach Imperium. Dlatego też Jaina nie miała wątpliwości, że to Lecersen stoi za tym podsłuchem. Zastanawiała się tylko, ile usłyszał i jakie szkody może to wyrządzić Jagowi i Jedi.

Odwróciła się znów przodem do stołu i wzięła do ręki maleńki moduł, który był powodem jej gniewu. Byłoby dobrze, gdyby udało jej się dowiedzieć, ile z ich rozmowy droid zdołał przekazać Javisowi Tyrrowi. Teraz, gdy dowiedziała się już czegoś na temat jego konstrukcji i pochodzenia, mogło się to nawet udać - ale nie bez pomocy. Wprawdzie Jaina miała talent do mechaniki, jednak rozpracowanie tak zaawansowanego urządzenia szpiegowskiego wymagało czegoś więcej niż talent. Gdyby coś sknociła, moduł z pewnością uległby samozniszczeniu.

Jaina potrzebowała pomocy Lowbacki. Wookie na pewno chętnie by jej pomógł, ale wówczas usłyszałby rozmowę o Daali i Mandalorianach. A jak mogła go prosić o dochowanie tajemnicy, jeśli nie była pewna, czy sama powinna jej dochować?

Od strony wejścia do laboratorium dobiegł cichy świst otwieranych drzwi. Jaina spojrzała na chronometr i stwierdziła, że od jej rozmowy z Jagiem minęło zaledwie pięć minut.

- No no, szybki jesteś - zawołała, wciąż przyglądając się droidowi. - Musiałeś być tuż...

Urwała w pół zdania, gdy wyczuła, kto tak naprawdę stoi w drzwiach. Aura, którą czuła w Mocy, nie należała do Jaga, tylko do jej rodziców. Oboje byli bardzo smutni i zdecydowanie wściekli. Jaina szybko odstawiła droida pasożyta na stół i odwróciła się akurat w chwili, gdy jej matka wchodziła do zagraconego laboratorium.

Oczywiście spojrzenie jej matki padło natychmiast na leżącą przed Jainą płataninę obwodów i przewodów.

- Co to? - Przebiegła wzrokiem po częściach droida czyszczącego. - Tu wygląda jak w twoim pokoju, kiedy miałaś dwanaście lat.

- Naprawdę miałam tam taki porządek? - Widząc, że żart nie rozładował atmosfery, Jaina wyjaśniła: - Chyba już wiem, jak Javis Tyrz zdobywał ujęcia ze Świątyni.

Rozumiała, że lepiej nie kręcić na temat droida. Wszelkie próby okłamania matki Jedi byłyby całkowicie pozbawione sensu - spowodowałyby tylko włączenie sygnałów alarmowych. A że chciała utrzymać sprawę Mandalorian w tajemnicy, powinna starać się sprawiać wrażenie rozluźnionej i po prostu unikać tematu.

- Pamiętacie tego robota czyszczącego, który pracował w pobliżu bramy hangaru, kiedy Barwowi i Yaqeel odbiło? - Gdy jej ojciec pokiwał głową, Jaina wzięła droida pasożyta i zaczęła go

obracać między kciukiem a palcem wskazującym. - W jego wnętrzu znalazłam to maleństwo.

Widząc, że jej rodzice nie wykazują żadnego zainteresowania tym, jak znalazła pluskwę - pluskwę, którą ochrona Świątyni przegapiła co najmniej kilkanaście razy - Jaina domyśliła się, że stało się coś bardzo niedobrego. Położyła pasożyta na stole i patrzyła z rosnącym niepokojem, jak jej rodzice podchodzą bliżej.

- O co chodzi?

Ojciec stanął obok niej.

- Kochanie, nie wiem, jak ci to powiedzieć.

Wziął ją za rękę i Jaina odetchnęła z ulgą. Przynajmniej nikt z rodziny nie zginął. Gdyby tak było, ojciec zgniółby ją w potężnym uścisku - a zresztą wyczułaby to najpierw w Mocy. Nie pozostało już tak wielu Solo-Skywalkerów.

Han najwyraźniej nie był w stanie wykrztusić nic więcej, więc Jaina zwróciła się do matki.

- Czy Ben zachorował? - spytała. - Wiem, że według Cilghal zagrożeni są uczniowie, którzy byli w Schronisku.

- Z Benem wszystko w porządku, o ile wiemy - zapewniła Leia. - Chodzi o Jaga.

- Wykluczone, dopiero co z nim rozmawiałam. O ile nie było jakiegoś zamachu w ciągu ostatnich... - Jaina spojrzała na chronometr i stwierdziła z niepokojem, że Jag może się zjawić w każdej chwili - ...dziesięciu minut, to nic mu nie jest.

- Ale tobie coś będzie, jak to usłyszysz - odparł jej ojciec. - Przygotuj się, mała.

Jaina zmarszczyła brwi.

- Na co?

- Kochanie, Jag coś przed tobą ukrywa. - Matka zerknęła na Hanę, a potem mówiła dalej: - Uzналиśmy z twoim ojcem, że powinnaś to usłyszeć od nas.

- Co takiego? - Jaina wyrwała dłonie z uścisku ojca i uniosła brew. - Chcecie powiedzieć, że Jag spotyka się z kimś innym?

O dziwo, rodzice nawet się nie uśmiechnęli.

- Gorzej - powiedział ojciec. - On ma przed tobą tajemnice.

- Szczerze w to wątpię, tato. - Jaina pociągnęła się za połę płaszcza. - Jestem Jedi, zapomniałeś?

- Tak jak twoja matka - odparował. - A ona zna tylko połowę moich sekretów.

Leia rzuciła mu spojrzenie mówiące: „Tak ci się tylko wydaje”, a potem popatrzyła na Jainę.

- Jajno, nie możesz o tym wiedzieć...

- Bo gdybyś wiedziała, nie musielibyśmy się o tym dowiadywać od szpiega. - Jej ojciec wziął ją znów za rękę. - Jaina, kochanie, Daala zamierza sprowadzić Mandalorian.

Jaina poczuła ogień w żołądku. W końcu zrozumiała, co rodzice chcieli jej powiedzieć o Jagu, i jak bardzo musieli się poczuć zdradzeni, że postanowił zachować tę informację dla siebie. Ale poczuła też ogromną ulgę, ponieważ nie musiała już trwać w wewnętrznym rozdarciu, jakie wywoływała u niej konieczność dochowania tajemnicy. Prawdę mówiąc, zastanawiała się, jak długo wytrzyma.

- To pewna informacja - powiedziała matka, która najwyraźniej mylnie zinterpretowała zamyślenie Jajny. - Pochodzi z samej góry.

- No i co z tego? - Jaina uświadomiła sobie, że musi się zachowywać tak, jakby to była dla niej nowa informacja. Wyrwała znów dłonie z rąk ojca. - Po pierwsze, kto by się tym przejmował? Jeśli tylko nie zjawi się tu sam Boba Fett, to bez problemu poradzimy sobie z kompanią Mando.

- Ale mimo wszystko będzie bitwa - przypomniała matka. - A w takich starciach wszyscy coś tracą.

- No właśnie - zgodził się Han. - A w tej chwili ostatnią rzeczą, jakiej potrzebują Jedi, są obrazki martwych Mandalorian na schodach Świątyni, pokazane w holowidomościach.

- Racja - przyznała Jaina.

Bardzo nie chciała zadawać następnego pytania. Najwyraźniej jej rodzice już wiedzieli, że Jag zachował tę informację dla siebie, więc jedynym sposobem, żeby zrehabilitować go w ich oczach, było wykazanie, że to honor nakazywał Jagowi dochowanie tajemnicy. To znaczy

udowodnienie tego matce - ojciec i tak nigdy by tego nie zrozumiał. Ale gdyby Jaina zdołała przekonać matkę, to Leia w końcu przekonałaby jakoś ojca, żeby wybaczył Jagowi.

- Nie rozumiem tylko, co to wszystko ma wspólnego z Jagiem - ciągnęła Jaina. - Chyba że ci Mandalorianie przylatują imperialnym transportowcem.

- Nie zdziwiłbym się - prychnął ojciec.

- A ja owszem - odparowała Jaina. - Moffowie zabronili Bobie Fettowi pod karą śmierci powrotu na Mandalorę. Nie sądzę, żeby Mandalorianie prosili kogokolwiek z Imperium o podrzucenie.

- To prawda - zgodziła się Leia. - Ale jesteś bystrą dziewczyną, Jaino. Wiesz, o co nam chodzi.

Jaina westchnęła. Spuściła wzrok jak dziesięcioletka przyłapaną na kłamstwie i ukradkiem zerknęła jeszcze raz na chronometr. Minał prawie kwadrans od jej rozmowy z Jagiem. Zakładając, że był wtedy w drodze na spotkanie z Daalą, nie mógł znajdować się zbyt daleko od Świątyni. Powinien zjawić się tu lada chwila, a ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, było, żeby władował się do laboratorium, zanim ona wytłumaczy rodzicom, dlaczego musiał dochować tajemnicy - przynajmniej jeśli chciała, żeby przyszli na ślub.

- No dobra - powiedziała. - Załóżmy, że Jag wiedział o Mandalorianach. I co z tego? To jeszcze nie znaczy, że powinien nam powiedzieć.

- A tobie co, znowu się robale na mózg rzuciły? - wybuchnął jej ojciec. - Jesteśmy już dla niego prawie rodziną. A tę fuchę załatwił mu Luke.

- Tylko że ta fucha wiąże się z długą listą obowiązków - odparła Jaina równie ostro. - A żadnym z nich nie jest bycie Jedi! Jag ma wystarczająco dużo problemów z utrzymaniem moffów w ryzach bez mieszania się w nasze kłopoty z Daalą.

Zorientowała się po długim milczeniu, jakie zapadło po jej słowach, że właśnie się zdradziła. Nie potrafiła wydać się wystarczająco zaszokowana, wystarczająco wściekła, żeby uwierzyli, że słyszy to po raz pierwszy. Han skrzywił się jak gracz w sabaka, który właśnie zdał sobie sprawę, że jego przeciwnik dostał idealne rozdanie, a kiedy spojrzała na matkę, zobaczyła, że Leia przygląda jej się z otwartymi ustami i zmrużonymi oczami.

- Wiedziałaś - domyśliła się. - I nic nikomu nie powiedziałaś.

Jaina westchnęła przeciągle.

- Mamo, gra idzie o dużą stawkę...

- Chwileczkę - przerwał ojciec. Popatrzył na Leię i wycelował w Jainę palec. - Ona wiedziała o blaszanych łbach?

Leia zamknęła oczy i pokiwała głową.

- Tak, Han. Jaina wiedziała o Mando i wiedziała też, że Jag nie chce nam nic powiedzieć.

Dlatego go broni.

- Bronię go, ponieważ składał przysięgę, że zawsze będzie się kierować interesem Imperium, i chce jej dochować - odparła Jaina. - A złożył ją dlatego, że wujek Luke wepchnął go na to stanowisko.

Ojciec zmierzył ją zimnym, gniewnym spojrzeniem i Jaina odruchowo się cofnęła.

- A co z przysięgami, które ty składałaś? - zapytał. - Już się nie liczą, odkąd masz zostać pierwszą damą?

Pokręcił z niesmakiem głową, odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi. Jaina była zbyt oszołomiona, żeby cokolwiek odpowiedzieć. Znalazła się znów na krawędzi ciemnej studni samotności i wyrzutów sumienia, która omal jej nie pochłonięła po tym, jak zabiła Jacena. Spojrzała na matkę i stwierdziła, że jej wzrok jest tylko odrobinę mniej potępiający niż ojca, chociaż twarz wyrażała raczej rozczarowanie niż gniew.

- Mamo, musisz zrozumieć... - zaczęła.

Zanim zdążyła wytłumaczyć, w jaki sposób Jag stara się w pełni włączyć Szczątki do Galaktycznego Sojuszu, matka uniosła rękę, żeby ją uciszyć.

- Jaino, porozmawiamy o tym później - powiedziała i poszła za Hanem. - Teraz lepiej przypilnuj, żeby Han nie zrobił komuś krzywdy.

Jaina skinęła głową, uznając, że matka użyła przenośni, ale wtedy i ona wyczuła znajomą obecność zbliżającą się do drzwi laboratorium.

- Och, *kriff!* - Ruszyła w stronę wejścia, jednak Leia matka wskazała palcem na stołek.

- Siadaj - rozkazała. - Ja się zajmę twoim ojcem.

Zanim skończyła mówić, drzwi otworzyły się ze świstem. W tej samej chwili zza rogu wyszedł zamaszystym krokiem Jagged Fel w pełnym, ceremonialnym kołnierzu i tabardzie - i wpadł prosto na Hana Solo, zmierzającego w przeciwnym kierunku.

- Och, kapitanie Solo, przepraszam - powiedział, wyciągając rękę, żeby go zatrzymać. - Jaina nie mówiła, że...

- Z drogi, *sleemo!* - Han złapał Jaga pod pachy i cisnął go na zaskoczonego Rodianina, który mu towarzyszył. - Nie myśl, że cię nie rozwalę tylko dlatego, że to mogłoby wywołać wojnę.

Po tych słowach oddalił się, zostawiając za sobą oniemiałego Jaga, a w drzwiach stała matka JAINY.

- Eee, księżniczko Leio... - zaczął niepewnie Jag. - Nie wiem, o co chodziło...

- Oczywiście, że wiesz - przerwała mu Leia. Podeszła do niego tak blisko, że twarz miała tuż przy jego klatce piersiowej, i spojrzała mu z wściekłością w oczy. - Moja córka uważa, że miałeś powód, żeby zachować milczenie, i może faktycznie miałeś. Ale chyba nie powinieneś się przez jakiś czas pokazywać w Świątyni Jedi.

Na twarzy Jaga pojawiła się mieszanina gniewu, poczucia winy i wstydu, ale nie próbował dyskutować ani się tłumaczyć. Kiwnął tylko głową.

- Oczywiście... Rozumiem. - Spojrzał w stronę JAINY i zapytał: - Czy mógłbym zamienić parę słów z Jainą, zanim sobie pójdę?

Leia popatrzyła gniewnie w kierunku laboratorium.

- Chyba powinieneś - powiedziała. - Zdecydowanie macie parę spraw do omówienia.

Odwróciła się i zniknęła w korytarzu w ślad za Hanem.

Jaina usiadła na stołku i utkwiała wzrok w podłodze, słuchając, jak obcasy Jaga stukają o posadzkę.

- Zakładam, że im nie powiedziałaś.

W głosie Jaga była nuta zwątpienia, która zabolowała Jainę i sprawiła, że poczuła się jeszcze bardziej samotna. Przypomniała sobie, że kiedyś, dawno temu, dała mu powód, by zważył w jej słowo. To pomogło jej powstrzymać ciętą ripostę, która cisnęła jej się na usta.

- Nie wiem, skąd się dowiedzieli - powiedziała spokojnie. - Wspominali coś o jakimś szpiegu, ale nie mieli ochoty o nim rozmawiać.

Jag zatrzymał się przed nią i pokiwał głową.

- To chyba nie ma znaczenia, przynajmniej w tym momencie. - W jego głosie słychać było teraz większą pewność, a także ulgę. - Ale sprawy się komplikują.

Jaina podniosła wzrok i prychnęła. Była tak wstrząśnięta tym, co właśnie się stało, i konsekwencjami, jakie to ze sobą niesło - dla niej, dla Jedi i dla przyszłości Galaktycznego Sojuszu - że omal nie wybuchła histerycznym śmiechem.

- Nawet nie masz pojęcia jak bardzo.

- Pewnie nie - zgodził się Jag, biorąc ją za rękę. - Ale damy sobie radę, obiecuję. Kiedy twoi rodzice się przekonają, jak ważna była tajemnica dla rozmów o zjednoczeniu, zrozumieją, w jak trudnym położeniu cię postawiłem.

- Tylko nie licz na to, że ci wybaczą. - Jaina zdobyła się na słaby uśmiech i uwolniła rękę z jego uścisku. - Ale nie o to mi chodziło. Poznajesz to?

Wzięła droida pasożyta ze stołu i pokazała go Jagowi, który otworzył szeroko oczy.

- Obawiam się, że tak. - Spojrzał na porzrzucone przed Jainą części. - To było w drodzie czyszczącym?

Jaina skinęła głową.

- Niestety - potwierdziła. - Lecersen?

- Prawdopodobnie. Będę wiedział na pewno, jak dostanę się do jego pamięci.

- Skąd wiesz, czy już tego nie zrobiłam? - spytała Jaina.

- Bo wciąż jest w jednym kawałku, a ty wciąż masz wszystkie palce.
Jag wyciągnął dłoń po droida, ale Jaina cofnęła rękę.
- Nie tak szybko - powiedziała. - Jedi też muszą coś z tego mieć.
Jag westchnął przeciągle.
- W porządku - odparł. - Dostaniesz go z powrotem, jak wymontujemy mechanizm samozniszczenia i skopiujemy pamięć.
- Umowa stoi. - Jaina stanęła na palcach, żeby go pocałować, i dodała: - Ale chyba będziesz go potrzebował jeszcze do czegoś.
Jag zmarszczył brwi z konsternacją.
- Pokaż go Daali. - Jaina położyła mu droida na dłoni i zwinęła ją w pięść. - To może się nam wszystkim przysłużyć.

ROZDZIAŁ 14

Statek tkwił w porośniętej paprociami i grzybami dżungli. Vestara czuła jego mroczną obecność po drugiej stronie karmazynowej rzeki, na zboczu dymiącego wulkanu, który górował nad krajobrazem. Napierał na nią w Mocy niemal fizycznie; smagał ją strachem, niepokojem i gniewem, próbując zmusić do wycofania się. Nie chciał, żeby ona i jej towarzysze pozostali tu z nim. Statek nauczył ich wszystkiego, czego potrzebowali do odbudowania imperium Sithów, i teraz żądał, żeby pozostawili go swojemu losowi i wypełnili własne przeznaczenie.

Vestara to wszystko rozumiała, jednak Wielki Lord Vol wysłał „Niestrudzonego Pogromcę” i jego załogę, żeby sprowadzili Statek z powrotem na Kesh, więc tak właśnie miało się stać. Vestara skupiła się na chwilę na obecności Statku, po czym uniosła rękę i wskazała na ciemną bazaltową skałę widoczną mniej więcej w jednej czwartej wysokości wulkanu.

- Statek jest gdzieś tam - powiedziała. - Nie wiem dokładnie gdzie, ale musi nas widzieć. Bardzo mocno mnie odpycha.

Lady Rhea przyglądała się skale z jałowego nabrzeża, na którym ekipa poszukiwawcza stała w promieniach niebieskiego słońca. Normalnie szukaliby schronienia pod rosnącymi wzdłuż rzeki paprociami, jednak przekonali się boleśnie, że roślinność jest na tej planecie groźniejsza niż nieznośny upał.

Po chwili Rhea przyłożyła komunikator do ust.

- „Pogromca”, namierzycie nas?

- Tak jest.

Odpowiedział jej melodyjny głos Baada Walusariego, Miecza rasy Keshiri, któremu powierzyła dowództwo, kiedy sama stanęła na czele ekipy poszukiwawczej. W większości flot to pierwszy oficer przejmował kontrolę nad statkiem pod nieobecność dowódcy, jednak Sith, który popełniłby taki głupi błąd, najprawdopodobniej niczym by już nie dowodził po powrocie na okręt. Dlatego też Mistrz Xal znalazł się w ekipie poszukiwawczej, żeby Lady Rhea mogła go mieć na oku.

- Bardzo dobrze - powiedziała Rhea. - Statek ukrywa się na tym wulkanie na zachód od nas. Przygotujcie promień ściągający na wypadek, gdyby próbował uciec.

Walusari potwierdził przyjęcie rozkazu, a Lady Rhea zaczęła wydawać polecenia członkom ekipy poszukiwawczej: wyznaczyła pary i nakazała ostrożne podejście szeroką ławą. Vestara i Lady Rhea miały oczywiście kierować się prosto na skałę, pozostali zaś mieli ustawić się po obu ich stronach.

- Statek jest zbyt sprytny, żeby pokazać się w miejscu, gdzie „Pogromca” mógłby go namierzyć - zakończyła Lady Rhea, przechadzając się wzdłuż długiego szeregu Mieczy, które zabrała na poszukiwania. - Lepiej, jak znajdzie go ktoś z tej ekipy. Ten, kto go odkryje, ma powiadomić o jego położeniu, a potem poczekać, aż dotrę na miejsce i osobiście przejmę kontrolę nad sytuacją. Czy to jasne?

Większość Mieczy zapewniła, że tak, ale rudoskóra kobieta nazwiskiem Axela Zin zapytała:

- A jeśli Statek będzie próbował uciec?

- Nie pozwólcie mu - odparła Lady Rhea. - Statek słucha się każdego Sitha o silnej woli.

Wszyscy ją macie; inaczej nie byłoby was tutaj. Po prostu rozkażcie mu pozostać na miejscu i zaczekajcie na mnie.

Axela skinęła posłusznie głową.

- Dziękuję za radę, Lady Rheo. Jestem niezmiernie zobowiązana.

Rhea zbyła jej słowa machnięciem ręki.

- Nie ma o czym mówić, Mieczu Zin. Jestem pewna, że inni także potrzebowali takiej wskazówki. - Zatrzymała się na końcu szeregu naprzeciwko tego, w którym stała Vestara, odwróciła się i powiedziała: - Z pewnością nie muszę wam przypominać o zachowaniu ostrożności w tej dżungli. Gdyby jednak coś was dopadło, umierajcie cicho. Wasze rodziny zostaną wynagrodzone, jeśli się do tego zastosujecie, i ukarane, jeśli tego nie zrobicie.

Lady Rhea miała rację - przypomnienie nie było wcale konieczne. Czworo członków ekipy poszukiwawczej zginęło zabitych przez mięsożerne rośliny, które na tym dziwnym świecie wydawały się raczej regułą niż wyjątkiem. Ale i tak to zalecenie dotyczące cichej śmierci wywołało dreszcz; właśnie o to, jak sądziła Vestara, chodziło Lady Rhei. Ot, takie niezbyt subtelne przypomnienie, że władza Lorda Sithów sięga nawet poza grób podwładnego.

Rhea odczekała chwilę, żeby przestroga dotarła do świadomości wszystkich członków wyprawy, po czym dała znak Mistrzowi Xalowi i Ahriemu, żeby zaczekali, reszcie zaś ruchem ręki nakazała przekroczyć rzekę. Większość Mieczu postanowiła przeskoczyć na drugi brzeg, posługując się Mocą. Gdy lądowali, Vestara ze smutkiem zauważyła, jak trzy gałęzie o długich kolcach opadają z wysokiego drzewa o kształcie lejka i przebijają rudoskórą Axelę Zin. Trzymająca już miecz świetlny w dłoni Zin szybko odcięła gałęzie od zdrewniałych konarów, ale z różnych stron opadały już kolejne. Jej partner i jeszcze jeden Miecz szybko dobyli szklane parangi i cisnęli nimi w tamtą stronę, jednak zanim doleciały, Zin, cała owinięta pnączami, była już wciągana w koronę drzewa. Vestara miała nadzieję, że już nie żyje.

- Nawet nie pisnęła - zauważył Xal, podchodząc do Lady Rhei. - Zdaje się, że jej syn jest nowicjuszem.

- Zanotuj to, Vestaro.

Vestara bez trudu potrafiła bezbłędnie zapamiętać nawet długą listę imion, jednak sama też nie mogła być pewna, czy przeżyje. Wyjęła więc posłusznie z kieszeni oprawiony w skórę notatnik, wbiła sobie rysik w palec i krwią zapisała nazwisko Zin na kartce loubopapieru.

- Nazwisko zanotowane - oznajmiła. - Czy chcesz dodać coś na temat syna?

Lady Rhea skinęła głową.

- Po naszym powrocie chłopcu zostanie przydzielony Mistrz.

Vestara zanotowała, a Xal uśmiechnął się z aprobatą.

- Bardzo wspaniałomyślnie. - Popatrzył na drugą stronę rzeki, gdzie reszta Sithów zniknęła już w dżungli. - Masz dla mnie jakąś szczególną radę?

- Owszem - powiedziała Rhea. - Odzyskanie Statku jest dla Wielkiego Lorda Vola ważniejsze niż to, komu zostanie przypisana zasługa za jego odnalezienie. Jeśli to ty lub Ahri go znajdziecie, Lord Vol nie usłyszy żadnych innych imion.

Xal uniósł brwi.

- To miło z twojej strony - odparł. - Jednak Ahri i ja jesteśmy tylko jednymi z wielu.

Równie dobrze Statek może odnaleźć ktoś inny... zwłaszcza że dałaś tej grupie tak znaczącą przewagę nad nami.

- Jeśli tak się stanie, wspomnę twoje imię razem ze swoim - obiecała Lady Rhea. - Nie chcę, żeby cokolwiek przeszkodziło w odzyskaniu Statku. Czy to jasne?

Xal skłonił wąską głowę na znak aprobaty.

- Wobec tego czy mogę zasugerować, żebyśmy ruszali? Jeśli zostaniemy za bardzo z tyłu, powstanie wyrwa w szeregu.

Lady Rhea przyglądała mu się przez chwilę, z pewnością zastanawiając się - podobnie jak Vestara - jak szybko Xal uzna, że więcej może zyskać, lekceważąc umowę niż jej dotrzymując.

Wreszcie odprawiła go ruchem ręki.

Vestara schowała przybory do pisania do kieszeni płaszcza i teraz przyglądała się, jak Xal i Ahri pokonują rzekę, tańcząc na jej powierzchni i posługując się Mocą, by nie zanurzyć się w wodzie. Musieli minąć wysepkę, którą pokrywały dziesiątki zielonych jaszczurek, ale stworzenia wydawały się nimi zupełnie niezainteresowane. Leżały sobie z rozpostartymi skrzydłami, wygrzewając się w ostrych promieniach olbrzymiego niebieskiego słońca, i tylko uniosły długie szyje, kiedy Xal i Ahri przemykali obok nich. Wysepkę otaczały jednak dziesiątki włóknistych żółtych roślin wodnych, które - pomimo prądu rzeki - zdawały się wszystkie kierować ku jaszczurkom. Kiedy Ahri i Xal się zbliżyli, kilka tych roślin zagrodziło im drogę; niespodziewanie rzuciły się na nich niczym węże, atakując ze wszystkich stron.

Ahri i Xal zapalili miecze świetlne i zaczęli serię cięć, co okryło ich zasłoną pary. Z obłoku zaczęły się wylaniać zwiędłe i dymiące łodygi, a obaj Sithowie wkrótce dotarli na drugą stronę rzeki. Wdrapali się zwinnie na brzeg, posługując się Mocą, żeby odsuwać na bok - a niekiedy nawet wyrwać z korzeniami - stojące im na drodze krzaki. Wreszcie wspięli się na krawędź piaskowcowej skały i zniknęli w rozciągającej się dalej dżungli.

Lady Rhea wskazała na skałę.

- Widziałas, w którym miejscu wyszli na brzeg?

Vestara pokiwała głową.

- Tak.

- Dobrze. Wyjmij broń. - Lady Rhea odpięła własny miecz świetlny, wyciągnęła parang z pochwy i dodała: - Tam właśnie się skierujemy. Jak już będziemy po drugiej stronie, wrócimy na swoją trasę i odnajdziemy Statek.

Było to tak typowe dla Sithów, że Vestara mogła to niemal przewidzieć - wysłać najpierw podwładnego, który weźmie na siebie największe ryzyko, a następnie pójść jego tropem i przejąć zdobycz. Vestara stanęła na brzegu, tak żeby Lady Rhea dobrze ją widziała; ona też odpięła miecz świetlny i wyjęła z pochwy parang. Po chwili poczuła impuls w Mocy i już wiedziała, że może ruszać.

Otworzyła się na Moc i poczuła jej nagły przyływ, tak mroczny i zimny, że niemal obezwładniający. Nigdy wcześniej nie była w miejscu, które by było tak silne Mocą; czuła wręcz dreszcze podniecenia przebiegające jej po plecach. Nikt z nich nie poznał takiego miejsca; można było zgadnąć po tym, z jaką precyzją nawet Lady Rhea posługuje się Mocą, że wszyscy obawiali się nieco jego siły. Oczywiście nikogo nie powstrzymało to przed korzystaniem z Mocy. Żaden prawdziwy Sith nigdy by nie pozwolił, żeby strach stanął mu na drodze do potęgi.

Vestara wyskoczyła w górę i posłużyła się Mocą, żeby wznieść się wyżej i skierować ku wskazanej przez Lady Rheę skale. Na Kesh, ale i na każdej innej planecie o grawitacji zbliżonej do standardowej, mogłaby przeskoczyć przy użyciu Mocy tylko połowę szerokości karmazynowej rzeki. Jednak na tym dziwnym święcie bez trudu pokonała cały dystans i wylądowała lekko, gotowa do obrony zarówno przy użyciu broni, jak i Mocy.

Kiedy upewniła się, że żadne gałęzie nie spadają jej na głowę i żadne pnącza nie owijają jej się wokół kostek, podniosła rękę, w której trzymała miecz świetlny, dając znak, że jest bezpiecznie. Po chwili Lady Rhea także wylądowała na skale i razem ruszyły wzdłuż brzegu w dół rzeki. Po pięćdziesięciu krokach dotarły do swojego korytarza i skręciły w dżunglę. Vestara szła przodem, jakieś pięć kroków przed Lady Rheą. Jej zmysły były znacznie mniej wyczulone na niebezpieczeństwa niż jej Mistrzynie, nie było jednak mowy o tym, żeby to Lady Rhea zajęła niebezpieczną pozycję na czele. Uczeń był przede wszystkim sługą swojego Mistrza, a to wiązało się z przyjmowaniem na siebie głównego impetu każdego ewentualnego ataku.

Roślinność w dżungli składała się głównie z paproci drzewiastych i ogromnych grzybów kolumnowych, które - przynajmniej na razie - nie przejawiały ochoty na mięso. Mimo wszystko Vestara ciężko pracowała mieczem świetlnym i parangiem, odcinając każdy liść, wąż czy płat, który znalazł się w promieniu metra od ich trasy. Tutejsze rośliny, jak zdążyli się przekonać, atakowały zwykle z zaskoczenia, zachodząc - gdy tylko było to możliwe - swoją ofiarę od tyłu.

Przez całą drogę Vestara czuła, jak Statek odpycha ją w Mocy, próbując ją skłonić, żeby

zawróciła i odeszła. Przeznaczeniem Statku było służyć, więc nie miał innego wyjścia, niż podporządkować się potężnej Woli, która kazała mu służyć tutaj. Jednak przeznaczeniem Plemienia było rządzić, a nie mogli rządzić stąd. Vestara nie zwracała uwagi na błagania Statku; stwierdziła jedynie, że prawdopodobnie wciąż na nie patrzy, skoro tak wyraźnie komunikuje swoje obawy.

Przeszły około kilometra w górę wulkanu, gdy Lady Rhea nagle wydała rozkaz:

- Stój!

Vestara zatrzymała się w pół kroku i stanęła na jednej nodze, posługując się Mocą, żeby utrzymać równowagę. Lady Rhea podeszła do niej, zatrzymała się, a następnie użyła Mocy, żeby oderwać cienką powłokę z celulozy, tak doskonale zakamuflowaną, że nie sposób było jej odróżnić od pokrytego humusem podłoża.

Pod powłoką leżał włochaty zielony gryzoń wielkości mniej więcej ludzkiej dłoni. Gnijące stworzenie było nabite na kolce długości palców, wyrastające z płątaniny na wpół zakopanych korzeni. Vestara ostrożnie opuściła nogę, której omal nie wpakowała w pułapkę, i dopiero zauważyła żółte, wachlarzowate liście krzewu, od którego zdawały się odchodzić korzenie.

- Dziękuję, Lady Rheo - powiedziała. - To byłoby bardzo bolesne.

- Prawdopodobnie śmiertelne - poprawiła ją Lady Rhea. - Te kolce są zatrute.

Vestara przyjrzała się im dyskretnie. Nie zauważyła nic, co by wskazywało, że gryzoń zdechł z innego powodu niż przebicie kolcami, ale nie miała zamiaru kwestionować orzeczenia swojej Mistrzynie, więc powiedziała tylko:

- To jakby świat na opak, nie sądzisz? Tutaj rośliny zjadają zwierzęta.

Lady Rhea skinęła głową.

- W tym świecie nie ma nic naturalnego, począwszy od miejsca, w którym jest ukryty, a skończywszy na zamieszkujących go formach życia. - Przyjrzała się dżungli, mrużąc w zamyśleniu oczy. - Myślę, że właśnie dlatego Statek nas tu ściągnął.

Z racji samego swojego istnienia ten nienaturalny świat jest miejscem o ogromnej sile.

- Wybacz moją śmiałość, Lady Rheo. - Vestara wzdygnęła się w duchu na myśl o karze, jaka czekała ją niechybnie za sprzeciwienie się Mistrzynie, musiała jednak mieć pewność, że Rhea w pełni rozumie zachowanie Statku; od tego mogło zależeć powodzenie misji. - Nie wydaje mi się, żeby Statek chciał nas tutaj. Cały czas mnie odpycha.

Ku zaskoczeniu Vestary Lady Rhea się uśmiechnęła.

- Oczywiście. Chce sprawdzić, czy jesteśmy godni.

Vestara natychmiast zrozumiała, o czym myśli jej Mistrzynie.

- Sądzisz, że nasza obecność tutaj ma związek z Powrotem?

- Właśnie. - W oczach Lady Rhei pojawił się błysk aprobaty. - Statek od początku nas na to przygotowywał.

Vestara musiała się zgodzić - to wyglądało zupełnie prawdopodobnie. Zgodnie z keshiriańskim mitem tajemnicza rasa Niszczycieli powracała co kilka eonów do galaktyki, żeby zniszczyć cywilizację i przywrócić wszystkie istoty do ich naturalnego, prymitywnego stanu. Zrządzeniem losu przodkowie Zapomnianego Plemienia Sithów wylądowali na Kesh pięć tysięcy lat wcześniej. Rdzenni mieszkańcy planety uznali ich za legendarnych Obrońców, którzy mieli ocalić ich świat, kiedy powrócą Niszczyciele.

Początkowo Sithowie uważali mit jedynie za wygodny sposób na utrzymanie władzy nad znacznie liczniejszą rdzenną populacją. Z upływem wieków jednak ich potomkowie dokonali wielu odkryć archeologicznych, które dowodziły, że mit był w istocie faktem historycznym. W końcu Zapomniane Plemię przyjęło do wiadomości, że wymyślone oszustwo stało się ich przeznaczeniem.

I oto teraz Statek, równie stary jak sami Sithowie, prowadził ich w mroczne miejsce, bez wątplenia stworzone przez istoty o niewyobrażalnej sile i wiedzy. Czy logika nie nakazywała wierzyć, że Statek przywiódł ich tu w jakimś celu?

Vestara skłoniła głowę przed swoją Mistrzynią.

- Twoja mądrość przyćmiewa słońce nad nami, Lady Rheo. Nie widzę żadnego powodu, dla którego Statek miałby nas ściągnąć na taki świat, jeśli nie po to, żeby obdarzyć nas potęgą konieczną do...

Urwała w pół zdania, bo nagle nasunął się jej jeszcze jeden powód, dla którego Statek mógłby przywieść ich w takie miejsce.

- Vestaro? - Lady Rhea użyła Mocy, żeby nią potrząsnąć. - Czy coś się stało?

- Nie... nie wiem - wyznała Vestara. Spojrzała Lady Rhei prosto w oczy. - Przyszła mi do głowy pewna myśl... ale nie musi być słuszna.

Lady Rhea zmarszczyła brwi; takie sformułowanie było jedyną dopuszczalną formą, w jakiej uczeń mógł wyrazić opinię odmienną niż jego Mistrz.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ponieważ jestem pewna, że rozważyłaś już taką ewentualność i ją odrzuciłaś - wyjaśniła Vestara. - Ale... a nuż Statek przywiódł nas tutaj dlatego, że to jest ojczysta planeta Niszczycieli?

Vestara zorientowała się po zimnym spojrzeniu, że jej Mistrzynie nie brała tego pod uwagę, ale sama myśl zaniepokoiła Lady Rheę na tyle, że nie starała się nawet tego ukryć.

- Masz zatrwającą wyobraźnię, Vestaro. - Rhea milczała przez chwilę, pogrążona w zadumie, po czym spytała: - No dobrze, a dlaczego Statek miałby nas zaprowadzić na planetę Niszczycieli?

- Może on od początku był ich sługą? - wyraziła przypuszczenie Vestara. - Jeśli Niszczyciele wiedzieli o przeznaczeniu Plemienia, to czy istniałby lepszy sposób na udaremnienie jego wypełnienia niż wysłanie Statku, żeby zwabił nas w ich ręce?

- Tak, to by była rozsądna taktyka. - Lady Rhea dała znak do wznowienia wspinaczki i ruszyła tuż za Vestarą, która okrążyła płataninę kolczastych korzeni. - Ale my nie jesteśmy całym Plemieniem. Co Niszczyciele by zyskali na zgłodzeniu załogi jednej fregaty?

Vestara zmarszczyła brwi. To faktycznie był problem.

- Oczywiście masz rację. Szpieg nie ma żadnej wartości dla wroga, jeśli nie znajdzie się w jego domu.

- A po co Statek w ogóle do nas przyleciał? - naciskała Lady Rhea. - Plemię było dawniej uwięzione na Kesh, ale teraz swobodnie przemierzamy galaktykę. Statek uczynił nas tylko silniejszymi.

- To prawda - przyznała Vestara. - Ale teraz nasza uwaga skupiona jest na Jedi, a nie na Niszczycielach. Może chodzi o to, że patrzymy w jednym kierunku, podczas gdy powinniśmy patrzeć w innym.

- Więc co tutaj robimy? - spytała Lady Rhea. - Jeśli faktycznie to jest planeta Niszczycieli, to Statek cały czas kierował naszą uwagę właśnie na nią.

- I ujawnił jej położenie - dodała Vestara, zauważając słabość własnej teorii. - Przepraszam, Lady Rhea. Zawracam ci tylko głowę swoimi głupimi pomysłami.

- Nasi wrogowie też mają czasem głupie pomysły, Vestaro, i dobrze jest je rozumieć. - Wspięły się teraz na boczną grań wulkanu i zobaczyły przed sobą ciemną, wystającą skałę, która była ich celem. - Myśl o tym dalej. Możesz mi zawracać głowę wszystkimi głupimi pomysłami, jakie przyjdą ci do głowy.

- Jak sobie życzysz - zgodziła się Vestara. - Dziękuję, że nie potępiasz mnie za wygadywanie takich bzdur.

- Nie musisz mi dziękować - odparła Lady Rhea. - Tylko uważaj, żeby nie opowiadać ich tam, gdzie ktoś mógłby je usłyszeć. Musimy dbać o swoją reputację.

Vestara uśmiechnęła się i nagle uświadomiła sobie, że już od paru minut nie czuła, żeby Statek ją odpychał. Rozciąła mieczem świetlnym liść wielkości parasola, który spadł z płataniny cuchnących pnączy, a następnie skierowała swoją świadomość Mocy ku wystającej skale. O dziwo, zamiast Statku wyczuła swojego przyjaciela Ahriego.

Nie zdążyła nawet zakląć pod nosem, nim Lady Rhea zapytała:

- O co chodzi?

- To uczeń Raas - odparła Vestara. - Wydaje mi się, że Mistrz Xal opuścił korytarz, który mu wyznaczyłaś, i skierował się prosto na skałę.

- A dlaczego cię to dziwi?

Vestara westchnęła gniewnie.

- Bo wydawało mi się, że zawarłaś z nim umowę.
- zaproponowałam mu umowę - sprostowała Lady Rhea. - A on jej nie odrzucił.
- To nie to samo co ją przyjąć?
- Prawie to samo. - Lady Rhea prychnęła z rozbawieniem. - Oczywiście tak czy inaczej nie miał zamiaru respektować naszego porozumienia.
- Więc po co w ogóle proponować? - spytała Vestara.
- Ty mi to powiedz - odparła Lady Rhea. - Co osiągnęłam?
Vestara zastanawiała się przez chwilę, aż wreszcie zrozumiała.
- Zmusiłaś go, żeby grał według twoich reguł - powiedziała. - Myślał, że już cię przechytrzył, więc nie próbował niczego innego.
- Jeszcze będzie z ciebie Miecz. - Lady Rhea położyła rękę na ramieniu Vestary i trzymała ją tak przez chwilę; potem przemówiła łagodniejszym tonem: - A teraz opowiedz mi o sobie i uczniu Raasie. Jest ci na tyle bliski, że rozpoznajesz jego aurę w Mocy?
Vestara natychmiast poczuła się winna.
- Nie jestem niełojalna wobec ciebie, Lady Rhea. Ahri i ja przyjaźnimy się od czasu, kiedy byliśmy nowicjuszami.
- Tak sądziłam - powiedziała Lady Rhea. - Dlatego Xal go wybrał.
Vestara uniosła brwi.
- Myślałam, że to dlatego, że Ahri jest... no cóż, Keshirim.
- A Xal... nie jest, tak? - Lady Rhea się uśmiechnęła. - To z pewnością jeden z powodów. Zawsze dobrze jest odwrócić uwagę od własnych słabości, jak sama dobrze wiesz.
Rhea przejechała palcem po ornamentach, które Vestara każdego ranka malowała starannie wokół oczu, żeby odciągnąć uwagę od niewielkiej blizny w kąciku ust.
- Cóż, prawda jest taka, że Mistrz Xal liczył, iż wasza znajomość może być dla niego korzystna.
- Ze względu na Statek? - zdumiała się Vestara.
- Ze względu na to, że jesteś moją uczennicą - wyjaśniła Lady Rhea. - Xal z pewnością liczył, że wasza przyjaźń zapewni mu od czasu do czasu wgląd w moje myśli.
Vestarze serce podeszło do gardła.
- Lady Rhea, ja nigdy...
- Wiem, Vestaro - uspokoiła ją Mistrzynie. - I zapewne dlatego Xal jest tak rozczarowany twoim przyjacielem.
Vestara się zasmuciła. Nie chciała utrudniać Ahriemu życia, ale też nie miała zamiaru zdradzić własnej Mistrzynie, żeby on mógł poprawić swoje notowania.
Jednak Lady Rhei najwyraźniej o to właśnie chodziło.
- Nie wiem, jak blisko ze sobą jesteście - powiedziała - ale nie zaszkodziłoby, gdyby Ahri zrobił pewne postępy.
Vestara otworzyła szeroko oczy.
- To znaczy... - Wiedziała, co Lady Rhea ma na myśli, ale nie mogła się zmusić, żeby powiedzieć to na głos. Nie, kiedy chodziło o zdradę najlepszego przyjaciela. - Chcesz, żebym wykorzystwała Ahriego?
- To znaczy, że Xal będzie chciał cię zabić - odparła z irytacją Lady Rhea. - Dobrze by było, gdybyś miała przyjaciela, który mógłby cię ostrzec.
- Więc to naprawdę... - Vestara zdała sobie sprawę, że Lady Rhea sugeruje dokładnie to, o czym myślała... i że nie ma innego wyjścia, jak tylko posłuchać jej rady albo zginąć. - Skoro tak stawiasz sprawę...
Lady Rhea pokiwała głową.
- Właśnie. - Puściła ramię Vestary i wskazała na zbocze. - A teraz ruszajmy po Statek.
Spodziewając się, że w każdej chwili z dżungli może wylecieć parang Xala, Vestara poszła przodem w kierunku miejsca, gdzie wyczuła czekającego Ahriego. Kiedy go znalazła, z radością stwierdziła, że Keshiri nie czai się w zasadzce, ale też nie stoi na otwartym terenie w charakterze przynęty. Kucał u podstawy skały, ukryty między dwoma głazami, i obserwował wejście do

wulkanicznej jaskini, które wyglądało, jakby Statek ledwo mógł się w nim zmieścić.

Mimo że Vestara i Lady Rhea użyły Mocy, żeby podejść bezszelestnie, Ahri obejrzał się w ich stronę, kiedy były o dobre dwadzieścia kroków od niego, a wyraz ulgi na jego pięknej twarzy wystarczył, żeby Vestara porzuciła wszelkie myśli o zasadzce. Posłużyła się Mocą, żeby przeskoczyć ostatnie kilkanaście metrów, i przykucnęła obok niego przy głazach.

- Co się dzieje? - wyszeptła.

Ahri wzruszył ramionami.

- Mistrz Xal chciał sam wyprowadzić Statek - wyjaśnił. - Kazał mi zostać tu i powiadomić go, kiedy was zobaczę.

Vestara zmarszczyła brwi.

- I co, powiadomiłeś?

Ahri pokręcił głową.

- Nie mogę go w ogóle wyczuć - powiedział. - Ty spróbuj.

Vestara ponownie zmarszczyła brwi, ale uwolniła myśli i natychmiast przytłoczyła ją ta sama mroczna tęsknota, którą czuła, kiedy zbliżali się do tego systemu. W jaskini czyhało coś głodnego, samotnego i potężnego, i nie był to Xal. Ani też Statek.

Obejrzała się na Ahriego.

- Niedobrze...

- Nie musisz mi mówić - odparł. - Co robimy?

- Nie wiem. - Vestara spojrzała w dół wzgórze, po czym skierowała myśli ku Lady Rhei i wlała w Mocę uczucie ufności. - Wykonujemy rozkazy?

Ahri pokiwał głową.

- W razie wątpliwości...

Po chwili zjawiła się Lady Rhea. Wydawała się znacznie mniej zaniepokojona sytuacją, niż prawdopodobnie była. Zatrzymała się przed wejściem do jaskini i zajrzała w mrok, a potem przemówiła, nie oglądając się na Ahriego ani Vestarę:

- Domyślam się, że Mistrz Xal jest w środku?

- Z tego co wiem, to tak - odparł Ahri. - Wszedł jakieś pięć minut temu.

- A Statek?

Ahri wzruszył ramionami.

- Słyszeliśmy coś, ale...

- Nigdy nie zgaduj - przerwała mu Lady Rhea. Wyciągnęła rękę w kierunku Ahriego i, posługując się Mocą, wyjęła mu zza paska pręt jarzeniowy. - Nie wiesz, że nie wypada tracić Mistrza, uczniu Raas?

Ahri zerknął na Vestarę i widząc jej dodający otuchy uśmiech, wyjaśnił:

- Wykonywałem tylko jego rozkazy, Lady Rhea.

Rzuciła mu chytre spojrzenie.

- Nie wątpię.

Włączyła pręt jarzeniowy i wrzuciła go do jaskini. Vestara dostrzegła przelotnie coś dużego i szarego, zwisającego ze stropu - chociaż chyba to było wiele kształtów - wszystkie podłużne i wijące się, z przysawkami pośrodku i żółtymi kolczastymi hakami na końcach.

Pręt jarzeniowy odbił się od podłogi i potoczył powoli, rzucając krąg jasnoniebieskiego światła na porowate ściany. Na krótką chwilę oświetlił wijącą się mumię wielkości człowieka, owiniętą w fioletową pajęczynę i wiszącą na przeciwległej ścianie. Wreszcie światło zatrzymało się na wejściu do długiego, ciemnego tunelu, prowadzącego w głąb góry.

Lady Rhea wycelowała palcem w pręt jarzeniowy i posługując się Mocą, obróciła go tak, żeby krąg światła padł na wiszący na ścianie fioletowy kokon. Vestara nie była zaskoczona, rozpoznając pod pajęczyną ostre rysy Mistrza Xala. Przy ustach utworzył mu się pęcherzyk powietrza, który pęczniał i kurczył się przy każdym oddechu.

- No cóż - westchnęła Lady Rhea. - Nie sądzę, żeby zrobił to Statek.

Skinęła na Vestarę i Ahriego, żeby podeszli do wylotu jaskini.

Vestara przełknęła ślinę i spojrzała na Ahriego.

- To twój Mistrz - przypomniała.

Ahri pokiwał głową.

- Ja to mam szczęście - odparł. - Jeśli to się nie skończy dobrze...

- Tak, zabije cię - obiecała Vestara.

Ahri wysunął się ze swojej kryjówki, zapalił miecz świetlny i wskoczył do jaskini.

Zwisające ze sklepienia macki nie rzuciły się na niego i nie chciały go omotać, więc wyprostował się, żeby rozciąć kokon Mistrza Xala.

Vestara nie widziała dokładnie, co stało się potem, ponieważ wskoczyła do jaskini w ślad za Ahrim. Przetoczyła się po nierównej podłodze, stanęła po drugiej stronie Xala i przesunęła swoją czerwoną, zasilaną kryształem lignan klingą wzdłuż jego boku.

Xal - oswobodzony, jeśli nie z kokonu, to przynajmniej od ściany - poleciał do przodu i wyróżnąłby o podłoże, gdyby nie użył Mocy do zamortyzowania upadku. Nie zwracając już na niego uwagi, Vestara odwróciła się w stronę szarych macek, które widziała przedtem.

Nie zwiślały już ze stropu. W ogóle nie było ich widać, za to wyraźnie usłyszeli przypominający siorbanie odgłos dochodzący z ciemnego tunelu, który ukazał się niedawno w świetle pręta jarzeniowego. Vestara szybko posłużyła się Mocą, żeby skierować snop światła w stronę tunelu... i zobaczyła atrakcyjną, smukłą kobietę o szarych oczach i włosach do ramion w kolorze miodu.

Wciąż jeszcze starała się zrozumieć, co widzi, kiedy Ahri skoczył naprzód, celując mieczem świetlnym w ramię kobiety. Rozległo się charakterystyczne skwierczenie rozżarzonej klingi, przecinającej mięso i kości, a po chwili rozniósł się ostry zapach przypalonej skóry.

I nagle Ahri wpadł całym ciałem na ścianę jaskini za plecami Vestary. Jego miecz świetlny zgasał, a głowa uderzyła o skałę z odrażającym, głuchym dźwiękiem. Vestara patrzyła chwilę, jak spada na kamienne podłoże, wstrząsany drgawkami, po czym zapaliła swoją klingę i ruszyła do ataku.

Chwilę potem poczuła, że wisi w ciemności, trzymając w dłoni wyłączony miecz świetlny i wpatrując się w parę wielkich szarych oczu, zimnych i martwych niczym perły. Nagle Vestarze przyszedł do głowy jeszcze jeden głupi pomysł na temat powodu, dla którego Statek ich tu ściągnął. A ten pomysł był o wiele bardziej przerażający od wszystkich innych. Być może Statek przywiódł ich tutaj nie żeby zniszczyć Plemię, ale żeby uwolnić Niszczycieli.

Kobieta opuściła rękę, rzucając Vestarę na podłogę jaskini.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie wiedziałam, czy jesteście prawdziwi.

ROZDZIAŁ 15

Jeśli czas istniał poza ciałem, Luke nie potrafił go odnaleźć. Teraz, gdy opuścił swoje fizyczne jestestwo, zobaczył, że chwile i lata są tym samym. Uderzenie serca trwało tydzień, życie przelatywało w ciągu jednej chwili. Luke Skywalker trwał jednak jako przejaw energii Mocy, która odzwierciedlała jego istotę w ciele i umyśle. I ta istota była teraz bardziej rzeczywista i namacalna niż skorupa z krwi i kości, którą pozostawił pośród skapanych w fioletowym świetle ciał w prowizorycznej komnacie medytacyjnej.

- Pięć... - Chrypliwy głos Givina o głowie jak czaszka dobiegł do Luke'a z miejsca gdzieś za nim i pod nim. - Nie ma życia, jest tylko Moc.

Było to wypaczenie kodeksu Jedi, Luke jednak posłusznie powtórzył jego słowa, wypuszczając powietrze; pozwolił sobie je zaakceptować - a nawet w nie uwierzyć. Nie sądził, żeby Wędrowcy Umysłów, jak sami siebie nazywali mieszkańcy stacji, chcieli w ten sposób kogokolwiek wykpić czy obrazić. Wyrażali po prostu prawdę o wszechświecie, tak jak oni go postrzegali, a Luke wystarczająco dobrze znał się na medytacji, żeby wiedzieć, że dokładne powtarzanie mantry stanowi kod otwierający drzwi do określonej sfery umysłu.

Minał kolejny rok. A może tylko sekunda. Luke wciągnął powoli powietrze, wyobrażając sobie wielką żółtą piątkę. Skoncentrował się tylko i wyłącznie na tym obrazie.

- Wzbijasz się wyżej - oznajmił prastary głos Seeka Ryontarra. Rogaty Gotal unosił się przed Lukiem, lub może nad nim, i przemawiał do niego łagodnym głosem instruktora medytacji, wskazującego drogę do wyższej świadomości. - Jesteś ledwie złączony ze swoim ciałem. Czujesz kontakt tylko w piętach... teraz w ramionach... teraz w potylicy.

I tak rzeczywiście było. Luke czuł się przywiązany do swojego ciała tylko w tamtych miejscach. Cała reszta unosiła się: swobodnie, stanowiła jedność z Mocą.

- Sześć... - wychrypiał Givin.

Luke zmienił obraz w swojej głowie na wielką żółtą szóstkę.

Wypuścił powietrze i poczuł, jak staje się coraz lżejszy i coraz bardziej... oderwany. Każdy wydech zdawał się trwać coraz dłużej i tym razem Luke miał wrażenie, że minął tydzień, zanim opróżnił płuca.

- Nie ma życia - powiedział znowu Givin. - Jest tylko Moc.

Luke powtórzył frazę. Poczuł, że jego ramiona odrywają się od ciała, tak że był z nim złączony już tylko piętami i głową.

- Jesteś już prawie wolny - oznajmił mu Ryontarr. - Kiedy Feryl powie „siedem”, ostatnie więzy zostaną zerwane. Nie będziesz już przywiązany do swego ciała. Wyjdiesz z cienia i znajdziesz się w czystym blasku Mocy.

Ryontarr zamilkł, jakby czekał, że Luke zmieni zdanie. I być może by zmienił, gdyby istniał inny sposób, żeby się dowiedzieć, co przytrafiło się tu Jacenowi - żeby wejrzeć w jego serce, jak obiecywali Wędrowcy Umysłów, i przekonać się, dlaczego uważali, że Jacena nie mógł pochłonąć mrok.

- Siedem - wychrypiał Feryl, Givin o czaszkowatej głowie.

Luke poczuł, jak jego ciało odpada w niebyt, a po chwili unosił się w obłoku fioletowej poświaty, wpatrując się w światło w sercu pomieszczenia i drżąc z chłodnej rozkoszy. Uniósł swoją prawdziwą rękę i zobaczył, że wygląda tak samo, jak zawsze wyglądała; następnie uniósł sztuczną i w jej miejscu zobaczył tylko cień. Spróbował jej dotknąć, ale jego palce zniknęły w ciemności, tak jak zniknęłyby w każdym cieniu.

- Nie możesz dotknąć tego, co nie jest prawdziwe. Twoja cybernetyczna ręka jest tylko iluzją, takim samym cieniem jak skóra i kości. - Ryontarr uniósł rękę i poklepał Luke'a po piersi. - To jest prawdziwe.

- To znaczy co? - spytał Luke. - Mój duch?

- Twoja obecność w Mocy. To jest twoje prawdziwe ja, wir w żywej Mocy, który ożywia twoje fizyczne ciało. - Ryontarr jeszcze raz poklepał Luke'a. - Tylko to naprawdę istnieje. - Wyciągnął rękę ponad ramieniem Luke'a. - Nadaje formę temu.

- Czyli mojemu ciału? - upewnił się Luke.

Kiedy Ryontarr skinął głową, Luke powoli się odwrócił i zobaczył swoje ciało unoszące się pośród dziesiątek innych. Wprawdzie nie wydawało się tak wychudłe i wynędzniałe jak niektóre wokół niego, jednak oczy miało zapadnięte, a twarz suchą i bladą. Ku zaskoczeniu Luke'a jego skafander próżniowy wydawał się tylko cieniem, podobnie jak wszystkie ubrania, które widział. Nawet ściany komnaty medytacyjnej - na tyle, na ile mógł je dostrzec pośród masy dryfujących Wędrowców Umysłów - zdawały się jedynie cieniem.

- Nasze ciała wydają się bardziej materialne niż przedmioty martwe - zauważył Luke. - Czy to wynika z tego, że ciała są nasycone żywą Mocą?

Ryontarr pokręcił głową.

- My, Wędrowcy Umysłów, wywodzimy się z bardzo wielu tradycji: Uczniów Ragnosa, Fallanassich, Jensaarai, Heretyków Potencjum, Odrodzonych, Szukających Daleko, Wewnątrzwidzących i dziesiątek innych. Wszyscy mieliśmy własne poglądy na Moc: że Moc jest tęczą, że ma jasną i ciemną stronę, że ma trzy albo cztery aspekty, że ma dwie strony i dwa aspekty...

Ryontarr urwał, gdy poziom obrzydzenia w jego głosie osiągnął niespotykane wyżyny; Luke myślał przez chwilę że Gotal zacznie krzyczeć. On jednak westchnął tylko i pokręcił głową.

- To wszystko bzdury - ciągnął. - Jest jedna Moc, jedna Moc... i różne sposoby jej

postrzegania.

Luke ponownie spojrzął na swoje ciało.

- Więc dlaczego moje ciało jest bardziej materialne niż moje ubranie?

- Nie jest. - Ryontarr wskazał na nie. - Dotknij go.

Luke go posłuchał - a przynajmniej spróbował. Kiedy przycisnął dłoń do twarzy, wniknęła po prostu w policzek. Oczy otworzyły się szerzej z niepokoju, jednak po chwili stały się znów szkliste i zamglone.

- Nie porzuciłeś jeszcze swojego ciała - wyjaśnił Ryontarr. - W środku nadal jest drobna część ciebie, ponieważ nie jesteś gotowy całkowicie go zostawić.

- I ta część nadaje mu formę - domyślił się Luke. Nie wierzył we wszystko, co mówił Ryontarr, ale był tutaj po to, żeby dowiedzieć się, dlaczego Jacen przeszedł na Ciemną Stronę, a nie żeby spierać się o teorię Mocy. Wyciągnął rękę z twarzy swojego ciała, popatrzył na jego zapadnięte oczy i suchą skórę. - Czy ta pozostałość mnie będzie też karmić i nawadniać moje ciało?

- W tym sensie, o jakim myślisz... tak - potwierdził Ryontarr, przyglądając się Luke'owi nieco zbyt uważnie. - Moc zawsze będzie podtrzymywać twoje ciało przy życiu, tak długo, jak długo będziesz do niego przywiązany.

Luke uniósł brew i rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Wiele ciał tutaj umiera z głodu.

- Cóż mogę powiedzieć? Wielu z nas wyzbyło się przywiązania do świata cieni. - Ryontarr spojrzął na ciało Luke'a. - Ty dopiero co przybyłeś. Twoje przywiązanie jest jeszcze silne.

- Więc moje ciało jest bezpieczne.

Odpowiedział mu Givin Feryl:

- Jeśli się boisz, zawsze możesz powrócić do swojego ciała. Wystarczy, że zobaczysz się w środku. - Krążył wokół Luke'a, a jego głęboko osadzone oczy lśniły pomarańczowym blaskiem w zagłębieniach kościstej twarzy. - Tylko opuszczenie go jest trudne.

Luke zauważył, że Feryl właściwie nie powiedział, że jego ciało będzie bezpieczne. Był przekonany, że Ryontarr trochę za bardzo starał się brzmieć wiarygodnie, kiedy zapewniał go, że Moc zachowa jego ciało.

- Jeśli mi nie wierzysz, to po prostu spróbuj - zachęcał go Feryl, - Co masz do stracenia?

- Zupełnie nic - zgodził się Ryontarr. - Teraz, kiedy pokazaliśmy ci już, jak to się robi, możesz wrócić Poza Cienie, kiedy tylko chcesz.

- Ale wtedy nie będzie was tu, żeby mnie poprowadzić - domyślił się Luke. - Będę musiał odtworzyć trasę Jacena bez waszej pomocy.

Ryontarr pokręcił głową.

- Wystarczy, że nas zawołasz, zanim wyruszysz.

- Zaczekamy tutaj. - Feryl odwrócił się i popłynął w stronę kuli fioletowego światła. -

Przemyśl to, Mistrzu Skywalker.

- Nie ma pośpiechu - poparł go Ryontarr, podążając za nim. - Czas jest iluzją.

Luke zmarszczył brwi i popatrzył na zapadnięte oczy swojego ciała. Czuł, że Wędrowcy Umysłów nie mówią mu całej prawdy, ale nie miał też wrażenia, że chcą mu zrobić coś złego. I niewątpliwie byli skłonni się zgodzić, żeby upewnić się o bezpieczeństwie swojego ciała przed dalszym etapem. Tylko że czas miał znaczenie dla Valina i wszystkich innych młodych Jedi, którzy tracili zmysły, a jeśli Luke mógł się dowiedzieć, czy wizyta Jacena tutaj ma jakiś związek z ich urojeniami, to im szybciej się tego dowie, tym lepiej. Poza tym były jeszcze te tajemnicze alarmy, wyjące i błyskające w sterowni. Gdy włączał się kolejny alarm, Luke nie mógł się oprzeć wrażeniu, że czas ma bardzo duże znaczenie.

- Zaczekajcie. - Posłużył się Mocą, żeby odczepić rurkę doprowadzającą wodę w swoim skafandrze próżniowym i umieścić jej końcówkę w ustach swojego ciała, po czym ruszył za Wędrowcami Umysłów. - Dokąd zmierzamy?

Ryontarr odwrócił się w jego stronę i wskazał na fioletowy I blask skwierczący w centrum pomieszczenia.

- Do światła, Mistrzu Skywalker.

Luke się uśmiechnął.

- Do światła? - powtórzył. - To brzmi trochę złowieszczo.

- Ależ skąd - odparł Ryontarr i zatrzymał się, żeby na niego zaczekać. - Już tam jesteś. Tak samo jak wciąż jesteś w swoim ciele, gotowy do rozpoczęcia uwalniającej medytacji.

- Wszystko jest stałe - dodał Feryl. - Wszystko, co się zdarzy, już się zdarzyło. Wszystko, co się zdarzyło, dopiero się zdarzy.

- Czas płynie wewnątrz nas, Mistrzu Skywalker - wyjaśnił Ryontarr. - To tylko nasza ograniczona natura dzieli galaktykę na sekundy i eony.

- Tak słyszałem - powiedział Luke, rozpoznając niektóre filozoficzne podwaliny tego stwierdzenia. Były w tym na pewno wpływy Aing-Tiich, z małym dodatkiem doktryny Potencjum i może nawet odrobiną herezjarchicznego determinizmu. Zastanawiał się, w jaki sposób Wędrowcy Umysłów zdołali połączyć tyle różnych tradycji Mocy. - Ograniczony umysł nie może pojąć nieograniczonej galaktyki.

- Ty pojdziesz. - Feryl skinął na Luke'a i ruszył ponownie w stronę fioletowej poświaty. - Chodź z nami do światła.

Podążając za nimi w kierunku skwierczącego blasku, Luke zaczął rozumieć, skąd wzięło się określenie „Wędrowka Umysłów”. Za każdym razem, gdy zaczynał stawiać krok, uświadamiał sobie po prostu, że znajduje się o krok dalej, niż był przed chwilę, zupełnie jakby teleportował się krok po kroku. W końcu zdał sobie sprawę, że wystarczy jedynie pomyśleć o ruchu, by ten ruch się dokonał.

Cała trójka była o jakieś trzy metry od fioletowej poświaty, gdy wiązka światła padła Luke'owi na pierś. Całe jego jestestwo natychmiast stało się równie fioletowe jak samo światło. Wypełniła go radość tysiąc razy silniejsza od wszystkiego, co kiedykolwiek przeżył. Miał wrażenie, jakby to on stał się Mocą, a Moc stała się nim, i ogarnęło go kojące szczęście, które wydawało się równie głębokie jak kosmos. Ból, strach, cierpienie - a nawet pamięć o nich - zniknęły. Została tylko czysta, wieczna radość istnienia, pieśń tak niezmiernie i ponadczasowa jak sam wszechświat.

Luke pozostał w tej pieśni dłużej niż rok i krócej niż sekundę. Nie pamiętał nic, ponieważ przeszłość miała dopiero nadejść; nie pragnął, ponieważ przyszłość już minęła. Widział galaktykę, wszechświat i samą Moc w jej pięknej, nieskończonej całości, która była równocześnie wewnątrz i na zewnątrz, bezkresna, wzniosła i całkowicie niepojęta.

- Idź - powiedział ochryply głos.

Luke zobaczył, że stoi wewnątrz zacienionej arkady, wychodzącej na stary dziedziniec, zarośnięty paprociami drzewiastymi, widłakami i słupami łuskowatych grzybów. Pośrodku dziedzińca znajdował się zaokrąglony basen fontanny. Strumień wody bulgotał gdzieś wewnątrz obłoku pary, tak skażonego siarką, że był bardziej brązowy niż żółty.

- Fontanna Siły - powiedział ten sam głos.

Luke odwrócił głowę w kierunku mówiącego. Zobaczył obok siebie Givina o twarzy jak czaszka - Feryla - i zaczął sobie przypominać, gdzie jest... a raczej przypominać sobie wyprawę, która go tutaj doprowadziła, bo przecież nie miał pojęcia, gdzie w istocie się znajduje. Miał misję. Musiał się dowiedzieć, dlaczego Jacen padł ofiarą Ciemnej Strony. Musiał ustalić, czy jego pobyt tutaj ma jakiś związek z psychozą nekającą tak wielu młodych Rycerzy Jedi.

Luke wciąż jeszcze próbował zorientować się w swoim położeniu, gdy odezwał się drugi głos, głęboki i dystyngowany.

- Jeśli masz odwagę się z niej napić, zyskasz siłę, która pozwoli ci osiągnąć wszystko, co zechcesz.

- Wszystko? - Luke obejrzał się i zobaczył Gotala o płaskiej twarzy, Ryontarra, który stał po jego drugiej stronie. - To poważna obietnica.

- Siła, która pochodzi z fontanny, jest nieograniczona - odparł Ryontarr. - Możesz zaczerpnąć tak głęboko, jak chcesz.

- Moge?

Luke spojrzął ponownie na dziedziniec. Paprocie wyrastające spomiędzy nieregularnie rozmieszczonych kamieni brukowych wydawały się tak samo materialne jak jego ciało, podobnie zresztą jak reszta roślinności - widłaki zwisające z kolumn arkady i szpaler grzybów otaczających fontanny. Za to ozdobny kamienny basen, tak samo jak ściany w komnacie medytacyjnej, wyglądał na eteryczny i niematerialny, choć krawędzie miał zarysowane na tyle wyraźnie, że przywodziły na myśl wyrzeźbione dekoracje, skomplikowane i groteskowe zarazem.

- Seek, zanim opuściliśmy stację, mówiłeś mi, że moje ciało wydaje się materialne nie dlatego, że wypełnione jest żywą Mocą, tylko dlatego, że wciąż jestem do niego przywiązany. - Luke wskazał na krzaczasty żółty widłak, równie wysoki jak on sam. - Ale rośliny tutaj również wydają się materialne, a przecież nie jestem do nich przywiązany.

- Ale ktoś inny jest - wyjaśnił Ryontarr. - Idź dalej. Sam zobaczysz.

Luke wyszedł z arkady na ostre światło niebieskiego słońca. Kiedy przywyknął do jego oślepiającego blasku, zobaczył, że dziedziniec położony jest w gęstej dżungli, na dnie doliny o stromych zboczach pokrytych obcą florą. Najwyższa ściana znajdująca się po przeciwległej stronie dziedzińca, wznosiła się na ponad kilometr ku krawędzi wulkanicznego krateru.

Luke szedł dalej i powoli uświadamiał sobie, że cały dziedziniec przesiąknięty jest drażniącym smrodem siarki. Nie czuł pieczenia w gardle ani w nosie, ponieważ najwyraźniej nie wdychał oparów. Przyprawiały go one jednak o mdłości i kiedy zbliżył się do fontanny, coś w nim zaprotestowało tak gwałtownie, że przez chwilę myślał, że zwymiotuje.

Gdy dotarł do basenu, zobaczył w końcu samą fontannę ukrytą za zasłoną pary. Był to strumień wody grubości mniej więcej: jego nogi, tak przesycony siarką i żelazem, że miał kolor brązowy jak pień drzewa, i tak nasycony energią Mocy, że Luke aż się cofnął. Zakręciło mu się w głowie, a żołądek podszedł mu do gardła. Fontanna była nie tylko skażona Ciemną Stroną Mocy ale wręcz nią przepojona - zupełnie jakby wypływała z jakiegoś zakopanego głęboko zbiornika energii Ciemnej Strony, która wzbierała nawet nie od tysiącleci, ale od początku czasu.

Luke miał ochotę zacząć narzekać. Fontanna Siły była niewątpliwie skupiskiem energii Ciemnej Strony i przynajmniej Ryontarr musiał rozumieć, co to oznacza. Takie skupiska powstawały w następstwie różnych złych wydarzeń. Być może w dolinie mieszkał niegdyś potężny użytkownik Ciemnej Strony Mocy - albo tylko został tu zabity. Dolina Mrocznych Lordów na Korribanie stała się skupiskiem energii Ciemnej Strony, ponieważ przez długi czas zamieszkiwali ją Lordowie Sithów, na orbicie Endoru zaś skupisko powstało po tym, jak zginął tam Palpatine.

Niezależnie od tego, jak było w tym przypadku, Ryontarr, jako były Rycerz Jedi, nie mógł liczyć na to, że Luke napije się z fontanny, nie dostrzegając tego skupiska. Gotal musiał przyprowadzić go tu z innego powodu - dla jakiejś mniej oczywistej formy deprawacji; a może po prostu chciał poddać go próbie.

Gdy w końcu Luke zdołał się uspokoić, odwrócił się w kierunku Ryontarra i zapytał:

- Co tu się stało?

Ryontarr rozłożył ręce, dając do zrozumienia, że nie wie.

- To identyczna zagadka jak sama Otchłań - powiedział. - Ale czy to ważne? Jeśli napijesz się z fontanny, będziesz miał siłę, żeby ocalić Zakon Jedi od zagłady.

- Od zagłady? - Luke poczuł się, jakby dostał w brzuch pałką Stokhli. Czy tak miały się zakończyć ich problemy z Daalą? A może to urojenia ich unicestwią? - Widziałeś to?

Ryontarr skinął głową.

- Przykro mi.

Luke odwrócił się w stronę fontanny, zastanawiając się, czy napięcie się z niej rzeczywiście było jedynym sposobem na ocalenie Zakonu Jedi - i czy niegdyś to wystarczyło, żeby przekonać Jacena.

- Jak to się stanie? - spytał. - Ta zagłada, znaczy się.

- To już się stało - odparł Feryl. Wskazał kościstym palcem na fontannę. - Napij się. To jedyny sposób na ocalenie twojego Zakonu.

Luke skonsternowany zmarszczył brwi - dopóki nie przypomniał sobie, że Poza Cieniami

czas nie istnieje. Oczywiście nie znaczyło to, że Jedi są bezpieczni. Wręcz przeciwnie - biorąc pod uwagę to, że młodzi Jedi pograżali się w obłędzie, a Daala była zdeterminowana, żeby podporządkować sobie Zakon, zagłada wydawała się zupełnie realna i to raczej prędzej niż później.

Luke odwrócił się, żeby przyjrzeć się fontannie. Czuł, jak jej mroczna siła wiruje wokół niego, zachęcając go, by jej użył i ocalił to, co budował przez całe życie i co kochał ponad życie. I czuł pokusę, tak jak każdy człowiek, który widzi przed sobą łatwe wyjście z rozpaczliwej sytuacji. Musiał tylko podejść do basenu, wsadzić głowę w ciemny gejzer i napić się tej trującej wody.

Ale... nawet gdyby Luke był gotów na deprawację, nie ocaliłby Zakonu. Uczyniłby go tylko zależnym od swojej siły, a to mama recepta na zbudowanie silnej organizacji, tak samo jak na wychowanie zdrowego dziecka. Jeśli chciał, żeby Zakon przetrwał także po jego śmierci, musiał pozwolić, żeby wzmocnił się sam, pokonując tę przeszkodę bez niego - tak jak musiał pozwolić Benowi popełniać własne błędy, aby mógł zdobyć mądrość konieczną do pokierowania Zakonem, kiedy Luke'a zabraknie.

- Na co czekasz, Mistrzu Skywalker? - spytał Ryontarr, widząc, że Luke nie zbliża się do fontanny. - Przecież chcesz ocalić Zakon Jedi.

- Oczywiście, że chcę - przyznał Luke, odwracając się w stronę Gotala. - Ale obaj wiemy, że nie dokonam tego, pijąc z tej fontanny.

- Więc jak go ocalisz? - naciskał Feryl.

- Nie ocale - odparł Luke. - Zakon jest wystarczająco silny, żeby sam się ocalił.

Ryontarr i Feryl wymienili spojrzenia, wyraźnie zawiedzeni decyzją Luke'a.

- Skończcie te gierki - rozkazał Luke i spojrzał gniewnie na Ryontarra. - Wiedziałeś, że nigdy nie napiję się z tej fontanny; Dlaczego więc mnie tu przyprowadziliście?

- No właśnie, dlaczego? - Na ustach Ryontarra pojawił się skąpy uśmiech, a jego wzrok powędrował w kierunku żółtego dymu nad fontanną. - Ponieważ nas o to prosiłeś.

- Nie ma powodu się na nas złościć, Mistrzu Skywalker - dodał Feryl. - Jeśli boisz się zobaczyć to, czego szukałeś, to nie nasza wina.

Luke zmarszczył brwi.

- Boję się?

Odwrócił się ponownie w stronę Fontanny Siły i poczuł dreszcz niepokoju.

Z żółtej mgły wyglądały dziesiątki par oczu. Niektóre wydawały się zbyt wąskie i zanadto szeroko rozstawione, by mogły należeć do przedstawicieli którejś ze znanych Luke'owi ras; inne były bardziej okrągłe i podobne do ludzkich. Wszystkie płonęły złocistym gniewem Ciemnej Strony. Tkwiły w kłębach czarnej pary w kształcie głów. Ponad połowa z nich przypominała duże, klinowate czaszki istot, które Luke i Ben widzieli w celach na pokładzie stacji kosmicznej.

Inne głowy miały bardziej znajome kształty. Jedna z nich była guzowata, o wydatnym czole i długich głowoogonach Twi'leka. Inna - bardziej trójkątna, z długim ryjkiem i trzema szypułkami ocznymi Grana. Pozostałe były ludzkie, ale tak zdeformowane, z zapadniętymi policzkami i kościstymi podbródkami, że trudno je było rozpoznać.

Przypominając sobie, co Feryl obiecał mu w komnacie medytacyjnej - że będzie mógł wejrzeć w serce Jacena - Luke zaczął rozumieć, dlaczego Wędrowcy Umysłów go tu przyprowadzili. Możliwe, że Jacen napił się z fontanny. Mistrz Jedi ruszył w kierunku basenu, szukając wśród głów tej, która najbardziej przypominałaby jego siostrzeńca.

Gdy podszedł bliżej, we mgle zaczął się formować nowy obłok ciemnej pary. Luke skierował się prosto do niego, zastanawiając się, czy będzie mógł z nim porozmawiać i o co powinien najpierw zapytać: „Dlaczego przeszedłeś na Ciemną Stronę? Jak mogłeś zamordować moją żonę? Co zrobiłem źle?”.

Zanim dotarł do krawędzi basenu, ciemny obłok urósł do rozmiarów ludzkiej głowy. Głowa miała jednak długie, złociste włosy, które spływały kaskadą i znikwały w spienionych wodach fontanny, oczy jej zaś były drobne, srebrzyste i głęboko osadzone, niczym dwie gwiazdy w czarnych studniach. Luke poczuł mackę zimnej, mokrej nicości, która owinęła mu się wokół nogi, a potem wniknęła przez skórę i zaczęła się wic w jego wnętrzu.

Wydał stłumiony okrzyk i spróbował się wycofać, ale spostrzegł, że ciągnie ze sobą cały

obłok. O dziwo, wyglądał on na kobietę. Miała duże, pełne usta, tak szerokie, że sięgały od ucha do ucha, grube ręce, które wystawały z ciała nie więcej niż na dziesięć centymetrów, a zamiast palców z dłoni wyrastały jej wijące się macki, tak długie, że zwisały poza krawędź basenu.

„Luke”...

Głos wydawał się zimny i znajomy, choć na wpeł zapomniany, niczym szept kochanki ze snu. Obłok uśmiechnął się, odsłaniając ostre jak igły, zakrzywione zęby, po czym wyciągnął ku niemu ciemną mackę.

„Chodź”...

Była to ostatnia rzecz, jaką Luke miał zamiar zrobić. Cokolwiek to miało się okazać, było kobietą - a to oznaczało, że nie był to Jacen. Luke zrobił krok do tyłu i nagle znalazł się znów wewnątrz arkady, pomiędzy Ryontarrem a Ferylem. Spojrzał na swoją rękę i stwierdził ze zdziwieniem, że nie drży ani nie jest spocona - ale w głębi duszy był przekonany, że całe jego ciało trzęsie się ze strachu.

Odwrócił się i spojrzał gniewnie w bezdenne oczodoły Feryla.

- To... nie... był... Jacen.

- Oczywiście, że nie - odparł Givin. - Jacen nie był nawet kuszony.

Ryontarr położył Luke'owi rękę na ramieniu.

- Ale nie przejmuj się, Mistrzu Skywalker. W końcu ty też postąpiłeś właściwie. Tylko to się liczy.

ROZDZIAŁ 16

Nastroszone brwi, głęboko osadzone oczy i wystające kości policzkowe sprawiały, że Rolund i Rhondi Tremaine'owie bardziej niż ludzi przypominali Ugnoughtów. Dwójka Wędrowców Umysłów siedziała w mesie „Cienia”, sącząc napoje z hydropakietów i wyjadając nutripastę prosto z dziesięciokilogramowego pojemnika. Ich jasne włosy były ulizane, skóra spierzchnięta, a wargi tak popękane, że aż dziw brał, że nie cieknie im po brodach.

Ben dopiero co sprawdził stan przedziału medycznego, wiedział więc, że hydropakiety pochodziły z ostatniego zasobnika; w tym tygodniu wygłodzeni Wędrowcy Umysłów pochłonęli już trzy pojemniki nutripasty! Pomyślał smętnie, że jeśli zapasy Skywalkerów będą się dalej kurczyć w takim tempie, po opuszczeniu Otchłani „Cień” będzie musiał od razu lecieć po zaopatrzenie. Mimo to nie wypędził Tremaine'ów ani nie skomentował ich żarłoczności. Całą - skromną jak dotąd - wiedzę o Stacji Ujście (jak nazywali ją mieszkańcy) zdobył podczas rozmów z wiecznie nienasyconymi Wędrowcami Umysłów, a Tremaine'owie byli zdecydowanie rozmowniejsi niż większość tutejszych.

Przystanął w wejściu do mesy i przyglądał się przez chwilę w milczeniu rodzeństwu. Wreszcie pokręcił z niesmakiem głową.

- Mógłbym was poczęstować paroma szklankami chłodziwa - odezwał się lodowatym tonem. - Umieralibyście długo i w mękach, a i tak byłbym dla was zbyt łaskawy.

Rhondi także pokręciła głową i odstawiła hydropakiet na stół.

- Ciężko jest wędrować Poza Cieniami, rzygając krwią - odgryzła się. - Ale dzięki za troskę.

Rolund oblizwał palce z nutripasty i skinął głową w stronę torby z narzędziami w rękach Bena.

- Co masz w sakwie? - spytał. - Czy mi się zdaje, czy mówiłeś ostatnio, że kończysz naprawy?

Ben pokiwał głową.

- Tak mówiłem. - Przeszedł przez próg i ruszył w stronę stołu, ale po namyśle postanowił odłożyć torbę na ladę po przeciwnej stronie pomieszczenia. Po powrocie spoza Cieni Wędrowcy Umysłów byli wygłodniali i spragnieni, a on nie miał ochoty dzielić się z nimi zawartością torby. Pod pretekstem sięgnięcia do konserwatora po sok z hubby zostawił ją na blacie i dopiero potem wrócił do gości.

- Jesteśmy gotowi do startu od dwóch dni - powiedział, przysiadając się do nich. - Mam już dość czekania.

- Skoro tak mówisz. - Rhondi wzruszyła ramionami i zerknęła ukradkiem w stronę lady. - Dlaczego nie chcesz, żebyśmy zobaczyli, co tam masz?

Ben uśmiechnął się z przymusem, wyraźnie zawstydzony.

- Wybaczcie - bąknął. - Myślałem, że zachowałem się bardziej dyskretnie. To zestaw do infuzji dożylniej. Wolałbym nie musieć z niego korzystać.

- Kroplówka? - domyślił się Rolund, naśladowując zaniepokojoną minę siostry tak perfekcyjnie, że Ben poczuł się nieswojo. Nadal nie wiedział, czy rodzeństwo było bliźniętami, ale czasem zachowywali się, jakby łączyła ich podobna więź co Killików. - Po co?

- Mojemu ojcu ciągle wypada ustnik - wyjaśnił Skywalker. - Boję się, że całkiem się odwodni.

Tremaine'owie nie wymienili co prawda spojrzenia, ale trudno było przeoczyć lekki błysk niepokoju, który na chwilę zagościł w oczach obojga. Przez moment Ben sądził, że mogło to oznaczać jakieś powikłania Poza Cieniami i czekał parę sekund, zaciskając zęby, na jakieś przykre wieści. Zamiast jednak oznajmić mu jakąś katastrofalną wieść, Rhondi oderwała wzrok od pakietu medycznego, jakby nagle przestał ją interesować, a Rolund sięgnął pozornie bez troski po nutripastę. Wtedy do Bena dotarło: ustnik nie wypadł sam z siebie. Był przez kogoś usuwany. Celowo.

Sięgnął po swój sok i upił długi łyk, starając się stłumić falę gniewu i zastanowić, co dalej. Niczego się nie dowie, grożąc im czy czyniąc wyrzuty. Całkiem możliwe, że w taki sposób tylko wpakuje swojego ojca w większe tarapaty. Jak dotąd nic nie wskazywało na to, żeby Wędrowcy Umysłów mieli zamiar go zabić. Gdyby tak było, mieli ku temu w ciągu ostatniego tygodnia całe mnóstwo okazji. A mimo to wyglądało na to, że pragną jego śmierci... Nie mógł zaprzeczyć. Różnica między tymi dwoma faktami była nieznaczną, ale istotną, i Ben wiedział, że jest kluczem do odgadnięcia prawdziwych zamiarów Wędrowców Umysłów.

Odstawił swój sok, wbił spojrzenie w Rhondi i czekał. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego blado, a potem odwróciła wzrok i skupiła bez reszty na wyciskaniu porcji nutripasty. Skywalker nie spuszczał z niej oka i zmarszczył w skupieniu czoło, starając się dać jej do zrozumienia, że bacznie obserwuje każdy jej ruch i analizuje zachowanie.

Ostatnim razem, kiedy Tremaine'owie zjawili się na pokładzie „Cienia”, ta technika zadziałała i Ben zdołał od nich wyciągnąć wiele ciekawych informacji.

Podobnie jak kilku innych młodych Wędrowców Umysłów na Stacji Ujście rodzeństwo przyszło na świat w obszarze Otchłani, w sekretnej kolonii, którą admirał Daala założyła pod koniec swojego urzędowania w okolicy tajnego imperialnego laboratorium. Podobnie jak ich urodzeni tu i wrażliwi na Moc pobratymcy Rolund i Rhondi nie zostali wcieleni do wojska. Zamiast tego od małego byli szkoleni do służby w wywiadzie, a po osiągnięciu dorosłości wysłani jako szpiedzy poza Otchłani. Przydzielano im różne misje - od mających na celu gromadzenie informacji po unieszkodliwianie systemów ochrony na statkach, które planowano przechwycić. W ciągu około dziesięciu lat wykazali się ponadprzeciętnymi umiejętnościami w zakresie działalności szpiegowskiej tak skutecznie, że Daala nie miała najmniejszych problemów z zaopatrywaniem kolonii, która wciąż się rozrastała. Wkrótce - oczywiście wszystko w największej tajemnicy - Nieregularna Flota Otchłani znacznie urosła w siłę.

A potem rozpoczęła się druga galaktyczna wojna domowa i stacja Centerpoint została zniszczona. Wtedy Tremaine'owie i inni wrażliwi na Moc mieszkańcy kolonii Otchłani zaczęli odczuwać rozpaczliwą tęsknotę za domem. Kiedy zaś Daala odmówiła spełnienia ich próśb dotyczących powrotu, tęsknota przemieniła się w paranoję, a szpiedzy zaczęli zbiorowo żywić przekonanie, że cała ta wojna została zaaranżowana w celu ich zdemaskowania. W końcu paranoja stała się obsesją a tajni agenci zbiorowo zdezerterowali. Kradnąc co popadnie, wracali najróżniejszymi pojazdami do Otchłani, gnani tajemniczą potrzebą skrycia się w jej sercu - i lądując nieuchronnie na Stacji Ujście.

Żywoty innych Wędrowców Umysłów, urodzonych poza Otchłanią, nie były aż tak

tragiczne. Z natury wrażliwi na Moc, odczuwali silną więź z Otchłanią od czasu ich pierwszej wizyty na jej terenie. Relacja ta pogłębiała się w miarę upływu czasu, nakazując im wciąż głębszą eksplorację gromady czarnych dziur. W końcu trafiali na Stację Ujście i rozpoczynali pustelniczy, ascetyczny żywot, spędzany w głównej mierze na obcowaniu z tajemniczą manifestacją Mocy, która ich tu ściągnęła.

Nim minęło kilka lat, medytacje umożliwiły im osiągnięcie nowych poziomów wtajemniczenia: zaczynali pojmować, że ich dotychczasowe życie było tylko iluzją, a ostateczną prawdę skrywały cienie, rzucane przez blask skończonej Mocy. Nie było w tym przesady, bo podczas medytacji rzeczywiście opuszczali swoje ciała i przenosili się do czegoś w rodzaju raju, w którym nie było bólu i cierpienia, gniewu ani strachu, a jedynie czysta, niczym niezmacona radość istnienia.

Ben nie miał pojęcia, czym tak naprawdę jest ten „rajski wymiar”, ale było dla niego jasne, że zniszczenie stacji Centerpoint poczyniło w rejonie Otchłani jakąś fundamentalną zmianę. Nie wiedział, jaki miała skutek, ale jej reperkusje wpłynęły na galaktykę niczym fala udarowa po wybuchu nowej, zmieniając setki wrażliwych na Moc istot, które kiedyś żyły w Otchłani, w stado oszołomów i paranoików. Fakt ten przerażał Bena i od dwóch dni dosłownie spędzał mu sen z powiek - a to dlatego, że sam spędził w Otchłani dwa lata wczesnej młodości.

Minęły dwie długie minuty, zanim Rhondi wreszcie poczuła się niezręcznie, taksowana przez niego wzrokiem. Nie przestając zlizywać nutripasty z palców, podniosła na niego oczy.

- Wiesz, że to nic nie da - burknęła.

Ben nawet nie mrugnął.

- Proszę? - spytał tylko uprzejmie.

- Takie gapienie się - wyjaśniła oschle Rhondi. - Założę się, że wiemy o technikach przesłuchiwania więcej niż ty. Skoro chcesz o coś spytać, nie krępuj się. Nie mamy nic do ukrycia, możesz mi wierzyć.

- W porządku. - Ben skapitulował, ale nie spuścił z Rhondi wzroku. - Dlaczego nie chcecie, żebym podłączył mojego ojca do kroplówki?

Tym razem Tremaine'owie niczym się nie zdradzili. Mimo to personel szkoleniowy Daali nie nauczył ich jednak najwyraźniej, jak ukrywać emocje w Mocy, więc Ben wyczuł w ich aurach zaskoczenie, co tylko potwierdziło jego podejrzenia.

Po chwili niezręcznego milczenia Rolund przyszedł siostrze w sukurs:

- A dlaczego sądzisz, że mielibyśmy tym sobie zawracać głowę?

Ben westchnął ciężko.

- Odpowiadanie pytaniem na pytanie jest trochę głupie, nie uważasz? - Położył dłonie na stole i pochylił się nieznacznie w stronę rodzeństwa. - Jeśli wam się zdaje, że zdołacie przechytryć Jedi, nie mam złudzeń, że wiecie mniej na temat przesłuchiwania więźniów niż ja.

Rhondi opadła na siedzenie, podświadomie ujawniając swój strach i poczucie winy.

- Rolund twierdzi, że nie macie nic do ukrycia - nie ustępował Ben. - A ja nie znoszę, kiedy ktoś próbuje mnie okłamywać.

- Nie kłamiemy! - zaprotestowała Rhondi. - Po prostu... Twój ojciec nie musi być karmiony dożylnie.

- Moc utrzyma go przy życiu - dodał z niezachwianą pewnością Rolund.

Ben rzucił znaczące spojrzenie na spoczywający między nimi pojemnik z nutripastą.

- Tak jak was? - spytał z przekąsem.

Rhondi pokiwała gorliwie głową.

- Dokładnie.

Bena prawie zalała krew. Okłamywali go - i to w żywe oczy! Nie zamierzał się jednak dać sprowokować, więc wziął głęboki oddech, a potem jeszcze jeden - i jeszcze... Puszczaly mu nerwy, a to oznaczało, że lada chwila może stracić nad sobą kontrolę. Pewnie zresztą właśnie dlatego go zwodzili; wiedzieli, że jeśli go rozgniewają, łatwiej będzie im go kontrolować.

Musiał przyznać, że były z nich szczone sztuki - okazali się sprytniejsi, niż początkowo sądził. Wziął jeszcze jeden głęboki wdech, a kiedy poczuł, że nieco się uspokoił, usiadł prosto i -

pozornie od niechcenia - położył dłoń na udzie, w pobliżu zawieszzonego u pasa miecza świetlnego.

- A więc do utrzymywania się przy życiu wystarczy wam sama Moc? - spytał zjadliwie.

- Dokładnie - powtórzył Rolund. - Wszak ciało jest tylko formą nadawaną przez Moc, czyż nie?

- Fakt - mruknął Ben. - Wyjaśnijcie mi jednak łaskawie, dlaczego, skoro to Moc ma was utrzymywać przy życiu, korzystacie bez umiaru z zapasów „Cienia”?

Ku jego zaskoczeniu Rhondi spojrzała na brata i uśmiechnęła się z rezygnacją.

- Mówiłam ci, że zauważy.

Rolund wzruszył ramionami i zerknął na siostrę z ukosa.

- To sensowniejsze niż te bzdury w stylu Jedzenie to tylko ucieleśnienie Mocy w materii”, które mi wmawiasz.

- Tak czy inaczej, nie odpowiedzieliście mi na pytanie. - Ben wstał od stołu. Zaczynał mieć wrażenie, że zarówno Tremaine’owie, jak i reszta Wędrowców Umysłów, którzy zgłaszali się na pokład „Cienia Jade” po wsparcie, brzydko go wrabiali. - Chcę odpowiedzi albo już was tu nie ma!

Rhondi sprawiała wrażenie zakłopotanej i nieco zawstydzonej. Odwróciła się do brata, który gapił się na Bena z otwartą wrogością.

- Może lepiej powiedzmy mu prawdę, Rolundzie - zaproponowała niepewnie. - Chyba się trochę wkurzył...

- Jestem wkurzony coraz bardziej - dodał lodowatym tonem Ben. Dotarło do niego, że okłamywali ich od samego początku - a to znaczyło tylko jedno: że chcieli ich skrzywdzić. - Nie zamierzam karmić wrogów.

- Nie jesteśmy waszymi wrogami! - Rolund podniósł wysoko brwi. Sprawiał wrażenie urażonego, ale wyraz jego twarzy sugerował wielokrotnie wyćwiczoną podczas kariery szpiega minę. - Próbujemy wam pomóc...

- Dokładnie - potwierdziła gorliwie Rhondi. - Im wcześniej skończą wam się zapasy, tym szybciej zauważycie, że jedynym źródłem energii, jakiego potrzebujecie, jest Moc.

Gniew powrócił ze zdwojoną siłą i Ben z trudem powstrzymał napad agresji. Jakaś część jego ja nakazywała mu przestać słuchać kłamstw Tremaine’ów i zabić ich, zanim ich oszustwa zabiją jego samego.

Nadludzkim wysiłkiem odegnał demony mroku. Czuł w słowach Rhondi prowokację, ale był Jedi - a Jedi nie zabijali ludzi z powodu kłamstw.

Minęła dobra chwila, zanim wziął się w garść.

- Są inne sposoby, dzięki którym możecie mnie przekonać do własnych wizji - stwierdził zwodniczo spokojnie.

Rolund uśmiechnął się do niego blade.

- Czy mógłbyś nas oświecić? - spytał przymilnie.

- Jasne. To nic skomplikowanego - rzucił beztrząsowo Ben. Przysunął do siebie zbiornik z nutripastą, a potem Mocą wyrwał im z rąk hydropakiety. - Wystarczy, że wrócicie Poza Cienie i zostanieie tam, żywiąc się sama tylko Mocą. Jeśli zdołacie przetrwać ponad tydzień, uwierzę w wasze zapewnienia.

Jeśli nawet jego propozycja wzbudziła w nich przerażenie, Ben nie wyczuł go w ich aurach w Mocy. Rolund sprawiał wrażenie, jakby rozważał ją przez chwilę, aż wreszcie odwrócił się do siostry.

- No, nie wiem - stwierdził z wyraźnym wahaniem. - Co o tym myślisz?

- Sądzę, że tydzień to sporo czasu jak na uzyskanie dowodu - stwierdziła ostrożnie Rhondi.

Sięgnęła po hydropakiet, odebrany jej wcześniej przez Bena, jednak coś skłoniło chłopca do odsunięcia go poza jej zasięg. Zimny gniew znów wrócił, wraz ze wspomnieniem o tym, jak Wędrowcy Umysłów wykorzystali wspomnienia Luke’a o Jacenie, żeby zwabić Mistrza Skywalkera Poza Cienie. Teraz znów chcieli zastosować swoje sztuczki, żeby przeszkodzić Benowi w próbie ocalenia ojca i zwabić go w wymiar zaświatów. Może Tremaine’owie naprawdę powinni umrzeć... jeśli chciał ocalić ojca. Może wszyscy Wędrowcy Umysłów zasługiwali na śmierć?

Ta myśl przeraziła go do tego stopnia, że w końcu otrząsnął się z osłupienia i odpędził

resztki gniewu. Trudno mu było uwierzyć, że przez chwilę rozważał opcję masowej zagłady. Teraz wydawało mu się to czystym szaleństwem - i szybko dotarło do niego, że tym właśnie było. Spędził w Otchłani dwa lata, a teraz zaczynał popadać w paranoję - całkiem jak tubylcy. Wniosek nasuwał się sam i był... co najmniej niepokojący.

Zwrócił Tremaine'om hydropakiety.

- Idźcie już - burknął. - Gdybym był na waszym miejscu, już bym tu nie wracał.

ROZDZIAŁ 17

Przyozdobiony imponującą kolekcją wizerunków architektury Starej Republiki i umeblowany dwoma luksusowymi kanapami LevitaRest pokój urządzone bardziej stylowo niż funkcjonalnie. Było w nim też stanowczo za czysto jak na biuro zapracowanego sędziego. Na modnym biurku (model Freefloater) nie leżała ani jedna teczka ani datapad. Brakowało też niezbędnych do wykonywania papierkowej roboty takich przedmiotów jak chociażby lampa. W rzeczywistości jedyną oznaką czyjejs regularnej bytności w pomieszczeniu był wiszący w powietrzu zapach słodkich perfum o owocowej nucie, który na pewno pasował do osoby pełnej energii i frenetycznej.

Wysoka kobieta o iście królewskiej posturze i zaczynających siwieć długich, miedzianorudych włosach, ubrana w prosty, biały mundur, wyglądała przez lustrzany transpastałowy panel, odwrócona do pomieszczenia plecami. Surowy pokój o szarych ścianach pełen był Jedi, reporterów i zwykłych żądnych sensacji gapiów, ale kobieta bez reszty skupiała uwagę na podium, na którym obok twi'lekańskiego adwokata o imieniu Nawara Ven siedziała spokojnie jasnowłosa była Jedi.

Nie spuszczać wzroku z sali sądowej, rudowłosa skinęła na swojego gościa.

- Przywódco Fel, zapraszam. To nie potrwa długo, a przypuszczam, że sprawa Jedi Veili interesuje pana tak samo jak mnie.

- Jestem pewien, że pójdzie szybko, przywódczyni Daalo - potwierdził Jag. Poprosił o spotkanie dosłownie w ostatniej chwili, więc Daala zaprosiła go, żeby dołączył do niej w biurze sędzi Arabelli Lorteli. - Chciałbym jednak pani przypomnieć, że Tahiri Veila nie jest już Jedi. Od jakichś trzech lat.

- Podobno. - Daala ani na chwilę nie oderwała spojrzenia od sali sądowej, ale Jag dostrzegł błakający się po jej ustach cień uśmiechu. - Tak czy siak, to na pewno będzie interesujące.

Kiedy Jag podszedł bliżej do panelu, zobaczył wśród tłumu w sali Hana i Leię. Jaina siedziała w tym samym rzędzie co rodzice, ale dzieliło ją od nich jakieś sześć pustych krzeseł. Poczł ukłucie winy; to on był przyczyną kryzysu, jaki ostatnio przechodziła rodzina Solo, jednak nie miał pojęcia, jak mógłby tę sytuację naprawić. Wiedział, że nie mógł postąpić inaczej - jako imperialny przywódca nie mógł ujawnić Jedi informacji, które doszły do jego uszu.

Chociaż przykro było mu patrzeć na rozłam w rodzinie Solo, nie był zaskoczony ich obecnością na rozprawie Tahiri. W ciągu ostatnich kilku lat byli w stosunku do niej bardzo opiekuńczy - może dlatego, że to między innymi dzięki jej decyzji pod koniec wojny domowej udało się uniknąć rzezi Jedi... A może po prostu mieli wyrzuty sumienia z powodu emocjonalnych gier, w jakie wciągnął ją Caedus, aby przeciągnąć Tahiri na stronę mroku? Całkiem możliwe też, że troszczyli się o Veilę, mając na uwadze więź, jaka łączyła ją kiedyś z ich świętej pamięci synem Anakinem. Jag przypuszczał, że składały się na ten fakt po trosze wszystkie te rzeczy.

Tak czy inaczej, zamierzał przekonać Daalę, żeby wycofała zarzuty przeciwko Tahiri - po pierwsze dlatego, że było to... właściwe, a poza tym podobny czyn mógł nieco złagodzić gniew jego przyszyłych teściów.

Podszedł do panelu i delikatnie dotknął palcami transpastałowej tafli. Chociaż szyba była przejrzysta tylko jednostronnie, Jaina i Leia natychmiast odwróciły głowy w jego stronę.

- Przed Jedi nic się nie ukryje - stwierdziła cicho Daala. - Jak sądzisz, jak wytłumaczą sobie twoją obecność w tym miejscu... ze mną?

- Jestem pewien, że doskonale wiedzają, po co tu jestem. - Jag miał nadzieję, że w jego głosie brzmi więcej pewności niż czuł. - Aby pomóc ci zrozumieć błąd, jaki popełniasz.

Daala w końcu zaszczyciła go spojrzeniem i podniosła brew.

- Uważasz, że moje metody są... niewłaściwe?

- Uważam, że organ sądowniczy nie powinien być wykorzystywany jako broń polityczna - sprostował rzeczowo Jag. - To nosi znamiona tyranii.

Daala przez chwilę wydawała się rozważać jego słowa, jednak z jej twarzy nie można było nic wyczytać.

- Wszyscy dźwigamy brzemię naszej przeszłości, przywódco Fel, ale... rozumiem, co ma pan na myśli.

Drzwi do sali sądowej otworzyły się i sierżant straży polecił obecnym wstać. Wkrótce do sali weszła smukła, błękitnowłosa kobieta o wysoko sklepionych brwiach i szerokich, pełnych ustach. Wyglądała jak atrakcyjna kobieta około siedemdziesiątki - gdyby nie wąski, zbyt długi nos, który zdradzał jej przynależność do rasy Zoolli.

Kiedy wchodziła po schodach na sędziowskie podium, Daala odwróciła się wreszcie od szyby.

- O niezawisłości sądu porozmawiamy po sprawie - stwierdziła krótko. - Zaufaj mi, nie chcesz tego przegapić.

Na dźwięk niezachwianej pewności siebie w głosie pani admirał Jag poczuł ukłucie niepokoju. Wkrótce powtórzył sobie jednak, że skoro Natasi Daala chce z nim rozmawiać o nadużywaniu władzy, może zdoła ją przekonać do zmiany decyzji - o ile oczywiście nie rozgniewa jej wcześniej, odmawiając momentu triumfu.

- Oczywiście - przyznał. - To naprawdę miło, że zgodziłaś się spotkać ze mną tutaj - tym bardziej że poprosiłem o widzenie w ostatniej chwili...

- Bez podania przyczyny - przypomniała mu Daala. - A to daje mi całkiem dobre pojęcie o tym, dlaczego chciałaś się ze mną spotkać.

Jag skinął głową ale zanim zdołał coś powiedzieć, z głośników sądowego interkomu popłynął surowy głos sierżanta:

- Sąd do spraw Jedi rozpoczyna rozprawę pod przewodnictwem szacownej sędzi Arabelle Lorteli. Proszę siadać i zachować ciszę.

Nim jeszcze obecni zajęli swoje miejsca, sędzia Lorteli odezwała się piskliwym, nosowym głosem, który przyprawił Jaga o dreszcze.

- Muszę przyznać, że nie spodziewałam się takiej popularności...

Jej słowa wzbudziły salwę rubasznego śmiechu. Na ich dźwięk Lorteli skrzywiła się gniewnie i spiorunowała salę wzrokiem, a potem spojrzała znacząco na sierżanta.

- Cisza! - ryknął oficer i chichoty ustały jak nożem uciął. Sędzia spróbowała ukryć rumieniec, który wystąpił jej na policzki, udając, że bez reszty pochłaniają ją informacje wyświetlane na sędziowskim monitorze. Jaga momentalnie ogarnęły wątpliwości co do profesjonalizmu tej kobiety, a uśmiezek na twarzy Daali tylko go w tym utwierdził. Przywódczyni Sojuszu doskonale wiedziała, co robi, wyznaczając tę osobkę do prowadzenia sprawy Tahiri.

Kiedy Lorteli już doszła do siebie, rozejrzała się po sali i przybrała surowy wyraz twarzy.

- Miałam oczywiście na myśli, że jestem nieco zaskoczona tak liczną frekwencją na zwykłej rozprawie...

Nie czekając na swoją kolej, Nawara Ven wstał i wyjaśnił:

- To niezwykle zainteresowanie jest spowodowane oburzeniem społeczeństwa na tak rażące naruszenie prawa, Wysoki Sądzie. Aresztowanie Tahiri Veili to nic innego jak wyrachowana polityczna zagrywka, obliczona na...

- Wystarczy, panie... - Lorteli przerwała mu podniesieniem dłoni. - Jak pana godność, adwokacie...?

Głowoogony Nawary zdrząły z oburzenia.

- Wysoki Sąd doskonale wie, kim jestem. W samym tylko bieżącym tygodniu pojawiałem się tu kilkanaście razy...

- ...podczas spraw dotyczących różnych Jedi - dodała znacząco Lorteli. - Mam rację, adwokacie Ven?

Ku zaskoczeniu Jaga uwaga Nawary w najmniejszym stopniu nie wzburzyła sędzi. Zaczął mieć złe przeczucia.

Wszystko wskazywało na to, że Ven także wie już, co się święci, bo jego odpowiedź była zaskakująco krótka:

- Oczywiście - powiedział tylko.

- I to Jedi płacą panu za reprezentowanie Tahiri Veili? - ciągnęła Lorteli.

Twi'lek wyprostował się i podniósł wyżej głowę.

- Nie omawialiśmy jeszcze spraw związanych z honorarium, Wysoki Sądzie - odparł. -

Jednak przez ostatnie dwa lata Tahiri Veila świadczyła usługi jako... hm, specjalista do odnajdywania poszukiwanych. Z tego co wiem, nie narzekała na brak zleceń, więc zakładałem, że sama pokryje swoje koszty.

- Nie liczyłam na to - mruknęła pod nosem Daala. - Wątpię, żeby dorobiła się dwudziestu tysięcy kredytów.

Tahiri była zbyt dobrze wykształcona - zarówno jako Jedi, jak i uczennica Sithów - żeby zdradzić jakiegokolwiek zaskoczenie słowami Vena. Sędzię jednak na chwilę zatkało, całkiem jakby Nawara nagle przestał się trzymać ustalonego wcześniej scenariusza. Spuściła wzrok, studiując dane na ekranie, a potem zasznurowała usta i spojrzała surowo na Tahiri.

- Oskarżona Veilo, czy jest pani Jedi?

- Nie - odparła Tahiri. Nie wstała, okazując tym samym brak szacunku wobec wyższej instancji, który sugerował, że - podobnie jak Ven - wie, jak się skończy ta rozprawa. - Już nie.

- Ale w przeszłości była pani jedną z nich, zgadza się?

- Tak jest.

- Przed rozpoczęciem ostatniej galaktycznej wojny domowej? - upewniła się Lorteli. Zanim jednak Tahiri zdołała odpowiedzieć, Ven oparł ręce na blacie i pochylił się do przodu.

- Wysoki Sądzie, wnoszę sprzeciw przeciwko takiej linii przesłuchania. Działalność mojej klientki przed wojną nie ma nic wspólnego z oskarżeniami, na które odpowiada.

Lorteli nawet nie zaszczyciła go spojrzeniem.

- Odrzucam pański sprzeciw, adwokacie Ven.

- Na jakiej podstawie?

- Takiej, że nie uznaję pana jako obrońcy oskarżonej... i raczej nie uznam.

Po sali przeszedł pomruk zaskoczenia. Han Solo wstał i otworzył usta, zamierzając najwyraźniej zaprotestować, ale zanim zdążył coś powiedzieć, jego żona pociągnęła go z powrotem na krzesło i przyszpiliła Mocą. Jaina najwyraźniej także powstrzymywała się z całej siły od zabrania głosu. Siedziała jak na szpilkach i łypała na Lorteli ponuro spode łba. Nawet Tahiri okazała wreszcie jakiś ślad zainteresowania sprawą, bo pochyliła się lekko do przodu i oparła łokcie na ławie.

Kiedy sierżant zaapelował znów o ciszę, Lorteli wbiła wzrok w oskarżoną.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie, oskarżona Veilo: czy przed ostatnią galaktyczną wojną domową była pani Jedi?

- Tak - potwierdziła Tahiri, rzucając złośliwe spojrzenie Bithowi zasiadającemu w ławie oskarżycieli. - Zanim dopuściłam się czynów, o które zostałam oskarżona.

- Rozumiem - stwierdziła krótko Lorteli. - Rozumiem też, że jako Rycerz Jedi była pani wtajemniczona w wiele sekretów, których Zakon Jedi wolałby nie ujawniać przed sądem, mam rację?

- Och, jasne, wszyscy wiemy, gdzie Imperator zakopał swój skarb, jeśli o to pani pyta - parsknęła Tahiri, opadając niedbale na oparcie krzesła. - Z chęcią narysuję wam mapkę, jeśli tylko dzięki temu zdołam się wykpić od tych... - reszta jej wypowiedzi została zagłuszona przez falę chichotów. Nawet Daala parsknęła z rozbawieniem.

- Ta mała ma tupet - stwierdziła z uznaniem. - Trzeba jej to przyznać.

- A co ma do stracenia? - spytał Jag. - Nawet ślepy Gunganin by zauważył, że to wszystko

jest ustawione.

Daala uśmiechnęła się pod nosem.

- Czy mi się zdawało, czy ktoś tu coś wspominał o przesądzaniu wyroku, Fel? Sędzia Lorteli chce się tylko upewnić, że oskarżonej broni właściwy adwokat.

Kiedy sierżant przywołał znów zgromadzonych do porządku, Lorteli spojrzała chmurnie na Tahiri.

- Rozumiem, że to znaczy „tak”?

- Może to pani rozumieć, jak się pani żywnie podoba. - Veila zerknęła z ukosa na Hana i Leię. - Tak czy inaczej, nawet gdybym знаła jakieś tajemnice Jedi, na pewno nie podzieliłabym się nimi z nikim w tej sali - dodała butnie.

Lorteli uśmiechnęła się do niej triumfalnie.

- Jak pani woli - stwierdziła. - Skoro jednak informacje, o których pani wspomniała, mogłyby mieć wpływ na tę sprawę, nie mogę pozwolić na to, żeby Nawara Ven - ani żadna inna osoba, w przypadku której zachodzi tak wyraźny konflikt interesów - uczestniczyła w procesie.

W sali zawrzało jak w ulu. Tym razem Leia nie zdołała powstrzymać męża. Jag odwrócił się od okna i pokręcił głową, wyraźnie zdegustowany.

- Dobrze przynajmniej, że nie zjawiłaś się tam osobiście, żeby napawać się triumfem na ich oczach - rzucił. - Myślisz, że Jedi i ich poplecznicy w Senacie puszczą ci to płazem?

- Oczywiście, że nie. - Daala wyłączyła głośniki i zwróciła się w stronę rozmówcy. - Ale nie mam innego wyjścia. Jeśli Mistrzowie sądzą, że zastraszą mnie groźbą rozwiązania Zakonu...

- A zrobili to? - wszedł jej w słowo Jag. - Z tego co słyszałem, ci uczniowie sami zrezygnowali...

Daala przewróciła oczami.

- Proszę, Fel... Nie wierzę, że jesteś aż tak naiwny. Inaczej moffowie wykończyliby cię już dawno. - Podeszła do barku po drugiej stronie pokoju. - Napijesz się czegoś? Wody? Coś z bąbelkami?

- Nie, dziękuję. - W ramach czegoś na kształt niechętnego szacunku Daala przestała proponować mu napoje wysokokowe po ich drugim spotkaniu, kiedy to jasno dał jej do zrozumienia, że załatwianie spraw wagi rządowej wymaga od niego trzeźwości umysłu. - Mimo wszystko chcę, żebyś przemyślała to wszystko jeszcze raz. Nie robisz tego, żeby zadośćuczynić sprawiedliwości.

Daala otworzyła barek.

- To po co? - spytała, nie patrząc w jego stronę.

- Żeby wyrównać własne rachunki - powiedział. - I nie tylko Jedi to widzą. Stawiasz Tahiri Veilę przed sądem, ale nie starasz się pociągnąć do odpowiedzialności innej winnej zdrady osoby ze świecznika. To pachnie korupcją.

Daala milczała przez chwilę.

- Masz na myśli Cha Niathal? - spytała wreszcie.

- Dokładnie. Admirał Niathal jest tak samo winna jak Tahiri. Czy naprawdę sądzisz, że to w porządku stawiać jedną osobę przed sądem, a całą reszcie odpuścić? Prędzej czy później ludzie uznają, że odwdzięczasz się Niathal za pomoc w zdobyciu stanowiska przywódczyni Sojuszu. Słyszałem już takie głosy.

- Nie ma znaczenia, że będą w błędzie - skwitowała Daala. Wyjęła z barku szklankę i nałala sobie gazowanego napoju. - Wszystko zależy od punktu widzenia.

Jag przytaknął.

- O to właśnie chodzi w demokracji. - Z zaskoczeniem spostrzegł, że Daala wygląda na poruszoną jego uwagą. Może była jeszcze jakaś szansa na oczyszczenie Veili z zarzutów? - Kiedy zgodziłaś się objąć stanowisko przywódczyni Sojuszu, obiecałaś uczynić go ustrojem przyjaznym dla wszystkich istot galaktyki - przypomniał jej. - A wykorzystywanie organów sądowniczych do realizacji celów politycznych wcale temu nie służy.

Daala spojrzała na niego zmrużonymi w szparki oczami.

- Co w takim razie proponujesz?

- Wycofać zarzuty wobec Veili i zlikwidować instytucję sądu Jedi - odparł Jag. - Jeśli Jedi

mają odpowiadać za swoje czyny, niech ich sędzi normalny, tradycyjny sąd. Skoro chcesz, żeby Zakon stosował się do tych samych praw, które obowiązują wszystkich obywateli, to powinnaś być konsekwentna.

Daala przez chwilę rozważała w milczeniu jego słowa.

- Cóż, jest to jakieś rozwiązanie - stwierdziła w końcu. - Przemyśle je. - Upiła łyk napoju i zerknęła na chronometr. - Wybacz, ale na mnie już czas. Za dziesięć minut mam spotkanie.

Jag stłumił chęć wygadania się, że wie o Mandalorianach. Miał ochotę powiedzieć Daali, że popełnia błąd. Wynajęcie mandaloriańskich najemników skończy się jatką, nie miał co do tego wątpliwości, i nie przyniesie nic dobrego. W ostatniej chwili ugryzł się jednak w język. Mimo wszystko admirał obiecała przemyśleć sprawę oskarżenia Jedi - a to było już coś.

- Chciałbym cię jednak o coś jeszcze zapytać - powiedział zamiast tego. Sięgnął do kieszeni i wyjął droida, którego przekazała mu Jaina, a potem podszedł do Daali i położył go na blacie przed nią. - Czy wiesz, co to jest?

Przywódczyni Sojuszu podniosła miniaturowe urządzenie i obejrzała je uważnie.

- Nie jest nasz, jeśli o to pytasz... Nie żebym miała coś przeciwko podsłuchiowaniu ciebie i moffów, ale - jeśli mam być szczerą - wasze służby inspekcyjne są dla nas aż nadto skrupulatne.

- Przekażę im twoje wyrazy uznania - stwierdził spokojnie Jag - ale ten robot jest nasz.

Daala podniosła brwi.

- Chcesz mnie poinstruować, czego mamy szukać?

Jag uśmiechnął się słabo.

- Nie podsłuchujemy was - zapewnił ją. - To urządzenie, dzięki któremu Javis Tyrr docierał do nowinek ze Świątyni Jedi.

Daala skrzywiła się z niesmakiem.

- Chcesz mi powiedzieć, że mu w tym pomagaliście?

- Skądże. - Jag schował urządzenie z powrotem do kieszeni. - To sprawka Lecersena.

W oczach Daali załśniło zrozumienie.

- Co za obślizgły pomiot Hutta! Powinnaś się była domyślić...

- Nie tylko ty - skwitował Jagged. - Ale co było, a nie jest... - nie dokończył. - Teraz musimy zdecydować, co dalej.

Daala zmarszczyła czoło.

- „My”, przywódco Fel? Lecersen to pański człowiek.

- ...który szczerzył was na Jedi - dokończył spokojnie Jag. - I jestem pewien, że nie tylko on za tym stoi. Jest całe mnóstwo moffów, którzy mają interes w napuszczaniu nas i Jedi na siebie nawzajem.

W zielonych oczach Daali załśnił taki chłód, że przez chwilę zdawały się lodowatobłękitne.

- W takim razie sugeruję, żebyś rozliczył się z nimi osobiście, przywódco Fel. - Odstawiła ze szczękiem szklankę na stolik - tak gwałtownie, że płyn rozprysnął się po blacie. - W razie czego mogę cię skontaktować z całkiem niezłym łowcą nagród, który z miłą chęcią zrobi porządek z tymi twoimi...

Jak przyjrzał się jej z namysłem.

- Nie zamierzasz przerwać swojej krucjaty przeciwko Jedi? - spytał. - Nawet wiedząc, że to wszystko zostało ukartowane przez moffów?

Daala przyjrzała mu się zmrużonymi w szparki oczami.

- Możesz być pewien, że rozprawienie się z Jedi leży w moim własnym interesie, przywódco Fel, i na pewno nie nazwałabym tego krucjatą. Najwyższy czas, żeby ktoś przywołał ich do porządku i ukrócił ich ciągłe próby objęcia władzy.

- Objęcia władzy? - powtórzył z niedowierzaniem Jag. - Naprawdę sądzisz, że Jedi zależy na władzy?

- Przywódco Fel, wiesz, kim są Sithowie? To eks-Jedi, którym przewróciło się w głowach - stwierdziła sarkastycznie Daala. - Jak myślisz, czemu co rusz mamy do czynienia z jakimś Mrocznym Lordem?

Jag pokręcił z niesmakiem głową.

- Pani admirał, przykro mi, ale myli się pani - westchnął. - Sithowie to realne zagrożenie. Istnieją, a jedynymi, którzy mogą ich powstrzymać, są Jedi.

- Cóż, przynajmniej zgadzamy się w dwóch punktach - skwitowała Daala. - Sithowie są prawdziwi... i są zagrożeniem. - Zerknęła znów na chronometr i ruszyła do drzwi. - Jeśli jednak naprawdę chcemy się przed nimi uchronić, to właśnie Jedi powinniśmy mieć na oku. Historia pokazała to już nieraz.

ROZDZIAŁ 18

Kazała na siebie mówić Abeloth. Mieszkała w jaskini na zboczu wulkanu - ponoć tam rośliny nie były tak żarłoczne - i kochała wodę. Każdego poranka prowadziła ich grupę na brzeg szkarłatnej rzeki, w której pływali i pluskali się całymi godzinami. Potem wyczerpani i zadowoleni wychodzili na brzeg i wygrzewali się na plaży w towarzystwie jaszczurów drendek, które uwielbiały wylegiwać się na słońcu. A kiedy tak odpoczywali, nikt z nich nie musiał się martwić o węgorzorośle wysuwające z nurtu swe macki i chwytające ich podstępnie za kostki ani purchławce, przesycające powietrze chmurami trującego pyłu, ani też o roje żarłocznych szczekosfer, pojawiających się jakby znikąd. Kiedy Abeloth była w pobliżu, rośliny nigdy nie atakowały.

Vestara wiedziała, że powinno ich to być zaniepokoić, ale nie przejmowała się tym zbytnio. W rzeczywistości była zbyt wdzięczna za rozwiązanie ich problemu, żeby sobie tym zawracać głowę. Morale w oddziale Sithów było znów na tyle silne, że postanowili rozdzielić się na grupy i przez co najmniej kilka godzin dziennie poszukiwać Statku. A ponieważ patrole wymagały od nich maksymalnego skupienia i czujności, nikt nie miał głowy zastanawiać się, dlaczego właściwie obecność Abeloth gwarantuje im bezpieczeństwo. Kiedy Sithowie widzieli, jak podłoże nagle zaczyna wypełzać im spod stóp albo słyszeli wrzaski towarzyszy, opryskanych niespodziewanie kwasem z kielicha pięknego, białego kwiatu, nie myśleli o niczym innym poza powrotem pod opiekuńcze skrzydła Abeloth.

Tym razem Vestara poczuła wezwanie Lady Rhei na długo przed wschodem słońca. Obejrzała się na Ahriego, wciąż leżącego na wznak u jej boku. Miał zamknięte oczy, a lazurowy odcień, jakiego nadało jego bladoniebieskiej skórze słońce tej dziwnej planety czynił go tylko jeszcze bardziej pociągającym. Vestara westchnęła w myśli, wdzięczna Lady Rhei za sugestię, że powinna spędzać ze swoim przyjacielem więcej czasu. W jego towarzystwie dobrze się czuła, a ich komitywa cieszyła i Mistrza Ahriego; Xal wreszcie przestał regularnie spuszczać swojemu nieszczęsnemu uczniowi łanie. Vestara nie przejmowała się nawet zbytnio faktem, że Xal chciał wykorzystać ich przyjaźń do szpiegowania Lady Rhei. Tak długo, jak był przekonany, że może mieć jakiś pożytek z ich znajomości, nie będzie szukał zemsty na Vestarze, która sprowadziła ich w to miejsce.

Nie otwierając oczu, Ahri wymamrotał:

- Wcześniej cię dziś wzywa. Wybieramy się gdzieś daleko?

- Nic mi o tym nie wiadomo - bąknęła Vestara. Lady Rhea ostrzegała ją przed podobnymi niewinnie brzmiącymi pytaniami. Wiedziała, że Xal będzie chciał sprawdzić, czy Ves zamierza omawiać z Ahrim plany własnej Mistrzynie. - Lady Rhea wciąż utrzymuje, że Statek ukrywa się po drugiej stronie jaskini.

Ahri otworzył oczy, już całkiem rozbudzony, i podparł się na łokciu.

- A ty? Jak sądzisz?

- Sądzę, że powinniśmy się pospieszyć - skwitowała. Wiedziała, że tak naprawdę jej przyjaciel chce wiedzieć, czy jeszcze wyczuwa Statek, ale pamiętała, że Lady Rhea poleciła jej dochować tajemnicy. Miała utrzymywać, że nie wyczuwa śladu obecności Statku od chwili, kiedy dotarli do jaskini Abeloth. Złapała szatę Ahriego i rzuciła mu. - Jeśli znów się spóźnimy, wylądujemy na flance...

Ahri natychmiast zerwał się na równe nogi, złapał szatę i się ubrał. Nim minęło kilka sekund, Vestara także była gotowa i oboje dołączyli prędko do grupy. Lady Rhea stała na potężnym

głazie, który wykorzystwała jako podium. Na szczęście dla Ves i Ahriego nie byli jedynymi, których zaskoczył tak wczesny apel. Ze wszystkich stron wciąż jeszcze nadciągali członkowie ich zespołu, więc nikt nie zauważył ich spóźnienia.

Mimo to Mistrz Xal, stojący nieco z tyłu, zmierzył parę wnikliwym wzrokiem. Uśmiechnął się przy tym znacząco, chcąc im dać do zrozumienia, że wie, co ich łączy. Zadowolona, że zdoła utrzymać Xala w tym przekonaniu i zapewnić Ahriemu tydzień bez batów, Vestara specjalnie przywołała na twarz rumieniec i spuściła oczy. U stóp głazu stała Abeloth, patrząc na napływających zewsząd Sithów z góry, jakby to ona nimi dowodziła.

Wyglądała pięknie w swej przypominającej ludzką postaci, jednak dziś - dla odmiany - jej włosy były ciemne i długie (inaczej niż kiedy Ves i Ahri znaleźli ją w jej jaskini. Wtedy były koloru miodu i sięgały do ramion). Nos także miała nieco dłuższy i węższy niż zwykle, oczy - bardziej srebrne niż szare, odrobinę skośne. Cóż, Vestara przestała się już dziwić tym ciągłym metamorfozom. Wyglądało na to, że twarz Abeloth nieustannie się zmienia, przyjmując cechy osób, z którymi mieszkanka tej dziwnej planety przestaje. W jakiś dziwny sposób czyniło ją to jeszcze bardziej uroczą, całkiem jakby przydawało blasku jej urodzie.

Vestara była tak oczarowana jej nowym wyglądem, że nawet nie zdawała sobie sprawy, kiedy Lady Rhea zaczęła przemawiać. Dopiero kiedy Ahri dał jej kuksańca, ocknęła się i zaczęła słuchać.

- Czemu jest taka wzburzona? - szepnął jej do ucha. - Przecież robimy, co w naszej mocy... Vestara machnęła ręką, żeby ukryć zmieszanie.

- Ciii!

Ahri zmarszczył czoło. Zauważył, że dopiero teraz oderwała wzrok od Abeloth i przewrócił oczami.

- Skup się! - syknął. - Bo nie będziesz wiedziała, o co chodzi!

Teoretycznie niemożność zlokalizowania Statku była jej winą, więc Vestara była przygotowana na zarzuty. Skinęła głową i skupiła się na Rhei, która mówiła:

- ...spełży na niczym. - Chociaż nie patrzyła na swoją uczennicę, jej wzrok prześliznął się i po niej. - Spakujcie swoje rzeczy. Czekam na was przy promie. Macie dwie godziny.

Informacja zaskoczyła Ves. To ona została wyznaczona do wyśledzenia Statku - i jeśli mieli powrócić na Kesh bez niego, niepowodzenie misji będzie winą tak samo jej jak Lady Rhei. Protest nadszedł jednak z najmniej spodziewanej strony:

- Bez Statku? - spytała Abeloth.

Rhea spojrzała w jej stronę.

- „Pogromcy” kończą się zapasy paliwa i zaopatrzenia - powiedziała. Vestara nie mogła nie zauważyć, że znacznie łagodniej niż gdyby zwracała się w tej sytuacji do kogoś innego. - Jeśli zostaniemy tu choć odrobinę dłużej, możliwe, że już nigdy się stąd nie wydostaniemy...

Stwierdzenie Rhei nie uspokoiło Abeloth. Wręcz przeciwnie.

- Ale chyba nie zamierzacie stąd odlecieć bez Statku? - zaniepokoiła się i zwróciła w stronę reszty oddziału, całkiem jakby garstka Mieczy mogła się sprzeciwić rozkazowi Lady Sithów. - Lord Vol będzie rozczarowany...

Olaris Rhea wydawała się zaskoczona jej reakcją tak samo jak Vestara. Przez chwilę sprawiała wrażenie zakłopotanej, ale wkrótce rysy jej stwardniały, jakby podjęła decyzję.

- Abeloth, czy nie mówiłaś przypadkiem, że tkwisz tu sama jak palec od trzydziestu lat?

Kobieta pokiwała głową.

- Dokładnie.

- W takim razie na twoim miejscu nie mogłabym się doczekać powrotu do cywilizacji.

- Czytasz w moich myślach. - Abeloth rozejrzała się po, członkach grupy zadaniowej. -

Jednak zależy mi przede wszystkim na waszym dobru. Krąg Lordów nie wybaczy wam porażki.

- Nie martw się. Wszystko im wyjaśnię. - Lady Rhea rzuciła? Abeloth chmurne, podejrzliwe spojrzenie. - Nie zmieniłaś chyba zdania? Wciąż chcesz wrócić z nami na Kesh, prawda?

- Oczywiście - zapewniła ją pustelniczka i rysy Rhei nieco złagodniały. - Niczego nie pragnę bardziej niż opuścić to miejsce - tak samo jak wy.

- Miło mi to słyszeć - skwitowała Lady Sithów i uśmiechnęła się nieco drapieżnie. Vestara była pewna, że wie, o czym myśli jej mentorka: że Abeloth zapłaci im za utratę Statku.

Chociaż jedyna - zdawałoby się - mieszkanka tej dziwnej planety fascynowała ich i intrygowała, zdawali sobie też sprawę, że nie jest zwykłą kobietą - o ile w ogóle człowiekiem. Czasem Vestarze wydawało się, że mają do czynienia z rozedrganą chmurą energii Mocy, która przybrała ludzką formę, bo umysły śmiertelników nie ogarnęłyby jej prawdziwej natury. Innym razem Abeloth wyglądała dokładnie na tego, za kogo się podawała - samotnego rozbitka, desperacko spragnionego towarzystwa, kobietę przywiezioną przez długie wyizolowanie na skraj szaleństwa - do tego stopnia, że kiedy Vestara i Ahri weszli do jej jaskini, żeby uratować Xalę, uznała, że ma zwidy.

Oczywiście, istniało wiele faktów, które wzajemnie wykluczały obie te możliwości. Po pierwsze, Abeloth nigdy nie wyjaśniła, jak uwięziła Xalę, Mistrza Sithów, w kokonie. Twierdziła też, że nie ma pojęcia, dlaczego Vestara wyczuła Statek w pobliżu jej domostwa, ale wcale nie dziwił jej fakt, że to on ich do niej doprowadził. Kiedy zaś Ves spytała ją o dziwne macki na suficie jaskini, Abeloth odpowiedziała wymijająco, że nie muszą się bać żadnego stworzenia na planecie.

Vestara zastanawiała się nad tym wszystkim i obserwowała w milczeniu dziwny pojedynek na siłę woli między Abeloth a Lady Rhea, kiedy nagle... poczuła znajomą obecność.

Nie powinniście byli tu przylatywać, powiedział do niej w jej myślach Statek. Teraz całkiem możliwe, że nigdy już stąd nie odejdziecie.

Dziewczyna odwróciła się gwałtownie w stronę rzeki i krzyknęła cicho na widok znajomej skrzydlatej sylwetki majaczącej w oddali nad taflą wody.

- Vestaro? - zaniepokoił się Ahri. - Co się dzieje?

- Chyba zo... - dziewczyna już-już chciała pokazać przyjacielowi Statek, kiedy zauważyła, że Abeloth przygląda jej się uważnie. Podśluchiwała ich! Po krótkim namyśle uznała, że Lady Rhea nie pochwaliłaby kolejnego, najpewniej bezowocnego pościgu za statkiem, skoro polecono im darować sobie tę misję. Spuściła wzrok. - Nic - mruknęła.

- Co „nic”? - spytała pozornie od niechcienia Abeloth. - Zobaczyłaś coś nad rzeką?

- Tak mi się zdawało. - Vestara zerknęła ukradkiem w stronę rzeki i z ulgą zauważyła, że znajomy kształt zniknął. - Zwykle przywi... - Przeszkodził jej świergot komunikatora Lady Rhei. Kiedy odwróciła się w stronę Mistrzynie, ta sięgała już po urządzenie do pasa i gestem drugiej ręki prosiła o ciszę. Ledwie aktywowała urządzenie, z głośnika popłynął podekscytowany głos Baada Walusariego:

- Jakieś tysiąc metrów od was, na kursie sto sześćdziesiąt! - mówił Keshiri. - Statek właśnie przeleciał nad rzeką. Wygląda na to, że kieruje się do polany, na której stoi prom!

Lady Rhea otworzyła szeroko oczy.

- Jakim cudem go wysłedziliście?

- Kiedy leci ponad koronami drzew, mamy trop termalny - wyjaśnił Walusari. - Wśród drzew mamy ślady zniszczeń. Dopóki jest w ruchu, możemy go śledzić.

- Świetnie. Informujcie mnie na bieżąco. - Lady Rhea wyłączyła komunikator i poszukała wzrokiem Vestary. - Sprawdź, czy zdołasz go przekonać, żeby do nas wrócił.

Nie czekając, aż uczennica potwierdzi przyjęcie polecenia, Rhea sięgnęła po broń i zaczęła wydawać rozkazy. Zanim Ves zdołała znów namierzyć Statek w Mocy, zespół zadaniowy został rozmieszczony na linii około kilometra i zabierał się do przeprawy przez rzekę. Abeloth biegła za Lady Rhea, sprawnie przecinając nurt. Cóż, dzięki niej nie musieli się przynajmniej przez chwilę martwić o rośliny, więc Vestara mogła się bez reszty skupić na Statku.

Sięgnęła ku niemu całą swoją siłą woli, poleciła wracać nad rzekę i czekać na jej rozkazy. Chciał jej posłuchać - czuła to, chociaż część uwagi poświęcała sondowaniu nurtu na okoliczność niebezpieczeństw - jednak była w nim jakaś rezygnacja, zobojętnienie. Stracił ducha - całkiem jak uvak z podciętymi skrzydłami. Był... wystraszony, potulny woli kogoś, kogo mocy Vestara nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, skoro zmusił do uległości podobnie silny byt. Jeśli miałby posłuchać Vestary, musiałby się sprzeciwić potężnie tak silnej, że zdołała przywołać go przez czas i przestrzeń tylko dlatego, że czuła się samotna.

Ves wiedziała, że nie ma co marzyć o pokonaniu siły, która przejęła teraz władzę nad Statkiem. Mimo to nie wypuszczała sfery medytacyjnej z mentalnych objęć - chociażby po to, żeby móc ją namierzyć, w razie gdyby Walusari i „Pogromca” stracili ją z oczu. Kiedy do niego dotrą, obowiązek zmuszenia Statku do uległości przejmie od niej jej Mistrzynie.

I to była ostatnia myśl Vestary, zanim prawie dała się zabić.

Była już blisko drugiego brzegu, kiedy tuż przed nią utworzył się zdradziecki wir, który w mgnieniu oka porwał Lady Rheę. Vestara wciąż bardziej niż na otoczeniu skupiała się na śledzeniu obecności Statku, więc wypadek całkowicie ją zaskoczył. Mało brakowało, a dałaby się porwać temu samemu wirowi - gdyby Abeloth w ostatniej chwili nie schwycił jej za rękę.

- Wirotzrcina - wyjaśniła, odsuwając Vestarę na bok. - Uważaj albo ciebie też wciągnie.

Większość uczniów na miejscu Vestary pewnie posłuchałaby Abeloth, uznając, że znalezienie sobie nowego Mistrza jest opcją zdecydowanie bardziej atrakcyjną niż perspektywa śmierci w odmętach czerwonej rzeki. Ahri na przykład bez dwóch zdań byłby uszczęśliwiony, mogąc się pozbyć własnego Mistrza. Gdyby mógł, z chęcią pchnąłby go w objęcia pierwszej lepszej żarłocznej rośliny na planecie. Ves wiedziała jednak, że gdyby zabrakło Lady Rhei, to Xal przejąłby dowodzenie ich misją, a to oznaczało śmierć równie pewną co w objęciach wirotzrciny - chociaż pewnie dużo wolniejszą i bardziej upokarzającą.

Dlatego Vestara wyszarpnęła się z uścisku Abeloth, zapaliła miecz i bez namysłu rzuciła w nurt. Woda była tak gęsta od szkarłatnego szlamu, że dziewczyna natychmiast zaczęła mrugać. Wokół jej nóg oplątały się przezryste wici; ich uścisk był tak mocny, że czuła, jak momentalnie zaczynają puchnąć jej stopy i kostki. Zgięła kolana i szarpnęła, niepewna, czy to ona ciągnie pędy w górę, czy może to one ściągają ją w dół, a potem sięgnęła po parang i zaczęła bez opamiętania chłostać klingą mokre liście.

Sięgnęła poprzez Moc; w głębi nurtu, na prawo, wyczuła Lady Rheę. Kiedy włączyła miecz, toń zasyczała i zabulgotała pod wpływem wydzielanego przez ostrze ciepła, zmieniającego wodę w parę. Vestara poczuła, jak jej klinga zagłębia się w mięsistą mackę grubości jej nadgarstka. Wycofała ją i znalazła następną łodygę, a potem w szaleńczej samotaniu przecięła jeszcze z tuzin wici, zanim pobieżnie oczyściła teren w bezpośredniej bliskości.

Rozejrzała się w poszukiwaniu śladu Lady Rhei, której aurę w Mocy z każdą chwilą zabarwiał większy strach i konsternacja. Chociaż macki się wycyfowały, to nie przestawały wciągać jej wciąż głębiej i głębiej. Vestara zaczynała czuć w piersi nieznośny ciężar i ból; coraz trudniej było jej się oprzeć chęci odruchowego zaczerpnięcia oddechu. Po chwili uznała jednak z rezygnacją, że woli umrzeć tutaj, niż znosić upokorzenie, jakie bez wątpienia zafunduje jej Xal, jeśli zostanie dowódcą ich oddziału. Kiedy namierzyła swoją Mistrzynie, szarpnęła Mocą jej ciało z całych sił.

Na próżno. Zamiast wyciągnąć Rheę z lasu kikutów drapieżnej trzciny, poczuła tylko nieznośne pulsowanie w skroniach, kiedy zanurkowała głębiej. Woda stała się jeszcze ciemniejsza, a blask słońca znikł, zasłonięty przez poszatkowane łodygi. Aura Lady Rhei w Mocy zaczęła się uspokajać i wyciszać, jednak Vestara nie umiała powiedzieć czy to z powodu ulgi związanej ze świadomością nadchodzącej pomocy, czy może utraty przytomności.

Po chwili namacała kikut łodygi - znalazła wycofującą się wirotzrcinę. Czuła w mrocznym wirze w odmętach rzeki obecność swojej Mistrzynie - niecały metr niżej - ale nie miała pojęcia, czy dotarły już do dna, czy wciąż schodzą głębiej.

Nie miało to znaczenia. Chlasnęła mieczem raz i drugi, przeciskając się do miejsca, w którym wyczuwała swoją Mistrzynie. Przecięła pień, a potem wyłączyła miecz i wkrótce wpadło na nią bezwładne ciało, wypychając jej z płuc resztki powietrza. Nie mając pewności, czy Lady Rhea jest przytomna, objęła ją i skierowała się ku powierzchni. Nie minęło długo, a poczuła, jak jej Mistrzynie dołącza do niej w wysiłkach wynurzenia ich Mocą na powierzchnię.

Kiedy woda zmieniła kolor z czerni na szkarłat, Vestara z trudem oparła się chęci wydania z siebie westchnienia ulgi. Wszystko wskazywało na to, że Lady Rhea jest przytomna o ile to ona, a nie Abeloth, wyciągała je z wody, dotarło do niej w pewnym momencie. Chociaż ta dziwna mieszkanka planety unikała odpowiedzi na większość pytań ich zespołu poszukiwawczego o jej

szkolenie, bez dwóch zdań była silna Mocą i potrafiła...

Przez szkarłatną toń zaczął przeświecać błękitny dysk słońca, ale Vestara była zbyt zaabsorbowana próbą dotarcia do powierzchni i zbyt przerażona, żeby to dostrzec. Nawet nie zauważyła, kiedy się wynurzyły.

To Abeloth im pomagała - teraz Vestara była już tego pewna.

Mimo wszystko... kiedy wirotrzcina zaatakowała Lady Rheę, ona nie zrobiła nic, żeby ją powstrzymać. W istocie żadna roślina nigdy nie zaatakowała nikogo w obecności Abeloth.

Ves usłyszała głośne, rozdzierające westchnienie; kiedy jej płuca wypełniło świeże powietrze, zalała ją fala niewypowiedzianej ulgi. Lady Rhea wydała z siebie podobny odgłos i zaczęła spazmatycznie kasłać. Kiedy już nieco doszła do siebie, wyswobodziła się z uścisku Vestary i ucałowała ją mocno w policzek.

- Zawdzięczam... ci... życie - wychrypiała. - Zrobię dla ciebie wszystko, Vestaro.

- Najpierw wydostańmy się z tej rzeki. Cało - mruknęła dziewczyna. Na widok pustych rąk Mistrzynie, podała jej swój parang. - Abeloth próbuje... - Przeszkodził jej głośny krzyk z brzegu. Już wkrótce utrzymywały się pewnie na powierzchni.

- Nie martw się - uspokoiła ją Lady Rhea. - Jesteśmy bezpieczne.

Vestara pokręciła głową.

- Nie - zaprzeczyła. - Abeloth zdra...

- Oczywiście, że jesteśmy bezpieczne - przerwała jej Lady Sithów, najwyraźniej nie rozumiejąc, co Ves ma na myśli. Wskazała w górę rzeki. - Twój przyjaciel Ahri przyszedł nam z pomocą.

Vestara odwróciła się w kierunku, który wskazywała jej Mistrzynie, i zobaczyła Ahriego, stojącego na brzegu jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Jego broń leżała u jego stóp, a obie ręce trzymał wyciągnięte w ich stronę. Większość ich grupy poszukiwawczej biegła im na spotkanie, pragnąc ochronić Lady Rheę na wypadek ponownego ataku. Mistrz Xal stał jednak u boku swojego ucznia, zaciskając szczęki i miotając błyskawice z ciemnych oczu, całkiem jakby lada chwila zamierzał złapać za parang swojego ucznia i skrócić go o głowę. Vestara pomyślała z ciężkim sercem, że jej przyjaciel oberwie dzisiaj porządne lanie za uratowanie skóry jej i Lady Rhei... o ile oczywiście Abeloth pozwoli im dożyć do wieczora.

Za Xalem i Ahrim stała zaś postać z grubsza przypominająca istotę ludzką, o długich, jasnych włosach sięgających niemal do ziemi. Jej oczy były małe i osadzone tak głęboko, że wyglądały jak dwie gwiazdy świecące w czeluści czarnych studni, a wielkie usta o pełnych wargach były tak szerokie, że zdawały się rozciągać od ucha do ucha. Krótkie rączki miały nie więcej niż po dziesięć centymetrów długości, a zamiast palców wieńczyły je poskręcane macki, zwisające aż za kolana. Wyprostowana i smukła jak pień, patrzyła na rzekę, w stronę brodzących ku brzegowi Vestarze i Rhei. Była coraz bliżej, chociaż nic nie wskazywało na to, żeby stawiała kroki.

Vestare przeszedł zimny dreszcz; poczuła głęboki niepokój. Kiedy Ahri zszedł do nich na brzeg, stwierdziła nagle ze zdziwieniem, że kłęczy w płytkiej, czarnej, cuchnącej i mulistej wodzie i trzęsie się tak mocno, że wszystko ją boli. Z przerażeniem dostrzegła, że postać stojąca za Ahrim i Xalem wygląda mimo całej swej obcości znajomo. Długi, orli nos, wysokie policzki, szlachetny podbródek - wszystko to w jakiś sposób przypominało Abeloth. Tego ranka twarz przedziwnej kobiety wydała się jej tak piękna, jak nigdy dotąd... dopóki Lady Rhea nie zdecydowała, że czas wracać do domu. Wtedy Abeloth ukazała im swoją prawdziwą naturę.

- To tylko woda - powiedziała do niej łagodnie Rhea i podała jej rękę. - Wstań. Za chwilę dojdiesz do siebie.

Vestara pozwoliła jej się dźwignąć na nogi. Spojrzała w górę z nadzieją, że postać stojąca za Ahrim była tylko wytworem jej niedotlenionego mózgu, albo że - o ile to rzeczywiście była Abeloth - ta nieziemska istota oszczędzi jej konieczności oglądania siebie w tej postaci jeszcze raz.

Znów wstrząsnął nią dreszcz - jeszcze silniejszy niż poprzednio. To... coś... wciąż się zbliżało - tak samo przerażające, jak poprzednio. Ves miała wrażenie, że małe srebrne oczka wypalają jej w dziury w czaszce. Okropne usta uśmiechały się od ucha, ukazując mnóstwo ostrych kłów.

- Już dobrze, Vestaro - powiedziała Lady Rhea, kładąc jej dłonie na ramionach. - Nic ci nie będzie.

- Ww... wiem - wykrztusiła Vestara, ale nadal nie mogła oderwać oczu od makabrycznej postaci. - Lady Rheo? Czy ty także widzisz to... tę... osobę za Ahrim i Xalem?

Lady Rhea obejrzała się przez ramię i zmarszczyła czoło.

- Masz na myśli Abeloth? - Vestarze zrobiło się słabo i mało brakowało, a upadłaby, gdyby jej Mistrzynie nie podtrzymała jej Mocą. - Vestaro? Co się dzieje? - spytała z troską Olaris Rhea. - Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Ves zmusiła się do kiwnięcia głową. Miała teraz pewność, że jako jedyna dostrzega Abeloth w jej prawdziwej postaci.

- Kiepsko się czuję, ale na pewno zaraz dojdę do siebie.

Weź się w garść, zbesztala się w duchu. Nie ma powodu do paniki. Teraz, kiedy poznała prawdziwą naturę Abeloth, może zdoła ją pokonać. Sithowie potrafili stawić czoła dosłownie wszystkiemu - jeśli podeszli do tego z odpowiednim dystansem.

Lady Rhea musiała wyczuć, że Vestara powoli dochodzi do siebie, bo uśmiechnęła się do uczennicy i rozluźniła uścisk.

- Tak już lepiej. - Poklepała Ves po ramionach i odwróciła się plecami do rzeki. - Mistrzu Xal, potrzebuję miecza. Chcę też usłyszeć raport - oznajmiła stanowczo. - Czy nadal wiemy, gdzie jest Statek?

Pytanie było właściwie niepotrzebne, bo w chwili kiedy Rhea je zadała, w oddali zamajaczyła sylwetka sfery medytacyjnej - drobny punkcik szybujący ponad dżunglą w okolicy polany, na której stał prom. Wszyscy jednak byli zbyt zaabsorbowani chęcią upewnienia się, że Lady Rhea jest cała i zdrowa, żeby zauważyć sferę medytacyjną. Pytali ją, czy dobrze się czuje i proponowali miecze zabrane poległym kompanom. Vestara udała więc, że nie widzi Statku. Zamiast tego sięgnęła ku niemu poprzez Moc.

Dlaczego? - spytała go. Dlaczego nas zdradziłeś?

Bo mi kazano, a maszyny muszą słuchać rozkazów, wyjaśnił Statek.

Świetnie, odparła Vestara. *W takim razie nakazuję ci słuchać teraz mnie. Nakazuję ci wylądować i zabrać nas stąd; zawieźć z powrotem na Kesh.*

W miarę jak Statek się zbliżał, dał się słyszeć niski trzask i przez chwilę Vestara naprawdę sądziła, że pojazd wylądował. Kiedy jednak Lady Rhea i inni Sithowie odwrócili się w stronę źródła dźwięku, Statek przyspieszył i przeleciał nad ich głowami - tak nisko, że Ves poczuła na twarzy ciepły podmuch.

Glupie, głupie dziecko, powiedział do niej Statek. *Jesteś silna Mocą, ale siła to nic w porównaniu z wszechmocą.*

Lady Rhea zaczęła wydawać polecenia, nakazując im powrót w stronę jaskini. Vestara stała jednak w miejscu, nie odrywając wzroku od zbliżającej się do niej Abeloth.

Zignorowaliście moje ostrzeżenia, przypomniał jej Statek. *Teraz jesteście tak samo straceni jak ja.*

Vestara pokręciła głową.

- Wcale nie - zaprotestowała, ale wypowiedziane na głos słowa brzmiały dziwnie fałszywie. Mimo to ciągnęła, niezrażona: - Sithowie nigdy się nie poddają. Nie wpadają w rozpacz.

Moc zmaćła fala ponurego rozbawienia. *Jesteś mądra, Vestaro,* stwierdził Statek. *Dlaczego wierzysz, że w ogóle zdołacie wydostać się z tej planety?*

Statek malał w oczach i już wkrótce zniknął za granią jaskini. Znikł także z Mocy, zostawiając Vestarę na brzegu samą w towarzystwie Abeloth. Jej ramię musnął wachlarz lepkich macek; kiedy się odwróciła, spojrzała w zimne i odległe jak gwiazdy oczy obcej istoty.

- Chodź, Vestaro - przemówiła Abeloth. - Przeprowadzę was bezpiecznie przez rzekę.

Położonej niecały kilometr od Galaktycznego Centrum Sprawiedliwości forticy przy jednej z głównych tras ruchu powietrznego na pewno me było można nazwać „tajną”. Co prawda nie figurowała na żadnej z list rządowych adresów, ale stupiętrowy moloch wepchnięty między eleganckie kamienne i lustrzalne wieżowce, z jego permabetonowymi ścianami i purpurowymi kopułkami kamer, rzucał się w oczy jak banth na rządowym raucie. Jedynym ustępstwem na rzecz stylu było kilka wąskich okien, porozrzucanych po jego powierzchni w grupkach z grubsza kulistych, mających zapewne przywołać na myśl wzór gwiazdy z jej planetami.

- To już chyba biuro Służb Bezpieczeństwa wygląda przyjaźniej - mruknęła z przekąsem Jaina. Razem z Mirax Horn i grupką Mistrzów Jedi czekała w holu wieży biurowej Palema Grasera pod pretekstem spotkania z neimoidiańskim lobbystą, którego nazwisko wybrała na chybił trafił z listy pracujących w budynku urzędników. - Równie dobrze mogliby na zewnątrz wywiesić tabliczkę z napisem „Tajne więzienie”.

- Daala chce, żeby ludzie wiedzieli, że ma ssekretne więzienie - stwierdziła Saba, nie spuszczać wzroku z bryły budynku. - Shenbit pokazuje zęby, żeby ssstraszyć, nie żeby zabić.

- Psychologiczna sztuczka - zgodził się z Barabelką Kyp Durrone. Przygotował się na tę misję starannie żelując włosy i wkładając wyprasowaną na sztywno oficjalną szatę, ale efekt psuł dwudniowy, siwiejący zarost. - Daala chce pokazać szychom tej galaktyki, że mogą któregoś dnia zniknąć bez śladu w podobnym miejscu - jeśli opowiedzą się po niewłaściwej stronie.

- To wyjaśniałoby umiejscowienie tej instytucji - skwitowała Cilghal i zerknęła na Jainę. - Jesteś pewna, że to tutaj przetrzymują Valina i Jysellę?

- Z ostatnich doniesień wynika, że to tu ich... - O mały włos powiedziałyby „przechowują”, ale na widok bólu w oczach Hornów ugryzła się w język. Wiedziała, że sytuacja jest delikatna, więc lepiej unikać wszelkich nawiązań do formy, w jakiej więziono ich dzieci. - ...umieszczono - dokończyła. - Z tego co wiem, Daala pilnuje, żeby sąd Jedi postępował z zachowaniem wszelkich przepisów, więc wątpię, żeby te dane były fałszywe.

- W pełni ssię z tobą zgadzam. - Saba wreszcie oderwała wzrok od budynku. - Czy masz nakaz? - spytała.

- Tak. - Jaina wyjęła zza pazuchy flimsirulon i podała Barabelce. - Proszę.

- Nie, zatrzymaj go. - Saba machnęła szponiastą łapą w stronę budynku. - Twój plan, twoje łowy.

- Aha - stwierdziła Jaina. - Dzięki. Chyba.

W rzeczywistości plan był bardziej Jaga niż jej, wiedziała jednak, że nie powinna ujawniać Mistrzom tej informacji. Wszyscy twierdzili zgodnie, że rozumieją pobudki, dla których Jagged nie wspomniał, że Daala zamierza wynająć Mandalorian, jednak mimo to nie byli z tego powodu zbyt szczęśliwi. Co więcej, zabronili mu wstępu na teren Świątyni z powodu potencjalnego „konfliktu interesów”. Chociaż nie dali Jainie wyraźnie do zrozumienia, że powinna trzymać się z dala od niego, zasugerowali, że dobrze byłoby, gdyby przemyślała jeszcze raz swoje sympatie i priorytety i zastanowiła się, czy małżeństwo z przywódcą Szczątków Imperium jest naprawdę dobrym pomysłem w przypadku Rycerza Jedi.

Jaina zamierzała ich oczywiście przekonać, że są w błędzie, a powodzenie dzisiejszej misji zdecydowanie by jej w tym pomogło. Wsunęła z powrotem zwój za pazuchę i odwróciła się w stronę Corrana i Mirax.

Ich ból był widoczny na pierwszy rzut oka; oboje mieli podkrążone, zmęczone oczy. Czarna czupryna Mirax była rozczochrana i brudna, a Corran zaciskał porośniętą spletaną brodą szczęki tak mocno, że wydawało się, iż lada chwila połamie sobie zęby. Jaina wiedziała aż za dobrze, że rodzice nieszczęsnego rodzeństwa to jedyny słaby punkt w jej starannie opracowanym planie. Licząc na to, że będą spokojni i utrzymają nerwy na wodzy na widok własnych dzieci zamrożonych w karbonicie, żądała wiele - może aż za dużo - ale zdawała sobie też sprawę, że oboje są zdolni sporo wytrzymać. Corran był Mistrzem Jedi, na co dzień podejmującym decyzje, od których zależały losy galaktyki - także jego własnych dzieci - i doskonale zdawał sobie sprawę, że naraża je na ciągle niebezpieczeństwa. Mirax zaś była córką Boostera Terrika - i nie trzeba było dodawać nic więcej. Ten jeden fakt sugerował też, że Daala nie ma pojęcia, w jakie tarapaty się pakuje,

podejmując decyzję o władaniu dzieci Hornów w karbonit.

Minęła dobra chwila, zanim małżonkowie zorientowali się, że Jaina wnikliwie się im przygląda, ale kiedy to już do nich dotarło, nie musiała pytać, czy są gotowi. Corran skinął głową, a Mirax dodała:

- Bierzmy się do dzieła. Czas zaszerwować pani przywódczyni trochę tej polewki z mynocka, o której mówiłaś.

Jaina uśmiechnęła się złośliwie.

- Zobaczymy, czy się nią nie udławi. - Odwróciła się do Saby. - Jeśli można...

- Można? - Saba tupnęła pazurzystą łapą i wskazała wyjście. - Nie czass na żarty, Jedi Sssolo!

Jaina skinęła głową.

- Dam wam znać, kiedy będę w środku.

Po opuszczeniu wieży Gasera z ulgą dojrzała na balkonie sąsiedniego budynku wymuskanego Javisa Tyrra i jego przysadzistego kamerzystę. Tak jak się spodziewała, widok Hornów i paru Mistrzów kręcących się w pobliżu tajnego bloku więziennego SBGS nie przeszedł bez echa i przyciągnął przedstawicieli mediów. Miała tylko nadzieję, że Tyrr nie jest jedynym reporterem, który zwietrzył sensację.

Korzystając z kładki, pokonała ruchliwą trasę ruchu powietrznego i ruszyła galerią do centrum twierdzy. Do środka prowadziły ruchome schody, które wiozły pasażerów stopniowo zwężającym się tunelem aż do pancernych wrót z tunkustoidu. Tablica nad nimi głosiła: „Magazyn Galaktycznego Sojuszu”, a umieszczone pod spodem motto: „Usługi, ochrona, dyskrecja”.

Całe otoczenie sugerowało, że delikwent wkracza do potężnie chronionej fortecy. Drzwi były tak ciężkie, że zamiast na zwykłych szynach, zamocowano je na magnetycznych przewodnicach, ściany tunelu wyłożono zaś wysokimi, prostokątnymi panelami, które z pewnością kryły stanowiska działek. Nawet schody mogły w mgnieniu oka zostać złożone, tworząc stromą, stalową rampę, po której trudno byłoby się wspiąć pod ostrzałem.

Mimo to Jaina dostała się do środka bez żadnych przeszkód. Na samej górze schody przeszły w ruchomy chodnik, a pancerne wrota otworzyły się cicho, ukazując niewielki hol. Kiedy minęła przez próg, Mocą zmieniła nieco kąt nachylenia czujników drzwi, aby uniemożliwić aktywowanie blokady. Po lewej stronie miała poczekalnię dla petentów, a po prawej - stanowisko ochrony. Na końcu holu dwie turbowindy umożliwiały dostęp do reszty budynku.

Dojechała chodnikiem do bramki, przy której czekali dwaj rodiańscy strażnicy. Ręce trzymali poza zasięgiem jej wzroku, a zestawy czujników umieszczone nad ich głowami były nakierowane prosto na nią. Nawet bez podszeptów Mocy Jaina domyślała się, że każdy z nich trzyma jedną dłoń nad przyciskiem alarmowym, a drugą - w okolicach blasterowego pistoletu. Mieli na sobie czarne, paramilitarne mundury z ułożonymi w łuk żółtymi literami „Magazyn Galaktycznego Sojuszu” na jednej kieszeni na piersi, i naszywką z nazwiskiem na drugiej.

Jaina sięgnęła poprzez Moc i poinformowała Mistrzów, że jest już w środku, a potem podeszła śmiało do kontuaru. Spojrzała na Rodian bez słowa, a oni pochylili w jej stronę długie trąbki, skupiając na niej całą uwagę. Nawet jeśli zauważyli awarię drzwi, nie dali nic po sobie poznać.

Kiedy wciąż uparcie milczała, wyższy ze strażników przemówił:

- Nie wiedziałem, że mamy jakichś klientów Jedi. - Był taki pulchny, że jego policzki wyglądały jak nadmuchane. Nazwisko na piersi głosiło „Weeze”. - Numer skrytki i dokument tożsamości proszę.

- Nie mam ani jednego, ani drugiego - wyznała z rozbrajającą szczerością Jaina. - Ale to już chyba wiecie.

Weeze zerknął na swojego szczuplejszego partnera, który według informacji na plakietce nazywał się Rosii.

- Nie wiedziałem - powiedział. - A ty?

Rosii pokiwał głową.

- Też mi się tak zdaje. - Miał silniejszy akcent niż jego kolega i mówił brzęczącym,

nosowym tonem. - Nie widziałem tu nigdy żadnego Jedi.

Weeze spojrział znów na Jainę.

- Nie możemy pani obsłużyć. Musi pani iść do głównej recepcji i wynająć skrytkę u naszego doradcy.

- Nie potrzebuję skrytki - zapewniła go chłodno Jaina. - Chcę zobaczyć Valina i Jysellę Hornów.

- Hornów? - powtórzył Rosii i zmarszczył ze zdziwieniem brzozę, ale jego aura w Mocy go zdradziła. Jaina czuła, że obaj Rodianie doskonale wiedzą, dlaczego szuka Hornów właśnie tutaj. - Czy to nie dwójka tych Jedi, którym odbiła szajba?

- Którzy padli ofiarą urojeń - poprawiła go Jaina z naciskiem, taksując Weeze'a wzrokiem. - I których chcę zobaczyć... - Zawiesiła głos i poszukała poprzez Moc rangi opasłego Rodianina. - ...sierżancie.

Weeze pochylił się gwałtownie w jej stronę.

- Jesteśmy pracownikami służb cywilnych, Jedi. - Niepokój przesycający jego aurę w Mocy zmienił się w stanowczość. Jaina zauważyła nieznaczny ruch ramienia, kiedy przycisnął guzik alarmu. - Magazyn GS zajmuje się sprawowaniem pieczy nad dobrami, nie przetrzymywaniem więź...

Jaina odepchnęła Mocą obu Rodian od kontuaru - a także broni, którą pod nim ukrywali.

- Nigdy nie próbuj okłamać Jedi, sierżancie - syknęła. Kiedy Rodianie podnieśli blastery do strzału, jednym gestem wyrwała im je z rąk. - To nas naprawdę wkurza.

Strażnicy popatrzyli po sobie nerwowo.

- Nie przejdziesz dalej - zagroził jej Rosii.

- A ona myśśli, że wręcz przeciwnie - zasyczała Saba, wprowadzając Kypa i innych Mistrzów przez wpółotwarte drzwi. - Co więcej, ona sssądzi, że zaprowadzicie nasss tam, gdzie chcemy dotrzeć.

Na widok Barabelki Rodianom zrzedły miny, a ich aury w Mocy przesycił paniczny strach.

- Spokojnie - odezwała się Jaina. - Mamy pozwolenie.

- Pozwolenie? - Weeze łypnął na Solo okrągłym, czarnym okiem. - Jakie niby pozwolenie?

- Nie pokazałaśś im dokumentu, Jedi Ssolo? - Spytała Saba, udając zaskoczenie. - W takim razie na co jeszcze czekasz?

Jaina zerknęła w głąb korytarza, szukając wzrokiem stojących za Kypem, Cilghal i resztą Mistrzów Mirax i Corrana Hornów. Wjeżdżali właśnie na górę ruchomymi schodami w towarzystwie tłumu przedstawicieli mediów, niespuszczających z nich obiektywów kamer i przekrzykujących się nawzajem pytaniami do pary. W pierwszym rzędzie stał oczywiście Jarvis Tyrre. Jego stylowa kamizelka była wymięta w miejscu, gdzie najwyraźniej ktoś go za nią złapał i odepchnął. Spuchnięty policzek i ciemniejszy powoli siniak sugerowały, że nieźle kogoś rozzłościł i Jaina zaczęła powątpiewać w zdolność Mistrza Horna do samokontroli, kiedy dotrą do jego dzieci.

Odwróciła się do Saby i skłoniła głowę w parodii skruchy.

- Wybacz, Mistrzynie Sebatyne. Musiałam się upewnić, że dobrze trafiliśmy.

Mając pewność, że w obecności tylu Mistrzów Jedi Rodianie nie spróbują żadnych głupich sztuczek, Jaina przestała ich przyszpilać Mocą do ściany, a potem wyciągnęła z wewnętrznej kieszeni rulon. Zanim go rozwinęła, Hornowie z Jarvisem Tyrrem i małym tłumem reporterów depczącym im po piętach byli już w holu.

Zaczekała, aż Kyp i Cilghal powstrzymają ciekawskich i zaprowadzą jako taki porządek, a kiedy była pewna, że obiektywy kamer mają już dobry widok na stanowisko ochrony, postąpiła naprzód i wyciągnęła w ich stronę dokument z pieczęcią Centrum Sprawiedliwości.

- Sierżancie Weeze - zaczęła stanowczo - oto nakaz przyznający nam prawo do odwiedzin Valina i Jyselli Hornów, którzy, jak wynika z nakazu aresztowania, są przetrzymywani, w tajnym bloku więziennym Służby Bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu, mieszczącego się pod tym adresem.

Weeze stał jak sparalizowany, najwyraźniej nie zamierzając sięgnąć po zwój. Patrzył się na niego jak na uzbrojony detonator termiczny.

- Nn... nie wiem, o czym mówisz - wystękał wreszcie. - To budynek magazynu... - Protesty Rodianina zagłuszyło skwierczenie dezaktywowanego pola dostępu, dobiegające od strony - turbowind na końcu holu. Ostre głosy zaczęły wykrzykiwać sprzeczne komendy, takie jak „padnij!” i „ani kroku dalej!”, a kiedy zgromadzeni odwrócili się w stronę źródła zamieszania, z wind wysypał się oddział szturmowy służb GS. Żołnierze byli w pełnych zbrojach i trzymali w pogotowiu granaty ogłuszające i karabiny blasterowe.

Ekipy reporterów natychmiast skierowały na nich obiektywy kamer, a Jaina i reszta Mistrzów odbiła pchnięciami Mocy strzały w stronę sufitu. Operatorzy nie przejęli się zbyt ostrzałem - część po prostu przyklekła i nie przestawała filmować manewrów oddziału, który zajął pozycje na odległym krańcu holu.

Strzelanina się skończyła, kiedy członkowie oddziału szturmowego zdali sobie sprawę, że zamiast się ostrzeliwać, przeciwnicy ich filmują. Zanim jednak to nastąpiło, dziennikarze mieli już kilka ładnych sekund nagrania ataku służb GS do wieczornego wydania wiadomości. Wszystko układało się lepiej, niż Jaina mogła się spodziewać - a kiedy przed szeregiem członków oddziału wyszła z turbowindy znajoma barczysta sylwetka dowódcy, Jaina nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu.

- A niech mnie! - Ruszyła w stronę wind. - Czy to aby nie kapitan Atar? - zawołała przesadnie głośno, żeby mieć pewność, że nie umknie to uwadze Javisa Tyrra i reszty dziennikarzy. Jeśli wszystko szło dotąd jak z płatka, może zaryzykuje nawet ujawnienie, że był to pomysł Jaga? Pewnie żadne z nich nie zyska dzięki temu w oczach jej rodziców, ale może zmienić nieco nastawienie Mistrzów do ich związku.

Atar pospiesznie polecił swoim żołnierzom opuścić broń, podszedł do Jainy i popatrzył na nią gniewnie znad swoich krzaczastych wąsów. Solo z zadowoleniem przyjęła fakt, że zarówno kapitan, jak i jego oddział są w mundurach SBGS.

Zatrzymała się, a kiedy poczuła, że są na nią skierowane wszystkie obiektywy, przemówiła:

- Kapitanie Atar, jaka szkoda, że nie mogę powiedzieć „cieszę się, że znów pana widzę”. - Wyciągnęła w jego stronę zwój. - Może pan zechce przyjąć ten dokument. Mam wrażenie, że pańscy podwładni mają problem z określeniem ich pracodawcy...

Jej uwaga wzbudziła falę chichotów, które zadziały na Atara jak płachta na byczego rankora. Został osaczony w swoim własnym gnieździe i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Przyjął bez słowa przekazany przez Jainę dokument, rozwinął go i studiował przez chwilę w milczeniu.

Kiedy dotarł do podpisu wystawiającego pozwolenie, oczy prawie wyszły mu z orbit, a twarz niebezpiecznie poczerwieniała. Opuścił flimsiakrusz i wlepił w Jainę zaskoczony wzrok.

- Chcecie odwiedzić Valina i Jysellę Hornów? - wydukał z niedowierzaniem.

- Otóż to - potwierdziła z satysfakcją Jaina.

- Ale... ale oni są zamrożeni - wyrzucił Atar. - W karbonicie - dodał po chwili, jakby to coś wyjaśniało.

- Wiemy o tym - poinformowała go zdawkowo Cilghal, przystając u boku Jainy. - Ten dokument daje nam prawo do inspekcji ich gondoli zamrażających i upewnienia się, że zachowano zgodność ze wszystkimi procedurami.

- A także przyznaje Valinowi i Jyselli Hornom prawo do przyjmowania gości podczas ich zatrzymania - dodał Kyp, przepuszczając Corrana i Mirax przodem. - Tak jak wszystkim więźniom.

- Jak państwo widzą - Jaina obejrzała się przez ramię i spojrzała prosto w skierowane na nią obiektywy kamer - dołożyliśmy wszelkich starań, żeby uzyskać niezbędne pozwolenia.

Atar skinął głową.

- Na to wygląda. - Zwinął ostrożnie flimsiakrusz i wsunął go powoli do tuby, wyraźnie próbując grać na zwłokę. - Jestem pewien, że dyrektor zakładu z radością umówi was na spotkanie...

- Nie, panie kapitanie - weszła mu w słowo Jaina i podeszła bliżej. Podniosła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy i popchnęła go lekko Mocą. - To pozwolenie daje nam natychmiastowy i bezpośredni dostęp do więźniów.

- Żebyśmy mogli się upewnić, że SBGS standardowo utrzymuje gondole w należytych warunkach - dodała Cilghal, także postępując w stronę Atara. - Jeśli wydaje ci się, że damy ci czas na naprawienie uchybień i sfalszowanie dokumentacji, bardzo się mylisz.

Jaina popchnęła go jeszcze odrobinę, tak że Atar miał teraz za plecami już tylko turbowindy.

- Przykro mi - bąknął, zmieszany, i gestem nakazał swojemu oddziałowi odwrót - ale nie jestem upoważniony, żeby udzielić wam dostępu do placówki...

Saba wyszła z grupy i podeszła do kapitana tak blisko, że prawie stykali się nosami.

- Proszyszę posssłuchać, panie kapitanie - wysyczała mu prosto w nos - nie jessst pan także upoważniony, żeby nasss powssstrzymać! - Wyrwała mu tubę i dźgnęła go nią w szeroką pierś. W oczach Atara zapłonął gniew, jednak zanim zdołał odpowiedzieć, na czoło tłumku reporterów i Jedi przedostał się Javis Tyrn i podetknął Atarowi pod nos mikrofon.

- Kapitanie Atar - zaczął bez ogródek - czy chce pan powiedzieć, że Służby Bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu nie wiążą pisma wydane przez Centrum Sprawiedliwości?

- Ależ skąd! - Zanim kapitan zdołał dodać coś więcej, przedstawiciele mediów zaczęli przekrzykiwać się wzajemnie, próbując mu zadać naraz dziesiątki różnych pytań. Atar znów poczerwieniał, kiedy dotarło do niego, że jego słowa mogły zostać opacznie zrozumiane. Podniósł dłoń, prosząc o ciszę, a kiedy to nie zadziałało, krzyknął rozpaczliwie: - Miałem na myśli, że służby bezpieczeństwa są bezwarunkowo zobowiązane przestrzegać prawa, tak jak wszyscy inni członkowie Galaktycznego Sojuszu!

- Miło jej to sssłyszyszsz - prychnęła Saba. Oddała pismo sądowe Jainie i podeszła do turbowindy. - Zaczniemy naszszsze poszszszukiwania na tych poziomach i ssstopniowo będziemy possuwać sssię wyżej.

Buraczkowa twarz Atara nagle zbladła; kapitan rzucił się za Barabelką do wind.

- Nie ma potrzeby prowadzić poszukiwań, Mistrzynie Sebatyne - zapewnił ją gorliwie. - Oprowadzę was osobiście.

Saba zatrzymała się przy drzwiach windy i odwróciła do mężczyzny.

- To bardzo miło z pana ssstrony, kapitanie. - Zerknęła w stronę obiektywów kamer i cisnących się za nimi dziennikarzy. - Numery cel? - rzuciła nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Atar pokręcił niepewnie głową.

- Przykro mi, Mistrzynie Sebatyne, ale będziemy musieli...

- Czyżby szpital? - Odwróciła się z powrotem do wind i przyjrzała wnikliwie panelowi kontrolnemu. - Mam rację? Poziom cztery dziewięć ossem? - Sięgnęła do przycisków, ale Atar ubiegł ją, wciskając inną kombinację. Saba przyglądała się przez chwilę numerowi na wyświetlaczu, a potem przeniosła wzrok na kapitana kładąc po sobie łuski w barabelskim odpowiedniku zmarszczenia czoła.

- Cztery sssiedem zero? - Spojrzała przez ramię na reporterów i resztę Mistrzów i rozmyślnie dorzuciła: - Biuro dykcji?

Atar spuścił wzrok i nagle Jaina miała już pewność: SBGS traktowały rodzeństwo Hornów jak jakieś kuriozalne trofeum, wystawiając ich na widok publiczny - dokładnie tak samo jak przed czterdziestu laty Hutt Jabba potraktował jej ojca. Wzburzenie mącące toń Mocy powiedziało jej, że reszta Mistrzów też doszła do tego samego wniosku.

Atar znów spróbował wykrętów:

- Musimy najpierw, eee, zgłosić się po przepustki dla odwiedzających, eee...

Saba spiorunowała go lodowatym gadzim spojrzeniem.

- Ona bardzo w to wątpi. - Weszła do turbowindy i tyle ją widzieli.

Atar zaklął pod nosem i odwrócił się do młodej Bothanki z rangą porucznika na kołnierzyku.

- Tylko Hornowie i Jedi mają tam wstęp, Rasher - mruknął. - Nikt więcej.

Pani porucznik Ke'e Rasher - jak głośiła plakietka na jej mundurze - wystąpiła z szeregu.

- Tak jest, sir.

- Wpisz numer piętra - polecił jej Atar. - Ale najpierw ich przeszukaj. Sprawdź czy nie są uzbrojeni.

Pani porucznik znów zaszalutowała, a Atar ruszył do windy, jednak zanim zdążył wcisnąć numer piętra, uprzedziła go Cilghal.

- Chwileczkę, Mistrzynie - zaprotestowała Ke'e, blokując jej przejście. - Słyszała pani, co powiedział kapitan: najpierw muszę panią przeszukać...

- Zapewniam, że nie jest to konieczne. - Cilghal machnęła pletwiastą dłonią i porucznik odsunęła jej się z drogi. - Nie jestem uzbrojona.

- Weszła do turbowindy i zniknęła. Bothanka wydała z siebie bezsilne, gniewne prychnięcie.

Kiedy Jaina zerknęła przez ramię, zobaczyła wśród tłumu reporterów Kypa. Najwyraźniej czekał na odpowiedni moment, żeby poprowadzić dalej Hornów. Podchwyciła spojrzenie Corrana, uniosła pytająco brwi i skinęła głową w stronę wind. Wiedziała równie dobrze jak on i jego żona, że to, co nastąpi za chwilę będzie dla nich bardzo trudne. To od nich zależało, czy chcą przez to wszystko przechodzić na oczach mediów.

Corran zerknął na swoją żonę. Jej zazwyczaj pogodną i beztroską twarz wykrzywił grymas wściekłości i bólu. Skinęła krótko głową i zmrużyła oczy. Jaina nie potrzebowała nic więcej. Hornowie wiedzieli, jakie piekło czeka ich za chwilę i zamierzali udźwignąć to brzemień i trzymać się planu.

Odwróciła się do Ke'e, która właśnie machała w stronę turbowind i nerwowymi warknięciami rozkazywała swoim ludziom przestać się objać i zabezpieczyć hol, a potem ruszyła w stronę wind. Żołnierze natychmiast wycelowali w nią blastery i zaczęli wykrzykiwać jeden przez drugiego „ani kroku dalej”!

Wtedy poszukała wzrokiem Javisa Tyrra i, wzmacniając Mocą swój głos, żeby wszyscy usłyszeli ją ponad wrzaskami służb GS, spytała:

- Czy nie chcielibyście zobaczyć na własne oczy, co próbuje ukryć Daala?

W oczach Tyrra natychmiast zaślniło coś na kształt chciwości, którą za chwilę zastąpił strach, wywołany przez ostrzeżenie porucznik Ke'e:

- Ani się waż, Tyrr - warknęła na niego Bothanka. - Media nie mają prawa wchodzić do...

- A co im pani robi, pani porucznik? - zadrwiła Jaina. - Powystrzela ich pani jak kaczkę na oczach oglądających transmisję na żywo widzów? - Odwróciła się na pięcie i Mocą odsunęła kilku żołnierzy blokujących dziennikarzom dostęp do wind. Tyrr przez moment się wahał, ale jego wątpliwości szybko rozwiała konkurencja, która zaczęła przepychać się do przodu. Z pomocą swojego kamerzysty próbował przepchać się na przód, argumentując, że to on został upoważniony... ale nikt z kolegów po fachu nie zwracał na niego uwagi.

Ke'e odwołała swoich podwładnych, a potem dopchała się do Jajny.

- Pożalujesz tego, Jedi - warknęła. - Już ja się o to postaram.

- Pani porucznik Ke'e - odparła spokojnie Jaina - byłam zastraszana przez droidy zabójców, mistrzów wojennych Yuuzhan Vongów i Lordów Sithów. - Przerwała na chwilę i przyglądała się, jak Kyp i Hornowie wchodzi za ostatnimi dziennikarzami do turbowindy, po czym podjęła: - Jeśli chce pani mnie zatrzymać, musi się pani bardziej postarać. - Zostawiła rozwścieczoną Bothankę i weszła do windy.

Piętro kwater dyrekcji okazało się luksusowo urządzone hol o sklepionym suficie i wysokich kamiennych ścianach. W przestrzennej nawie stały trzy kanapy pokryte nerfią skórą, otaczające długie akwarium, w którym pływały egzotyczne wodne stworzenia sprowadzone z Pavo Prime.

Jednak to nie akwarium było centralnym punktem pomieszczenia. Jakies dwa metry nad nim wisały dwa ciemne bloki o wysokości około dwóch metrów i szerokości metra każdy. Na ich dolnych krawędziach mrugały szeregi kontrolki, ale poza tym bloki karbonitu wyglądały jak czarne płaskorzeźby przedstawiające Valina i Jysellę Hornów. Jaskrawe światło było tak ostre, że podkreślało rysy twarzy młodych Rycerzy Jedi w najmniejszych szczegółach - zastygłe w grymasie przerażenia oczy, desperacko rozdęte nozdrza i usta otwarte w niemych krzyku.

Tuż pod karbonitowymi gondolami stali Mirax i Corran. Oboje odchylali głowy w tył i grymasem bólu na twarzach wpatrywali się w swoje dzieci. Wnętrznosci Jajny natychmiast skrzyła lodowata wściekłość i poczucie winy. To przez nią Hornowie teraz cierpieli... - widząc własnych

bliskich, Rycerzy Jedi, potraktowanych tak nikiemnie i nieludzko.

Reporterzy musieli być tak samo zaszokowani jak Jaina i Mistrzowie, bo trzymali się za kanapami i zachowywali pełną szacunku ciszę. Jedyńm dźwiękiem w pomieszczeniu był teraz cichy szum sprzętu i sporadyczne szepty operatorów kamer. Przez chwilę Jaina sądziła, że oficerowie SBGS rozczarują ją i pozwolą, żeby konfrontacja zakończyła się tym smutnym akcentem - Hornami, patrzącymi bez słowa, jak Cilghal dokonuje inspekcji odczytów na gondolach, żeby upewnić się, że Valinowi i Jyselli nic nie grozi.

Po chwili jednak ciszę przerwał wysoki, mrozący krew w żyłach jęk. Wydobywał się z gardła Mirax. Kobieta powoli odwróciła głowę i ukryła twarz na ramieniu męża, a Corran przytulił ją mocno, nie spuszczać zażawionego, wściekłego spojrzenia z karbonitowych brył. Wkrótce reporterzy zaczęli zadawać pytania, chociaż pewnie nie spodziewali się odpowiedzi, a skądś z boku na scenę wtoczył się potężny Yaka w mundurze pułkownika. Eskortowany przez szóstkę uzbrojonych strażników i dwa razy tyle naburmuszonych kapitanów, był prawie na pewno dowódcą placówki.

Pomaszerował prosto do kanap i akwarium, nie zaszczywszy reporterów nawet jednym spojrzeniem. Pewnym krokiem podszedł do Saby. Był od niej wyższy i potężniejszy, a jego twarz wyglądała trochę mniej obco od gadziego oblicza Barabelki tylko dlatego, że zamiast łusek pokrywała je skóra.

- Czy to ty odpowiadasz za to karygodne naruszenie procedur, Krótkoogoniasta? - spytał, celowo zwracając się do Barabelki obraźliwym przydomkiem. W innych okolicznościach Saba powetowałaby sobie pewnie podobną zniewagę łamiąc Yace rękę w łokciu, żeby mogła go nią potem pookładać po głowie, ale chociaż była zapalczywa, to nie bez powodu została Mistrzynią Jedi. Wiedziała, że nie może dać się sprowokować i zaatakować tego tępaka na oczach widzów HoloNetu.

Obrzuciła go tylko pogardliwym spojrzeniem i wychrypiła gardłowo:

- Kto pyta?

- Pułkownik Retk.

Po twarzy Yaki przemknął cień uśmiechu i Jaina była nagle pewna, że Retk robi dokładnie to, czego się po nim spodziewała: próbuje zmienić tę publiczną katastrofę w zwycięstwo, starając się sprowokować Mistrzynię Jedi. Mimo wyglądu głupawych osiłków Yakuwie byli jedną z najinteligentniejszych i bardziej przebiegłych ras w galaktyce - dzięki cybernetycznym mózgom, które większości z nich wszczepiano w młodym wieku.

- Pułkownik Wruq Retk - przedstawił się Yaka, wyciągając do Saby dłoń. - Jestem dowódcą tej placówki.

- Ach, tak. - Zamiast uścisnąć dłoń Retka, Saba wcisnęła mu w nią tubę z sądowym pozwoleniem. - W takim razie na pewno zechcesz to... - Zanim zdołała dokończyć zdanie, między nią a Retkiem zmaterializowała się nagle Mirax Horn.

- Jeżeli to ty dyrygujesz tą zapluta norą - wycodziła, zadzierając głowę, żeby móc spojrzeć mu w oczy - to na pewno jesteś też tym synem schutty, który postanowił zrobić sobie z moich dzieci ozdóbki, he?

- Proszę mi wybaczyć... - mruknął Retk z lekkim rozbawieniem. - Ale chyba się nie zrozumieliśmy. Nie zamierzałem nikogo obrazić. - Odwrócił się w stronę kamer i mało brakowało, a mrugnąłby porozumiewawczo. - Chciałem po prostu umieścić je w miejscu, w którym mógłbym osobiście dopilnować, że wszystko u nich w porządku...

- Jasne, jak *kriffolona* cholera! - Mirax zadziałała tak szybko, że Jaina przez chwilę nie mogła się połapać, co się stało. Retk stał, a w następnej sekundzie jego zęby zadzwoniły o siebie z głośnym szczękiem i Yaka poleciał na stojącą z tyłu kanapę. Jego ochrona była tak zaskoczona rozwojem wypadków - podobnie zresztą jak wszyscy obecni - że nie zareagowała od razu, dając Jainie i Jedi ułamek sekundy potrzebny na sięgnięcie poprzez Moc i skierowanie luf blasterów w podłogę.

Wreszcie żołnierze doszli do siebie i postąpili naprzód, nakazując Mirax się poddać. Niestety, Saba, Cilghal, Kyp i Corran byli szybsi - zanim ochrona dotarła do przełożonego,

Mistrzowie stali już między nimi a drobną, ciemnowłosą kobietą.

Jaina zauważyła kątem oka, że jeden z kapitanów SBGS, mężczyzna o haczykowatym nosie, popatruje na tubę, która leżała teraz na kanapie obok nieprzytomnego Yaki. Zaczęła się obawiać, że jej plan może lada chwila runąć w gruzy. Jeśli stracą dokument, może się nagle okazać, że sędzia, która go wystawiła, wyprze się wszystkiego. To z kolei oznaczało, że Daala będzie mogła przedstawić cały incydent jako jeszcze jeden przykład arogancji Jedi.

Korzystając z zamieszania, „haczykowaty nos” sięgnął ukradkiem po rulon... i prawie upadł, kiedy Jaina wyszarpnęła mu go Mocą z ręki. Kapitan potrząsnął z zaskoczeniem głową, a potem opuścił ręce wzdłuż ciała i wzruszył ramionami, jakby nic się nie stało. Najwyraźniej szanował prawo tak samo jak byle uliczny złodziejasek.

Kiedy Jaina trzymała już bezpiecznie zwój w dłoniach, oceniła szybkim spojrzeniem sytuację. Wyglądało na to, że nastąpił impas. Któryś z kapitanów SBGS żądał, żeby Mirax oddała się w ich ręce, żeby odpowiedzieć za atak na oficera służb bezpieczeństwa, ale Corran i reszta Mistrzów wciąż broniła dostępu do niej grupie żołnierzy. Kordon utworzony przez Jedi był zbyt zwarty, żeby Jaina zdołała dostrzec wyraz twarzy rozsierdzonej matki, ale czuła, że jej aurę w Mocę przepelnia satysfakcja z powodu znokautowania potężnego Yaki.

Jęknęła w duchu. Ich plan miał poprawić w oczach społeczeństwa wizerunek Jedi i wzbudzić współczucie dla nieszczęsnych Rycerzy, których Daala kazała zamrozić w karbonicie. Sprawy jednak potoczyły się inaczej; teraz wszystko wskazywało na to, że sensacją popołudniowych informacji zostanie informacja o kolejnym starciu między SBGS a Jedi - tym razem dla odmiany na terenie bloku więziennego służb Sojuszu. A Jaina mogła mieć o to pretensję wyłącznie do siebie. Była świadoma ryzyka, na jakie się naraża, prosząc Hornów, żeby zachowali zimną krew na widok swoich dzieci uwięzionych w karbonitowym więzieniu.

Zastanawiając się, jak wybrnąć z sytuacji, dojrzała wreszcie szczupłą sylwetkę Mirax, wyciągającą zza szpaleru Jedi szyję, żeby zobaczyć nieprzytomnego Yakę - i nagle wiedziała już, co robić. Zostawiła Sabę i resztę, żeby pilnowali strażników SBGS, a sama odwróciła się w stronę kamer i reporterów. Niemal natychmiast wyłowiła w tłumie dziennikarzy wysoką sylwetkę płowowłosego Javisa Tyrra.

Początkowo wydawał się zanadto skupiony na relacjonowaniu sytuacji, żeby zwrócić na nią uwagę, jednak kiedy Mocą szarpnęła jego mikrofon w swoją stronę, wreszcie zorientował się, że chce mu coś przekazać i odwrócił się do niej.

- Jedi Solo, czy zechciałabyś skomentować...

- Nie teraz - przerwała mu niecierpliwie i machnęła ręką, nakazując gestem wyłączyć sprzęt.

Kiedy posłuchał, dodała: - Mam dla ciebie propozycję, *sleemo*.

Tyrr zmarszczył czoło, ale jego dziennikarska natura wzięła górę nad chęcią wyrażenia oburzenia, zresztą chyba zbyt często słyszał podobne obelgi pod swoim adresem, żeby naprawdę się obruszyć.

- Tak?

Jaina wyjęła z tuby zatyczkę.

- Chcesz sfilmować ten dokument? - zaproponowała.

- Też mi coś! - parsknął odruchowo Tyrr. - Będę miał jego kopię jak tylko stąd wyjdziemy i... - Próbował brzmieć pewnie, ale Jaina wyczuwała od niego poprzez Moc rosnące podekscytowanie. - Nie zamierzam się...

Pochyliła się w jego stronę.

- Chcę tylko, żebyś zadał im jedno pytanie. - Rozejrzała się po innych dziennikarzach, ale natychmiast dotarło do niej, że większość jest zbyt rozsądna i wierna kodeksowi zawodowemu, żeby pozwolić „ofiaram” dyktować warunki. - Pytanie, które i tak prędzej czy później przysłoby komuś do głowy - dodała znacząco.

Tyrr przez chwilę udawał, że rozważa jej słowa.

- No dobrze - powiedział po krótkim namyśle. - O co chodzi? - Kiedy Jaina wyjaśniła mu, w czym rzecz, na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech. - Niezłe! - skwitował. - Może i nie powinienem ci pójść na rękę... ale umowa stoi.

Skinął swojemu operatorowi kamery, który odczekał, aż Jaina wyciągnie z tuby pismo i rozwinie je przed obiektywem. Oczywiście, reszta przedstawicieli mediów natychmiast spostrzegła, co się święci i także skupiła na niej uwagę, starając się zarejestrować pokaz i tracąc zainteresowanie konfrontacją Mistrzów ze służbami bezpieczeństwa.

- W porządku, wystarczy! - syknął ze zniecierpliwieniem Tyr. - Schowaj to! Szybko!

Tego nie było w ich umowie, więc Jaina tylko opuściła dokument i odczekała, aż Javis i jego kolega skierują sprzęt na Jedi i żołnierzy. Kiedy była już pewna, że są zajęci ich filmowaniem, podniosła znów pozwolenie i dopilnowała, żeby cała reszta dokładnie zarejestrowała jego treść. Na widok podpisu widniejącego na zwoju wśród tłumu zgromadzonych zawrzało od parsknięć i zaskoczonych westchnień, ale w tym czasie Tyr podstawił już mikrofon pod nos jasnowłosego kapitana straży, żądającego wydania służbom Mirax Horn.

- Proszę potwierdzić, kapitanie Xanda - mówił swoim gładkim, profesjonalnym tonem reportera - czy SBGS naprawdę zamierza przedstawić pogrążonej w żałobie matce zarzut napaści na oficera służb GS? Tej oszalałej z bólu, drobnej kobiecie, która straciła nerwy i posunęła się do zwykłego spoliczkowania... - Podczas gdy indagował swoją ofiarę, jego operator kręcił otaczających Mirax Mistrzów. Na ukradkowy znak Jaina w Mocy, rozstąpili się, pozwalając mu zarejestrować ujęcie kruchej, ciemnowłosej postaci. Tyr zawiesił dramatycznie głos, a kamerzysta skupił obiektyw na potężnym cielsku powalonego na łopatki kapitana. - ...Yaki - podjął dziennikarz - pułkownika trzy razy większego od niej - po tym, jak dowiedziała się, że powiesił jej dzieci na ścianie... - znów urwał, tym razem czekając, aż kamera uchwyci lewitujące nad akwariem karbonitowe gondole z Valinem i Jysellą. - ...w charakterze ozdóbek?

- Nie - nadeszła odpowiedź, jednak głos dobiegał od strony turbowind, a głos był bez dwóch zdań kobiecy. - SBGS na pewno nie przedstawi Mirax Horn zarzutów. Jej rozżalenie i ból są całkowicie zrozumiałe, a jej działanie w afekcie absolutnie wybacalne.

Tak jak wszyscy obecni, Jaina zwróciła się w stronę źródła tego aż nazbyt dobrze znajomego głosu i zobaczyła, jak do holu wchodzi admirał Daala. Po piętach deptał jej Wynn Dorvan, jej osobisty asystent, a także para bardzo nerwowych Rodian, których spotkali na dole.

- Tym, czego nie możemy jednak wybaczyć, jest kolejny przykład arogancji Jedi - ciągnęła Daala, zatrzymując się w pobliżu otaczających akwariem kanap. - Mamy tu podręcznikowy wręcz przykład tego, jak Jedi wdzierają się siłą do prawnie chronionych centrów więziennych SBGS! - Obiektywy kamer skupiły się na pani admirał niczym światła na występującej na scenie jaboriańskiej pieśniarce ducha, a puls Jaina gwałtownie przyspieszył. Jak dotąd ich plan przeszedł wiele nieoczekiwanych zmian - częściowo na ich korzyść, ale i wręcz przeciwnie - jednak teraz wszystko wskazywało na to, że szala wygranej niespodziewanie przechyliła się znów na ich stronę... - Daala przez chwilę napawała się światłem jupiterów, po czym wystudiowanym gestem zmarszczyła czoło. - Czy są w ogóle jakieś granice ich bezczelności?

- Skoro poruszyła pani ten temat, pani admirał - wtrąciła Jaina, wykorzystując chwilę ciszy. Zerknęła przez ramię na Sabę, a kiedy ta skinęła przyzwalająco głową, wyciągnęła w stronę admirał zwój. - Jak pani widzi, uzyskaliśmy pozwolenie od właściwych władz sądowniczych.

Daala nie sprawiała wrażenia zmieszanej.

- Słyszałam. - Bez mrugnięcia okiem wpatrywała się w skierowane na nią obiektywy. - Ale też wszyscy słyszeliśmy o sztuczках Jedi z wpływaniem na umysł. To tylko jeszcze jeden przykład braku respektowania prawa.

- Ssskoro sssłyszyszszszaś o ssszszuczczkach Jedi - odezwała się Saba, postępując w jej stronę - to wieszysz pewnie też, że nie działają one na sssłabe umysssy?

Daala zmierzyła Barabelkę wzrokiem. Po jej ustach błąkał się złośliwy uśmiezek.

- Mistrzowie Jedi chyba nie będą zaskoczeni informacją, że wśród sędziów służących Sojuszowi jest kilka person o słabych - jak się wyraziła - umysłach?

- Ssserio? - prychnęła Saba, udając zaskoczenie. Plasnęła ogonem o podłogę i poszukała wzrokiem Jaina. - Ona jessst bezgranicznie oburzona!

Przez hol przetoczyła się fala kpiących chichotów. Asystent Daali, Dorvan, szepnął swojej przełożonej coś do ucha i chwilę później pani admirał zbladła jak ściana. Z furią odwróciła się w

stronę kamer, najwyraźniej przygotowując jakąś ciętą ripostę. Na jej nieszczęście trafił swój na swego: wśród zebranych była osoba bardziej żądna podbicia swojej popularności niż ona. Zanim zdążyła się odezwać, podszedł do niej Javis Tyrr, trzymając przed sobą datapad, na ekranie którego widniał zwój Jainy.

- Pani przywódczyni Daalo, podpis na tym dokumencie sugeruje, że wystawiła go osoba, która nadzoruje działania ustanowionego przez panią osobiście specjalnego sądu Jedi - powiedział.
- Czy to nie pani powołała na to stanowisko sędzię Arabelle Lorteli?

Daala zmrużyła zielone oczy.

- W rzeczy samej - mruknęła. - I całkowicie ufam jej osądowi. - Przeniosła palający nienawiścią wzrok na pułkownika służb Sojuszu. Yaka wciąż leżał nieprzytomny, rozciągnięty jak długi na kanapie. - Chociaż bardzo niepokoi mnie Zakon i jego wyraźna skłonność do braku respektowania praw rządzących Galaktycznym Sojuszem, nie mogę przymykać oka na nadużycia władzy przez nasze własne instytucje. Nie byłoby mnie tu, gdybym nie została poinformowana o niedopuszczalnym zachowaniu pułkownika Retka w związku z przetrzymywaniem rodzeństwa Hornów. Możecie być pewni, że wszystkie strony odpowiedzialne za, to naruszenie procedury zostaną pociągnięte do odpowiedzialności. Galaktyczny Sojusz nie będzie tolerował podobnych uchybień - i to z niczyjej strony.

- A więc popiera pani prawo Jedi do odwiedzin Rycerzy Jedi przetrzymywanych w tajnych blokach więziennych? - spytał falleeński reporter. - Nawet jeśli te bloki są same w sobie nielegalne?

- Dokładnie - oznajmiła z mocą Daala. - Pomijając fakt, że niniejsza placówka w żadnym wypadku nie działa niezgodnie z prawem, powtórzę raz jeszcze: wszyscy jesteśmy równi wobec prawa. - Spojrzała na Jainę, którą nagle przeszedł zimny dreszcz. - I mam nadzieję, że wszyscy będziemy o tym pamiętać w obliczu przyszłych zdarzeń - dokończyła złośliwie.

ROZDZIAŁ 20

Złe przeczucia, które dręczyły Leię nie były skutkiem działania Mocy - nie mogły być, zważywszy na obecność wypełnionego isalamirami śmigacza stacjonującego tuż obok. Wraz ze swoją asystentką osobiście dopilnowała umieszczenia w transportowcu trzydziestu drzewek olbio; na każdym umieszczono co najmniej dwa jaszczuropolodobe stworzenia. W ten oto sposób sama skazała się na przebywanie w bańce niedostępnej dla Mocy i sięgającej niemal krańców doku. Mimo to nie mogła się jednak oprzeć uczuciu, że coś jest nie tak, że w jakiś dziwny sposób nie potrafi dostrzec oczywistego zagrożenia ze strony chorych Jedi, którymi mieli się zająć.

Zerknęła z niepokojem w mrok skrywający wyjście, przesłonięte lustropolem, dającym widok na panoramę Coruscant, ale niepozwalającym dostrzec szczegółów postronnym widzom od zewnątrz. Zawile zaułki Placu Wspólnoty były położone wśród najbardziej ruchliwych tras planety-miasta, pokonywanych nieustannie przez strumienie pojazdów transportowych; poza zasięgiem pola nieprzerwanie śmigały w tę i w tę gromady maszyn. Nawet w najlepszych chwilach ruch był tu powolny i przyprawiał o załamanie nerwowe. Raz za razem dochodziło do wypadków - i to nierzadko śmiertelnych. Dzisiejszy dzień nie należał do wyjątków. Sznur repulsorowych sań ślamazarzył się na trzysta metrów, zatrzymując się i ruszając co chwila, sterowany kaprysmi rządzącymi galaktycznymi korkami.

Han przystanął obok żony przy rampie floatvana. W ładowni transportowego śmigacza spoczywała już bezpiecznie trójka Rycerzy Jedi, ale to nie na nich skupiał uwagę. Obserwował ruch powietrzny na zewnątrz, tak samo jak Leia.

- Ta-a, trudno ich nie zauważyć - mruknął. - Te pięknie nie mają tu nic do roboty. A już na pewno nie powinno ich być w pobliżu Krabbis.

Leia obrzuciła wzrokiem panoramę w dole i niechętnie przyznała, że jej mąż ma - jak zwykle zresztą - rację. Zajazd Krabbis był jednym z podrzędnych hotelików, w których żądni wrażeń stolicy galaktyki turyści mogli się zatrzymać za naprawdę niewielką opłatą. Na parkingu na dachu stała para lśniących śmigaczy BeamStreak Aratecha. Modele beamstreak, wykorzystywane

przez Coruskańskie Organy Ścigania były tak samo kosztowne, jak niebezpieczne. Reklamowano je jako tak szybkie, że wypadek w takim cacku oznaczał natychmiastową śmierć.

Zmarszczyła czoło. Nie miała złudzeń, że te śmigacze były ostatnią rzeczą, jakiej wynajęcia można się było spodziewać po klienteli Krabbisa. Ktokolwiek jednak miał nadzieję podejrzeć dzięki hostelowi, co dzieje się w doku załadunkowym, z rozczarowaniem przekonałby się, że jego lustropola skutecznie mu to uniemożliwiają. O ile oczywiście nie miał na podorędziu jednego z nowych „ścianowizjerów” PsiCoru, urządzeń szpiegujących opracowywanych specjalnie dla wojskowego wywiadu. Niemożliwe, żeby Daala przekazała podobny, wart krocie sprzęt w ręce lokalnego oddziału służb bezpieczeństwa, żeby ten śledził Jedi. Jednak ostatnio stanowczo zbyt często okazywało się, że „niemożliwe” jest całkiem realne. No bo kto jeszcze wczoraj uwierzyłby w plotkę, że dwoje Rycerzy Jedi wisi w karbonitowych gondolach w rządowych budynkach? Albo że przywódczyni Galaktycznego Sojuszu uzna Zakon Jedi za zagrożenie dla społeczeństwa, któremu ten sam Zakon służył wiernie od chwili powołania go do życia?

- Czasem - westchnęła Leia - tęsknię za rządową posadą. Jak myślisz, do kogo należą? Do SBGS?

Han zastanawiał się przez chwilę; wreszcie pokręcił głową.

- Mało prawdopodobne. - Wskazał kciukiem na tyły doku załadunkowego, gdzie przy głównym panelu dostępu komputerowego stali R2 i C-3PO i dodał: - A przynajmniej jeśli odczyty naszego małego mechanicznego przyjaciela są prawidłowe. Daala boi się, że Jaina odbierze jej Valina i Jysellę, więc wezwała wszystkie siły, żeby pilnowały ich tajnego więzienia.

- Jaina ma prawdziwy dryg do działania ludziom na nerwy - skwitowała Leia nie bez dumy. - Najwyraźniej odziedziczyła tę zdolność po tatusiu.

Han spochmumiał i bez słowa odwrócił się w stronę lustropola. Wciąż jeszcze nie wybaczył córce, że zachowała dla siebie tajemnicę Jaga, na którego był jeszcze bardziej wkurzony. Jak ten frajer mógł przed nimi zataić informację o Mandalorianach? Powinien był powiedzieć im o wszystkim, i to natychmiast! Mocą a prawdą, Leia także jeszcze do końca nie wybaczyła Jainie. W głębi duszy współczuła jej jednak, bo wiedziała, jak to jest być rozdartym między chęcią dochowania wierności ideałom, a miłością do człowieka, który niekoniecznie podziela jej przekonania. Na szczęście dla niej Han był typem człowieka, który nad wszystko przedkładał lojalność wobec bliskich. Stopniowo, ale nieuchronnie jego własne poglądy dryfowały w stronę ideologii Leii, dzięki czemu mogli wreszcie bez większych przeszkód podjąć decyzję o wspólnym życiu.

Niestety, z Jagiem sprawy miały się zgoła inaczej. Honor i obowiązki były dla niego najważniejsze, a te ostatnie oznaczały dochowanie wierności Szczałkom Imperium. Gdyby ktoś spróbował przekonać go, żeby porzucił własny system wartości, równie dobrze mógłby go poprosić, żeby przestał być Jaggedem Felem. Jeśli więc córka Leii i młody Fel planowali wspólną przyszłość, to Jainę czekały ustępstwa - a Leia wiedziała, że Han na samą myśl o takiej perspektywie dostaje gęsiej skórki. Czy ich jedyne żyjące dziecko naprawdę mogłoby przedłożyć Imperium ponad własnych rodziców i Zakon Jedi?

Wzięła męża za rękę i uściśnęła ją mocno.

- Niezależnie od tego, jaką decyzję podejmie Jaina, na pewno da sobie radę.

Han nie odwracał wzroku od mrugającego czerwienią neonu Krabbisa.

- Ani przez chwilę w nią nie zwątpiłem - mruknął. - To one mnie martwią. - Wskazał beamstreaki zaparkowane na dachu hostelu. - SBGS raczej nie przysłałoby tu takiego sprzętu. To musi być ktoś spoza planety.

Leia poczuła w żołądku nieprzyjemny chłód.

- Myślisz, że Mando już tu są?

- Niewykluczone przyznał Han. - Może to szpica? Jeśli Daala zamierza wysłać komandosów po naszych wariach... eee, pacjentów, to kolesie na pewno wcześniej zechcą zrobić zwiad. A przynajmniej ja bym tak postąpił.

- To by nam trochę pomieszało szyki - skwitowała z namysłem Leia. Mieli dostarczyć pacjentów ze Świątyni na Shedu Maad, poza zasięg Daali. - Nie możemy czekać - dodała,

marszcząc brwi. - Im później, tym będzie trudniej.

- Racja - zgodził się Han. - Ale nawet jeśli to ekipa zwiadowcza, to chyba nie powinni nam przeszkodzić w misji?

- Chciałabym, żeby tak było - westchnęła Leia i zerknęła w stronę doków, gdzie Tekli, Raynar i kilkoro innych Rycerzy Jedi eskortowało potężnego, zielonoskórego Bazela Warva do floatvana. Ostatnim razem Ramoanin bardzo źle zareagował na środki uspokajające, więc tym razem Tekli postanowiła spróbować hipnozy Mocą i łagodniejszego od somatollu środka z grupy benzodów. Jak dotąd chyba działało: Barv pokonał całą drogę z bloku psychiatrycznego bez słowa skargi.

Mimo to, zważywszy na gabaryty i parę Ramoanina, woleli nie ryzykować. Z jednej strony eskortował go Jaden Korr, a z drugiej - ciemnowłosa, żywy i silny Mocą młody Avinoam Arelis. Obydwaj pchali przed sobą repulsorowe platformy z drzewkami olbio w doniczkach i isalamirami. Ostatnią rzeczą, jakiej im było teraz trzeba, był rosły Ramoanin, próbujący Mocą przezwyciężyć działanie środków uspokajających.

Leia podchwyciła wzrok Tekli.

- Jeśli wszystko w porządku, wyskoczymy na chwilę z Hanem coś sprawdzić - poinformowała ją.

Mała Chadra-Fanka kiwnęła głową i machnęła przyzwalająco ręką.

- Jasne, nie ma sprawy - zapewniła ją. - Barv zachowuje się wzorowo.

- Na razie - mruknął pod nosem Han. - Nadal nie rozumiem, dlaczego nie możemy wprowadzić go w śpiączkę i zapakować do celi jak resztę.

- Jest jedno małe „ale”. - Leia wzięła go za rękę i podprowadziła do niewielkiego wjazdu w ścianie obok wejścia do pojazdu. - Drzwi.

- Moglibyśmy się przebić przez ścianę - bąknął Han. - Całkiem nieźle sobie radzę z palnikiem do cięcia.

Leia uśmiechnęła się ciepło do męża.

- Śmierdzący tchórz!

- To się nazywa doświadczenie, moja droga - stwierdził rzeczowo Han. Kiedy dotarli do drzwi, przyłożył dłoń do panelu dotykowego. - Możesz prac rankora po pysku do usranej śmierci, zanim się zorientujesz, że masz inne wyjście.

Drzwi się rozsunęły i Han zaprosił żonę gestem na durastalową rampę dla pieszych. Na zewnątrz było duszno; powietrze cuchnęło spalinami i odpadkami. Pobliskie trasy ruchu kilka metrów nad i pod poziomem portalu, gdzie stali, tętniły życiem. Wśród pojazdów dominowały maszyny transportowe. Naprzeciwko ich galerii w sztucznym świetle neonu hostelu Krabbis lśniły srebrzyście beamstreaki. Obydwa pojazdy zaparkowano tak, żeby miały bezpośredni dostęp do bramki.

Leia podeszła do krawędzi galerii, w miejsce, w którym zaczynały się schody prowadzące do pograżonej w mroku nadbudowy, mieszczącej słoneczną połąć Placu Wspólnoty. Pokonała kilka stopni, zanim poczuła, że jej więź z Mocą powraca. Han ruszył za nią, spoglądając co rusz przez poręcz na schodzącą zakosami w głąb coruskańskich slumsów klatkę schodową.

- No dobra, poddaję się - skapitulował wreszcie. - Po co wyszliśmy wdychać te hucie piardy? Mamy robotę...

- Spokojnie, to nie potrwa długo. - Leia otworzyła się na Moc i natychmiast poczuła zimne mrowienie na karku: ktoś ich obserwował... - Miałeś rację co do tych beamstreaków - mruknęła. - Ktoś wykorzystuje dach Krabbisa jako stanowisko obserwacyjne.

- A interesuje nas to, bo...? - Han odwrócił się do hostelu plecami, żeby uniemożliwić potencjalnym świadkom ich rozmowy czytanie z warg albo używanie mikrofonu kierunkowego. - Zobaczą tylko floatvana opuszczającego dok.

Leia spojrzała mu w oczy i profilaktycznie zasłoniła usta dłonią.

- Chyba że mają jeden z tych fikuśnych ścianowizjerów PsiCoru, o których mówił Mistrzom senator Trebek - przypomniała.

- Ale skąd mogliby je mieć? - parsknął Han. - Nawet dowództwo floty jeszcze ich nie

widziało na oczy.

Leia cofnęła się nieco i przez chwilę patrzyła na męża bez słowa. W końcu Han pokręcił głową.

- Nie ma szans - stwierdził. - To naprawdę cholernie drogie zabawki. Jej własne Centrum Sprawiedliwości oskarżyłoby ją o zdradę, gdyby udostępniła je bandzie Mandalorian czy nawet służbom SBGS. Daala na pewno by tak nie ryzykowała.

- Mówisz? - spytała z powątpiewaniem Leia. - W takim razie czemu zwiad usadowił się naprzeciwko lustropola? To bez sensu - o ile nie mają jakiegoś sprzętu, dzięki któremu przez nie widzą. A jeśli to działa, to pewnie widzą nawet przez ściany śmigacza.

Han westchnął ciężko.

- Wiesz, czasem naprawdę potrafisz być wkurzająca, kiedy zaczynasz logicznie kombinować. Zerknął ukradkiem przez ramię na beamstreaki, a potem pokręcił z rezygnacją głową.

- Musimy mieć pewność. Nie ma sensu robić hałasu, jeśli to tylko jakieś nadziane łajzy z makrolornetkami.

- Masz całkowitą rację - przyznała Leia. - Jakiś pomysł?

Han przez chwilę się nad czymś zastanawiał; w końcu wziął ją za rękę.

- Chyba tak. - Pociągnął ją w stronę doku. Kiedy Leia znów znalazła się w strefie oddziaływania isalamirów, poczuła dotkliwy brak Mocy, ale zamiast wejść do środka, Han otworzył bramkę bezpieczeństwa na końcu galerii. Nie puszczając jej ręki, poprowadził żonę w stronę wąskiej kładki serwisowej. Kiedy przechodzili obok lustropola, na lśniącej powierzchni tafli pojawiły się ich odbicia, lekko rozedrgane, z włosami nastroszonymi od wyładowań.

Po drodze Han popatrywał to na nie, to pod nogi. Kiedy doszli mniej więcej do połowy przejścia, zatrzymał się nagle i zaklął pod nosem. Na ich odbicia nałożyły się nagle dziwne, blade widma, a blask rozmigotanego czerwonego neonu Krabbisa zbladł o kilka odcieni.

- Co o tym myślisz? - mruknął Han. - Czy to nie wygląda twoim zdaniem na rozpylacz fotoniczny?

- To całkiem możliwe. - Leia odpięła od pasa miecz świetlny i skierowała emiterem do góry.

- Ale zawsze lepiej się upewnić. - Aktywowała broń; przy akompaniamencie skwierczenia okolicę rozświetliła jasna, niebieska poświata, jednak zamiast błękitnego odbicia, w lustropolu pojawiła się przejrzysta szczelina. Han i Leia zobaczyli przez nią Bazela Warva smętnie wlekącego się po rampie floatvana. Jego paciorkowate oczy łypały na nich spod zmarszczonego, zielonego czoła. Leia szybko się zreflektowała i wyłączyła miecz. Nie chcieli mieć na dokładkę kłopotów ze spanikowanym Ramoaninem. Odwróciła się do Hana.

- Cóż, chyba mamy odpowiedź na nasze pytanie - westchnęła. - Kimkolwiek są, wiedzą już, co tu się dzieje.

Han pokiwał głową.

- Coś zakłóca powłokę odbijającą, to pewne. Tak czy siak, na pocieszenie mogę cię zapewnić, że - o ile PsiCor nie zrobił czegoś z tłumieniem błysku - biedny *ruk*, który patrzył przed chwilą przez ten sprzęt potrzebuje teraz pary nowych siatkówek.

- Przypomnij mi, żeby mu przesłać jakąś wybuchową bombonierkę - prychnęła Leia i zawróciła na galerię. - Chodź - przynagliła męża. - Musimy zabrać stąd naszych pacjentów - i to szybko, zanim Daala się zorientuje, że Jaina odwraca jej uwagę.

- Się robi, psze pani - zameldował Han, spiesząc tuż za nią. - Na początek jednak musimy się pozbyć tych beamstreaków.

- I wszystkich innych śmigaczy na tym dachu - uzupełniła Leia. - Będą nas śledzić, a niewykluczone, że coś więcej.

Dotarła do galeryjki i zaczęła iść w stronę schodów na drugim końcu, ale Han zatrzymał się przy wejściu do doku i przyłożył dłoń do panelu dostępu. Jego żona usłyszała syk rozsuwających się drzwi i głos męża, nawołujący krzątających się w środku Rycerzy:

- Jaden? Avinoam! Potrzebujemy wsparcia! Cała reszta - odpalajcie pudło i zabieramy się stąd. Mamy tu kilku podglądaczy.

Zanim skończył, Leia była już w drodze na rampę trzy poziomy wyżej. Znow miała

nieograniczoną niczym więź z Mocą; czuła fale gniewu i bólu napływające ku niej z hostelu Krabbis. Trudno było wyczuć z samej aury, czy mają do czynienia z Mandalorianami, ale sądząc po emanacji, istot było kilka - a wszystkie starały się zachować spokój i skupić na czekającym je zadaniu.

Kiedy Han zaczął się wspinać za nią po schodach, zatrzymała się i zdała mu pobieżną relację z sytuacji.

- Jest ich sześciu, może ośmiu - wyjaśniła. - Jeden chyba ranny.

- Pewnie ten oślepiiony - domyślił się Han. - Przeskakiwał po dwa stopnie naraz, i radził sobie całkiem nieźle, jak na kogoś w jego wieku. - Idą tu?

- Trudno stwie... - Leia urwała, kiedy nagle zmroziło ją bliskie poczucie niebezpieczeństwa.

- Padnij! - Rzuciła się na schody, po drodze upewniając się, że jej mąż dosłyszał komendę i jej posłuchał.

Nie musiała się o niego martwić: Han leżał już na podłodze galerii, ze swoim starym DL-44 w dłoni. Od strony Krabbisa dobiegła potrójna salwa wybuchów, kiedy w powietrze wyleciały trzy górne panele widokowe hostelu; po chwili powietrze przecięła kanonada różnokolorowego ognia. Część strzałów odbijała się od durastali i durabetonu, wypełniając powietrze smrodem spalonego tworzywa i metalu.

- Co u jasnej, zasmarkanej supernowej?! - krzyknął Han. - Strzelają do nas!

- Jak to zwykle Mandalorianie, kochanie - skwitowała Leia. - Oslaniaj mnie!

- Ja? Ciebie?! - Han bez chwili namysłu zaczął się ostrzeliwać, odwzajemniając się atakującym falą ognia. - Oszalałaś?

- Jestem twoją żoną, zapomniałeś?

Leia aktywowała miecz świetlny, zerwała się na równe nogi i zaczęła przeskakiwać stopnie po dwa i trzy naraz. Przewiesiła ramię przez poręcz i - trzymając rękojeść jedną ręką - zaczęła sprawnie odbijać kierowane w ich stronę strzały.

Zdołała dotrzeć na szczyt schodów, kiedy wyczuła nowe niebezpieczeństwo. Szybkie spojrzenie na drugą stronę szlaku ruchu powietrznego wszystko wyjaśniło: z jednego ze strzaskanych okien celowała w ich stronę lufa magnetycznego karabinu. Machnęła ku niej wolną ręką, uwalniając broń z ręki snajpera i posyłając ją w dół budynku. Potem Mocą schwyciła pustą dłoń zaskoczzonego snajpera, szarpnęła ją, i pociągnęła odzianą w czerwoną mandaloriańską zbroję postać, posyłając ją w dół, ku przepastnym czeluściom niższych poziomów Coruscant.

W mgnieniu oka dotarła do galerii i skoczyła wspomaganym Mocą susem na dach Krabbisa. Kiedy przypadła do ściany budynku, rzuciła się pędem do schodów, oddzielających ją parę pięter od parkingu na szczycie budowli. Durastalowe poszycie i boczne panele galerii zapewniały jej osłonę, uniemożliwiając snajperom wzięcie ją na cel. Przez pierwsze kilka schodów nie mogła uwierzyć, że naprawdę otworzyli ogień. Chociaż okolica nie należała do najbezpieczniejszych, szlaków frachtowych nad Placem Wspólnoty na pewno nie można było nazwać slumsami. Leia wiedziała, że strzelanina pod samą Świątynią Jedi przyciągnie natychmiast uwagę służb znacznie poważniejszych niż zwykle organy ścigania.

Na dziesiątym schodku dotarło do niej, dlaczego Mandalorianie ich ostrzelali. Teraz, kiedy zostali zdemaskowani, ścianowizjer PsiCoru wpędzi ich w prawdziwe kłopoty. Jeśli urządzenie wpadnie w ręce Jedi, Daala będzie w poważnych tarapatach. Zostanie zmuszona do ujawnienia, że przekazała ściśle tajny sprzęt Mandalorianom, którzy użyli go przeciwko Jedi. Podczas walki ci zyskiwali szansę na zabezpieczenie ścianowizjera. Co więcej, zamieszki na pewno przyciągną zainteresowanie, dzięki czemu Jedi będzie trudniej przeszmygłować pacjentów ze Świątyni bez narażania się na spotkanie z jakimś wścibskim reporterem albo służbami bezpieczeństwa.

Leia musiała coś zrobić - i to szybko. Sięgnęła po komunikator i, nie zwalniając kroku, wywołała Tekli.

- Jak idzie? - spytała.

- Kiepsko - westchnęła Chadra-Fanka. - Cała ta strzelanina wytrąciła Barva z równowagi.

Nie chce wejść na pokład.

Leia przymknęła oczy, żeby się uspokoić, a potem zerknęła na chronometr.

- No dobra. Mamy jeszcze jakieś pięć minut, zanim zjawią się służby. Jeśli w ciągu trzech minut nie uda się wam go przekonać, odlatujcie bez niego.

- Ale księżniczko, nie wiem, czy to...

- Bez dyskusji - ucieła Leia. - Lepiej zostawić w Świątyni jednego pacjenta niż czterech.

Między podłogą a ścianą przemknął zbłąkany promień z blastera, o włos mijając kolana Leii. Odbił się od drugiej ściany i drasnął ją między łopatkami. *Kriffoleni* Mandalorianie, zakląła w myśli. Bez słowa wyłączyła komunikator. Kiedy dotarła do końca przejścia, zaczęła schodzić w stronę Krabbisa. Na dachu poniżej z turbowindy wynurzyła się para odzianych w pancerze postaci, które natychmiast pospieszyły na parking. Nawet stąd Leia widziała, że jednej z nich, krępej blondynce o twardych rysach, łzawią oczy. Kobieta trzymała w rękach spore pudło, które musiało zawierać ścianowizjer PsiCoru.

Drugi człowiek, wysoki mężczyzna w niebieskiej zbroi, prowadził ją pod ramię. W wolnej ręce trzymał blaster R-20. Z instynktem godnym Jedi, podniósł broń natychmiast, jak tylko wszedł na płytę parkingową, i posłał w stronę schodów kilka szybkich serii... Zbyt szybkich, żeby Leia zdołała odbić wszystkie strzały. Przykucnęła za osłoną i skuliła się odruchowo na dźwięk rykoszetów odbijających się od durastali, po czym sięgnęła po podręczny blaster.

Zanim jednak zdołała go dobyć, dwójka Mandalorian była już w połowie drogi do najbliższego stojącego beamstreaka i częściowo zasłonięta schodami. Mimo to Leia wycelowała. Strzał trafił w pudło trzymane przez blondynkę.

Kobieta nie zareagowała, całkiem jakby nic nie poczuła; chwilę później zniknęła, zasłonięta przez schody, nie wypuszczając pudła z rąk. Leia wstała z zamiarem dotarcia we wspomaganym Mocą biegu na dach, ale nagle usłyszała charakterystyczny świst odpalanych plecaków odrzutowych. Odwróciła się błyskawicznie w stronę ściany i zobaczyła pięć postaci w zbrojach, wylatujących przez pogruchtane panele widokowe hostelu.

W razie gdyby Mandalorianie próbowali uciec, Leia Organa Solo pozwoliłaby im na to bez zastanowienia i spróbowała odzyskać pudło ze ścianowizjerem. Gdyby natomiast ją zaatakowali, z radością rozprawiłaby się z nimi paroma pchnięciami Mocy, posyłając ich między strumienie ruchu powietrznego poniżej. Jednak cała piątka zamierzała najwyraźniej zaatakować Hana. Strzelali w jego stronę (a także Jadena i Avinoama, którzy wyszli mu właśnie na spotkanie) tak zaciekle, że miejscami przeszła i siatka galerii zaczynały się jarzyć na czerwono i topić.

Leia wyciągnęła rękę w stronę prowadzącego grupę Mandalorianina i cisnęła go Mocą w dół. Postać pomknęła w stronę rozpedzonego strumienia ruchu powietrznego poniżej rozmazaną białą smugą, powodując serię kolizji, kiedy zaskoczeni piloci starali się ją ominąć. Nim minęło kilka chwil, w czeluściach niższych poziomów wykwitła ognista chmura wybuchu.

Ułamek sekundy później od strony dachu Krabbisa dał się słyszeć dźwięk odpalanych silników repulsorowych. Leia nie musiała patrzeć w tamtą stronę, żeby wiedzieć, że blondynka i jej towarzysze uciekali. Stało się dla niej jasne, że atak pięcioosobowej grupy miał na celu odwrócić jej uwagę, żeby umożliwić tej dwójce ucieczkę ze sprzętem PsiCoru; Mandalorianie byli zbyt zdyscyplinowani i twardzi, żeby narażać powierzoną im misję na niepowodzenie - nawet kosztem życia współtowarzyszy.

Wróciła pędem na galerię, na której pozostała czwórka Mandalorian toczyła walkę z Hanem i dwójką Jedi. Jaden i Avinoam nie przestawali chłostać świetlnymi ostrzami pancerzy wrogów, ale ich ciosy pozostawiały zaledwie płytkie draśnięcia w wytrzymałych *beskar'gamach*. Mimo to za każdym razem, kiedy któryś z napastników próbował wystrzelić w ich stronę z blastera, niespodziewanie tracił równowagę... albo rękę. Młodzi Rycerze bez trudu odpierali atak, dając Mandalorianom jasno do zrozumienia, że ci lepiej zrobią, jeśli się poddadzą - zanim Jedi będą zmuszeni ich zabić.

Szczerze powiedziawszy, Leia nie miałaby nic przeciwko temu, jednak nie liczyła na to zbyt wiele. Nie mieli do czynienia z pierwszą lepszą bandą rzezimieszków, ale z Mandalorianami - a to mówiło samo za siebie. Mandalorianie byli znani i - co więcej - dumni ze swojego braku litości i zabójczej skuteczności. Jaden i Avinoam byli tak zajęci próbami schwytania napastników, że najwyraźniej całkiem zapomnieli o Hanie, z trudem starającym się odeprzeć atak pozostałej dwójki.

Leia skuliła się i zasłoniła głowę przed następną salwą, a Han w tym czasie zrobił unik, usuwając się z drogi serii strzałów; kiedy jeden z Mandalorian trzasnął go kolbą w krzyże, podźwignął się z trudem i odwzajemnił paskudnym ciosem w nieosłoniętą pancerzem szyję przeciwnika.

W połowie drogi do męża Leia sięgnęła Mocą do tego samego komandosa, z którym walczył jej mąż. Kiedy głowa pod wpływem ciosu odskoczyła Mandalorianinowi do tyłu, szarpnęła go z całej siły i wypchnęła za barierkę. Napastnik niemal natychmiast odpalił plecak odrzutowy, ale niewiele mu to pomogło: wywinął salto i chwilę później jego sylwetka zniknęła, pochłonięta chmurą ognia, kiedy rozbił się na pacy przelatujących w dole sań repulsorowych.

Drugi z najemników podciął Hanowi od tyłu nogi; Solo upadł jak długi na plecy, a wtedy Mandalorianin przystawił mu lufę blastera do skroni, jednocześnie przysuwając do niego zasłoniętą hełmem twarz. Han odchrząknął głośno i splunął mu gęstą flegmą w wizjer.

Na ten widok Leia pokręciła z niedowierzaniem głową. Nieprawdopodobne, jak dumnie - i lekkomyślnie - potrafił się zachowywać jej mąż, nawet stojąc oko w oko ze śmiercią. Sięgnęła ku walczącym poprzez Moc i szarpnęła lufę blastera Mandalorianina, ale trudno było stwierdzić, czy czerwona mgła która wykwitła chwilę później w powietrzu była krwią jej? męża czy stopioną durastalą rusztowania. *Mando* spojrział na, swoją broń z wyraźnym zaskoczeniem, ale zaraz się opamiętał. Schwycił ją oburącz i nakierował znów na głowę Hana... który już skręcał biodra i wyprowadzał cios kolanem w tył nogi komandosa. W stronę sufitu między nimi poszybowała seria strzałów z blastera. Leia podbiegła bliżej, trzymając się ściany, próbując obliczyć odległość do galerii i zastanawiając, czy wspomagany Mocą skok z takiej wysokości nie jest w tej sytuacji zbyt ryzykowny.

Jej dylemat rozwiązał się jednak sam, kiedy tafla lustropola rozprysnęła się nagle na kawałki, rozbita przez ogromną zieloną sylwetkę, ciągnącą za sobą cztery przymocowane do kończyn łańcuchy. Potężna postać wylądowała z hukiem na galerii i wszyscy, nie wyłączając Hana i jego napastnika, odwrócili się w stronę rozwścieczonego Bazela Warva, który najwyraźniej jakimś cudem wydostał się na wolność.

Dwójka Mandalorian walcząca z Jadenem i Avinoamem wykorzystała sytuację, przeskakując przez barierkę i znikając im z oczu dzięki odrzutowym plecakom. Ten stojący nad Hanem nie miał jednak tyle szczęścia, co jego towarzysze. Bazel machnął długim ramieniem i złapał komandosa za kostki, a potem porwał go nas ziemię i z rozmachu rąbnął bezwładnym ciałem o ścianę, powtarzając całą operację raz za razem, dopóki broń nie wyfrunęła z rąk nieszczęśnika. Wtedy otoczył ramieniem jego pierś i zaczął go ścisnąć... Początkowo Mandalorianin ani pisnął, pewnie przekonany, że nawet legendarna siła Ramoan nie skruszy *beskara*...

Wtedy jednak Bazel minął Hana, nie wypuszczając Mandalorianina z objęć, i przeszedł nieco dalej, opuszczając pozbawioną Mocy bańkę, stworzoną przez isalamiry. Jaden i Avinoam natychmiast ruszyli za nim, wykrzykując jeden przez drugiego, żeby się zatrzymał. Nie zapalili jednak mieczy. Bazel oczywiście pozostał głuchy na ich prośby. Włokąc za sobą łańcuchy, kontynuował marsz w stronę schodów.

Kiedy dotarł do końca kładki, Leia na chwilę straciła go z oczu, ale wciąż słyszała głośny szcęk łańcuchów. Była pewna, że Han stoi jak osłupiały, a sądząc po emocjach, jakie wyczuwała od Jadena i Avinoama poprzez Moc, właśnie wydarzyło się coś dziwnego. Dotarła do schodów i puściła się pędem na dół, zeskakując wspomagany Mocą susami po jedno piętro naraz.

Kiedy dotarła do ostatniego półpiętra, zobaczyła coś, czego nie mogła nijak pojąć. Bazel stał na galerii kawałek niżej. Zrzucone łańcuchy leżały u jego stóp, ale Mandalorianin wciąż tkwił w jego mocarnym uścisku. Z każdej szczeliny jego zbroi sączyła się krew. Palce Ramoanina tkwiły w jego napierśniku, jakby zatopione w *beskarze*, chociaż powierzchnia metalu wydawała się nienaruszona. Oczywiście było, że posługuje się Mocą, ale Leia nie miała pojęcia, jakiej używa techniki - nigdy czegoś takiego nie widziała.

W pewnej chwili Bazel odwrócił się i nawiązał z nią kontakt wzrokowy. Otworzył szeroko paciorkowate oczy i wreszcie zauważył stojących obok Jadena i Avinoama. Strząsnął grubym nadgarstkiem, posyłając bezwładne ciało Mandalorianina na podłogę galerii. Leia z zaskoczeniem spostrzegła, że w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą tkwiły zanurzone w *beskarze* palce

Bazela, nie ma najmniejszej nawet rysy - kompletnie nic.

Wciąż jeszcze zastanawiała się, jak to możliwe, kiedy jej i uszu dobiegł dudniący głos

Bazela:

- Księżniczko?

Skinęła głową i uniosła brwi, zdziwiona łagodną nutą pobrzmiwającą w głosie olbrzyma.

- Tak, Bazel? - Zaczęła schodzić w jego stronę, powoli i ostrożnie, żeby go nie spłoszyć. -

Poznajesz mnie? Czy wiesz, gdzie...

Bazel podniósł jedną z wielkich rąk, zakończoną serdelkowa tymi palcami.

- Ani kroku dalej! - kwiknął panicznie, a potem, zezując Jadena i Avinoama, dodał szybko: -

Oni chcą cię dorwać!

Leia zatrzymała się w pół kroku i pokręciła powoli głową.

- Nie, Bazelu. To nie tak. To nasi przyjaciele.

Nie mogła powiedzieć nic gorszego. Wzrok Bazela znów stał się podejrzliwy. Ramoanin zerknął na wiodące w dół schody. W tym czasie Han wycelował blaster w plecy olbrzyma, a Jaden i Avinoam chwycili mocniej rękojeści swoich mieczy, żeby w razie potrzeby móc ich użyć jako pałki.

Bazel oczywiście wszystko to widział. Podniósł na Leię gniewny wzrok i warknął:

- Jesteś jedną z nich!

Postąpił w stronę schodów prowadzących w dół. Han spojrzał na żonę, niemo pytając, czy powinien ogłuszyć Ramoanina strzałem, a Jaden i Avinoam przygotowali się do skoku...

Zanim jednak Leia zdołała coś zarządzić, z drugiego końca galerii doleciał głos Raynara

Thula:

- No jasne, Barv! - Raynar zaczął iść w stronę Lei i reszty, nie spuszczać wzroku z prowadzących w dół schodów. W tej samej chwili w wybitym otworze w ścianie pojawił się kopułowaty kształt floatvana. - Wszyscy nimi jesteśmy - dodał Raynar. - Wiesz o tym, prawda?

Bazel zatrzymał się i przez chwilę zastanawiał nad odpowiedzią.

- Oczywiście - potwierdził po namyśle.

Raynar także przystanął i wskazał gestem floatvana, który wynurzył się już z otworu do połowy i wisiał nad galerią z otwartym włazem. W środku widać było pustą pryczę hibernacyjną Bazela, a obok - przytwierdzone do ściany doniczki z drzewkami olbio.

- I wiesz także, że powinieneś wsiąść na pokład śmigacza - ciągnął Raynar.

- Nie! - Bazel stąpił ciężko na pierwszy schodek i mało brakowało, a Leia kiwnęłaby Hanowi głową, jednak nagle Ramoanin zatrzymał się i spytał podejrzliwie: - Dlaczego?

Raynar uśmiechnął się - a przynajmniej spróbował to zrobić. Jego twarz była niczym maska pokryta bliznami, przez co jej wyraz sprawiał wrażenie nieco okrutnego i wymuszonego. Ten widok przyprawił Leię o gęsią skórę.

- Chcesz zostawić z nami Yaqeel? - spytał Thul. - Nie mając nawet pewności, kim jesteśmy?

Od strony schodów dobiegł niski, smutny skrzek i przez chwilę Leia bała się, że Bazel naprawdę porzuci swoją najlepszą przyjaciółkę. Czekwała w napięciu, nie wając się nawet sprawdzić jego aury w Mocy ani czytać mu w myślach, podczas gdy zielony olbrzym zastanawiał się nad wybrnięciem z sytuacji.

W rzeczywistości jednak wybór, jaki oferował Ramoaninowi Raynar, nie był żadnym wyborem. Ucieczka oznaczała pozostawienie Yaqeel na pastwę tajemniczych, okrutnych istot, które opanowały Zakon Jedi. Czy to jednak z powodu benzodu, który uczynił go podatniejszym na sugestię Raynara, czy to z powodu twardej lojalności, Bazel po prostu nie mógł opuścić przyjaciółki w potrzebie.

Minęło trochę czasu, ale Leia nie usłyszała następnych ciężkich kroków po schodach, więc gestem nakazała Hanowi i reszcie się odsunąć.

Kiedy posłuchali, zawołała:

- Bazelu, wybór należy do ciebie, ale musisz się zdecydować teraz. Yaqeel i inni lecą z nami. Nie skrzywdzimy ich, obiecuję ci...

- Jeśli polecisz z nami - dodał Raynar, cofając się i dając Bazelowi swobodne dojście do

floatvana. - I o ile nie... - urwał, bo Bazel wydał z siebie długi, udręczony skrzek, po czym ruszył biegiem w stronę śmigacza i wskoczył do środka - tak gwałtownie, że pojazd zakołysał się i przechylił na chwilę na jedną stronę. Tekli, Tesar i reszta Jedi szybko go otoczyli i wśród perswazji i łagodnych obietnic zaczęli nakłaniać do położenia się na łóżku hibernacyjnym.

Kiedy włąz do floatvana się zamknął, Leia pokonała resztę schodów. Na widok Hana - na pierwszy rzut oka całego i zdrowego - stojącego u boku Raynara, zalała ją fala ulgi. Podeszła szybko do mężczyzn.

- To było niesamowite, Raynarze - powiedziała, przepełniona wdzięcznością. - Dziękuję. Raynar nieco się zaczerwienił.

- To nic takiego, księżniczko.

- Nie bądź taki skromny - odparła Leia. - Może przydałbyś się Tekli na Shedu Maad?

Raynar obejrzał się na Świątynię i pokręcił głową.

- Chyba jeszcze nie jestem gotów na takie wojaże.

- Jesteś pewien? - spytał Han. - Jeśli o mnie chodzi, to mam wrażenie, że masz prawdziwą smykałkę do radzenia sobie z wariami... - Skrzywił się, kiedy Leia nastąpiła mu na nogę i szybko się poprawił: - Eee, to znaczy, z chorymi psychicznie.

- Każdy może sobie poradzić z naszymi wariatami, kapitanie Solo - odparł spokojnie Raynar. - Trzeba tylko umieć postawić się na ich miejscu. - Przyglądał się, jak floatvan opuszcza galerię i wtapia się w strumień ruchu powietrznego, a potem odwrócił się do Leii i spróbował nieporadnie przywołać na twarz uśmiech. - I pamiętać, że w ich rzeczywistości to my jesteśmy ci źli.

Tak jak poprzednio uśmiech nie bardzo mu wyszedł. Zamiast tego jego twarz przyozdobił dziwny, surowy grymas.

Leia zmusiła się, by odpowiedzieć uśmiechem.

- Spróbuję o tym pamiętać - obiecała, a potem spojrzała na męża. - My też się lepiej stąd zabierajmy. Dała na pewno już wie, że chcemy czmychnąć, a im mniej mamy jej czasu na próbę zatrzymania nas, tym większą będziemy mieli przewagę.

- Racja - zgodził się Han. - Zabiorę droidy i Amelię, i już nas tu nie ma. - Pochylił się i ucałował żonę w policzek, po czym dodał: - Do zobaczenia w punkcie alfa.

Leia odwzajemniła pocałunek. Ruszyła w stronę drzwi, jednak w ostatniej chwili odwróciła się do Jadena i Avinoama.

- Wiem, że właściwie nie powinniśmy was w to mieszać, ale... - zaczęła niepewnie.

- Posprzątam - wszedł jej w słowo Jaden. - Gdyby ktoś pytał - SBGS czy kto tam się zainteresuje - pani i kapitana Solo już tu nie było, kiedy zaczęła się strzelanina.

- Dzięki - powiedziała Leia. - Ale nie próbujcie im wmawiać, że zabieraliśmy świątynne klejnoty ani nic w tym stylu... Dała doskonale wie, kto był na pokładzie floatvana, więc powiedzcie im po prostu, żeby kierowali pytania do Mistrzów. Czy to jasne?

- Mam tylko jedno pytanie - odparł Jaden i spojrzał w stronę Mandalorianina, którego zabił Bazel. - Co powiemy, jak pytają o niego?

Leia także zerknęła na trupa. Ostatnią rzeczą, jakiej Jedi teraz potrzebowali, byli śledczy SBGS relacjonujący, że szaleni Jedi potrafili przenikać *beskar* albo jeszcze lepiej - sugerujący, że każdy Jedi potrafi coś takiego. Dała i tak już miała im zbyt wiele do zarzucenia.

- Powiedzcie po prostu, że nie wiecie - podsunęła Leia. - Może spróbujcie zaszcześcić w ich umysłach sugestię, że coś było nie tak z jego zbroją?

Jaden skinął głową.

- Powinno zadziałać.

- Na SBGS - dodał znacząco Avinoam. Nie mógł oderwać od martwego Mandalorianina wzroku. - Ale... hm, co mu się tak naprawdę stało?

- Dobrze pytanie - westchnęła Leia, przyglądając się krytycznym wzrokiem nienaruszonej zbroi komandosa. Palce Bazela w jakiś niebywały sposób wniknęły w pancerz i wszystko splamiła krew, ale *beskar* był nienaruszony. Jak dotąd wszystkie niezwykle umiejętności, które wykazali opętani Jedi (a których nie powinni byli posiadać) stanowiły emanację technik, których Jacen

nauczył się podczas swojej pięcioletniej wędrówki po galaktyce. Mimo to Leia nigdy nie słyszała, żeby jej syn umiał przenikać przez metal - a tym bardziej tak wytrzymały. Pokręciła smutno głową i spojrzała na Avinoama. - Nigdy czegoś podobnego nie widziałam. Nawet nie słyszałam, żeby coś takiego było możliwe...

- A my tak - wtrącił Raynar. Kiedy księżniczka odwróciła się w jego stronę, oderwał wzrok od zabitego komandosa. - To znaczy, Killikowie - wyjaśnił szybko. - Kiedy tworzyli Otchłań, wykorzystywali Moc do zmieniania stanu materii.

Leia zmarszczyła czoło. Ta rasa przyswajała wspomnienia wszystkich istot, które stawały się Dwumyślnymi, więc ich poczucie i pojmowanie historii było - mówiąc delikatnie - nieco... zagmatwane.

- Czy to Killikowie to potrafili? - spytała Raynara. - Czy raczej ich niebiańscy mistrzowie? Raynar znów spróbował się uśmiechnąć.

- Sądzę, że to zależy od punktu widzenia - powiedział. - Najważniejsze jednak, że teraz Bazel potrafi dokonać tego samego.

ROZDZIAŁ 21

Z głębi groty dobiegł dźwięk kapania wody, pojedynczej kropli wpadającej do sadzawki. Tydzień później spadła następna kropla. Minął miesiąc - a może całe lata? - zanim spadły trzy. Pozbawiony ciała Luke nie miał pulsu, był pozbawiony jakiegokolwiek namacalnego rytmu życia, który pozwalałby mu odmierzać mijający czas - sekundy, minuty, albo wieki. Był po prostu ulotną, czystą energią, czekającą u wejścia do jaskini, pozwalając, żeby omiatał go kwaśny, wilgotny powiew.

Czuł też czyjaś obecność... znajomą obecność tej samej istoty, która wypływała z Fontanny Siły. Luke wiedział, że czai się ona w wilgotnym mroku, w głębi groty, przyzywając go niczym stęskniona kochanka. Jej zew był jednak tak silny jak żądza potwornie głodnej i spragnionej bestii, i Luke bał się na niego odpowiedzieć. Obawiał się, że spełniając jej tęskną prośbę, skaże się dobrowolnie na pożarcie.

- Nie musisz się obawiać tego, co jest w środku - zapewnił go Seek Ryontarr, były Jedi, który służył mu za przewodnika. Gotał zszedł z Lukiem w głęboki wąwóz i zatrzymał się przy jednej z pogrążonych w mroku kolumn, które podpierały wejście do jaskini. Machnął ręką na mroczną, parną czeluść. - Idź, zanurz się.

Luke pokręcił głową.

- Nie podoba mi się to, co tam wyczuwam.

Kompan Givina, Feryl, także zszedł na dół i stanął przy kolumnie z drugiej strony.

- To dlatego, że obawiasz się tego, co skrywa twoje serce - wychrypiał. - Trudno jest zmierzyć się z prawdą o samym sobie. - Zwrócił przypominającą czaszkę twarz w stronę mrocznej jamy. - Niewiele jest istot, które ważą się na wejście do środka.

- Ale Jacen to zrobił - zauważył Luke.

- To jednak wcale nie znaczy, że ty także musisz - odparł Ryontarr. - Kiedy raz poznasz prawdę, nigdy o niej nie zapomnisz.

Luke zmarszczył czoło.

- Jeśli próbujesz podpuścić mnie, żebym wszedł do środka, wiedz, że to nie zadziała.

Ryontarr uśmiechnął się szeroko, pokazując ostre zęby.

- Cóż, w takim razie chyba możemy sobie odpuścić - stwierdził. - Dokąd chciałbyś teraz pójść?

To był blef i Luke doskonale o tym wiedział. Jednak, jak powiedział mu kiedyś Han, najlepszą chwilą na blef był moment, kiedy wiedziałeś, że droga osoba nie może cię sprawdzić. A Luke nie mógł teraz sprawdzić swojego przeciwnika - nie, jeśli chciał się dowiedzieć, co spotkało Jacena.

To jednak wcale nie znaczyło, że musiał na ślepo ryzykować.

Przeniósł wzrok na widmową twarz Feryla.

- To, co emanuje z jaskini, to pragnienie - surowa, bolesna tęsknota. - Uśmiechnął się krzywo. - A ja mam już swoje lata i wiem, że tego typu uczucia są zazwyczaj znacznie bardziej przekonujące niż groźby.

Feryl skłonił głowę, wyraźnie zdezorientowany, i zerknął na Ryontarra, którego rozbawiony grymas sugerował, że Gotal wie, o czym mówi Skywalker.

Seek przymknął z namysłem oczy i przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią Luke'a. Trudno było stwierdzić, ile minęło czasu, bo każda chwila zdawała się tu wiecznością, a wieczność wydawała się trwać mgnienie oka. Jednak podczas długiego marszu od Fontanny Siły Luke dostrzegł, że jego eskorta zaczęła w pewnej chwili poruszać się wolniej, z większą rozwagą, jakby delektowali się każdym krokiem w tym dziwnym, chaotycznym świecie, i starali się upewnić, że on także to zauważy.

Za każdym razem kiedy Skywalker pytał, ile czasu minęło dla jego ciała, otrzymywał tę samą odpowiedź: że Moc będzie podtrzymywała funkcje jego materialnej powłoki pod nieobecność jego ducha, i że będzie wiedział, jeśli ona będzie czegoś potrzebować. Drażnienie tematu tylko wszystko pogorszy. Jego przewodnicy delikatnie sugerowali, że jeśli martwi się o swoje ciało, powinien wrócić i sprawdzić jego stan. Nadmienili też, że jeśli się tego podejmie, przedłuży pobyt Skywalkerów w tym miejscu o kilka dni - ale to akurat nie było problemem, jak go zapewnili, bo czas był przecież i tak iluzją.

Koniec końców, do Luke'a dotarło, że ma niewielki wybór. Mógł tylko kontynuować swoją misję, dopóki jego podejrzenia i instynkt nie ostrzegą go, żeby ją przerwał - albo dopóki nie dowie się tego, po co tu przybył. Im więcej czasu spędzał z Ryontarrem i Ferylem, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że wyjaśnienie zagadki przejścia Jacena na Ciemną Stronę leżało gdzieś Poza Cieniami - i że było warto zaryzykować, żeby znaleźć jej rozwiązanie.

Minęła dobra chwila, zanim Gotal znów spojrzał na Luke'a.

- A może wcale nie obawiasz się tego, co czujesz? Może boisz się przyczyny, powodującej to uczucie?

- Bez przesady - parsknął Luke. - Aż taki stary nie jestem. Źródłem moich uczuć jest fakt, że jestem mężczyzną. Przestałem obawiać się naturalnych pragnień jeszcze kiedy byłem nastolatkiem i mieszkałem na farmie wilgoci na Tatooine.

- Ach tak, jasne - zachichotał Ryontarr. - Mimo to wciąż jesteś mężczyzną, który nie tak dawno stracił żonę.

Luke zmarszczył czoło.

- Sądzisz, że tym, czego się obawiam, jest Mara?

- A nie? - indagował Ryontarr.

- Oczywiście, że nie.

- Luke chciał już dodać, że gdyby oczekiwał, że znów zobaczy Marę, wszedłby do środka bez zastanowienia, jednak kiedy znów skupił się na tęsknocie promieniującej z jaskini - pierwotnym samolubnym pragnieniu, które chciało go zwabić do środka - opuściły go wszelkie wątpliwości. Mara wiedziałaby, że nigdy nie poddałby się podobnemu nagleniu; jego żona nie mogłaby się zachować tak desperacko i egoistycznie. Ale Mara nie żyła... jeśli to w ogóle miało w tym kontekście jakieś znaczenie. W każdym razie nie mógł wykluczyć możliwości, że tęsknota, którą czuł, była jakąś jej pierwotną, zapomnianą częścią, jakimś dziecięcym pragnieniem, dla którego nie liczyło się nic więcej... Jaźnią, która rozumiała tylko własne zachcianki i nie zastanawiała się nad potrzebami innych.

Jeśli jednak było to wszystkim, co pozostało z jego ukochanej Mary... czy naprawdę chciał ją znów zobaczyć? Zerknął znów na Ryontarra, który najwyraźniej czekał na jego decyzję - z podziwu godną cierpliwością.

- Czy to Mara? - spytał. Zaczynał się zastanawiać, czy to miejsce nie jest przypadkiem czymś w rodzaju limba, otchłani, w której martwe istoty oczekują na połączenie z Mocą. - Czy właśnie to chcecie mi powiedzieć?

Ryontarr rozłożył bezradnie ręce.

- Nic ci nie sugerujemy - zapewnij go. - Możemy ci pomóc odnaleźć prawdę, ale nie możemy ci jej objaśnić, bo jej nie znamy.

Luke wiedział, że Gotal mówi prawdę. Odsunął na bok pytanie, czy znalazł się w tym miejscu, bo jego ciało umarło - albo umierało - ale nie widział logicznego powodu, dla którego Wędrowcy Umysłów mogliby mieć bardziej dokładną wiedzę o życiu po śmierci niż większość istot wyznających najróżniejsze religie galaktyki.

Kilka sekund później - a może minęło kilka godzin? - Feryl zagadnął:

- Istnieje tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić, prawda?

Ryontarr skinął głową.

- Idź i sam się przekonaj. Nie pożałujesz.

Luke nadal stał trzy kroki od wejścia do grotty.

- Tak samo, jak, powiedzmy, gdybym napił się z Fontanny Siły?

- Tamto to był test - wyjaśnił Ryontarr i wskazał ruchem głowy skryte w mroku wejście. -

To jest propozycja.

- Czego dokładnie? - drążył Luke.

- Tego, po co tu przyszedłeś - zapewnij go Feryl. - Kiedy wykąpiesz się w tej sadzawce, poznasz odpowiedzi, których szukasz.

Luke podniósł sceptycznie brwi.

- O Jacenie? - spytał - czy o Marze?

- O wszystkim, czego chcesz się dowiedzieć - powtórzył cierpliwie Ryontarr. - To Sadzawka Wiedzy, w której ujrzysz wszystko, co przeminęło, a także wszystko, co się wydarzy.

- To trochę sporo do ogarnięcia umysłem, nie sądzisz? - Luke zaczynał dostrzegać, jak działa ta pułapka - i jak trudną do odparcia pokusą mogła ona być dla targanego wątpliwościami młodego Rycerza Jedi podczas jego galaktycznej tułaczki w poszukiwaniu wiedzy. - Czy przyprowadziliście tu także Jacena?

- Jacena nie trzeba było nigdzie przyprowadzać - parsknął z lekkim rozbawieniem Ryontarr.

- Ale masz rację, był tutaj.

- No, dalej - zachęcił go Feryl. - Nie musisz wchodzić do środka, ale możesz dowiedzieć się wszystkiego, co chcesz wiedzieć o Marze.

- I Jacenie - dodał Ryontarr. Wskazał wejście do jaskini szerokim gestem. - Wszyscy wiemy, że tak naprawdę nie masz wyboru, Mistrzu Skywalkerze. Poza tym to ty wciąż pytasz o czas... - Znacząco zawiesił głos.

Luke wiedział już z całą świadomością, że idzie prosto w pułapkę. Do tej pory obaj Wędrowcy Umysłów robili wszystko, żeby powstrzymać go przed martwieniem się o upływ czasu i zapewnić, że nie powinien sobie tym zawracać głowy. Teraz jednak wykorzystywali argument o czasie, żeby skłonić go do podjęcia decyzji, która mogła się okazać brzemienna w skutki.

Najwyraźniej nie spodziewali się, że będzie się opierał ich propozycji, co oznaczało, że Jacen z chęcią na nią przystał. A to z kolei znaczyło tyle, że Luke także nie ma wyjścia. Musi podjąć decyzję.

Wzruszył ramionami.

- No dobra, wygraliście - westchnął. - Chodźmy.

Nie był zaskoczony, kiedy dwójka przewodników wskazała mu wejście, ale sama nie ruszyła się z miejsca. Gdy ich minął, zobaczył, że grotta jest mała, a wewnątrz wcale nie tak mroczne, jak wydawało się z zewnątrz. Położona pośrodku jaskini sadzawka rzucała na ściany miękkie, srebrne światło. Jej tafla była gładka jak lustro. Ze szczelin w spękanych ścianach snuły się smużki żółtego dymu, wypełniając jaskinię odorem siarki. Powietrze było nim tak przesycone, że nawet Luke miał trudności z zaczerpnięciem głębszego tchu.

Rozpacзлиwa tęsknota stała się teraz jeszcze silniejsza, przyciągając go mocniej do sadzawki. Podeszedł do brzegu i zobaczył, że woda nie wypełnia płytkiego zagłębienia, jak się wcześniej spodziewał, ale głęboki basen o stromych ścianach; jego krawędź wyrzeźbiono w dziwny, kręty wzór plecionki. Zmusił się, żeby zatrzymać się pół kroku od wody (a przynajmniej zakładał, że to woda) i zapatrzył na własne odbicie.

Oblicze, które ujrzał, nie przypominało osoby, którą był, a raczej widmo, wrak człowieka, o oczach zapadniętych głęboko w sine oczodoły. Jego skóra była żółta, obwisła i poorana bruzdami, a policzki wychudzone do granic. Wyschnięte wargi przypominały białe robaki; spękane i pokrwawione, i ledwie zakrywały wyszczerzone zęby. Do głowy przyszła mu myśl, że przecież tafla sadzawki nie jest ciemna, więc może patrzy na kogoś innego? Podniósł dłoń, ale odbicie powtórzyło gest.

- Czy to... - Luke odwrócił się do wejścia, gdzie Ryontarr stał oparty o kolumnę. - Czy to ja?

- To prawda o tobie w tej chwili - odparł enigmatycznie Gotal. - O człowieku wyczerpanym do cna pełnieniem obowiązków i poświęcaniem się, wrakiem istoty ożywianej tylko przez Moc i siłę woli.

- A co z Marą? - Luke odwrócił się znów do sadzawki. Zamiast swojego odbicia zobaczył teraz jasnowłosą zjawę z Fontanny Siły. Jej małe oczka płonęły pożądaniem, a szerokie usta pełne ostrych zębów szczyrzyły się od ucha do ucha. - Czy to ona?

- Jeśli teraz tego nie wiesz - odparł Feryl - jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

Z toni wyłoniła się krótka rączka, zamiast palców zakończona długimi, wijącymi się mackami - i sięgnęła do Luke'a - tak blisko, że widział błony ze szparami na koniuszkach jej zakończonych przysawkami wici. Głodna, przyzywająca go obecność stała się nieco bardziej znajoma, jakby była jakąś częścią niego samego. W tej chwili Luke niczego nie pragnął bardziej niż zanurzyć się w sadzawkę i poznać jej tożsamość, dowiedzieć się, czy to w tym miejscu zaczyna się życie pozagrobowe i czy to tu duchy zmarłych rozpoczynają swoją podróż powrotną do jedności z Mocą.

Chciał wiedzieć, co przydarzyło się Jacenowi i co spowodowało jego upadek; chciał poznać prawdę o tym, co się stanie z jego synem - czy Ben będzie dobrym Wielkim Mistrzem i ile czasu będzie się musiał przygotowywać na przyjęcie na swoje barki tego straszego ciężaru, jakim było zawiadywanie Zakonem. A ponad wszystko Luke pragnął poznać odpowiedź na pytanie, czy jemu samemu udało się osiągnąć jakiś sukces; czy iskra, dzięki której ożywił znów Zakon Jedi przetrwa i zapłonie jaśniejszym ogniem, dając mocne, zbawienne światło, które widział w swoich wizjach. Czy stanie się latarnią, która zawsze będzie prowadziła galaktykę przez mroczne czasy?

Wiedział, że głodny twór w sadzawce może mu udzielić odpowiedzi na te - i więcej - pytań. Musiał tylko złapać wyciągnięte w jego stronę macki i pozwolić się wciągnąć w ciepła, srebrzystą wodę, pozwolić, żeby obmyła go falą zapomnienia absolutnej, nieskończonej wiedzy. Luke wiedział jednak jeszcze coś: że wybór, którego dokonał Jacen, doprowadził go do zguby. Poznawanie przyszłości nie było domeną żywych. Żaden umysł nie mógł poznać odpowiedzi na wszystkie pytania i pozostać przy zdrowych zmysłach. Wiedział też, że wciąż jest ojcem Bena i odnowicielem Zakonu Jedi - który go nadal potrzebuje. Pamiętał, że Mara odeszła i że jeśli to, co teraz go do siebie przyzywa, kiedykolwiek było jej częścią, to na pewno nie najlepszą jej częścią... i że jeśli pozostało z niej tylko tyle, to on sam nie uczyni nic dobrego próbując się z nią znów połączyć.

Cofnął się od sadzawki.

Luke...

Głos w jego umyśle był zimny i na wpół znajomy, niczym ostatni szept utraconej miłości. Dłoń wśliznęła się z powrotem do sadzawki, przyzywając go tęsknym gestem śliskich macek.

Wróć do mnie...

Luke pokręcił głową i cofnął się od brzegu.

- Nie mogę - powiedział.

Kiedy się odwrócił, zobaczył, że Ryontarr i Feryl blokują mu wyjście z jaskini. Gotal krzywił się z niezadowoleniem, a Givin potrząsał głową, wyraźnie rozczarowany.

- Mistrzu Skywalkerze, nie sądziłem, że jesteś osobą, która zdecyduje się odejść bez uzyskania odpowiedzi, po które tu przybyła - stwierdził Ryontarr karcąco. - Wątpię, żebyś zobaczył to, co widział Jacen.

- Widziałem dość - uciał dyskusję Luke. Ruszył w ich stronę, przywołując w pamięci widok samego siebie - starca, którego zobaczył w odbiciu tafli sadzawki. - I wracam do swojego ciała.

- Nie zobaczywszy tego, co ujrzał twój siostrzeniec? - spytał podchwytliwie Feryl.
- Jeśli to oznacza kąpiel w tej sadzawce, to nie - dziękuję. - Luke zatrzymał się przed wyjściem, pół kroku od przewodników. - Tyle mi wystarczy. Nie pójdę za nim dalej.

Ryontarr zmarszczył czoło, a Feryl skłonił głowę w geście rozczarowania.

- Nie musisz iść dalej, Mistrzu Skywalkerze - rzucił Gotal. - Jacen także nie kąpał się w sadzawce.

Luke zmarszczył czoło.

- Czyżby?

- Nawet mu to przez myśl nie przeszło - zapewnił go Feryl. - Powiedział, że żaden śmiertelny umysł nie może poznać wszystkiego, a zostanie Niebiańskim było ostatnią rzeczą, której sobie życzył.

Nim Luke zdołał spytać, co jego gospodarze wiedzieli o Niebiańskich, Ryontarr dodał:

- Mimo to Jacen nie obawiał się zostać przy sadzawce, dopóki nie zobaczył tego, po co tu przybył. - Gotal skłonił rogaty łeb w stronę lśniącej tafli. - Spójrz jeszcze raz - zachęcił go.

Luke znów pokręcił głową.

- Mam dość waszego zwodzenia - warknął. - Nie wiem, co chcecie osiągnąć, ale wiem, że staracie się mnie tu zatrzymać.

Nawet bez poczucia winy, które docierało do niego poprzez Moc od jego przewodników, Luke wiedział - sądząc po ich rzucanych ukradkiem spojrzeniach - że trafił w sedno. Zrozumiał także, że chwilowo ma nad nimi przewagę i nie zamierzał jej stracić.

- Czego się spodziewaliście? - spytał bez ogródek. - Tylko nie próbujcie mi wmawiać, że chcecie mi pomóc - dodał. - W życiu w to nie uwierzę - ani tym bardziej wam, teraz i tu.

Ryontarr zerknął nerwowo na Feryla.

Givin wychrypiał:

- A co masz do stracenia?

Ryontarr przytaknął towarzyszowi.

- No właśnie, co takiego? - Wskazał w stronę sadzawki. - Może ona się przed tobą ukrywa? - zagaił. - Może nie chce, żebyś cierpiał tak jak Jacen?

- Ona? - Luke powoli odwrócił się znów do sadzawki. Nie widział macek, które wyciągały się wcześniej w jego stronę; jedynie srebrzystą tafelę wody. - Kim ona jest? - spytał. - Ta zjawa, która mi się ukazała?

- Pani z mgieł nie jest zjawą - odparł z lekkim rozbawieniem Feryl. - Jest tak samo realna jak ja albo ty.

- Poszukaj wzrokiem tronu - poradził mu Ryontarr. - To Tron Równowagi, na którym zobaczysz bieg przyszłości.

Luke zawahał się, przeczuwając kolejny podstęp, jednak to, co sugerowali w związku z Jacenem - że był odważniejszy niż Luke... i mądrzejszy... Nie mógł zignorować ich uwag. Jego obowiązkiem było zbadać, co stało się z jego siostrzeńcem i sprawdzić, co doprowadziło go do zguby, a to oznaczało, że musi postąpić wedle słów Ryontarra.

Zajrzał w głąb sadzawki, szukając czegokolwiek, co przypominałoby tron. Nie musiał długo czekać - wkrótce go zobaczył: prosty, biały, w jasno oświetlonej komnacie. Nikt na nim nie zasiadał, ale otaczały go tłumy istot wyglądających wystarczająco dostojnie, żeby mogły go zająć. Byli tam przedstawiciele najróżniejszych ras: Bothanie i Huttowie, Ishi Tibowie i Kalamarianie, a nawet Wookie i Trandoshanie - a każdy z nich sprawiał wrażenie starego, dobrego przyjaciela.

Luke przyglądał im się wszystkim bez większego zainteresowania, dopóki jego wzrok nie padł na rudowłosą kobietę w centrum tłuszczy. Młoda dziewczyna miała wysoko sklepione łuki brwiowe Tenel Ka i pełne, czerwone usta, ale zaokrąglony i niezbyt długi nos, nieco perkaty, bez dwóch zdań odziedziczyła po babci.

Allana...

Luke nie odważył się wypowiedzieć imienia na głos - i tak czuł się winny, przywołując je na myśl - ale nie miał żadnych wątpliwości: patrzył na córkę Jacena, jakieś trzydzieści lat starszą. Wszystko wskazywało też na to, że potomkini Hapan zamierza zająć tron z jego wizji. O dziwo,

otaczały ją nie - jak zwykle, właściwe dla królewskiego rodu knowania i intryg istoty - ale przyjaciele z całej galaktyki, emanujący zaufaniem i chęcią pomocy.

- Nie rozumiem - wymamrotał, zwracając się w stronę Ryontarra. - Dlaczego niby Jacen miałaby niepokoić wizja jego własnej córki na tronie? - spytał.

- Bo to nie ją widział - wychrypiał gardłowo Feryl. - Zobaczył mroczną postać w czarnej zbroi zasiadającą na złotym tronie, otoczoną przez uczniów w ciemnych szatach.

Luke'a aż zmroziło.

- Mroczną postać? - spytał, przypominając sobie wizje, których doświadczył, kiedy Jacen przechodził przemianę i stawał się Lordem Sithów. - Jego samego?

Ryontarr spojrział na niego spod rogatego łba.

- Wątpię, żeby wizja jego własnej przyszłości skłoniła go do próby podboju galaktyki - parsknął. - Przypuszczam, że twój siostrzeniec zobaczył kogoś innego.

W głowie Luke'a zakiełkowała przerażająca myśl, równie bolesna i mroczna, co pchnięcie wibrosztyletu we wnętrznosci.

- Mnie? - spytał.

Ryontarr wzruszył ramionami.

- A któż to wie?

- Nie widzieliśmy twarzy, którą skrywała maska - dodał Feryl. - Ale Jacen widział - i ten widok sprawił, że zbladł jak mój egzozskielet.

- I co potem? - indagował Luke. - Czy wrócił do Fontanny Siły? Czy zmienił zdanie i wykapał się w Sadržawce Wiedzy?

Wędrowcy Umysłów spojrzeli po sobie i z rozczarowaniem pokręcili głowami, całkiem jakby nie mogli uwierzyć w tępotę Mistrza Jedi.

- Zawrócił - powiedział po chwili milczenia Ryontarr.

- Wyszedł z groty? - spytał Luke, wciąż starając się odgadnąć, co takiego skłoniło jego siostrzeńca do przejścia na Ciemną Stronę. - Czy chcesz powiedzieć, że Jacen wrócił do swojego ciała?

- Opuścił Otchłan - wyjaśnił Ryontarr. - Powiedział, że musi zakończyć swoje szkolenie.

- Uznał, że musi zapobiec wizji, którą zobaczył w sadzawce - dodał Feryl. - Stwierdził też, że najpewniej go to zabije.

ROZDZIAŁ 22

Migotanie alarmów dało się jakoś znieść, a wycie ostrzegawczych syren Ben uciszył paroma dobrze wycelowanymi strzałami z blastera. Niestety, nie mógł nic poradzić na gryzący dym, snujący się z szafek. Chociaż tutejszy system wentylacji pozostawiał bardzo wiele do życzenia, nieznośnie drapało go w gardle i łzały mu oczy, nie odważył się majstrować przy obcej technologii. Wolał nie ryzykować wysadzenia w powietrze samego siebie, otoczenia czy może nawet całej Otchłani.

Jako Jedi wiedział, że czasem należy sobie po prostu odpuścić.

Kiedy uznał, że podjął wystarczające środki bezpieczeństwa, Ben odwrócił się do wyjścia. Ostatni raz przyjrzał się krytycznie spawom, kiwnął z satysfakcją głową i odciał zasilanie palnika plazmowego. Nikt nie miał prawa dostać się przez te drzwi bez jego wiedzy.

Odrzucił maskę spawalniczą i rękawice i zszedł na najniższe piętro trypoziomowego pomieszczenia kontrolnego. Spojrział na leżące w pobliżu ciało ojca, przypięte do repulsorowych noszy z przedziału medycznego „Cienia”, oblewane purpurowym, migotliwym blaskiem zza iluminatora. Dopiero co założył mu świeże kroplówki - jedną nawadniającą organizm, drugą z substancjami odżywczymi - ale nie miał pojęcia, ile jeszcze czasu zdoła utrzymać go w ten sposób przy życiu. Obaj przewodnicy zmarli ponad tydzień temu - Givin, bo Ben nie miał pojęcia, jak podłączyć wenflon przez egzozskielet, a Gotal, bo na pokładzie „Cienia” nie mieli niezawierających soli kroplówek, dzięki którym uniknąłby zatrucia jego organizmu.

Kilka metrów dalej siedziała Rhondi Tremaine. Wyglądała znów po ludzku z umyтыми włosami i nieco mniej zapadniętymi policzkami. Była przykuta kajdankami ogłuszającymi zabranymi z pokładu „Cienia” do metalowego pręta odsłoniętego spod podłogi. Na jej twarzy malowało się przerażenie, a oczy miała czerwone od płaczu.

- Skywalker, proszę - jęknęła żałośnie. - Co ty wyprawiasz?

Ben nie odpowiedział, bo tak naprawdę sam nie był jeszcze tego do końca pewien. Jego ojciec postawił sprawę jasno: Benowi pod żadnym pozorem nie wolno iść za nim Poza Cienie. Gdyby coś się stało, miał donieść o tym niezwłocznie Mistrzom i dopilnować, żeby Jedi dowiedzieli się o niebezpieczeństwie skrytym w Otchłani.

Teraz jednak miarka się przebrała i Ben był naprawdę wściekły.

Potrafił rozpoznać objawy paranoicznych zaburzeń urojeniowych i wiedział, że wystąpiła u niego większość z nich. Był przekonany, że życie jego i jego ojca jest zagrożone, ogarniał go paranoiczny strach i nie potrafił znaleźć żadnego faktu, który zaprzeczałby jego podejrzeniom. Jednak Wędrowcy Umysłów próbowali go zabić... I chociaż Ben mógł wątpić we własny zdrowy rozsądek, to co do tego jednego nie miał wątpliwości.

Nikt z nich oczywiście nie zaatakował go bezpośrednio, co to, to nie. Wędrowcy byli na to zbyt cwani. Zamiast tego opróżnili jednak po cichu przedział medyczny „Cienia” - do tego stopnia, że miałby teraz problem z wyleczeniem zwykłej infekcji. Pochłonęli tyle nutripasty, że Ben był zmuszony myszkować po innych statkach w hangarze w poszukiwaniu dehydratów, a system powtórnego przetwarzania wody „Cienia” ledwo zipsał.

- Ben - powtórzyła drżącym głosem Rhondi - nie możesz zostawić Rolunda w tej ciasnocie na pewną śmierć... To... chore!

Chociaż chłopiec nie odpowiedział, w głębi duszy sądził, że Rhondi ma rację. Zaspawywanie ludzi w kabinie sypialnej raczej nie było normalne, tak samo zresztą jak zabezpieczanie drzwi ładunkiem termitu na wypadek naruszenia zabezpieczenia.

Jeśli jednak Ben zamierzał zrealizować swój plan, wszystkie te środki były konieczne. Powoli dojrzewiała w nim myśl, że tak naprawdę nie ma wyboru. Podczas gdy choroba psychiczna dzieci Mistrza Horna była dla Zakonu prawdziwym ciosem, powrót samotnego i cierpiącego na urojenia i paranoję Bena byłby prawdziwą katastrofą, porównywalną jedynie ze śmiercią Mistrza Skywalkera. W istocie mogło być jeszcze gorzej, gdyby cierpiący na pomieszanie zmysłów Ben nie zdołał poinformować Rady o tym, co wraz z ojcem odkryli w Otchłani... albo Jedi by mu nie uwierzyli.

Wyglądało na to, że Rhondi uznała milczenie Bena za dowód determinacji.

- Nie rób tego, proszę - załkała. - Jeśli Rolund zginie tu z głodu, będzie stracony, dopóki jego duch nie połączy się z Mocą! Proszę, przynajmniej przenieś go w miejsce, gdzie będzie miał na widoku komorę medytacyjną i zdoła odnaleźć drogę Poza Cienie!

Ben zmarszczył czoło i spytał chmurnie:

- Chyba ci wszystko wytłumaczyłem? - Chociaż w jego głosie brzmiała nuta złośliwości, pytał całkiem serio. Ostatnio działał w ogromnym stresie, próbując wszystkiego, byle tylko przywrócić jaźń ojca do jego ciała i całkiem możliwe, że zapomniał wcielić w życie kluczową część swojego planu.

Rhondi jednak nie odpowiedziała, za to uderzyła w szloch, więc Ben uznał, że powtórzy pytanie nieco łagodniej. Sięgnął do dziewczyny Mocą i odwrócił jej głowę w swoją stronę.

- Rhondi, wyjaśniłem ci to? - spytał powtórnie.

Rhondi pokiwała bez słowa głową i zaczęła zawodzić jeszcze głośniej. Jej łzy budziły w nim poczucie winy i lekką niepewność co do słuszności jego decyzji, ale nie mógł zapominać, że dziewczyna jest jedną z osób, które chciały doprowadzić do jego zguby.

- I pamiętasz, co powiedziałem? - upewnił się. Wolał nie ryzykować nieporozumienia. - Powtórz proszę.

- Powiedziałeś - wyjąkała przez łzy Rhondi - że jeśli zginiesz Poza Cieniami, Rolund umrze w tej ka... kabinie.

- Właśnie tak - potwierdził Ben i w tej samej chwili dotarło do niego, że w końcu podjął

decyzję. Klamka zapadła. Wiedział, że Rhondi próbuje go zwieść, żeby uratować bratu skórę. Nie miał żadnych wątpliwości, że gdyby spełnił jej prośbę, uwolniłaby brata i wtedy wspólnie by go zabili z zimną krwią. - A czy umrę Poza Cieniami? - spytał cierpliwie.

Rhondi pokręciła smętnie głową.

- Nie, jeśli zdołam temu zapobiec.

- Świetnie - skomentował Ben i wdrapał się na repulsorowe nosze ustawione obok noszy ojca; szybko przypiął nogi pasami i dodał: - W takim razie nie ma się o co martwić, prawda? - Wyregulował dopływ substancji z kroplówek i Mocą zapiął uprząż na piersi. - Rolund ma jedzenia i wody na miesiąc - zapewnił ją, przekonując jednocześnie samego siebie. - Nic mu nie będzie.

Rhondi nie wyglądała na przekonaną; odwróciła wzrok.

- Gotów? - spytała tylko bez entuzjazmu.

Ben skinął głową.

- Jak najbardziej. Co mam robić?

- Odwróć się po prostu w stronę światła - poradziła mu. - Słuchaj mojego głosu i oddychaj.

Pójdziemy razem.

Ben zwrócił głowę w stronę purpurowego światła.

- Nie ma życia - zaczęła Rhondi.

Doskonale obeznany z technikami medytacji Mocy Ben uspokoił oddech i skupił na słowach dziewczyny, która mówiła:

- Jest tylko Moc.

Ben wziął znów głęboki oddech i poczuł, że dryfuje w stronę światła.

- Wyobraź sobie cyfrę jeden - poleciła Rhondi. - To pierwszy etap inicjacji. Nie ma życia... -

Ben znów wypuścił powietrze. - Jest tylko Moc. - Wdech... - Teraz widzisz cyfrę dwa - ciągnęła Rhondi. - Nie istnieje czas...

- Wydech.

Kilka minut - a może godzin? - później, dotarli do cyfry 7 i Ben poczuł, że jego świadomość jest wolna. Miał ochotę zadać setki różnych pytań o to, co się z nim dzieje, jak długo podróżują i co się stanie z jego opuszczonym ciałem, ale kiedy zobaczył obok siebie Rhondi - piękniejszą i bardziej wypoczętą niż kiedykolwiek wcześniej, wszystkie znikły - zastąpione jednym:

- Jak znajdziemy mojego ojca?

Rhondi wyciągnęła do niego dłonie.

- Weź mnie za rękę - poleciła. - Myśl o swoim ojcu i idź ze mną w stronę światła.

Ben posłuchał i wspólnie weszli w skwierczący purpurowy blask za iluminatorem.

Natychmiast przepeliła go bezkresna, wszechogarniająca błogość, nieporównywalna z niczym, czego doświadczył kiedykolwiek wcześniej. Stał się jednością z Mocą, przesycony nią i napełniony spokojną radością tak ogromną, że zdawała się wielka jak cała galaktyka. Nie miał pojęcia, ile czasu trwali w niej z Rhondi. Ułamek sekundy był tym samym, co wieczność.

Usłyszał głos: „Chodź” i nagle jego oczom ukazało się wąskie górskie jezioro o powierzchni tak spokojnej, że przypominała czarne szkło. Na jednym brzegu wznosiła się granitowa ściana, przechodząca w sklepiony szczyt oświetlony łagodnym blaskiem błękitnego słońca. Po drugiej stronie rozciągała się usiana tu i ówdzie głazami łąka, porośnięta kępkami wysokiego mchu i poprzecinana strumieniami. Dokładnie naprzeciwko niego stał zaś w towarzystwie Ryontarra i Givina jego ojciec.

Patrzył na ledwie widoczną w oddali jeziora spowitą całunem srebrzystej mgły kobiecą postać.

Puścił dłonie Rhondi i ruszył przed siebie, nieniekajony już przez nagłe poczucie, które nie dawało mu spokoju na stacji. Co prawda jego ojciec ostatnimi tygodniami bardzo osłabł, a jego życie było w niebezpieczeństwie, bo Wędrowcy Umysłów chcieli się go pozbyć, ale teraz podobnie przyziemne troski zostały wraz z ciałem Bena na stacji. Pławił się w niepojętej nieskończoności wszechświata, upojony czystą radością z wieczystego bytu; rozumiał już: życie i śmierć były jednością, bo chwile nie znikwały - nie mogły zostać pochłonięte i strawione przez żywy organizm jak powietrze, woda czy nutripasta. Istniały raz na zawsze, rozproszone po całym kontinuum

istnienia, tak samo jak atomy rozprzestrzenione po bezmiarze wszechświata. I podobnie jak atomy tworzące razem skupiska energii, które istoty żywe postrzegają jako materię, chwile tworzyły grupy minut i godzin, postrzegane przez śmiertelników jako proces przemijania czasu.

Jednak te grupy nie były esencją czasu bardziej niż światło słoneczne - istotą gwiazdy albo żar istotą ognia. Były po prostu pryzmatem, przez który umysły ograniczonych istot doznawały nieskończoności, wrażeniem, dzięki któremu ich ciała wykrywały własne istnienie i istnienie wszystkiego, co je otaczało.

Ben dotarł do jeziora i zatrzymał się u boku ojca, naprzeciwko Ryontarra i Givina. Kobięca postać była od nich oddalona o nie więcej niż piętnaście kroków - dość blisko, żeby młody Skywalker zobaczył, że nie jest to istota ludzka - a przynajmniej nie do końca. Miała długie jasne włosy, spływające aż do wody i maleńkie, lśniące oczka, osadzone w oczodołach tak głębokich, że wydawały się studniami bez dna.

Kiedy Luke nie zareagował na obecność syna, przekonany, że ojciec go nie zauważył Ben odezwał się nabożnym szeptem:

- O rany, tato... niezła jazda!

Luke parsknął, rozbawiony, i odwrócił się do chłopca z krzywym uśmiechem na ustach.

- Nie powinno cię tu być.

Ben skinął głową i nagle ogarnęły go wątpliwości. Może jednak ta decyzja wcale nie była trafna? Jeśli czas i życie były iluzją, czy naprawdę miało znaczenie, jeśli oszalał? Czy miałyby znaczenie, gdyby jego ojciec zginął, a Ben nigdy nie poinformował o wszystkim Mistrzów? Tak naprawdę obydwie te rzeczy już się wydarzyły... albo nigdy się nie wydarzą. Koniec końców, złamał jedynie rozkaz ojca.

Spuścił wzrok.

- Przepraszam - wymamrotał. - Ale mój powrót na Coruscant nie byłby dobrym pomysłem... nie w obecnej sytuacji... którą zawdzięczamy Daali.

Luke zmarszczył czoło.

- Bo...?

- Przypomnij sobie, gdzie jesteśmy, tato - odparł Ben, zmuszając się do wytrzymania spojrzenia ojca. - A przynajmniej gdzie są nasze ciała i co mają wspólnego z tym miejscem wszyscy, którym... odbiło.

Luke przytaknął.

- Schronisko. - Pochylił głowę na bok i przez chwilę przyglądał się Benowi w milczeniu. - Czy to tam, gdzie...?

- Tak sądzę... - Ben zerknął na Rhondi i zniżył głos. - Tato, nikt mnie nie zaatakował, ale mam przeczucie... naprawdę silne - że oni próbują nas zabić.

Luke uśmiechnął się do syna smutno.

- Ben, to nie paranoja, a raczej prawda. - Kiwnął głową w stronę swoich przewodników. - Od chwili kiedy opuściliśmy stację, ta dwójka próbowała mnie wprowadzić w jedną pułapkę za drugą.

Ben otworzył szeroko oczy, a potem przeniósł wzrok na Ryontarra i Givina.

- I jeszcze tutaj jesteś? - zdumiał się. - Dlaczego?

Luke wzruszył ramionami i obejrzał się na kobietę we mgle.

- Mam jeszcze kilka pytań...

- Twoje pytania mogą zaczekać - przerwała mu Rhondi. Chwyliła Bena za rękę. - Zabieraj ojca. Dotrzymałam mojej części umowy. Teraz chodźmy stąd.

- Umowy? - Ryontarr wychylił się i wyjrzał zza pleców Skywalkera, a Givin podszedł do Rhondi. - O co chodzi?

Wyraźna wrogość w głosie Gotala przypomniała Benowi o panice, w jaką wpadł na stacji.

- Ona ma rację, tato. - Wziął ojca za rękę i pociągnął go w swoją stronę. - nie zostało ci wiele czasu. Musimy stąd iść. Teraz.

Luke delikatnie uwolnił rękę z uścisku syna.

- Chwileczkę, Ben. - Odwrócił się do Ryontarra. - Od jakiegoś czasu wiem już, że gracie na

zwłokę i staracie się mnie tu zatrzymać. Nie wiem tylko dlaczego.

- I sądzisz, że ci wyjaśnię? - parsknął Gotal. - Bo obaj byliśmy kiedyś Jedi?

- Byłoby miło z waszej strony - potwierdził cierpko Luke. - Ale wyjaśnicie mi to chociażby z tego powodu, że jeśli tego nie zrobicie, odejdę.

Ryontarr rzucił Rhondi rozwścieczone spojrzenie, a potem skinął niechętnie i wskazał pazurzystym palcem postać we mgle.

- Bo ona tego chce.

Luke odwrócił się do jeziora.

- Pani we mgle?

Na dźwięk słów ojca Ben spojrzał w stronę tajemniczej postaci. Natychmiast ogarnął go chłód i poczucie zagrożenia. Czuł tę samą nagłą potrzebę, którą wyczuł po drodze do Otchłani... i zachłanny zew, którego nie czuł, odkąd skończył dwa lata.

Chwycił znów ojca za rękę.

- Tato, chyba naprawdę czas na nas. Jestem pewien, że to ona wołała mnie, kiedy byłem w Schronisku.

- Wcale mnie to nie dziwi - skwitował Luke, ale nie ruszył się z miejsca. Odwrócił się do Ryontarra. - Wrócimy, jak tylko dowiemy się, czego od nas chce.

- Nie mam pojęcia - stwierdził Ryontarr i rozrzucił szeroko ręce. - Może powinniście do niej iść i ją o to spytać osobiście?

- Ben, to nie jest dobry... - zaczęła Rhondi, ale urwała, kiedy podszedł do niej Givin.

Chłopiec jeszcze raz spróbował odciągnąć ojca, ale bezskutecznie. Luke zdawał się przyrośnięty Mocą do ziemi.

- Muszę się dowiedzieć. Ta kobieta... Sądzę, że wie, co skłoniło Jacena do przejścia na stronę mroku. Może nawet, co opętało Rycerzy Jedi? - Mistrz Jedi wszedł do wody. - To nie potrwa długo - zapewnił syna. - Wracaj.

- Nigdzie się bez ciebie nie ruszę. - Ben obejrzał się na Rhondi i dodał: - A ty nie pójdziesz nigdzie beze mnie. Przynajmniej będziemy mieli przyzwoitego przewodnika.

Rhondi pokręciła z lękiem głową, ale podeszła do niego i złapała go za nadgarstek.

- Weź ojca za rękę.

Ben posłuchał i wszedł za nią do wody. Luke nie zaprotestował, więc Tremaine zaczęła prowadzić ich naprzód, trzymając się blisko brzegu. Ku zaskoczeniu i zaniepokojeniu Bena głązy i mchowate pagórki na łące nie odbijały się w wodzie, za to rzucały odbicia Wookieech, Barabelów, Ludzi, Chadra-Fanów i kilku innych ras, których chłopiec nie rozpoznawał. O dziwo, wydawały się nie tyle kłaść na powierzchni jeziora, co pojawiać kilkanaście centymetrów w głębi toni, tam, gdzie woda stawała się zbyt ciemna, żeby można było zobaczyć coś więcej.

- To Jezioro Widm - wyjaśnił Ryontarr, brodzący w wodzie za Benem. - Pewnie wkrótce przekonacie się, dlaczego nosi taką nazwę.

- Ta-a - mruknął Ben. W rzeczywistości wcale nie miał ochoty poznawać genezy nazwy jeziora, ale był też świadom, że Gotal doskonale o tym wie. - Dzięki za odpowiedź - parsknął.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł ze złośliwą satysfakcją Ryontarr. - Tą część nazywamy Zwierciadłem Wspomnień - dodał.

- Chwytliwe nazwy - zauważył Ben. - Zanotuję je do przewodnika.

Podczas ich marszu burzona krokami woda nie wydawała żadnych dźwięków, a jej powierzchnia pozostawała niezmacona. Bo i dlaczego? Byli tu tylko duchem, a nie ciałem, a projekcje w Mocy nie mogły wpływać w żaden sposób na realną rzeczywistość... zakładając oczywiście, że byli w realnym świecie.

Cóż, przynajmniej na taki wyglądał. Woda nie sięgała wyżej niż do łydek, ale była ciemna - tak ciemna, że Ben nie widział nawet swoich własnych nóg. Po zrobieniu kilku kroków prawie potknął się o kamień i przewrócił; Rhondi szybko poinformowała go:

- Stawiaj kroki tylko tam, gdzie ja. Jezioro jest z natury płytkie, ale są miejsca, w których grunt znacznie się obniża.

- Ku Głębom Wieczności - dopowiedział refleksyjnie zamykający ich pochód Givin. - Jeśli

na nie traficie, nawet my nie zdołamy was z nich wyciągnąć.

- Super. - Ben łagodnie popchnął ojca w stronę Rhondi, ustawił się za nim i ruszył przed siebie, nie wypuszczając z dłoni jego ręki. - Słyszałeś, tato? - spytał z troską.

- Tak, synu. - W głosie Luke'a brzmiało więcej rozbawienia niż prawdziwego niepokoju. - Dzięki za czujność.

- Spoko - bąknął Ben. - W twoim wieku zaczynają się problemy ze słuchem.

Zanim skończył mówić, spojrzął pod nogi, żeby upewnić się, że kroczy dokładnie po śladach ojca... I prawie się zakrztusił na widok twarzy, którą zobaczył w lustrze wody. Ostatni raz widział ją, kiedy był zbyt młody, żeby dobrze zapamiętać, ale oglądał też wiele hologramów, dlatego nie miał żadnych wątpliwości, na kogo patrzy. Wszędzie rozpoznalby te lodowatobłękitne oczy i zmierzwiłone ciemnoblonde włosy: Anakin Solo.

Usłyszawszy westchnienie syna, Luke zatrzymał się, obejrzał przez ramię... i także wstrzymał oddech.

- Anakin?

Z głębin jeziora wynurzyło się odbicie twarzy Anakina Solo. Jego wargi dotykały powierzchni wody, a błękitne oczy skupiały na Luke'u.

- Wujek... wujek Luke? - spytał bulgoczącym, niepewnym głosem, który brzmiał jak głos Kalamarianina. - Czy to naprawdę ty?

Luke przytaknął, a jego aura w Mocy zawrzała chłodnym, ciężkim poczuciem winy, którego wciąż nie potrafił się pozbyć od jakichś piętnastu lat - z powodu wysłania chłopca na misję, w trakcie której ten zginął.

- Tak, Anakinie... Jesteśmy tu, bo... - Głos mu drżał; wydawał się zbyt zaszokowany, żeby dokończyć zdanie. Ben doskonale go rozumiał. Chociaż nie znał Anakina, sam czuł się oszołomiony, zakłopotany, szczęśliwy, było mu przykro, a za razem... bał się podstępny. Wszystko, co do tej pory robili Wędrowcy Umysłów, było obliczone na zatrzymanie jego i jego ojca Poza Cieniami, dopóki nie umrą. Fakt, że rozmawiali teraz z Anakinem Solo wydawał mu się kompletnie absurdalny - niemal tak nieprawdopodobny jak to, że zostawili swoje ciała, żeby kontynuować podróż przez Otchłań jako czyste projekcje Mocy.

Ben uznał, że cokolwiek się wydarzy, najlepiej będzie, jeśli zdoła zapewnić swojemu ojcu nieco czasu na ochłonięcie.

- Witaj, Anakinie - bąknął. - To spo... eee, dobrze znów cię widzieć.

Anakin przeniósł wzrok na Bena.

- Ben? - spytał. - Czyżby minęło aż tyle czasu?

Ben skinął głową.

- Na to wygląda. Jestem teraz w tym samym wieku co ty, kiedy... - Urwał, zastanawiając się czy wypada wspominać widmu o jego śmierci. Po chwili uznał jednak, że owijanie w blyszczojedwab nic tu nie da. Postanowił być szczery. - Kiedy umarłeś - dokończył spokojnie.

Ku jego uldze Anakin nie wydawał się wcale zaskoczony. Uśmiechnął się tylko smutno i powiedział:

- Postaraj się nie pójść w moje ślady, dobra?

Ben parsknął wbrew własnej woli zduszonym śmiechem.

- Postaram się - obiecał.

- Świetnie. - Anakin spoważniał. - Bądź ostrożniejszy ode mnie - poradził rówieśnikowi. - Ucz się na moich błędach.

- Uczę się - przyznał Ben. - To znaczy... nie na twoich błędach, ale staram się ciebie naśladować. - Obejrzał się przez ramię, i - widząc, że jego ojciec już nieco doszedł do siebie - dodał: - Jesteś legendą, Anakinie. Twoje poświęcenie ocaliło Jedi. Po tobie nie było żadnego Rycerza Jedi, który by ci dorównał.

Anakin skrzywił się kwaśno i przeniósł wzrok na Luke'a.

- Chyba za bardzo go rozpieszczasz - stwierdził.

Luke uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Wątpię. Ben ma rację. - Kucnął, żeby być bliżej siostrzeńca. - Pokładałem w nim duże

nadzieje, ale po twojej śmierci nikt ci nie dorównał. Utrata ciebie była wielką stratą dla Zakonu i dla twojej rodziny.

W oczach Anakina zagościły smutek i troska.

- Niepotrzebnie. Zakon nie może czekać na nadejście wielkiego Jedi, który go poprowadzi. Wszyscy tego po mnie oczekiwali, a kiedy mnie zabrakło, odeszło ze mną zbyt wiele. - Odwrócił się w stronę Bena. - Nie popełnij mojego błędu - poprosił. - Nie pozwól sobą kierować. Każdy Rycerz Jedi powinien postępować w zgodzie z samym sobą, bo kiedy jego światło zgaśnie, inni nie mogą pograżyć się w mroku.

Ben skinął głową.

- Rozumiem - potwierdził. - Chyba wiem, co masz na myśli.

- Mądre słowa zawsze łatwo pojąć - skomentował Luke. - Wezmę sobie twoją radę do serca, Anakinie, ale chcę też, żebyś wiedział, że to, czego dokonałeś na „Baanu Rassie” ocaliło cały Zakon. Dziękuję ci w jego imieniu.

- Nie byłem sam - zaprotestował Anakin i przymknął oczy. Przez moment wydawało się, że zniknie znów pod powierzchnią jeziora, ale zanim to nastąpiło, zapytał: - Co z Tahiri? Czy wszystko u niej w porządku?

Luke zasznurował usta i Ben wiedział natychmiast z niezachwianą pewnością, że jego ojciec obawia się odpowiedzi. Bał się, że jeśli zacznie mówić, wyzna siostrzeńcowi całą straszną prawdę o tym, co uczynił z Tahiri Jacen i kim się stał jego starszy brat... a także, co zrobiła Jaina, żeby go powstrzymać.

- Będzie, Anakinie - powiedział tylko Ben. - Obiecuję ci to.

Nawet jeśli Anakin wyczuł wahanie wuja, to nic po sobie nie pokazał. Skinął tylko głową.

- Dobrze. Powiedz jej... że wciąż ją kocham. - Odchylił głowę do tyłu i dodał: - A teraz... idźcie już. Macie mało czasu.

Twarz Anakina zniknęła w toni równie szybko, jak z niej wychynęła, pozostawiając Bena i Luke'a samym sobie, stojących w zimnej wodzie jeziora, kontemplujących to, co przed chwilą zobaczyli i zachodzących w głowę, czy była to prawda, czy może ulegli złudzeniu... i czy w ogóle miało to jakieś znaczenie.

Po dłuższej chwili Ben spytał:

- Czy to... czy on był zjawą Mocy?

Luke milczał przez dobrą chwilę. Wreszcie wzruszył ramionami.

- Szczerze? Nie mam pojęcia. - Odwrócił się znów w stronę postaci we mgle i gestem polecił Rhondi, żeby kontynuowała wędrówkę. - W każdym razie, cokolwiek to było, nie ma mowy o pomyłce. To był Anakin.

Rhondi podjęła marsz. Chociaż Ben miał świeżo w pamięci przestrożę Anakina, tym razem nie próbował powstrzymać ojca. Kimkolwiek... i czymkolwiek była ta spowita mgłą kobieta, bez dwóch zdań była w jakiś sposób związana z zagrożeniem, które wisiało nad Zakonem Jedi... Zakonem, dla którego dobra zginął Anakin, a Luke Skywalker nie zamierzał spocząć, dopóki nie dowie się od niej, co to jest.

Pokonali jeszcze kawałek, który wydał się Benowi większą odległością niż ta, jaka dzieliła ich od kobiety we mgle - co najmniej sto kroków. Nagle jego ojciec pochylił się do przodu; jedna jego noga zanurzyła się w ciemnej toni prawie po udo.

- Tato! - Ben złapał go za ramię i siłą rozpędu prawie na niego wpadł, ale w samą porę ustabilizował ich pozycję Mocą! i naprowadził ich na ścieżkę, którą prowadziła ich Rhondi. - Wszystko w porządku? - spytał z troską.

Zamiast odpowiedzieć, Luke zapatrzył się w czarną ton jeziora. Przez jedną mrozącą krew w żyłach chwilę Ben obawiał się, że zareagował za późno... i że jakaś część jaźni jego ojca zatoneła już w Głębiach Wieczności, ale po chwili zobaczył, w co wpatrywał się Luke.

Kiedy Ben zobaczył pod powierzchnią jeziora twarz Anakina, czuł się zaskoczony, zakłopotany, a nawet przerażony. Tym razem widok przepelnił jego serce niewypowiedzianym bólem.

- Mamo? - wykrztusił przez ściśnięte gardło.

Zielone oczy jego matki otworzyły się szeroko. Jej blada twarz zbliżyła się do powierzchni jeziora. Malowały się na niej; troska, strach, może nawet gniew.

Powiodła oczami od syna do męża i z powrotem.

- Nie powinno was tutaj być - zaczęła bez ogródek. - Odbiło wam czy co?

Ben nie potrafił wykrztusić słowa. W gardle czuł gulę wielkości własnej pięści, a słowa nie chciały się ułożyć w logiczne zdanie. Jednak - ku jego zdumieniu - jego ojciec uśmiechnął się tylko i kucnął.

- Witaj, Maro - powiedział ciepło. - Dobrze znów cię widzieć.

Rysy twarzy Mary Jade Skywalker wyraźnie złagodniały.

- Ciebie też, wieśniaku - odparła czule Mara. - Ale mówię serio. Nie powinniście byli...

- Nic nam nie będzie - zapewnił ją Luke.

- Tak myślisz? Bo jak dla mnie, skoro tu jesteście, to jest wręcz przeciwnie - stwierdziła ostro Mara. Zaciśnęła usta i jej wzrok stwardniał. - To bardzo głupia...

- Żyjemy, Maro - wszedł jej w słowo Luke. - Jesteśmy cali i zdrowi, na misji. - Rozejrzał się wokół i dodał: - Na jednej z dziwniejszych w moim życiu co prawda, ale jakoś sobie radzimy - westchnął. - Czy możesz mi wyjaśnić, czym w ogóle jest to miejsce?

- Mówiłem ci przecież - wychrypiął Givin stojący za Benem. - To Jezioro Widm.

- Nie o to mu chodzi, szkieletorze - odburknął Ben, nagle bardziej rozdrażniony niż zaszokowany. - Cześć, mamó. Eee, dawnośmy się... nie widzieli.

Jego komentarz przywołał na ukochaną, piękną twarz promienny uśmiech, za którym Ben tak bardzo tęsknił... już prawie trzy lata.

- Ben! - wykrzyknęła miękko jego matka. - Jak urosłeś! Zmężniałeś...

Ben skinął głową i przykucnął obok ojca.

- Na wiele sposobów - przyznał.

Miał nieodpartą chęć nachylić się i ucałować mokry, blady policzek matki albo przynajmniej go dotknąć i pogłodzić, wiedział jednak, że jej obraz jest tylko odbiciem, więc się na to nie poważył. Bał się, że może coś zepsuć albo sprawić, że jej postać pogąrzy się znów w czarnej toni.

Zamiast tego spytał więc:

- Mamó, czy możesz nam coś powiedzieć o tym miejscu? Jest trochę... niesamowite.

- Rozmawiasz z trupem, Ben - odparła po swojemu, prosto z mostu, Mara. - Jasne, że jest niesamowite. - Patrzyła przez chwilę w dal, po czym potrząsnęła mokrą burzą rudych loków. - Nie wiem, co mam wam powiedzieć. Dla każdego jest tu inaczej... przynajmniej z tego, co wiem.

- A dla ciebie? - spytał Luke.

- Dla mnie to miejsce na przemyślenie moich czynów - odparła Mara. - Rozważenie tego, czego się dopuściłam.

Luke podniósł z niepokojem brwi. W jego oczach czaił się ból.

- Maro, czy ty... cierpisz?

- Popełniłam wiele błędów, z powodu których cierpię, zgadza się - westchnęła Mara.

Luke pokręcił głową.

- Ale przecież nie robiłaś tego celowo - argumentował. - Działałaś z rozkazu Palpatine'a...

Mara uśmiechnęła się do męża smutno. Sprawiała wrażenie, jakby pragnęła go dotknąć tak bardzo, jak Ben pragnął dotknąć jej.

- Wyrównałam moje rachunki z Palpatine'em już dawno temu - odparła cicho. - Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny. - Odwróciła się w stronę Bena. - Jednak nie służyłam mu całe życie, a to jest w takim samym stopniu moi błogosławieństwem, co przekleństwem.

Ben zmarszczył czoło.

- Mamó? Nie rozumiem...

- Jacen - odparła prosto Mara. - Ścigałam go nie jako Jedi, Ben - wyznała. - Tylko jako łowca... zabójca.

Ben poczuł się, jakby ktoś wraził mu nóż prosto w serce.

- Ale przecież on był Lordem Sithów! - zaprotestował.

- Nie wtedy, kiedy się z nim zmierzyłam - powiedziała smutno Mara. - I wiesz, dlaczego tak się stało.

Ben przykucnął i gdyby ojciec nie złapał go za ramię, wpadłby do wody, bo teraz już wiedział: jego matka postanowiła rozprawić się z Jacenem z powodu tego, co Solo uczynił z nim, z Benem, który zaudał bał się wyznać prawdę ojcu i poprosił ją o dochowanie sekretu.

- Mamo, tak bardzo mi przykro - wymamrotał. - To wszystko...

- Nie, Ben i nie mówię ci tego, żeby sprawić ci przykrość. - Mara uśmiechnęła się do niego.

- Jestem teraz już trochę... ponad to wszystko, nie sądzisz?

Ben zmusił się do odwzajemnienia uśmiechu.

- Tak, chyba masz rację.

- Chcę, żebyś wyciągnął wnioski z tego, czego się dopuściłam, Ben. Nie liczy się rezultat, tylko to, co robimy, żeby go osiągnąć. - Jej wzrok stwardniał i dodała chmurnie: - Cele przyświecające Jacenowi były szczytne; działał w dobrej wierze: dla dobra galaktyki. Mimo to wszystko, co robił, było okrucieństwem i nic nie może tego zmienić. Nawet jeśli ostatecznie przywrócił galaktyce pokój, to plamy, które zostawił, nie znikną. Będą szpeciły jego obraz w oczach istot, które ocalił, przez całą wieczność. Czy rozumiesz, o czym mówię?

Ben znów poczuł w gardle dławiącą gulę - tak wielką, że ledwie zdołał wychrypieć słabe:

- Tt...tak...

- Nie chodzi o dziedzictwo, które po sobie pozostawisz, ale o to, w jaki sposób przeżyjesz swoje życie - dodała jego matka. - Pamiętaj o tym, na każdym kroku.

- Będę pamiętał, mamo. Obiecuję.

- To dobrze. - Mara podniosła rękę i dotknęła powierzchni wody, niczym więzień próbujący wydostać się z transpastalowej celi. - Tego właśnie pragnę, Ben - dodała. - Jeśli ci się to uda, będę spokojna. Daję ci na to moje słowo. - Zaczęła nikać w głębi. - A teraz... idźcie już.

- Maro... - odezwał się Luke. - Zaczekaj...

- Nie macie czasu. - Zatrzymała się; na powierzchni widać było już tylko jej usta. -

Zapomnij o niej.

Luke zerknął w kierunku kobiety we mgle i zaczął się tłumaczyć:

- Wcale nie chciałem...

- Luke, wiem, o co ci chodzi, uwierz mi - przerwała mu Mara. - Ona jest jedną z Prastarych. Zostaw ją... zaufaj mi.

Luke pokręcił głową.

- Nie mogę - powiedział. - Jeszcze nie.

- A więc nie mogę ci pomóc - westchnęła z rezygnacją Mara. - Kocham cię, Luke. Jeśli jednak musisz to zrobić, niech Moc będzie z tobą. - Po tych słowach zamknęła oczy i zniknęła w czarnej toni.

Luke trwał tak jeszcze jakiś czas nad taflą wody, z zamkniętymi oczami i pochyloną głową. Uplęła godzina... a może tylko kilka sekund? Ben nie miał pojęcia. Najważniejsze, że ani Ryontarr, ani Givin nie ośmielili się zakłócić mu spokoju. Ben także nie śmiał przeszkadzać ojcu, jednak Rhondi nie była już tak cierpliwa. W końcu pociągnęła Luke'a do pionu, a potem odwróciła w stronę, z której przyszli.

- Nie. - Luke uwolnił się z uścisku i zwrócił znów w stronę mgieł. - Muszę tam iść.

Zanim Ben zdążył zaprotestować, Rhondi ubiegła go, kręcąc głową.

- Wiem, kim była Mara Jade, a także kim była dla ciebie - powiedziała cicho. - Skoro ona nie chce, żebyś szedł do Mgieł Zapomnienia, czas wracać.

Luke podniósł brwi na dźwięk nazwy miejsca, ale ani drgnął.

- Sądzę, że masz rację. - Nie spuszczać z niej oka, dodał: - Synu, wracaj z nią. Jeśli wkrótce do was nie dołączę... weź „Cień” i...

- Tato, nie słyszałeś? - wszedł mu w słowo syn. - Mgły Zapomnienia! Ta nazwa mówi sama za siebie! Mama miała rację - zabierajmy się stąd, na litość Mocy!

Aury jego ojca w Mocy nie zmaćła nawet najlżejsza zmarszczka rozbawienia.

- Ben, to nie pora na dyskusję.

- Masz *kriffoloną* rację! - wybuchnął Ben. - Skoro jesteś dość szalony, żeby tam iść, jesteś też zbyt szalony, żeby mi rozkazywać! A mnie jeszcze nie odbiło na tyle, żeby twoje polecenia wypełniać. Idę z tobą.

Luke opuścił głowę, rozważając słowa syna... A może próbując podjąć decyzję?

- W porządku - powiedział wreszcie. - Chodź.

Rhondi spojrzała na Bena gniewnie, ale wzięła Luke'a za rękę i zaczęła prowadzić go bez słowa w stronę mgieł. Podczas marszu mijali niesamowitą galerię kolejnych odbić; Ben pomyślał o osłabionym ciele ojca, pozostawionym na stacji i zaczął się zastanawiać, ile czasu jeszcze im zostało - o ile w ogóle.

- Tato? - zagadnął go wreszcie.

- Nie zamierzam wrócić.

- Wiem - zapewnił go Ben. - Ale nie zatrzymujmy się już, dobrze? Sądząc po twoim wieku, znasz pewnie całkiem sporo umarłaków. Jeśli będziemy sobie ucinali pogawędkę ze wszystkimi truposzami, pewnie w końcu tu z nimi utkniemy.

Luke parsknął śmiechem.

- No dobra. Nie ze wszystkimi.

Uszli może z dwieście kroków, kiedy Ben podniósł wzrok; sądząc po odległości, nie zbliżyli się do mgieł ani trochę. Były wciąż tak samo daleko. Na wpół przekonany, że w rzeczywistości wcale się nie poruszają, obejrzał się przez ramię... i wpadł na ojca.

- *Stang!* Przepraszam, tato - powiedział. - Wydaje mi się jednak, że nigdy tam nie dojdziemy. Ten mgły się po prostu odda... - Urwał, kiedy odwrócił się w stronę ojca i zobaczył, że ten znów wpatruje się w wodę. - *Kriff* - wymamrotał pod nosem. Nie miał ochoty oglądać już nikogo z bliskich zmarłych. Po ostrzeżeniu matki zatrzymywanie się i rozmawianie z kimkolwiek wydawało mu się zdradą. Musiał zrobić wszystko, żeby skłonić ojca do podjęcia marszu, żeby szybko załatwić wszystko i wrócić - tak jak radziła im Mara.

Z mocnym postanowieniem Ben podszedł do ojca... i krew w żyłach ściał mu lód. Z toni spoglądała ku nim znajoma, wymizerowana twarz. Wszędzie poznałby ten wąski nos, brązowe włosy i żółte oczy Lorda Sithów.

Przypomniał sobie, że ani Anakin, ani jego matka nie odpowiedzieli, dopóki nie wypowiedział ich imion. Ugryzł się w język, opierając się odruchowej chęci wypowiedzenia imienia swojego byłego mentora. Rozmowa z Darthem Caedusem była ostatnią rzeczą, na jaką miał teraz ochotę. Swego czasu wiele by dał za chwilę rozmowy z Jacenem, ale wybił to sobie z głowy podczas wizyty w Ryfcie Kathol, kiedy uczył się pod okiem Aing-Tii o imieniu Tadar'Ro.

Najwyraźniej jednak jego ojciec nie miał zamiaru przepuścić takiej okazji. Kucnął i powiedział głośno:

- Jacenie?

Żółte oczy momentalnie zmieniły kolor na brązowy, a surowa twarz nieco złagodniała i zbliżyła się do powierzchni wody. Kiedy zatrzymała się na granicy tafli i powietrza, jeszcze przed chwilą okrutne, a teraz smutne oczy przesunęły się od ojca do syna.

- Nie proszę o wybaczenie - odezwał się Jacen Solo.

- To dobrze. - W głosie Luke'a nie było złości ani żalu, może tylko ledwie wyczuwalny chłód. - Bo wątpię czy zdołałbym ci wybaczyć.

Na usta Jacena wypłynął smutny półśmiech.

- Szczery aż do bólu. To jedna z rzeczy, które zawsze w tobie cenilem, wujku. - Przeniósł spojrzenie na Bena. - Chcę, żebyście wiedzieli, że nie zabrałem tu ze sobą całego tego gniewu i nienawiści. Powiedzcie Jainie, że jej wybaczam.

Ben aż się zapienił.

- Ty? Wybaczasz? - wybuchnął. - Jej? Czy masz w ogóle pojęcie, przez co ona przez ciebie przeszła?! Ty napsuszony, gburowaty...

- Ben! - warknął Luke. - Czy po to pozwoliłem ci iść ze i mną? Pamiętaj, co obiecałeś swojej matce.

Upomnienie było bardziej przytykiem niż prawdziwym policzkiem, celowym

przypomnieniem, które nie pozostawiało wątpliwości, że jego ojciec bez dwóch zdań oczekiwał tego spotkania od chwili, kiedy spotkali Anakina Solo. To był właśnie, prawdziwy powód, dla którego jego ojciec nalegał na kontynuowanie marszu, a Ben wcale nie był przekonany, że to dobry pomysł. Cokolwiek Jacen czy tam Caedus im powie, na pewno będzie to kłamstwem, a w najlepszym razie półprawdą. Mimo to milczał. Nie miał wątpliwości, że jego ojciec ma w zanadrzu: jakiś plan. Gdyby - nie daj Mocy - pozwolił sobie na wybuch gniewu i tym samym skłoniłby Jacena do przedwczesnego wycofania się, pomieszałby ojcu szyki.

Skinął więc głową i powiedział potulnie:

- Masz rację, tato. - Odwrócił się do Jacena. - Wybacz, proszę. Nie chciałem cię urazić.

Uśmiezek, który wykwitł na ustach Jacena nie pozostawiaj wątpliwości co do prawdopodobieństwa takiego obrotu spraw.

- Nie sądzisz, że jesteśmy już ponad podobne bzdury, Ben Zrobiłem, co zrobiłem, a ty masz święte prawo czuć się tak, jak się czujesz. Jedyne, o co proszę, to szczerość.

Ben poczuł w piersi ukłucie bólu.

- Dobrze - powiedział. - Jeśli chcesz szczerości, to moim zdaniem jesteś takim samym *kriffolonym sleemo*, jakim byłeś za życia i cieszę się, że nie żyjesz.

Jacen uśmiechnął się do niego swoim charakterystycznym krzywym uśmiechem Solo.

- Tak już lepiej - pochwalił kuzyna zjadliwie. - Mam, na dzieję, że pamiętasz, co należy robić z takim gniewem...?

- Ben zdołał opracować kilka alternatywnych technik jego wykorzystania - odpowiedział mu spokojnie Luke. - Ale skoro już mowa o szczerości, czy odpowiedziałbyś mi na parę pytań?

Jacen nie spuszczał wzroku z Bena.

- Czemu nie? - odpowiedział. - Skoro zadaliście sobie taki trud, żeby tu dotrzeć i je wyartykułować...

Większy niż sobie wyobrażasz, warknął do kuzyna w myśli Ben.

Luke uśmiechnął się blado.

- Ciesz się mnie to. Bardzo.

Ben pomyślał, że jego ojciec spyta pewnie o kobietę w mgłach albo jej związek z chorobą, która prześladowuje Zakon Jedi, albo może czy jest w jakiś sposób odpowiedzialna za upadek Jacena. Może nawet czy Darth Caedus ma coś wspólnego z problemami nekającymi ostatnio Zakon?

Ze zdziwieniem przyjął więc pytanie Luke'a:

- Kiedy byłeś nad Sadzawką Wiedzy, kogo widziałeś na Tronie Równowagi?

Żółty błysk w oczach Jacena zdradził jego zaskoczenie, jednak poza tym martwy Sith nie dał nic po sobie poznać. Na jego twarzy nie drgnął najmniejszy mięsień, wręcz przeciwnie - Solo był spokojny, prawie że szczęśliwy, i do Bena dotarło, że Jacen chciał usłyszeć to właśnie pytanie, chociaż nie spodziewał się, że kiedykolwiek do tego dojdzie.

Mimo to zamiast udzielić odpowiedzi, Jacen przechylił tylko głowę na ramię.

- A czy mógłbyś mi najpierw powiedzieć, kogo ty zobaczyłeś?

- Oczywiście - odparł Luke. - Allanę, otoczoną orszakiem istot różnych ras z całej galaktyki. Wydawała się spokojna i szczęśliwa.

Uśmiech ulgi - a może triumfu? - na twarzy Jacena był widoczny.

- W takim razie nie ma znaczenia, kogo ja widziałem - westchnął z wyraźną ulgą. - Ale to nie byłeś ty... gdybyś przypadkiem się nad tym zastanawiał.

Ich rozmowa była dla Bena kompletnie niezrozumiała. Nie miał bladego pojęcia, czym jest Tron Równowagi ani Sadzawka Wiedzy. Szczerze powiedziawszy, to wszystko brzmiało dla niego jak jakiś obliczony na zrobienie wody z mózgu bełkot, który miał zwieść kogoś w mrok, zanim ten ktoś uświadomi sobie, co się dzieje.

Jednak ulga w aurze jego ojca w Mocy, tak samo jak wdzięczność, której przyczyny kompletnie nie rozumiał, utwierdziły go w przekonaniu, że się myli. I mimo wszystko był za te uczucia Jacenowi wdzięczny.

Luke uśmiechnął się krzywo do siostrzeńca, pochylił głowę i powiedział:

- Nie myślałem o tym, ale dziękuję.

Gdyby Ben nie był tak silnie wyczulony na zmiany w aurze ojca, umknęłoby mu pewnie, że Wielki Mistrz Skywalker dopuścił się właśnie czegoś, o co nigdy, przenigdy by go nie posądził: Luke Skywalker skłamał.

Jacen odwzajemnił uśmiech.

- Nie spodziewałem się tego. - Przymknął oczy i zaczął się zanurzać w czarną toń, nagle jednak do Bena dotarło, że nie może pozwolić mu tak odejść - nie, jeśli chciał dotrzymać danej matce obietnicy.

- Jacenie, zaczekaj - poprosił.

Jacen otworzył znów oczy i przerwał wędrówkę w głąb toni.

- Eee, chciałem tylko powiedzieć, że... - zaczął Ben - Jacenie, wybaczam ci.

Solo wrócił na powierzchnię, żeby Skywalkerowie mogli go słyszeć.

- Ciesz się, Ben. Przynajmniej tego jednego ciężaru nie będziesz musiał dźwigać przez resztę życia. Odejdź z Mocą.

- Dzięki. - Ben był tak zaskoczony szczerością w głosie Jacena, że prawie zapomniał języka w gębie. - Ty także... chyba.

Jacen parsknął z rozbawieniem.

- Ben, ja jestem w Mocy - zawiesił głos, jakby czekał, aż Ben powie coś innego, ale kiedy to nie nastąpiło, dokończył: - Czy chciałbyś mnie jeszcze o coś spytać?

- Hm, cóż, tak. - Ben zerknął nerwowo w stronę kobiety we mgłach. Chociaż nie był pewien, czy jego ojciec uwierzy w cokolwiek, co powie im o tajemniczej postaci Jacena, ale uznał, że warto zapytać. - Nie chcę jednak, żebyś sobie pomyślał, że próbuję kupić odpowiedź za...

Jacen pokręcił głową.

- Ben, czy nie prosiłem cię przed chwilą o szczerość? - Odwrócił się w stronę Mgieł Zapomnienia. - Chciałbym wam pomóc, ale nie mam pojęcia, kim ona jest.

Ben poczuł w piersi nieznośny ciężar. Na wpół przypuszczał, że Jacen go okłamuje, ale z drugiej strony nie widział powodu, dla którego jego kuzyn miałby to robić. Albo wybaczał Jacenowi, albo nie - a lepiej dla niego byłoby, gdyby zdecydował się na to pierwsze. Cóż, przynajmniej tak interpretował słowa matki.

- Trudno, Jacenie, nic się nie stało - zapewnił kuzyna. - Spokojnego... czegoś tam.

- Potępienia - podsunął Jacen. Zanurkował znów w stronę Mgieł Zapomnienia i dodał: - Jeśli jednak chcesz naprawdę wiedzieć, kim ona jest... to jezioro ma swoje granice. Po prostu idźcie przed siebie - macie cały czas wszechświata.

Ben skrzywił się, teraz już całkiem pewny, że Jacen próbuje ich zmanipulować.

- Dzięki - powiedział jeszcze raz i spojrzał na swojego ojca. - To nam bardzo pomoże - parsknął z przekąsem.

Jacen uśmiechnął się do niego zjadliwie.

- Po prostu podejmij decyzję i działaj, Ben. - Zanim zniknął w toni, jego oczy stały się znów jaskrawożółte. - Wybierz i działaj.

- Dobra rada warta kredytu - bąknął Ben i patrzył za kuzynem, zanim ten nie zniknął znów w czarnych odmętach i nie zamknął oczu. Odwrócił się do ojca. - Tato, właśnie podjąłem decyzję. Bezdyskusyjną - oznajmił. - Skoro Jacen twierdzi, że mamy cały czas wszechświata...

- To mamy kłopoty, wiem - dokończył za niego ojciec. Odwrócił się od tumanu mgły i gestem dał Rhondi i ich przewodnikom znak, żeby wracali. - Czas na nas.

- Ale co z panią we mgłach? - spytał Givin, stając im na drodze. - Nie możecie odejść, nie dowiedziawszy się, kim ona...

- Wiem z całą pewnością jedno. - Luke położył dłoń na klatce piersiowej Givina i Mocą odsunął go z ich drogi. - Czas wracać na pokład „Cienia”.

ROZDZIAŁ 23

Przypięta do fotela drugiego pilota „Sokoła Millenium” w skafandrze próżniowym i bojowej

uprząży wnuczka Hana wyglądała dokładnie na osobkę, którą była: ośmioletnią dziewczynkę w trakcie zabawy. Jej nóżki w specjalnych butach ledwie wystawały za krawędź siedzenia, a głowa w hełmie sięgała dobre pięć centymetrów poniżej zagłówka. Szare oczy były wielkie i okrągłe niczym żetony w kasynie. Jednak oprócz tego była też księżniczką krwi na jej pierwszej prawdziwej misji, dziedziczką szkoloną do jednej z najcięższych ról w galaktyce - i łamało to Hanowi serce.

Wraz z Leią przedyskutowali wszystko z Tenel Ka nieraz - i Królowa Matka postawiła sprawę jasno: każda hapańska Chume'da musiała nauczyć się radzić sobie w galaktyce - możliwie jak najwcześniej i jak najlepiej. Ale... to było takie *kriffolenie* niesprawiedliwe! Kiedy Allana miała przeżyć swoje dzieciństwo? Kiedy miała mieć czas na bycie zwykłą, małą dziewczynką? Han pomyślał o własnych dzieciach - dwóch synach, których stracił, i córce, która wciąż żyła. W gruncie rzeczy wciąż; jeszcze mógł mieć następne... Największym błędem, jaki popełnił, było pozwolenie, żeby zbyt szybko dorosły, a ich losy rozłączyły ich z rodzicami kiedy byli jeszcze zbyt młodzi, żeby móc się temu sprzeciwić.

A teraz z polecenia Tenel Ka był zmuszony to powtórzyć. Nie wiedział, czy ma dość siły, żeby przez to przebrnąć, ale wiedział, że kocha Allaną za bardzo, żeby - jeśli już musiał jej to robić - nie zadbać o najlepsze warunki.

Z pokładu hangarowego dobiegł sygnał gotowości, po którym rozległ się głos C-3PO:

- Artoo melduje, że wszystkie włązy zostały uszczelnione i wszystkie systemy statku działają optymalnie.

- Optymalnie? - parsknął Han, odwracając się w stronę pary droidów. - Czyżbyśmy wsiedli na pokład nie tego YT co trzeba?

C-3PO przechylił lekko głowę na bok.

- To bardzo mało prawdopodobne, kapitanie Solo - powiedział. - Zostało już tylko kilka tych antyków na chodzie, a prawdopodobieństwo, że natkniemy się na jeden z nich omyłkowo zaparkowany w miejscu postojowym „Sokoła” wynosi...

- Nie interesuje mnie, ile - przerwał mu bezceremonialnie Han. - Chcę tylko, żeby Artoo sprawdził wszystko jeszcze raz. - Obejrzał się na Allaną i mrugnął. - Optymalne działanie to nie jest stan typowy dla „Sokoła”.

Artoo zaświergotał coś, co C-3PO przetłumaczył jako:

- Wygląda na to, że znalazło się rozwiązanie zagadki. Przed wcieleniem w życie swojego planu panienska Jaina spędziła trzydzieści dwie godziny, dostrajając systemy statku.

Han wiedział, że w ten sposób jego córka chciała zrekompensować im zatajenie przed nimi sekretu Jaga, co sprawiło, że tylko jeszcze bardziej spochmumiał.

- Czy był z nią Jag? - spytał.

R2-D2 zaświergotał przecząco.

- Cóż, dobre i to - mruknął Han pod nosem. - Przynajmniej nie musimy wszystkiego sprawdzać na okoliczność tych jego fikuśnych pluskiew. - Odwrócił się do pulpitu i spojrzął znów na wnuczkę. - Gotowa do sprawdzenia listy kontrolnej?

Allana pokiwała entuzjastycznie główką, ale nie przeniosła wzroku na datapad trzymany na kolanach.

- Dziadku, dlaczego ciągle jesteś taki zły na Jainę? - spytała. - Ona tak bardzo się stara pokazać, że jej przykro...

Han westchnął.

- Wiem, kochanie. I chyba tak naprawdę wcale nie jestem na nią zły. Po prostu... martwię się o nią.

- Przez Jaga?

- On nie... - Han urwał, kiedy dotarło do niego, że nie jest szczery z Allaną, bo nie chce się przyznać do pewnych rzeczy sam przed sobą. - Możliwe - westchnął. - Chyba bardziej dlatego, że nie wie, w co się pakuje.

- A jeśli będziesz na nią zły, to coś zmieni?

- Pewnie nie - przyznał Han.

Allana zmarszczyła czoło; hełm zsunął jej się tak nisko, że prawie zakrył oczy.

- W takim razie czemu to robisz, dziadku?

Teraz to Han zmarszczył brwi.

- Jesteś bardzo podobna do swojej babci, wiesz?

Allana uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Serio?

Han opuścił z rezygnacją głowę.

- Tak, serio - westchnął. - No dobrze, czy jeśli obiecuję, że przestanę się na nią gniewać, podniesiemy to pudło w kosmos? Twoja babcia na nas czeka, a wiesz, że na Shedu Maad ma kawał parszywej drogi.

- Szczególnie z tymi wszystkimi wariatami na pokładzie. - Allana skrzywiła się i dodała prędko: - Ale nie mów Barwowi, że tak powiedziałam, dobra?

- Będę milczał jak grób - obiecał jej Han i Allana z ulgą kiwnęła główką.

- To dobrze. - Podniosła z kolan datapad. - Gotowa do sprawdzenia listy.

- Wreszcie - mruknął Han i przeniósł znów wzrok na panel kontrolny, po czym zaczął

czytać: - Generatory repulsorowe?

- Gotowe.

- Silniki jonowe?

- Gotowe.

- Komputer nawigacyjny?

- Gotowy.

...I tak dalej, dopóki lista się nie skończyła i Han nie był pewien, że statek jest gotowy do startu. Mimo to nie przerwał monotonnej wyliczanki, bo chciał, żeby Allana nauczyła się czegoś ważnego.

- Barabelowie w wieżyczkach działek? - spytał.

Allana zerknęła na ekran datapada i z konsternacją zmarszczyła nos.

- Dziadku, ale przecież tego nie ma na liście! - zaprotestowała.

- Nie? - Han podniósł wysoko brwi, udając zdziwienie. - Jesteś pewna?

Dziewczynka pokręciła głową i podniosła na niego wzrok. Na widok jego miny dotarło do niej, że dziadek ją podpuszcza.

- Tak, jestem pewna.

Han uśmiechnął się do wnuczki.

- Ale ich tam potrzebujemy, prawda?

Mała pokiwała główką, zastanawiała się nad czymś przez chwilę, aż wreszcie sięgnęła do przycisku aktywującego interkom na poręczy jej siedzenia.

- Dordi? Zal? Jesteście w wieżyczkach?

Potwierdzenie nadeszło tak szybko, że transmisje się na siebie nałożyły.

- Dordi na grzbiecie...

- ...i Zal na brzuchu. - Ich komunikaty zakończyła salwa histerycznego syczenia; Allana przyjrzała się podejrzliwie głośnikowi.

- Czy powiedziałam coś zabawnego?

- Nie - zapewnił ją Han. - To po prostu Barabelki.

Podczas wojny z Yuuzhan Vongami Dordi i Zal latały w eskadry Dzikich Rycerzy pod wodzą Saby Sebatyne. Teraz, kiedy były już dorosłe, podobno przymierzały się do stworzenia rodziny z synem Saby, Tesarem.

Han pomyślał o Świątyni opanowanej przez hordy wiecznie głodnych, małych Barabeląt, uśmiechnął się i dodał:

- Nikt tak naprawdę nie rozumie Barabelów.

W oczach Allany zalśniło zrozumienie.

- To znaczy że to tak samo jak po tym, kiedy ocaliliśmy Kessel i razem z Landem usiedliśmy nad tymi Gi...

- Hm, tak, coś w tym stylu - przerwał jej Han, nie mając ochoty się dowiedzieć, ile z tamtej rozmowy mała podsłuchiwała. - A co z Wilyemem?

- Allana znów wcisnęła przycisk interkomu. - Wilyemie, czy...
- Tak - odparł chrapliwie Barabel, zanim zdążyła dokończyć. - Wilyem na ognie.
Z głośników rozbrzmiała nowa fala syczącego śmiechu.
Tym razem Allana pokręciła krótko głową i spytała:
- Dziadku, jesteś pewien, że naprawdę ich potrzebujemy?
Han udał rozczarowanie.
- Jaka jest pierwsza rzecz, którą robisz podczas misji?
Allana uśmiechnęła się, wyraźnie pewna siebie.
- Odnalezienie boi kierunkowych!
- To później - poprawił ją Han, kręcąc głową. - To pierwsza zasada misji ratunkowych. -
Postukał palcem w panel kontrolny. - Mówię o tym, co się robi, zanim wsiądziesz na statek...
- A-ha! - wykrzyknęła Allana. - Upewnij się, że masz na pokładzie właściwą załogę do
wypełnienia danej misji!
- A jaka misja nas czeka?
- Wariacka! - Oczy dziewczynki zaśniły dumą. - I to dlatego zabraliśmy ze sobą
Barabelów? - zgadła.
- Otóż to - potwierdził Han. - A kiedy potrzebujesz wariata...
- ...szukasz Barabela - dokończyła Allana. - Już łapię.
- Szybko się uczysz, dzieciaku - pochwalił wnuczkę Han. Chociaż mówił szczerze, jego
dumą zabarwiła nuta smutku. Ta umiejętność bardzo jej się przyda, bo tego samego los wymagał od
jego dzieci... a od niej może nawet więcej. Odwrócił się do iluminatora, żeby Allana nie widziała
ból w jego oczach i sprawdził wskazania instrumentów pokładowych. Szybko jednak rozchmurzył
się i powiedział: - No dobrze. Może lepiej sprawdzimy czy twoja babcia i Saba wiedzą, że jesteśmy
gotowi.
- Już się robi! - Allana odruchowo sięgnęła do mikrofonu hełmu, ale szybko cofnęła rękę -
jeszcze zanim Han przypomniał sobie, że obowiązuje ich cisza w eterze. Dziewczynka przymknęła
oczy; najwyraźniej sięgnęła ku Leii poprzez Moc. Uśmiechnęła się, kiedy nawiązała z nią kontakt. -
Chyba czas na nas - poinformowała dziadka. - Wygląda na to, że babcia trochę się spieszy.
- A co z Sabą? - spytał Han. - Czy stealthX-y są gotowe?
- Chyba... chyba tak - zająknęła się niepewnie Allana. - Wydaje się... głodna.
- No to do roboty - zarządził Han. Połączył się z oficerem kontroli lotów, żeby
poinformować go, że „Długi Strzał” - bo takiego fałszywego transpondera używał „Sokół”, dokując
w porcie kosmicznym - jest gotowy do odlotu. - Przypnij się, moja szalona panno.
Allana przewróciła oczami.
- Ja jestem szalona? To kim w takim razie jesteś ty?
Kiedy pole ochronne zostało wycofane, podniósł „Sokoła” i odpalił napęd. Kompensatory
inercyjne nie zostały jeszcze uruchomione, więc pęd wcisnął go w fotel; wkrótce wystrzelili przez
smugi szarego coruskańskiego smogu. Allana zapiszczała radośnie, kiedy C-3PO wydał z siebie
odgłos zaskoczenia.
- Kapitanie Solo, może powinien pan sprawdzić wskazania przyrządów - poradził Hanowi. -
Nasz statek wciąż przyspiesza, a na tej wysokości przekroczyliśmy już i tak dozwoloną prędkość... -
rzucił z obawą.
- Wiem, Złota Sztabo - mruknął Han. - Musimy się pokazać...
Chwilę później opuścili chmurę smogu i znaleźli się w poprzecinanej smugami
kondensacyjnymi troposferze Coruscant. Han aktywował kompensatory inercyjne i zamknął
dopływ paliwa do przepustnic, wznosząc statek na maksymalnej mocy repulsorów. R2-D2
zaświergotał, relacjonując sytuację.
- Ojejku - jęknął C-3PO. - Właśnie ściągnął nam pan na głowy Służby Kontroli Lotów
Galactic City! Artoo mówi, że pytają o nasz transponder!
- Właśnie to nazywamy zarzucaniem przynęty, Threepio - pouczyła droida Allana. -
Chcemy, żeby ścigali nas, a nie babcie. - Utkwiła w Hanie pytający wzrok. - Prawda, dziadziu?
- Mniej więcej - mruknął Han. - Jeśli chodzi o ścisłość, to stosujemy właśnie podwójnie

odwrócony toydariański blef.

Allana skrzywiła się i wybałuszyła oczy.

- Ble-co?

- Podwójnie odwrócony toydariański blef - powtórzył cierpliwie Han, przenosząc wzrok z ciemniejącego nieba na wnuczkę. - Słuchaj, pani admirał Daala jest cwana, prawda?

Allana pokiwała główką.

- Daj komuś kredyta... - zaczęła, cytując jedno z ulubionych powiedzonek Hana. - Jeśli jest dość dobry, żeby grać, jest też wystarczająco dobry, żeby przyciągnąć twoją kasę.

- Dokładnie - stwierdził Han. - Właśnie dlatego upewniamy się, że Daala zauważy naszą próbę ucieczki z naszymi wariatami z Coruscant.

Allana spuściła wzrok i zamyśliła się nad słowami dziadka; po chwili skinęła głową.

- Wszyscy wiedzą o wszystkim. Łapię.

- Świetnie - skwitował Han. - Czyli jesteśmy gotowi na okazanie jej... szacunku.

Allana podniosła brewki.

- Będziemy się jej kłaniać?

- Hm, nie do końca o to chodzi - poinformował ją Solo. - Pozwolimy jej myśleć, że jest sprytna - wyjaśnił.

Allana otworzyła szeroko oczy.

- I sądzisz, że dzięki temu stanie się lekkomyślna? - spytała nieufnie.

- Może - przyznał Han. - Każdy lubi czuć się cwany, więc kiedy dajesz mu to do zrozumienia, trzyma cię za słowo.

- A trzymanie za słowo oznacza, że łyknie naszą przynętę? - dopytywała Allana.

- W tej sytuacji? Tak - potwierdził Han. - Kiedy spróbujemy nawiać pod samym nosem Daala, pani admirał pomyśli, że nie zamierzamy jej oszukać. A wtedy... wiesz, co zrobimy?

- Nakłonimy ją, żeby wysłała za nami wszystko, co ma? - domyśliła się Allana.

Han przytaknął.

- Właśnie tak. I wtedy twoja babcia prześliznie się w „Gizeriańskiej Odwadze”.

- Po tym, jak dam jej znać Mocą - uściśliła Allana i zmarszczyła znów czoło. - Ale wiesz, dziadku? Twój plan ma jedną wadę... - poinformowała go z konfidencjonalnym uśmiechem.

- Jaką, kochanie?

- Próbujesz schlebiać pani admirał - stwierdziła prosto Allana. - A mama mówi, że sprytna kobieta nigdy nie wierzy, kiedy ktoś próbuje jej schlebiać.

Hanowi nieco zrzędała mina.

- Hm, cóż, to nie jest prawdziwe pochlebstwo - stwierdził, starając się brzmieć pewniej, niż się czuł. - Chodzi bardziej o nie traktowanie jej jak kogoś... tępego.

Allana łypnęła na niego spod oka.

- Blefujesz.

- Co takiego? - obruszył się odruchowo Han. - Ależ skąd! - Allana przyglądała mu się w milczeniu, więc odwrócił wzrok i westchnął. - No dobra. Co mnie zdradziło?

- Zmieniłeś ton głosu - oznajmiła triumfalnie dziewczynka. - A poza tym mam Moc.

Han przewrócił oczami.

- Ta przeklęta Moc wpędza mnie w kłopoty z kobietami od chwili, kiedy poznałem twoją babcie - mruknął. - Tak czy inaczej, nie martw się. Jestem na dziewięćdziesiąt procent pewien, że to zadziała.

- A kiedy leci się z kapitanem Solo, to naprawdę coś - dodał stojący przy stanowisku łączności C-3PO. - Nawet biorąc poprawkę na jego zwykłą skłonność do przesady, to nam daje sześćdziesiąt siedem procent szans na sukces.

Zanim Han zdążył się odwrócić i odgryźć, Allana zauważyła:

- Och, wcale się nie martwię, dziadku - dopóki mamy plan awaryjny.

Hanowi przeszło przez myśl, że może nagle sam wyrobił w sobie jakąś wrażliwość na Moc, bo chociaż uparcie wlepił wzrok w gwiazdy, pojawiające się za iluminatorem statku, kiedy opuszczali atmosferę, to wciąż czuł wpatrzony w niego oczy wnuczki.

- Bo mamy plan awaryjny, prawda? - spytała Allana.

Przełączył napęd na silniki jonowe, a kiedy „Sokół” przyspieszył, otworzył przepustnicę i zapewnił wnuczkę:

- Jasne.

- To dobrze. - Allana milczała przez chwilę, aż w końcu dodała: - A jaki?

Han wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Planami awaryjnymi zajmuje się twoja babcia.

Zanim Allana zaczęła drażnić temat, z głośników popłynął surowy głos oficera kontroli orbitalnej.

- Frachtowiec „Długi Strzał”, złamaliście wszystkie procedury instrukcji opuszczania Coruscant. Proszę się udać do stacji przechwytywania Trill Aurek Papa na inspekcję.

- Ojejku! - zmartwił się natychmiast C-3PO. - Te rozkazy całkiem nam pomieszają szyki! Może jeśli przeproszę i...

- Nawet o tym nie myśl, Elektronowy Mózdzku. - Han uśmiechnął się krzywo, spojrzął na wnuczkę i dodał: - Zabawa dopiero się rozkręca.

Aktywował wyświetlacz taktyczny i skrzywił się - jak zawsze - na widok gęstej siatki punktów oznaczonych jako „Stała placówka”, które natychmiast pojawiły się na ekranie. Wokół płaszcza satelitarnego Coruscant dryfowało tyle stacji, platform i innego rodzaju obiektów, że pilotowanie statku przez warstwy atmosfery było tylko mniej stresujące od nawigowania śmigaczem przez Wielki Korek w godzinach szczytu.

Chwilę później na ekranie między oznaczeniami stacji zaczęły się pojawiać kody transponderów; wszystkie miały kolor niebieski, który oznaczał brak wrogich zamiarów, jako że „Sokół” nie był zaangażowany w żadne manewry z udziałem systemów uzbrojenia. Bez statku kontroli, który byłby odpowiedzialny za koordynację i przesyłanie bieżących raportów sytuacyjnych, R2-D2 mógł tylko wykorzystywać dane z sieci czujników „Sokoła”, co czyniło siłą rzeczy obraz taktyczny sytuacji w przestrzeni kosmicznej w dużej mierze niekompletnym... Mimo to Han szybko dostrzegł, że kilkanaście jednostek cywilnych szykuje się najwyraźniej do opuszczenia terenu, a także fregatę pościgową typu Nargi zamierzającą odciąć „Sokołowi” drogę ucieczki.

Z głośników dobiegł nowy głos, tym razem ostrzejszy i bardziej gniewny:

- Frachtowiec „Długi Strzał”, tu fregata pościgowa Galaktycznego Sojuszu „Szybka Śmierć”. Proszę natychmiast odpowiedzieć albo będziemy zmuszeni podjąć bardziej drastyczne środki.

Han zignorował polecenie i kontynuował lot. Kiedy „Sokół” wszedł w płaszczyznę satelitarną planety, za oknem mignęła im potężna orbitalna platforma obronna KDY. Han lustrował uważnie wyświetlacz, dopóki nie znalazł masywnego pierścienia pobliskiej stacji, po czym naprowadził statek na kurs tak, że obiekt znalazł się między nimi a „Szybką Śmiercią”.

Głos powrócił:

- „Długi Strzał”, zauważyliśmy twój manewr - poinformował. - Zostajesz uznany za jednostkę podejrzaną. Jeśli nie zaprzestaniesz dotychczasowego procederu, zostaniesz aresztowany.

- To może przestańcie joczyć i zacznijcie działać! - parsknął Han.

„Szybka Śmierć” zniknęła „Sokołowi” z wyświetlaczy, kiedy oba statki znalazły się w jednej linii z pierścieniem stacji. Han sprawdził jej kod i zadowoleniem stwierdził, że mają do czynienia z orbitalnym zakładem przetwórczym numer jeden PharmComu. Linie produkcji farmaceutycznej były zazwyczaj w pobliżu, było ich całkiem sporo - i były wystarczająco duże jak dla nich. Teraz musiał tylko ukrywać się za jedną po drugiej, dopóki „Szybka Śmierć” go nie namierzy, żeby potem zniknąć za następną.

Na jego nieszczęście kapitan „Szybkiej Śmierci” okazał się sprytniejszy, niż Han sądził. Kiedy zakład przetwórczy zaczął rosnąć w iluminatorze „Sokoła” - potężna, durastalowa sieć białych pierścieni połączonych dziesiątkami lśniących, żółtych szprych - R2-D2 wydał z siebie serię świergotów. Kiedy Han spojrzął znów na wyświetlacz taktyczny, jego oczom ukazało się kilkanaście przyczajonych na obrębie stacji myśliwców XJ5 ChaseX, najprawdopodobniej

uzbrojonych w najnowsze unieruchamiające torpedy jonowe System Bumer.

- A niech to szlag! - zaklął Han. - Nie dał się nabrać!

- Ojoj, szlag! - zawtórowała mu Allana. - Czy to znaczy, że powinnam zapytać babcię o plan awaryjny?

Han pokręcił głową.

- Jeszcze nie, kochanie. Ciągle jeszcze mamy w zanadrzu kilka sztuczek. - Zrobił „Sokołem” przewrót i nagle widok w iluminatorach zmienił się ze stacji medycznej w mglisty, żółty dysk dziennej strony Coruscant. - Oto sztuczka numer jeden - poinformował wnuczkę. - A teraz może wybierzesz dla nas nowy kod transpondera?

- Jaki zechcę? - ucieszyła się dziewczynka.

- O ile jest na liście - zapewnił ją Solo.

- Tak jest, dziadku! - Allana zaczęła przeglądać na wyświetlaczu propozycje nazw, z przejęcia fikając zwisającymi z fotela nóżkami. Wkrótce ogłosiła: - Już mam!

- Prześlij go teraz szybciu, Artoo - poprosił Han, zawijając w stronę lśniącej bryły luksusowego osiedla. - I powiedz mu, żeby zmienił kod za trzy, dwie...

Blok urósł w iluminatorze frachtowca tak szybko, że Han nagle przestraszył się, że się o niego rozbija. Automatyczny system ochronny obiektu zaczął przesyłać im ostrzeżenie, informujące o konieczności wyhamowania albo zmiany kursu, ale Han je zignorował. Kiedy byli już na tyle blisko, że widzieli w panelach widokowych budynku przerażone twarze, napał na drążek sterowniczy i zanurkował pod bryłą ośrodka.

Chwilę później ich statek wynurzył się z drugiej strony stacji i Han dokończył odliczanie:

- ...jedną!

R2-D2 zaświergotał potwierdzająco, ale zanim Han zdążył sprawdzić wyświetlacz, żeby przeczytać nową nazwę „Sokoła”, planeta w oszalamiającym tempie zaczęła im pędzić na spotkanie. Nie miał czasu do stracenia. Odwrócił „Sokoła” grzbietem w stronę chaseX-ów i zawinął ku drugiej stronie planety.

Kiedy sprawdził wyświetlacz taktyczny, głośno przełknął ślinę. ChaseX-y wciąż siedziały mu na ogonie i szybko się zbliżały. O dziwo, „Szybka Śmierć” została w okolicach stacji i najwyraźniej nie miała zamiaru zawracać sobie głowy trzymaniem „Sokoła” w zasięgu promienia ściąającego.

- A niech mnie! - Han rąbnął otwartą dłoń w drążek sterowniczy. - Mają jeszcze jedną!

- Jedną co? - W głosiku Allany słychać było strach i Han natychmiast pożałował swojego wybuchu. - Jeszcze jedną fregatę, dzieciaku - wyjaśnił wnuczce łagodnie. - To dlatego „Szybka Śmierć” nas nie goni...

- Czy teraz mam już spytać babcię o plan awaryjny?

Han ugryzł się w język, zanim wyrwała mu się poirytowana odpowiedź.

- Jeszcze nie, kochanie - powtórzył, siląc się na spokój. - Dziadek musi po prostu podbić stawkę, to wszystko.

Allana spojrzała na niego podejrzliwie, ale zanim zdołała poprosić o wyjaśnienie, z głośników kabiny rozległ się nowy, szorstki głos:

- Nikogo nie oszukasz, „Gwiezdna Księżniczko”. Wiemy, kim jesteś.

Han skrzywił się i zerknął na Allanę.

- Wybrałaś „Gwiezdną Księżniczkę”?

- Powiedziałaś, że mogę wybrać, co zechcę - przypomniała mu mała. - A „Gwiezdna Księżniczka” brzmi pięknie...

- Sądzę, że to bardzo mądry wybór, panienko Allano - włączył się do dyskusji C-3PO. - Z analizy statystycznej wynika, że szanse na otwarcie ognia do statku przez patrol planetarny są o trzydzieści cztery procent niższe, jeśli jednostka ma wdzięczną i miło kojarzącą się nazwę.

Allana wyszczerzyła ząbki w szerokim uśmiechu i posłała Hanowi triumfalne spojrzenie, jednak zanim zdążyła coś powiedzieć, znów ubiegł ją szorstki głos:

- To ostatnie ostrzeżenie, „Gwiezdna Księżniczko”... czy jak tam chcesz być nazywany, kapitanie Solo.

R2-D2 zagwizdał alarmująco i na pokładzie „Sokoła” nagle rozwyły się alarmy.

- Zawróć - polecił głos surowo - albo na tej balii nie zostanie ani jeden sprawny system.

- Co za barbarzyńcy! - oburzył się C-3PO. - Chyba nie mamy wyboru, kapitanie Solo. Jeśli nie spełni pan ich żądania, Artoo i ja będziemy...

- Po moim trupie, Threepio - zapewnił go Han i spojrział na wnuczkę. - Czy udałoby ci się znaleźć znów Sabę w Mocy, czy powinienem poprosić Wilyema, żeby...

- Jestem drugim pilotem! - poinformowała go Allana. - Znajdę ją.

- No to do dzieła. - Han przeniósł wzrok na wyświetlacz taktyczny. Niestrudzona fregata leciała na nich kursem kolizyjnym, a chaseX-y roily się wokół, zacieśniając krąg. - I powiedz jej, że im wcześniej, tym lepiej.

Allana ściągnęła brewki.

- Nie mogę jej nic powiedzieć, dziadku - powiedziała z naciskiem. - Moc to nie komunikator. - Zamknęła oczy i zaczęła się koncentrować. - Spędzając tyle czasu z babcią powinieneś już się tego nauczyć - zganiała go.

Han uśmiechnął się do niej ciepło.

- Chyba tak. - Aktywował swój mikrofon interkomu i wywołał Barabelki: - Dordi, Zal, czas na mały bluff. Przygotujcie działka i komputery celownicze.

- Możemy już ssstrzelać? - spytała Zal. A może to była Dordi? Han nie umiałby osądzić.

- Nie! - zaprotestował. - Żadnego strzelania! Poszalałyście? Mam na pokładzie Amelię!

- A więc to ona będzie ssstrzelać? - Spytała Dordi. Albo Zal.

- Nikt nie będzie strzelać! - warknął poirytowany Han. - Hm, no może poza Wilyemem. Ale i tobie nie wolno nic robić bez mojego wyraźnego rozkazu... I nie możesz w nic trafić - dodał pod adresem samca. - Czy to jasne?

- Jasssne... że w coś trafię - zasyczał radośnie Wilyem. - Jesstem Jedi. Głośniki wypełnił syczący, chóralny rechot.

Zanim jednak Han zdołał przywołać swoich strzelców do porządku, śmiech zagłuszył bezgranicznie poirytowany głos dowódcy grupy zadaniowej:

- Dowódca „Bliskiego Końca” do „Gwiazdnej Księżniczki”... czy jak tam się teraz nazywacie. Czyś ty postradał *kriffolony* rozum, Solo?

Krzywiąc się na dźwięk przekleństw, które na pewno nie umknęły uwagi Allany, Han polecił wnuczce gestem zatkać uszy.

- To nie jest już śmieszne, kapitanie - dodał dowódca. - Moi oficerowie czujnikowi donoszą, że aktywował pan działka laserowe. Słyszymy też alarmy namierzające. A jeśli usłyszymy, że wasze komory pocisków... - Głos dowódcy zagłuszyły zaskoczone krzyki kilkunastu pilotów chaseX-ów - mieszanka przekleństw i zgłoszeń statusów.

- Cel! Cel!

- Mam kogoś na szóstej!

- Co u *stang*?! - wyrwało się któremuś. - Mamy... wycofać się! Stealthy!

W nagłej ciszy, która nastąpiła, Han aktywował znów interkom.

- Jak tylko będziesz gotów, Wilyem - powiedział. - I nie...

- ...trafić w nic, wiem. On... - Słowa Barabela zagłuszył rozwścieczony głos dowódcy płynący z głośników:

- Kapitanie Solo? Proszę, niech mi pan powie, że te stealthX-y Jedi nie biorą na cel Eskadry Piorunów...

Han zerknął na wyświetlacz taktyczny; wyglądało na to, że zmyłka ze stealthX-ami poszła zgodnie z planem. „Szybka Śmierć” wreszcie oderwała się od stacji; przyspieszając, minęła zakłady PharmComu, żeby ochraniać eskadrę myśliwców. Cóż, przyszedł czas nieco zluzować. Han otworzył kanał.

- Eee, stealthX-y? - Obejrzał się na Allanę i mrugnął do niej szelmowsko, a potem dał znak, żeby połączyła się poprzez Moc z Leią: zacisnęła oczy i zamarkował aktywację miecza świetlnego. - Jakie StealtX-y, dowódco? Jedynymi myśliwcami w okolicy są pańskie... - zagłuszyło go wycie alarmów namierzających, po którym „Sokołem” szarpnęło gwałtownie, kiedy jedna z torped

protonowych, które Wilyem właśnie wyrzucił z komory na rufie, wybuchła parę kilometrów za nimi. Trzymając jedną rękę na drążku, a drugą szorując po mikrofonie, Han posłał „Sokoła” korkociągiem w stronę „Bliskiego Końca”. Wiedział, że podczas tego szaleńczego lotu ze zmodyfikowanego przedziału kapsuły ratunkowej buchną płomień i strumień atmosfery, które dla obserwatorów i czujników będą wyglądały, jakby „Sokół” został fatalnie uszkodzony.

- Solo! - wrzasnął dowódca. - Co się z wami, u licha, dzieje?

- To ty mi powiedz! - Odkrzyknął Han. Otworzył kanał awaryjny i dodał: - Jeden z twoich pachołów właśnie wpakował nam w tyłek torpedę protonową! Tu „Sokół Millennium”, powtarzam: tu „Sokół”. Zgłaszam sytuację awaryjną i brak kontroli nad statkiem!

Zgłaszanie fałszywego sygnału awaryjnego było jedną z rzeczy, których nigdy nie dopuściłby się porządny pilot. Już wkrótce załogi wszystkich stacji ratunkowych po tej stronie planety będą postawione w stan gotowości, a statki ściągające będą grzać silniki jonowe. Jednak jeśli chodziło o Hana, to jego zdaniem zabranie Bazela i reszty szalonych Rycerzy Jedi z Coruscant było sytuacją awaryjną - a Daala nie zostawiała im wyboru.

Chociaż „Sokół” nieprzerwanie nurkował korkociągiem na łeb, na szyję, dowódca grupy zadaniowej wciąż sprawiał wrażenie podejrzliwego. Smukły, błękitnawy pancierz „Bliskiego Końca” nabral już w przednim iluminatorze rozmiarów kciuka, ale najwyraźniej przestał się poruszać.

Han obejrzał się na wnuczkę i zobaczył, że małej prawie wyszły z orbit oczy. Buzię miała szeroko otwartą i chociaż starała się nie okazywać strachu, sądząc po bladych policzkach, sądziła, że pewnie się zaraz rozbiją.

A co, jeśli rzeczywiście tak się stanie? - przyszło Hanowi do głowy. Nigdy by sobie tego nie wybaczył. Teraz jednak musiał się skupić na utrzymaniu kursu... i sprawieniu, żeby zrozumiała. Zamknął na chwilę kanał łączności.

- Cwana gapa z niego, co? - powiedział, starając się brzmieć możliwie jak najbardziej beztrzesko.

Allana pokiwała główką.

- Czy pozwoli, żebyśmy się z nim zderzyli? - spytała.

- Nie wiem - odparł Han. - Jak sądzisz?

Allana zastanawiała się przez chwilę. Wreszcie wzduszyła ramionami.

- Kto wie?

- No cóż, w takim razie musimy się dowiedzieć, kim jest, co?

Mała wbiła wzrok na wirujący kształt za iluminatorem, przyglądając się bez słowa, jak rośnie do wielkości ramienia Wookiego. Wreszcie oderwała od niego spojrzenie i popatrzyła poważnie na dziadka.

- Serio? - spytała.

- Pewnie! - Han posłał jej pokrzepiający uśmiech, chociaż nie czuł się do końca pewnie. - Takiego kogoś lepiej dwa razy nie wkurzać. - Otworzył znów kanał awaryjny i zaczął krzyczeć do mikrofonu: - „Bliski Koniec”? Usuńcie się! Straciliśmy kontrolę nad statkiem! Powtarzam: ruszcie się! Natychmiast!

Teraz fregata dorównała już wielkością wzrostowi dorosłego Wookiego. Jej rufa i dziób raz po raz znikwały im z oczu, podczas gdy „Sokół” wirował w szalonym pędzie. Mimo to w głosie dowódcy, kiedy się odezwał, nie było nawet śladu paniki.

- Solo, to mi wygląda na jakąś sztuczkę - zaczął spokojnie. - Jeśli sądzisz, że...

- Sztuczkę? - jęknął Han z najświętszym oburzeniem. - Wydaje ci się, że próbowałbym czegoś głupiego z Amelią na pokładzie?

- Masz na pokładzie córkę? - Dowódca milczał przez chwilę, wyraźnie skonsternowany. Tak jak niemal cała galaktyka, nie miał pojęcia o prawdziwej tożsamości Allany, przeświadczony, że dziewczynka to Amelia, sierota wojenna i adoptowana córka małżeństwa Solo. - Chyba nie spodziewasz się, że uwie...

Allana szybko załapała, co powinna zrobić. Nie czekając, aż dowódca skończy, wydała z siebie mrozący krew w żyłach krzyk:

- Tatusiu! Jesteśmy zgubieni!

- Cieszę się, że panienka to zauważyła, panienko Amelio - skomentował C-3PO. - Kapitan Solo nigdy mi nie...

- A niech cię, Solo! - zagłuszył jego skargi dowódca. - Trzymajcie się, zaraz się stąd zabieramy!

I rzeczywiście - fregata szybko usunęła im się z drogi. W samą porę. „Sokół” minął ją o jakieś sto metrów - tak blisko, że wyziewy z jej wielkich silników jonowych produkcji koncernu Slayn & Korpil wprawiły ich w serię niekontrolowanych obrotów i odepchnęły od planety.

Allana krzyknęła znowu - tym razem jeszcze bardziej przekonująco niż poprzednio, a C-3PO zaczął znów wieścić ich rychłą zagładę. Han ledwie zacisnął odrobinę mocniej zęby. Zdecydowany nie dopuścić, żeby ta lekcja stała się dla Allany koszmarem, który będzie ją prześladował w snach, Han zmełł w ustach serię wyjątkowo niecenzuralnych przekleństw i postarał się odzyskać kontrolę nad statkiem.

- Kilka minut zajmie nam przechwycenie was na waszej obecnej trajektorii - poinformował dowódca „Końca” - ale jestem pewien, że wyjdziecie z tego bez szwanku. Przygotowujemy się już do wysłania skifów ratunkowych.

- Eee, dzięki - bąknął Han. - Przesunął dźwignę na środek i zaczął ustawiać płaty stateczników w neutralnym położeniu, a potem zerknął na Allanę. Dziewczynka przyglądała mu się z szerokim uśmiechem. „Babcia”? - wymówił bezgłośnie i mała podniosła oba kciuki do góry w niemych potwierdzeniu. Wtedy Han zabrał się do wyprowadzania „Sokoła” z karkołomnego korkociągu. - Doceniamy waszą pomoc - dodał pod adresem dowódcy fregaty - ale chyba nasza ekipa kontroli zniszczeń zaczyna ogarniać ten bałagan.

- Wasza ekipa kontroli...? - Powtórzył podejrzliwie dowódca. - Han czekał kilka sekund, aż jego rozmówca dokończy, ale ostatecznie wzruszył ramionami i zaczął wprowadzać współrzędne skoku do punktu, w którym spotka się z Leią. Wreszcie, kiedy komputer nawigacyjny zapiszczał, meldując gotowość, dowódca znów się zgłosił: - Zanim pan zwinie manatki, kapitanie Solo, chciałbym panu zadać jedno pytanie.

- Proszę się nie krepować. - Han obrócił „Sokoła”, ustawiając go na właściwym kursie i zaczął przyspieszać do skoku. - Co takiego chciałby pan wiedzieć?

- Nie macie żadnych chorych Jedi na pokładzie, prawda?

- Miałbym przewozić szaleńców? - obruszył się Han. - Z Amelią na pokładzie? Musiałbym sam w pierw oszaleć.

- Szczerze powiedziawszy, kapitanie Solo, przeszło mi to przez myśl - wyznał dowódca.

- Nie wątpię. - Han wyszczerzył zęby w szelmowskim uśmiechu. - Ale mówię poważnie. Nie mam ich na pokładzie. Zabrałem po prostu córę na małą przejażdżkę.

- Musi być naprawdę spragniona wrażeń - skwitował kwaśno dowódca. - Przypuszczam, że dostarczył jej pan aż nadto jak na jeden dzień?

Han obejrzał się na wnuczkę, która pokiwała entuzjastycznie głową.

- Na to wygląda - odparł. - Proszę mnie posłuchać: już nas tu nie ma, ale czy mógłbym panu zadać jedno pytanie?

- Nie widzę przeciwwskazań.

Han znów spojrzął na Allanę i znów mrugnął.

- Z kim mam przyjemność?

Dowódca milczał tak długo, że Han zaczął podejrzewać go o granie na zwłokę i próbę podstępu.

Wreszcie oficer spytał:

- A dlaczego chce pan to wiedzieć?

- Nic takiego - stwierdził beztrząsanie Han. - Chciałbym po prostu wiedzieć, komu mam wysłać podziękowania.

Jego uwaga w najmniejszym stopniu nie rozbawiła rozmówcy.

- To może zaczeka pan, żeby przekazać mi je osobiście? - spytał oziębło. - Wkrótce znów się spotkamy, kapitanie Solo. Jestem tego absolutnie pewien. - Dowódca zakończył rozmowę,

pozostawiając Hana z dziwnym wrażeniem, że do długiej listy jego wrogów właśnie dołączył kolejny. Cóż, właściwie dobrze było wiedzieć, że wciąż jest na tyle młody, żeby ich sobie przysparzać. Wzruszył ramionami i przeniósł wzrok na Allanę.

- Jak tam u babci? - spytał.

- Jest w drodze - zameldowała mała. - Czas ruszać na Shedu Maad.

Han uśmiechnął się i poszukał wzrokiem R2-D2.

- Jak nasze współrzędne skoku? Gotowe?

Droid zaświergotał potwierdzająco.

- Świetnie - uznał Han. Spojrzał na Allanę i skinął głową w stronę kontrolek. - Nie krępuj się, dziecińko.

Oczy Allany zrobiły się wielkie jak spodki, ale pochyliła się posłusznie i pchnęła dźwignię. Tym razem wszystko zadziało i gwiazdy zmieniły się w świetliste smugi.

ROZDZIAŁ 24

Ahri Raas miał umrzeć i Vestara wiedziała, że jego śmierć złamie jej serce.

Leżał tuż obok niej przez cały ranek, w ich zwykłym miejscu na brzegu rzeki, ale ani razu nie spojrzał w jej stronę. Zważywszy na fakt, że była naga i jak bardzo próbował od wczoraj zachowywać się normalnie, jego zachowanie powiedziało jej wszystko, co chciała wiedzieć. Yuvar Xal zamierzał wystąpić przeciwko Lady Rhei - i to wkrótce.

Jeśli dojdzie do bitwy - a Vestara nie miała co do tego złudzeń - poniosą ogromne straty. Przy życiu pozostało tylko piętnastu członków załogi „Niestrudzonego Pogromcy”, a nawet krótka walka o władzę zredukuje tę liczbę co najmniej o połowę. Nie zostanie ich nawet tyle, żeby potrzebowali przywódcy, pomyślała gorzko. Niestety, ta porośnięta drapieżną roślinnością planeta podkopała pozycję Lady Rhei w ich grupie z tą samą skutecznością, z jaką rozprawiła się z całą ich ekspedycją. Xal wreszcie zwietrzył szansę na jej obalenie - a kiedy Sith wyczuł słabość, atakował bez namysłu. Byli jak kłokwiecie - zawsze spragnieni krwi.

- Ves, czy kiedykolwiek się nad tym zastanawiałaś? - spytał Ahri. Jego głos był nieco stłumiony i słaby, bo patrzył w drugą stronę. - To znaczy, dlaczego Statek wybrał akurat ciebie?

- Nie wiem. - Więc Vestary ze Statkiem była jednym z czynników przemawiających na niekorzyść Xala, bo jeśli chcieli jakoś się wydostać z tej planety, to tylko Statkiem - a do tego musieli wypełnić ich misję i go odzyskać. - Pewnie dzięki mojemu nieodpartemu urokowi - odparła zalotnie.

Ahri zachichotał, ale jego śmiech brzmiał nieszczerze.

Vestara sięgnęła do pasa z bronią, leżącego na stosie jej ubrań. Uznała, że najlepiej będzie użyć paranga, bo był stosunkowo cichą bronią. Poza tym, w przeciwieństwie do *shikkara*, śmierć od jego ostrza nie oznaczała braku szacunku ani nienawiści.

- Mówię poważnie, Ves - powiedział Ahri. - Sądzisz, że udałoby ci się jakoś znów zapanować nad Statkiem?

- Jasne - skłamała gładko. - Jeśli zdołasz go znaleźć, bez trudu go oblaskawię.

Vestara wiedziała, dlaczego jej przyjaciel ją o to pyta. Gdyby przyznała mu się, że nie potrafi już rozkazywać Statkowi, tak samo jak inni, pozycja Lady Rhei ległaby w gruzach. W ciągu ostatnich kilku tygodni cała załoga „Niestrudzonego Pogromcy” została powoli zredukowana podczas paru prób wyśledzenia Statku. Dwie z tych misji skończyły się zniszczeniem promów, a wskutek kolejnej porażki „Pogromca” wrócił na orbitę z jednym pilotem i ostatnim promem na pokładzie.

Tego samego wieczoru Abeloth stwierdziła, że nigdy nie uda im się schwytać Statku i oznajmiła im, że czas opuścić planetę. Lady Rhea natychmiast rozkazała ostatniemu pilotowi wrócić i odnaleźć ekipę poszukiwawczą. Niestety, prom wylądował niefortunnie na skamieniałym skorupie lawowej i ledwie pilot zdołał opuścić rampę, powierzchnia pękła i statek zaczął się zapadać. Co prawda pilot zdołał się uratować, ale sam prom spadł tysiąc metrów niżej, prosto w

jezioro magmy. Tak oto zostali pozbawieni ostatniego środka transportu.

Minęła dobra chwila, zanim Ahri znów się odezwał:

- No dobra, to udowodnij - zażądał.

- Udowodnić co? - Vestara od razu się zorientowała, że poważnie zlekceważyła przebiegłość swojego przyjaciela i przeceniła swoją zdolność do odczytywania aur w Mocy. Wyciągnęła parang z pochwy i przetoczyła się w stronę Ahriego... który leżał podparty jakby nigdy nic na łokciu, spoglądając w przeciwną stronę. Powoli podniósł pięknie wyrzeźbione ramię, teraz tak mocno spieczone przez błękitne słońce, że wydawało się niemal szafirowe, i wskazał na dolinę rzeki.

- Czy to aby nie Statek? - spytał.

Żeby zobaczyć, na co pokazuje jej przyjaciel, Vestara musiała usiąść. Zanim opuściła parang w śmiertelnym ciosie, zorientowała się, jak bardzo się myli. Ahri nie próbował jej oszukać. W miejscu, które wskazywał, nisko nad rzeką wisiała skrzydlata sylwetka; poruszała się tak szybko, że w mgnieniu oka z rozmiaru paznokcia urosła do wielkości pięści.

- No i jak? - ponowił pytanie Keshiri. - Odwrócił się w stronę przyjaciółki i kiedy zobaczył broń w jej dłoni wybałuszył na nią oczy i skoczył błyskawicznie równo nogi - tak szybko, że przez chwilę Ves bała się, że będzie zmuszona go zabić tylko po to, żeby go uciszyć. - *Sheesta, Ves!* - wykrztusił. Zachwiał się i cofnął kilka kroków, szukając wzrokiem swojego ubrania i przywołując do ręki pas z bronią. - Co ty wyprawiasz? Chcesz mnie zabić?

- Ależ skąd - odparła spokojnie Vestara. Sięgnęła znów Mocą po swój własny pas i wsunęła parang z powrotem do pochwy. - Wydawało mi się po prostu, że zobaczyłam węzorośl. Od czasu, kiedy ta wiroteczka próbowała wykończyć mnie i Lady Rheę, nie ufam zdolności Abeloth do ochrony nas przed tymi żarłocznymi chwastami.

Ahri rozejrzał się po piaszczystej plaży. W promieniu dziesięciu metrów nie było śladu roślinności.

- Eee, no tak - bąknął, ale cofnął się jeszcze o krok, a potem przywołał Mocą swoje szaty i się ubrał. - Chyba będzie lepiej, jak wrócimy do Abeloth i Mistrza Xala. Skoro nie możesz przywołać Statku, może oni...

- Oni też nie zdołają go sobie podporządkować - przerwała mu bezceremonialnie Vestara. - Mogę się o to z tobą założyć.

Ubrała się i odwróciła na pięcie, kierując w stronę wielkich drendeków, wygrzewających na plaży potężne, zielone skrzydła. Ahri deptał jej po piętach, cały czas starając się nie odsłaniać i nie narażać się na potencjalny atak. Vestara miała nadzieję, że takie zachowanie świadczy bardziej o jego gniewie niż strachu. W tym pierwszym przypadku pewnie szybko mu przejdzie, a wtedy będą mogli trzymać się razem, dopóki nie zacznie się prawdziwa rzeź. Gdyby jednak się myliła i Ahri się jej rzeczywiście bał, ich przyjaźń była skończona - a Ves była zbyt dobrze wyszkolona, żeby pozwolić sobie na przebywanie w towarzystwie Sitha, który się jej bał.

Zanim dotarli do miejsca, w którym zazwyczaj rezydowała Abeloth, wokół niego zgromadziła się już reszta załogi „Pogromcy”. Baad Walusari i dwóch pozostałych przy życiu keshirskich oficerów trzymała się nieco z dala od Lady Rhei. Cała reszta - włącznie z Yuvarem Xalem stała u stóp zajmowanego przez Abeloth pagórka. Oczy wszystkich były utkwione w unoszącym się nad rzeką Statku. Patrzyli na sferę medytacyjną z mieszanką nabożnego strachu i nadziei.

W stężonych rysach twarzy Xala Vestara dostrzegła determinację. Chociaż nagłe pojawienie się Statku musiało być dla niego w tej chwili frustrujące, na pierwszy rzut oka było też widać, że teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem jest zdecydowany na posunięcie przeciwko Lady Rhei. Vestara natychmiast zdała sobie sprawę, że ta chwila to jej ostatnia szansa na zapobieżenie ostatecznemu starciu; podeszła bliżej i odwróciła się w stronę rzeki.

Statek zdawał się kierować prosto na nich - czerwono żyłkowana sfera o średnicy około dziesięciu metrów i zwodniczo delikatnych skrzydłach podniesionych niemal do pionu. Kiedy zwalniał, podchodząc do lądowania, Vestara przywołała go w Mocy:

Statku, chodź do mnie.

Wydawało się, że jej prośba go rozbawiła.

Czy nie wyjaśniliśmy sobie tego wcześniej? - spytał.

Teraz jest inaczej, wyjaśniła mu z mocą Vestara. *Nawet jeśli słuchasz Abeloth, wciąż służysz Sithom. Chodź do mnie... i służ nam. Albo idź do Xala i zniszcz nas wszystkich.*

Statek zwolnił, ale nie odwrócił się w jej stronę. Dziewczyna poczuła na sobie spojrzenia niemal wszystkich członków załogi jej statku. Czujna i świadoma możliwości potencjalnego ataku, przesunęła ciężar ciała na jedną nogę, żeby mieć w polu widzenia Ahriego i Xala. Kątem oka dostrzegła, jak upiorna twarz Abeloth zwraca się w jej stronę; szerokie usta były zaciśnięte w okrutnym grymasie, a małe, lśniąco-czarna oczy świdrowały ją bezlitośnie.

Zadrzała i odwróciła wzrok. Nagle miała wrażenie, że jakkolwiek wysiłek zapobieżenia nadchodzącej walce, a nawet przetrwania jej, nie jest wart zachodu. Czy zwycięży Lady Rhea, czy Xal, byli zgubieni. Wszyscy byli zabawkami w rękach Abeloth, sterowanymi przez nią lalkami - tak długo, jak długo chciała ich trzymać przy życiu; bez niej nie mieli szans przetrwać na tej planecie, podobnie jak keshirski kanakal nie mógł przeżyć poza swoją klatką. Vestara, Ahri, a nawet Xal i Lady Rhea - wszyscy mieli tu umrzeć, a czy zginą pożarci przez drapieżne rośliny, czy powyrzynają się nawzajem, nie miało zbyt wielkiego znaczenia.

Ves boleśnie zdawała sobie z tego sprawę i wiedziała, że jej wysiłki w najlepszym razie zapewnią im tylko kilka dodatkowych dni... wypełnionych cierpieniem i rozpaczą. Mimo to nie zamierzała się poddać. Będzie walczyć do ostatniego tchu; zanim sama zginie, pozbawi życia tylu przeciwników, ilu zdoła - chociażby dla samej dumy... bo w tej sytuacji jedynym wyborem, jaki jej pozostał, była decyzja o tym, jak zginie - a ona zamierzała zachować godność do samego końca.

Statek zwolnił teraz tak bardzo, że nie tyle leciał, ale dryfował nad środkiem szkarłatnego nurtu, najwyraźniej rozdarty między koniecznością dochowania jej wierności a chęcią poszybowania w dal. Vestara wyciągnęła rękę, sięgnęła ku niemu i z całą mocą, na jaką było ją stać rozkazała:

Chodź do mnie! Teraz!

I Statek jej posłuchał.

Nim zdążyła nabrać tchu, był tuż przed nią, nagle tak wielki, że przez chwilę Vestara myślała, że zamierza ją staranować. Mimo to nie ruszyła się ani o krok i zmusiła do wytrwania w miejscu; jeśli teraz miała umrzeć, nie chciała ginać jako tchórz.

Statek jednak nie mógł zabić Sitha, podobnie jak nie potrafił oprzeć się imponującej sile jej woli. Zatrzymał się kilka metrów od niej i wisiał w powietrzu, czekając na dalsze rozkazy. Jego iluminator w kształcie oka był zwrócony nie w jej stronę, tylko ku Abeloth.

Vestara uznała, że nie ma nic do stracenia.

Otwórz się, rozkazała.

Statek znów emanował lekkim rozbawieniem.

Jak sobie życzysz, odpowiedział i w jego boku ukazała się pozioma szpara, z której wysunęła się krótka rampa. Wszystko szło jak z płatka - za gładko, żeby w Vestarze nie zakiełkowało ziarno podejrzliwości. Wszystko to mogło być kolejnym podstępem Abeloth - tym okrutniejszym, że ofiarował wybawienie od pewnej i bolesnej śmierci.

Reszta załogi była bez dwóch zdań tak samo zaszokowana jak Vestara, chociaż pewnie nie tak podejrzliwa. Przez chwilę, która wydawała się uczennicy Sithów wiecznością, stali, zapatrzeni na opuszczoną rampę statku, z otwartymi ustami, całkiem jakby nie mogli pojąć, że wolność jest w ich zasięgu.

Jak zwykle to Lady Rhea najszybciej się pozbierała. Odwróciła się do Vestary i spojrzała na nią twardo.

- Rychło w czas, Vestaro - powiedziała. - Już zaczynałam się martwić, że Mistrz Xal może mieć rację, podając w wątpliwość twoją zdolność do utrzymania więzi ze Statkiem. - Gestem nakazała popiecznikom Xala skierować się w stronę rampy, a potem sama ruszyła w jej kierunku. - Nie stójcie jak na defiladzie - ofuknęła ich. - Do Statku. Pójdę za wami.

Członkom wrogiej frakcji nie trzeba było dwa razy powtarzać; posłusznie ustawili się w ogonku i ruszyli do Statku, pospiesznie, ale nie biegiem. Tuż za nimi podreptał Baad Walusari i

jego keshirscy pobratymcy, którzy także nie stracili w nią wiary. Jedyne Xal i Ahri nie ruszyli się z miejsc, otwarcie gapiąc się na Vestarę i pałając słusznym gniewem; przyjaciel Ves miał minę, jakby lada chwila spodziewał się otrzymać najgorsze lanie w swoim życiu.

Lady Rhea uśmiechnęła się do Mistrza Xala złośliwie, wkładając w ten uśmiech obietnicę długiej, bolesnej śmierci, po czym spojrzała na Abeloth.

- Wsiadaj na pokład, Abeloth - powiedziała nieznośnym sprzeciwu tonem. - Wkrótce dotrzemy na pokład „Niestrudzonego Pogromcy”, gdzie nie będzie już tak tłoczno. Masz na to moje słowo.

Abeloth odpowiedziała jej uśmiechem tak makabrycznym, że Vestara była pewna, że gdyby Xal i Ahri wiedzieli jej prawdziwą naturę, tak jak ona, skrzyłoby ich z obrzydzenia.

- Z chęcią dołączę do was na pokładzie „Niestrudzonego Wędrowca” - poinformowała ją. - Jak tylko pojmiemy Luke’a Skywalkera i jego syna, Bena.

Moc aż zawrzała od zaskoczenia i konsternacji.

- Luke’a Skywalkera? - powtórzyła Rhea.

Abeloth przytaknęła.

- I Bena - uściśliła, a potem odwróciła się do Xala i dodała: - Czy to nie z tą misją zostaliście tu wysłani, Lordzie Xalu?

Xal zbladł; bezpodstawne używanie tytułu Lorda oznaczało w szeregach Sithów wyrok śmierci.

- Nn... nigdy nie twierdziłem, że jestem Lordem. - Spojrzał nerwowo w stronę Lady Rhei, najwyraźniej chcąc się przekonać, czy Lady Rhea wykorzysta nieporozumienie, żeby go wyeliminować. - Nie jestem Lordem - dodał wyjaśniającym tonem.

- Ale będziesz - stwierdziła Abeloth, zatrzymując się u jego boku. - Kiedy powrócicie na Kesh z Lukiem i Benem Skywalkerami jako jeńcami.

- Celem naszej misji było uśmiercić Skywalkerów, nie ich pojmać - sprostowała chłodno Lady Rhea. - Jednak to zadanie zeszło na dalszy plan w obliczu konieczności odzyskania Statku.

Oczy Abeloth załśniły od gniewu.

- Ale teraz odzyskaliście Statek, czy nie? - wypluła.

Wyraźnie rozdrażniona sugestią Abeloth, Lady Rhea skinęła głową.

- Świetnie - skwitowała Abeloth. - W takim razie wypełniliście waszą misję. - Głęboko osadzone oczy załśniły niebezpiecznie. - Więc teraz Statek pomoże wam wypełnić wasze nowe zadanie. Wyobraźcie sobie tylko, jak zachwycony będzie wasz Krąg Lordów, kiedy wrócicie ze Statkiem i Skywalkerami!

- Zakładając, że pomożesz nam ich kontrolować - odparła prowokująco Lady Rhea. - W przeciwnym razie obawiam się, że Krąg Lordów nie będzie zbyt zadowolony ze sprowadzenia ich do ostatniego bastionu Imperium Sithów.

- Oczywiście, że wam pomogę - uspokoiła ją słodkim głosem Abeloth. - Czy naprawdę sądzisz, że mam ochotę utknąć tu na zawsze?

Aurę Lady Rhei przesyciła nuta triumfu i do Vestary dotarło, że jej Mistrzynie wciąż nie zdaje sobie sprawy z tego, że ta przedziwna istota z nią igrza. Ale i dlaczego nagle miałoby to jej przyjść do głowy? Vestara setki razy próbowała ostrzec ją o tym, że Abeloth jest kimś więcej niż osobą, za którą ją biorą - i za każdym razem przegrywała. Cóż chyba nie zostało jej nic innego jak tylko pogodzić się z tym, że nikt inny nie dostrzegał prawdziwej natury ich towarzyski.

Abeloth nie była rozbitkiem ani kobietą zostawioną na tej obmierzłej planecie na pastwę losu przez trzydzieści lat. Była kimś więcej - manifestacją starożytnych mocy tak mrocznych i odrażających, że nie mieściły się w granicach ludzkiego pojmowania. Jak Lady Rhea mogła się oprzeć takiej potędze? Jak ktokolwiek mógł próbować z nią walczyć? Jedyne powodem, dla którego Vestara jeszcze żyła - nie miała co do tego złudzeń - był fakt, że Abeloth bawi obserwowanie jej walki o zachowanie zdrowych zmysłów.

Abeloth spojrzała na Vestarę, przyprawiając ją o lodowaty dreszcz, po czym jakby nigdy nic położyła palcopodobne macki na ramieniu Xala.

- Porozmawiamy o tym, Lordzie Xal - zaproponowała przyjaźnie, a potem gestem odprawiła

Ahriego i odwołała Sitha na drugą stronę Statku. Wyczuwszy najwyraźniej rosnący gniew Rhei, zatrzymała się, obejrzała przez ramię i zapytała: - A jak będą tytułować ciebie, Lady Rheo, kiedy zasiądziesz w Kręgu? Czy nie Lady Rhea, Najwyższą Lady Sithów?

Gniew Rhei znikł jak ręką odjął. Skłoniła lekko głowę, a jej twarz rozjaśnił promienny uśmiech.

- Zgadza się, właśnie tak - potwierdziła. - Jeśli zostanę wybrana...

Oczy Abeloth zaślniły pewnością.

- Zostaniesz, Najwyższa Lady. Nie mam żadnych wątpliwości. - Z tymi słowami odwróciła się i powiodła Xala za Statek. Vestara odczekała, aż znikną jej z oczu, a potem poszukała wzrokiem Mistrzynie i kiwnęła głową w przeciwnym kierunku. Kiedy Lady potwierdziła, że rozumie jej intencje, Ves podjęła marsz, jednocześnie kierując swój szept Mocą do uszu Mistrzynie.

- Wiesz, że Abeloth zastawia na nas kolejną pułapkę, prawda?

- Nie powiedziałabym, że to pułapka - odparła spokojnie Lady Rhea. Chociaż jej słowa były ledwie słyszalne, rozbrzmiewały w umyśle dziewczyny wyraźnie i czysto. - Abeloth po prostu namawia Xala, żeby został jej szpiegiem. Chce mieć pewność, że nie wrócę do naszych pierwotnych planów i nie zadowolę się samym tylko schwytaniem Statku. Pragnie powrócić na Kesh z wyjątkowym podarkiem: Skywalkerami w roli niewolników.

Vestara pokręciła zdecydowanie głową.

- Nie lecimy na Kesh - zaprotestowała. - A przynajmniej Abeloth nie ma takiego zamiaru. Czy nie widzisz? Robi wszystko, co w jej mocy, żeby nas tu zatrzymać!

- Bo nie udało jej się jeszcze zwabić ich w wybrane miejsce - upierała się Rhea. - A teraz, kiedy ma już w zasięgu swój podarunek...

Vestara zawirowała, w ruchu wyciągając z pochwy u pasa parang, a drugą ręką biorąc zamach i wymierzając swojej Mistrzynie siarczasty policzek - tak szybko, że Rhea nie zdążyła zareagować.

- Nie! - warknęła przy tym. - Myśl, kobieto! Ile straciliśmy promów?

W zielonych oczach Lady Rhei zaślniła lodowata wściekłość.

- Właśnie zrobiłaś coś, czego uczniowie nie mają okazji powtórzyć drugi raz - wycodziła przez zaciśnięte zęby i sięgnęła do miecza, ale Vestara była na to przygotowana. W chwili, kiedy palce jej Mistrzynie dotknęły rękojeści, ostrze jej paranga naparło niebezpiecznie na nadgarstek Rhei.

- Zanim to zrobisz, daj mi proszę dwie minuty. Nie więcej - syknęła. - Odpowiedz mi tylko na trzy pytania. Potem będziesz mnie mogła zabić - jak ci się żywnie spodoba. Ile straciliśmy promów? - powtórzyła twardo.

- Niech będzie i tak. - Lady Rhea rozwarła dłoń, ale nie cofnęła jej od rękojeści. -

Wszystkie.

- A ilu członków załogi mamy na „Pogromcy”? - indagowała Vestara.

W oczach Lady Rhei znów błysnął chłód. Przez chwilę milczała.

- Żadnego.

- Ostatnie pytanie. - Vestara odjęła parang od nadgarstka Lady. - Czy gdybyś była przy zdrowych zmysłach, popełniłabyś takie karygodne błędy?

Rhea wciąż piorunowała ją wzrokiem, ale oprócz wściekłości Vestara dostrzegła w jej oczach także ślad zrozumienia. Powoli odstąpiła i schowała swój parang, a potem uklękła przed Mistrzynią i pochyliła głowę.

Nie była specjalnie zaskoczona, kiedy minęło parę sekund, a ona wciąż żyła. Olaris Rhei można było zarzucić wiele, ale na pewno nie lekkomyślność i marnotrawstwo. Mimo to Ves trwała tak, klęcząc i grając rolę uległej uczennicy, dopóki Lady Rhea nie uznała, że czas położyć kres tej maskaradzie.

- Powstań, Vestaro - nakazała. - Obie wiemy, że nie zabiję zdolnej uczennicy z powodu naruszenia kilku błahych zasad.

Vestara wstała.

- Dziękuję, o pani.

- Jeśli jednak kiedykolwiek przyjdzie ci jeszcze do głowy zachować się w taki sposób, to będzie twój ostatni raz - przestrzegła ją Rhea. - Nikt nie będzie wytykał mi błędów. Czy to jasne?

- Wybacz, o pani - wydukała Ves i ugryzła się z całej siły w policzek, byle tylko triumfalnie się nie uśmiechnąć. - To się już nigdy nie powtórzy.

- Świetnie. - Lady Rhea odwróciła się do Statku, który cierpliwie na nie czekał. - Czy dobrze zgaduję, że nie masz nic wspólnego z nagłą zmianą zdania sfery medytacyjnej?

- Dokładnie - przyznała Vestara. - Statek próbował mnie zwieść, ale jest bez reszty posłuszny woli Abeloth.

- Co oznacza, że jesteśmy uziemieni na tej planecie śmierci. - Lady Rhea zamyśliła się głęboko. - O ile... - spojrzała z namysłem na Vestarę. - Ale domyślam się, że sama już na to wpadłaś, prawda?

Vestara uśmiechnęła się drapieżnie, tym razem zupełnie nie przejmując się, że szrama w kąciку ust nada grymasowi pozory pogodnego uśmiechu.

- Tak sądzę - potwierdziła. - Skoro Statek chce zabrać nas wszystkich, Skywalkerowie muszą być blisko. I muszą czymś podróżować. A kiedy Statek nas do nich zabierze...

- Otóż to. - Lady Rhea urwała na widok wynurzających się z sfer medytacyjnej Abeloth i Xala, a potem odwróciła się i wymruczała stłumionym Mocą szeptem tak cicho, że Vestara przez chwilę miała wątpliwości, czy aby jej słowa rzeczywiście rozbrzmiały w jej umyśle: - Zabijemy Skywalkerów i...

- ...zabierzemy ich statek - dokończyła Ves z drapieżnym uśmiechem. - To chyba nie powinno być trudne?

ROZDZIAŁ 25

Ben z pewnym zaskoczeniem uświadomił sobie, że wstrętny zapach drażniący jego nozdrza wydzielał najprawdopodobniej on sam. Kojarzył mu się z zepsutym nerfem mlekiem z nutą pleśni. Język miał nabrzmiaty i zdrętwiały; czuł się chory i obolały, a nieznośne łupanie w głowie sprawiało, że miał wrażenie, jakby właśnie znalazł się w krainie umarłych, ale jeszcze nie zdał sobie z tego do końca sprawy.

Co, jak nagle przyszło mu do głowy, mogło się wkrótce okazać całkiem prawdopodobnym scenariuszem.

Otworzył oczy i stwierdził, że patrzy na znajome, rozmigotane światła alarmowe zasnutego dymem pomieszczenia kontrolnego Stacji Ujście. Kiedy zerknął na swoje ciało, zobaczył, że przyłączone do niego kroplówki są puste - co oznaczało, że spędził Poza Cieniami co najmniej jeden dzień... a sądząc po objawach odwodnienia, które odczuwał, znacznie więcej.

- *Mra... dhe muck!* - wychrypiał. Spróbował przełknąć ślinę, a kiedy mu się to nie udało, jeszcze raz. - Teraz już rozumiem, czemu te świrusy wolą tam umierać, niż wracać do własnych ciał.

Kiedy odpowiedź nie nadeszła, Ben obejrzał się na ojca. Luke leżał bez ruchu na swoich noszach, z pustym wzrokiem wbitym w sufit.

- Tato?

W głębokiej ciszy z ust jego ojca dobiegł ledwie słyszalny szept.

- Tt... tak?

- Wszystko w porządku?

Mistrz Skywalker przymknął oczy - najwyraźniej starając się dać synowi do zrozumienia, że żyje.

- Daj mi ch... chwilę... - wykrztusił Luke. - Muszę tylko... wpompować do mięśni tr... trochę krwi...

- Aha, no to powodzenia.

Ben Mocą wypiął się z pasów podtrzymujących jego ciało i spróbował wstać... ale padł na legowisko niczym kłoda.

- Zawsze tak jest - dobiegł jego uszu znajomy głos. - Oczekaj chwilę. Daj swojemu ciału trochę czasu.

Ben rozpoznał swoją przewodniczkę Poza Cieniami; wyciągnął głowę i obejrzał się za siebie. Rhondi Tremaine wciąż siedziała w miejscu, w którym zostawił ją, zanim udali się w tę dziwną podróż. Opierała się o jedną z szafek z wyciągniętymi przed siebie nogami. Kajdanki, które założył jej przed wędrówką Poza Cienie wciąż tkwiły na jej nadgarstkach, zamknięte na pręcie sterczącym z podłogi. Miała podkrążone oczy, zapadnięte policzki i ściągnięte w bólu brwi. W skrócie: wyglądała tak samo paskudnie, jak Ben się czuł. Na widok zaniedbania, jakiego się dopuścił, zostawiając ją tak bez żadnych wygod, chłopiec skrzywił się, ogarnięty poczuciem winy. Celowo nie zaproponował jej podłączenia do kroplówki, przekonany, że gdyby miała znaleźć się w niebezpieczeństwie, postara się maksymalnie przyspieszyć ich podróż, żeby szybko wrócić do brata.

- Jak się czujesz? - zagadnął. - Mam nadzieję, że lepiej niż wyglądasz...

- Miło, że pytasz - odgryzła się i spojrzała na Luke'a. - Jeśli planujesz mieć kiedyś wnuki, będziesz musiał pewnego dnia porozmawiać ze swoim dzieckiem o tym, jak dyskutować z damami - parsknęła.

- Ben, bądź miły dla Rhondi - zbesztął syna Luke. - I zdejmij jej te kajdanki.

- Się robi - odburknął Ben. Spróbował znów wstać i tym razem mu się udało. - Jak tylko zajmę się tobą. - Uwolnił się z sieci kroplówek i odpiął resztę pasów, a potem pomógł ojcu wstać i wyjął z torby trzy hydropakiety. Okazało się, że Mistrz Jedi jest zbyt słaby, żeby samemu skorzystać z jednego z nich, więc Ben pomógł mu wsunąć rurkę do ust.

- Tato... - zaczął. - Ta podróż... Była naprawdę mroczna. - Poprawił Luke'owi ustnik. -

Gorsza niż zejście po yarroku.

Widok miny ojca powiedział mu, że niezbyt dobrze trafił z porównaniem.

- Eee, nie żebym wiedział, jak to jest... - zaczął się tłumaczyć. - Tak tylko mi się skojarzyło, serio...

Luke przestał sączyć płyn i odchrząknął znacząco.

- Mam taką nadzieję.

- Spokojna głowa - zapewnił go Ben. - Bycie twoim synem dostarcza mi aż nadto mocnych wrażeń.

Minęła chwila, zanim Luke znów przystawił sobie hydropakiet do ust.

- I...?

Ben odwrócił wzrok, niepewny, jak ugryźć temat wędrówki, z której dopiero co wrócili.

Właściwie nie był tak naprawdę do końca pewien, czy obaj widzieli to samo...

Wreszcie zebrał się na odwagę i spytał:

- Czy to wszystko, czego doznaliśmy podczas Wędrówki Umysłów... było... prawdziwe?

- Chodzi ci o rozmowę z Anakinem i twoją matką? - domyślił się Luke.

Ben skinął głową. Czuł się już nieco pewniej.

- I Jacenem - dopowiedział.

- Czy to była prawda? - powtórzył jego słowa Mistrz Jedi, a potem parsknął krótkim śmiechem. - Może spytaj mnie o coś bardziej oczywistego, jak na przykład genezę Mocy?

- Hm, może takie drobiazgi zostawmy na później - skwitował Ben. - Ale tak na serio - wszystko to przyprawia mnie o gęsią skórę. Chciałbym wiedzieć, na czym stoimy.

Luke przymknął oczy i odetchnął głęboko.

- To ty jesteś detektywem, Ben. Sam możesz to stwierdzić... I, jeśli chodzi o ścisłość, chyba nie masz innego wyjścia.

Chłopiec westchnął. Czasem naprawdę miał dosyć bycia synem Wielkiego Mistrza Jedi. Wszystko, i to dosłownie, okazywało się lekcją, którą powinien przyswoić.

- No dobra - bąknął, zrezygnowany. - Zacznijmy od tego, że nad Jeziorem Widm widzieliśmy te same osoby.

- Wszyscy widzieliśmy te same osoby - uściśliła Rhondi. Szarpnęła się, szcękając ostentacyjnie kajdankami. - A co ze mną?

Ben zerknął na ojca. Wszystko wskazywało na to, że Luke szybko odzyskuje siły, bo sam już trzymał hydropakiet. Na ten widok Ben sięgnął po nowy pojemnik z płynem, wstał i podszedł do Rhondi.

- Skoro zaś wszyscy widzieliśmy to samo - skwitował - to znaczy, że wszyscy tego doznaliśmy. Nie możemy być tylko pewni, czego, bo przebywaliśmy...

- Poza naszymi ciałami - podsunął Luke.

- A to dlatego, że nasze ciała nie istnieją Poza Cieniami - dopowiedziała Rhondi. - Tylko nasze jaźnie.

- Ta-a, skądś to znam - mruknął Ben. Przykucnął obok dziewczyny. - Ale twoje słowo to żaden dowód. Wciąż nie mam pewności czy naprawdę rozmawiałem z mamą, czy może widziałem tylko to, co ktoś w tym... miejscu chciał, żebym widział.

- Ale w takim razie musisz przyznać, że to miejsce było rzeczywiste - wytknęła mu Rhondi.

- Skoro twierdzisz, że ktoś chciał, żebym coś zobaczył.

Ben skinął głową. Nagle przysłała mu do głowy pewna myśl i zmartwił.

- To prawda. Czułem coś, z czym wcześniej miałem styczność... - Odwrócił się do ojca. - W czasach, kiedy byłem w Schronisku. To właśnie to... coś odciągnęło mnie od Mocy.

- Jesteś tego pewien? - spytał Luke.

Ben przytaknął.

- To równie pewne jak fakt, że tu jesteśmy - stwierdził bez wahania. - I jestem całkiem pewien, że ma to coś wspólnego z urojeniami, których doznają Rycerze Jedi w moim wieku.

- To niezła teoria - zgodził się Luke. - Ale czy masz może jakiś pomysł, w jaki sposób ta choroba się rozprzestrzenia?

- Tak samo, jak dochodzi do tego. - Ben machnął ręką na ciała dryfujące w komorze medytacyjnej znajdującej się za pomieszczeniem kontrolnym. - Tak samo, jak czułem to w Schronisku. Poprzez Moc.

- Wasi Rycerze Jedi nie są chorzy - prychnęła Rhondi. - Tylko wzywani do domu.

Ben obejrzał się na nią i przypomniał sobie, że nie uwolnił jej jeszcze z kajdanek, ale po krótkim namyśle uznał, że lepiej poczekać z tym, aż skończą rozmowę. Przygotował dla niej hydropakiet, podniósł do jej ust i odwrócił się z powrotem do ojca.

- Dowodem na potwierdzenie tej tezy może być także to, że spotkaliśmy Qwalla Mode'a. To nie przypadek.

Luke usiadł i sięgnął po drugi hydropakiet.

- W tym punkcie się z tobą zgadzam - potwierdził. - Ale jest kilka nieścisłości. Dlaczego na przykład Kam i Tionna nie zachorowali? Ani żaden z dorosłych Rycerzy, którzy kiedyś strzegli Schroniska?

Ben wzruszył ramionami.

- Nie wiem - westchnął. - A fakt, że ja nie zostałem dotknięty... czy zakażony tą chorobą może się wiązać z tym, że wycofałem się z Mocy. Może w pełni wyszkoleni, dorośli Jedi potrafią lepiej się przed tym chronić? A może kryje się za tym coś więcej... Przecież gdyby Mistrz Solusar wyczuł coś niepokojącego...

- Masz rację - przyznał Luke. - Zabrałby stąd młodych. Ale dlaczego akurat teraz? Minęło prawie piętnaście lat, odkąd to miejsce opuścili ostatni uczniowie.

Ben nie musiał się długo namyślać nad odpowiedzią. Była tuż-tuż, pod jego nosem, w błyskających alarmowych światłach i dymiących obwodach - czekała na niego od chwili, kiedy w pomieszczeniu kontrolnym zagościł chaos.

- Stacja Centerpoint została zniszczona - oto, co się zmieniło. - Spojrzał na Rhondi. - To właśnie wtedy rozległo się wezwanie, które kazało Rhondi, jej bratu i innym szpiegom Daali powrócić.

- Szpiegom Daali? - Luke zmarszczył czoło i utkwiał pytający wzrok w Rhondi.

- To długa historia - odparła ze znużeniem dziewczyna. - Twój syn ma rację. Kiedy zniszczyliście Stację Centerpoint, wszystko się zmieniło.

- Jakby otwarto jakiś właz czy coś w tym stylu - podsunął Ben. - Nagle wszystko, co

czuliśmy w Schronisku, zaczęło wyciekać - albo raczej wypełzać poza Otchłań.

Nagły ból w oczach ojca utwierdził go w przekonaniu, że jego argumenty do niego przemawiają.

- Wspaniale - westchnął Mistrz Jedi. - A masz może jakiś pomysł, co takiego dokładnie zaczęło... wyciekać?

Ben pokręcił głową.

- Wciąż nie rozgryzłem też zagadki Jeziora Widm - powiedział. - Jestem jednak pewien, że było prawdziwe. Mimo to... - Urwał, nie potrafiąc zadać pytania, które cisnęło mu się na usta.

- Mimo to nie masz pewności, czy rzeczywiście widziałeś swoją matkę - dokończył za niego Luke. - To trudne pytanie, na które może nie ma odpowiedzi.

Ben spojrzął na Rhondi i podniósł pytająco brwi.

Dziewczyna szarpnęła kajdankami i także podniosła brwi, więc Ben wcisnął guzik na pilocie i krępujące jej nadgarstki obręcze opadły.

Rhondi otworzyła usta ze zdumienia.

- Nie były zamknięte?

- Na wypadek gdybym nie wrócił - wyjaśnił Ben. - Nie jestem aż tak niehumaniczny. A teraz, co możesz mi powiedzieć o mojej matce?

Rhondi roztarła obolałe nadgarstki.

- Kiedy opuszczamy nasze ciała, wszyscy powracamy do Mocy - zaczęła. - Potem ci, którzy byli nią silni, ukazują się czasem w Jeziorze Widm. Nie wiem, czy trwają tam cały czas, czy jest to tylko portal, przez który mogą się kontaktować z innymi... ale wierzę, że ci, których tam widzimy, są osobami... którymi byli za życia.

- A co z Wędrowcami Umysłów, których ciała umierają podczas wędrówki Poza Cienie? - chciał wiedzieć Ben. - Czy oni także trafiają do Jeziora Widm?

- Nie od razu - wyjaśniła Rhondi. - Najpierw zostają Poza Cieniami razem z nami, jednak jakiś czas później... zapominają drogi powrotnej. Potem czasami widzimy ich w Jeziorze Widm.

- Jak długo tam zostają? - dopytywał Luke. - Czy możesz się na przykład spotkać ze swoimi dziadkami albo ich przodkami?

Rhondi pokręciła głową.

- W końcu przestają się ukazywać. - Upiła długi łyk. - Przykro mi, ale nie wiem dlaczego.

Benowi zrzędała nieco mina. Zanim jednak zdążył pomyśleć o czymś, co pozwoliłoby mu się upewnić, że Rhondi mówi prawdę, podłoga pomieszczenia kontrolnego wstrząsnęło potężne „luuuup!”. Oczy Rhondi wypełniło bezgraniczne przerażenie.

- Obiecałeś! - jęknęła.

- Co takiego? - chciał wiedzieć Luke.

- Że uwolnię jej brata, jeśli nam pomoże - wyjaśnił Ben. - Chyba nic mu się nie stało - uspokoił dziewczynę. - Ładunek został podłożony tak, żeby wybuch...

- Chyba? - warknęła Rhondi. Wstała i zatoczyła się w stronę wyjścia na tyłach trzypoziomowego pomieszczenia. - Ty mały, podły *murglaku!*

- Rhondi, spokojnie. - Ben stanął tak, żeby widzieć ładunek przytwierdzony do włazu. - Są zaspawane, nie pamiętasz? I nie zapomnij o drzwiach!

- Zaspawane? - powtórzył Luke, wbijając w syna zdumione spojrzenie. - Ładunki? Ben, co do wszystkich piekieł galaktyki robiłeś pod moją nieobecność?

- Za chwilę wszystko ci wyjaśnię - bąknął chłopiec, nie spuszczać oczu z wyjścia. Rhondi dotarła do włazu i zaczęła w niego walić otwartą dłońią. - Lepiej pójdę i sprawdzę czy nie... - Nie dokończył. Przeszkodził mu stłumiony okrzyk - urwany w chwili, kiedy na potylicy Rhondi pojawiła się czerwona, sycząca dziura. Ciało dziewczyny upadło bezwładnie na podłogę, odsłaniając promień szkarłatnego światła - ostrze miecza świetlnego, wycinające dymiącą bruzdę w płycie włazu.

Ben poczuł zimny dreszcz, zwiastujący niebezpieczeństwo. Kiedy odwrócił się do ojca, ten stał już obok noszący miecz świetlny w pogotowiu i wzrokiem wbitym we wąż. Udreka w jego oczach i drżenie wyciągniętej ręki świadczyło o tym, że jest krańcowo wyczerpany, jednak

Ben czuł także, że Luke czerpie siłę z Mocy. Napęśniał nią zwiotczałe mięśnie i pobudzał zastałe nerwy.

- Ben - odezwał się cicho - kto to, do najczarniejszej pustki kosmicznej przestrzeni, może być?

ROZDZIAŁ 26

Końcówki szkarłatnych ostrzy przesuwają się szybko po krawędziach włazu, oblewając wnętrze światłem tak jaskrawym, że Ben musiał opuścić wizjer hełmu. Miecze przecinały gruby metal niczym zwykłą plastal, a chłopiec wyczuwał po drugiej stronie mroczne aury - wiele aur, zdeterminowanych i pełnych złych zamiarów.

Luke podszedł na przód pomieszczenia kontrolnego i zabrał się do wycinania w panelu widokowym sporego otworu. Tworzywo było znacznie cieńsze od metalowej pokrywy włazu, ale jego miecz przedzierał się przez nie znacznie wolniej niż ostrza tajemniczych intruzów. Wyglądało to dziwnie, całkiem jakby przejrzysty materiał był znacznie wytrzymalszy niż gruba metalowa powłoka.

- Tato, coś ci wolno idzie - rzucił Ben do mikrofonu w hełmie. Po śmierci Rhondi Skywalkerowie natychmiast włożyli skafandry próżniowe; mieli zamiar przedostać się do „Cienia” tak szybko, jak to możliwe. - Nie wyczerpuje ci się przypadkiem ogniwo?

- Synu, jestem Mistrzem Jedi - odparł Luke spokojnie. - Czy naprawdę sądzisz, że zapomnielibym sprawdzić stan ogniwa w moim mieczu?

- Tak tylko pytam - bąknął Ben. - Ostatnio dzieją się różne dziwne rzeczy. - Zerknął znów na właz i zobaczył, że cztery szkarłatne ostrza docierały już prawie do rogów płyty. - Wygląda jakby przecinali się jakieś dwa razy szybciej niż ty - ocenił.

- Dziwne. - W głosie Luke’a słychać było raczej autentyczne zaciekawienie niż zdenerwowanie. - I jesteś pewien, że nie masz pojęcia, kim są?

- Tato, przecież już ci mówiłem - westchnął ze zniecierpliwieniem Ben. - Musieli usłyszeć walenie Rhondi we właz. - Nie martwił się o podsłuch, bo nawet gdyby intruzi mieli odbiornik ustawiony na właściwy kanał, komunikatory Skywalkerów były zaszyfrowane w najnowszym systemie Jedi. - Poza tym wsadzili jej miecz w czaszkę. Czy to twoim zdaniem w stylu Wędrowców Umysłów?

- Raczej nie - przyznał Luke. Wyłączył miecz i cofnął się od okręgu, który wycinał. Zostało mu jakieś dziesięć centymetrów. - Ale na pewno nie zmaterializowali się cudownie znikąd. Są jakoś z tym wszystkim związani.

- Racja, ale naprawdę nie czas teraz na pogaduszki o... - Ben urwał, kiedy jego ojciec podniósł dłoń i Mocą zaczął wypychać dymiący krąg na zewnątrz, zapewniając im drogę ucieczki. Zamiast jednak przez niego wyjść, Luke przeszedł na tył pomieszczenia i stanął na końcu przeciwnym do miejsca zajmowanego przez Bena.

- Musimy wziąć kogoś żywcem - powiedział.

- Żywcem? - powtórzył Ben, jakby się przesłyszał. - Sprawdź swoje odczyty sił witalnych! Ledwo masz siłę, żeby przedostać się na pokład „Cienia”, a co dopiero brać zakładników...

- To prawda, ale z każdą chwilą czuję się lepiej. - Luke wskazał właz. - Ben, musimy się dowiedzieć, kim są i kto ich przysłał. To kluczowy element całej układanki.

Ben wiedział, że nie ma sensu wyklócać się z ojcem. Luke uderzył w typowy dla niego ton, ogłaszający wszem wobec „to ja jestem Mistrzem”. Poza tym wszystko brzmiało dość rozsądnie... no, przynajmniej jeśli chodzi o tę część na temat ich powrotu na pokład „Cienia”.

- Obiecuję, że będziesz ostrożny - poprosił Ben. - Na razie wiemy tylko, że są bezwzględni i mają słabość do czerwonych mieczy. Kimkolwiek są, wszystko wskazuje na to, że mają nad nami sporą przewagę.

- Nie powiedziałbym - skwitował Luke i wcisnął się między szafki ze sprzętem na wyższej kondygnacji, jakieś pięć metrów nad włazem. - Jesteś gotowy z tą butlą?

Ben sprawdził palnik, którego wcześniej użył do zaspawania drzwi. Dopływ paliwa był otworzony, a blokada zwolniona.

- Tak jest.

- W takim razie ukryj się w Mocy i czekaj na mój sygnał. Może dowiemy się czegoś z ich zachowania.

Ben wśliznął się do swojej kryjówki pod jedną z konsoli na wyższym poziomie. Szybko wycofał się z Mocy - stopniowo, ale stanowczo, aż do stanu, w którym sam nie potrafił się w niej odnaleźć - i poczuł wstrząs, kiedy ciężka płyta wjazdu wpadła do środka.

Dwie sekundy później nastąpił wybuch, ale brak okrzyków zaskoczenia czy bólu sugerował, że w chwili eksplozji w pobliżu wejścia nikogo nie było. Kimkolwiek byli zabójcy Rhondi, najwyraźniej wyciągnęli wnioski z niemiłej niespodzianki, która spotkała ich w celi Rolunda.

Podłoga wciąż jeszcze drżała od uderzenia wjazdu, kiedy Ben wyczuł nowe, lżejsze wibracje, wywołane przez tupot nóg. Sądząc po odgłosie, intruzów mogła być siódemka albo ósemka, trudno było jednak stwierdzić na pewno. Odczekał pięć spokojnych oddechów, aż napastnicy go miną, a potem ostrożnie zerknął w stronę wjazdu. Metal wciąż dymił i żarzył się na biało, a obok stała para nóg w butach od kombinezonu próżniowego.

W głośnikach jego hełmu zabrzmiało podwójne kliknięcie - sygnał oznaczający, że jego ojciec szykuje się do opuszczenia swojej kryjówki. Ben uświadomił sobie nagle, że Luke ze swojego punktu nie może widzieć strażnika przy wjeździe... Wcisnął podbródkiem przełącznik, zamierzając ostrzec ojca przed pułapką, ale w tej samej chwili zobaczył, że strażnik wjazdu zrywa się i kieruje w głąb pomieszczenia... Co mogło oznaczać tylko jedno jego: że ojciec już ruszył do akcji.

Ściskając mocno butlę z gazem w jednej i miecz świetlny w drugiej ręce, wytoczył się z własnej kryjówki. Ośmioro intruzów biegło w stronę otworu w panelu widokowym. Tak jak Skywalkerowie, wszyscy mieli na sobie sfatygowane skafandry próżniowe, a w dłoniach - miecze świetlne. Paru było też uzbrojonych w blastery, a większość nosiła na biodrach pasy z dwoma pochwami - jedną na wąski sztylet o szklanej rękojeści, drugą - na zakrzywiony ciężki parang.

Luke zeskakiwał właśnie na jedną z konsol na najniższym poziomie - tak bardzo skupiony na próbie schwywania jeńca, że nie wyczuł strażnika, który biegł w jego stronę. Płyta twarzowa hełmu obcego była podniesiona, ukazując fioletową twarz o szlachetnych rysach i długim nosie, nieco szczuplejszą niż ludzka. Kobieta trzymała parang, zamiast jednak rzucić się na Luke'a - jak Ben się spodziewał - zatrzymała się i podniosła broń.

- Tato! - rzucił Ben do mikrofonu. - Unik! Teraz!

Rzucony przez kobietę parang przeciął ze świstem powietrze, ale Luke w ostatniej chwili zdążył się odtoczyć na bok i schować za rzędem szafek ze sprzętem. Ostrze minęło jego hełm ledwie o kilka centymetrów. Napastniczka nie mogła słyszeć przesłanego za pośrednictwem wewnętrznego systemu komunikacji ostrzeżenia Bena; wyciągnęła dłoń, żeby przywołać broń, ustawiając się jednocześnie tyłem do kryjówki chłopca, a twarzą do rzędu szafek, które dzieliły ją od Luke'a.

Ben nie dał jej szansy na odzyskanie broni. Pomagając sobie Mocą, pokonał skokiem dzielące ich trzy metry, skierował miecz w serce kobiety i aktywował ostrze. Działał sprawnie i szybko, jednak nie był do końca pewien, czy przyptyw energii jest zasługą dostarczenia ciała paliwa w postaci hydropakietu, czy może kieruje nim rozpaczliwe pragnienie ocalenia ojca.

Kobieta najwyraźniej miała doskonale rozwinięty zmysł zagrożenia, bo zanim jeszcze ostrze Bena wysunęło się na pełną długość, odwinęła się i uchyliła, wciąż sięgając jedną ręką po parang, a drugą - po miecz świetlny. Błyskawicznie wyprowadziła kopniak w pachwinę Bena, jednak przekombinowała. Chłopiec po prostu cofnął się o krok i pociągnął Mocą jej wolną rękę. Parang zamiast posłusznie wskoczyć do otwartej dłoni chlasnął przez nadgarstek. Napastniczka krzyknęła, a kopniak - zamiast w pachwinę - trafił w pojemnik z gazem w ręku Bena.

Mimo to obca najwyraźniej nie zamierzała się tak łatwo poddać. Bez namysłu zamachnęła się mieczem świetlnym w odsłoniętą szyję Bena, ale ten w porę się uchylił i pociągnął ją Mocą na własne ostrze.

Chwilę później poczuł bliskie niebezpieczeństwo i bez namysłu rzucił się w wir uników i uskoków, odbijając sieć strzałów z blasterów, które posyłali ku niemu towarzysze jego przeciwniczki.

- Eee, tato? - rzucił do komunikatora, nie przestając wycofywać się w stronę włazu. - Jeśli chodzi o tego jeńca...

- Idź! - Luke wytoczył się zza rzędu szafek, posyłając serię z blastera w stronę ich niedoszłego więźnia, po czym zaczął się czołgać do włazu. - Oślaniaj mnie!

- Jasne!

Kiedy przechodził przez właz, Ben celowo uderzył przepustem palnika w futrynę. Głowica natychmiast wystrzeliła, pchana strumieniem gazu pod ciśnieniem, a kanister pokryła warstewka szronu. Wtedy chłopiec cisnął pojemnik do pomieszczenia kontrolnego; butla zaczęła latać po sali, wypływając opary wybuchowego azetalu i odskakiwać od ciągle jeszcze dymiących konsol.

Ben ukrył się za futryną i wyciągnął blaster. Otworzył się maksymalnie na Moc i zaczął strzelać, próbując jednocześnie namierzyć ojca. Wkrótce wyczuł falę przemożnego strachu; najwyraźniej nieproszeni goście zorientowali się, co się stanie, kiedy stężenie azetalu będzie wystarczająco wysokie... Po chwili w otworze pojawił się Luke.

Nagle strzały wroga ustały, ale Ben nie miał zamiaru oglądać się za siebie. Biegł już korytarzem, ciągnąc ojca za kostkę i starając się stawiać kroki tak, żeby nie stracić oparcia. Sztuczna grawitacja stacji pozostawiała wiele do życzenia.

Jakieś dwadzieścia metrów dalej korytarz się skończył, a po pościgu wciąż nie było ani śladu. Ben zatrzymał się i uwolnił nogę ojca.

- Niezła jatka! - wydyszał. - Dorwałeś ich wszystkich?

Luke pokręcił głową.

- Tylko trójkę. Reszta puciekąła przed dziurę w panelu. - Wstał, wyciągnął rękę i Mocą podniósł klapę włazu, a potem osadził ją ostrożnie w wyciętym otworze. - Kimkolwiek są, na pewno nie są głupi. Wiedzą, co się dzieje, kiedy wzrasta stężenie azetalu.

ROZDZIAŁ 27

Rozkazy Vestary były jasne: miała czekać w okrągłym przejściu, łączącym centralny obszar stacji z jej cylindrycznym skrzydłem. Gdyby Skywalkerowie dotarli tu żywi, miała uzbroić granaty i cisnąć je w ich stronę. Przy odrobinie szczęścia zdoła zniknąć właz, zanim odeślą je z powrotem. Jeśli zaś naprawdę jej się powiedzie, zostanie z nich coś, co będą mogli pokazać Lordowi Volowi jako dowód wypełnienia misji, kiedy wrócą na Kesh bez Statku.

Jednak, jak to zwykle u Sithów, plan miał też podwójne dno. Po opuszczeniu śluzy, przez którą Statek dostarczył ich na pokład stacji, Lady Rhea natychmiast wyjaśniła członkom załogi prawdziwą naturę Abeloth i jej zamiary. Potem wydała zaś nowe rozkazy, według których wracali do pierwotnego planu ich misji: zabić Skywalkerów. Nawet gdyby ktoś w ich zespole podniósł bunt, nie miałyby problemu z jego stłumieniem.

Nie mogli co prawda marzyć o powrocie na Kesh ze Statkiem, ale Lady Sithów nie miała wątpliwości, że śmierć Skywalkerów i nowe, dziwne moce Abeloth w pełni powetują Kręgowi brak sfery medytacyjnej. A nawet jeśli się myliła, to cała załoga przyznała jej w końcu rację: powrót do Abeloth i jej upiornej planety nie wchodził w rachubę.

Ku zaskoczeniu wszystkich - poza samą Rheą - nawet Yuvar Xal szybko przystał na taką propozycję. Stwierdził nawet, że kiedy Krąg dowie się o mocach Abeloth wszyscy z ich grupy zyskają szacunek i sławę. Jego entuzjazm budził oczywiście podejrzliwość - głównie ze względu na to, że wcześniej, kiedy ich zespół zatrzymał się na pokładzie „Niestrudzonego Pogromcy” po skafandry próżniowe i broń, Statek pozwolił wejść na okręt tylko Xalowi i Ahriemu.

I właśnie dlatego Baad Walusari i Vestara dostali zadanie pilnowania Mistrza i jego ucznia. Gdyby ta dwójka spróbowała opuścić stanowiska, które im przydzielono, mieli zginać. To samo czekało ich, gdyby spróbowali pojmać Skywalkerów, skontaktować się ze Statkiem albo zacząć

kombinować.

Krótko mówiąc: Rhea bardzo wątpiła, że Xal i Ahri wyjdą z tej misji cało. Co prawda Vestara miała w głębi duszy nadzieję, że jej przyjaciel udowodni wszystkim, jak bardzo się co do niego mylą... W istocie był to główny powód, dla którego tak chętnie zgodziła się wypełnić rozkazy swojej Mistrzynie. Wciąż wierzyła w jego niewinność. Może uda jej się nawet dać mu drugą szansę?

W głośnikach jej hełmu rozbrzmiał właśnie jego głos:

- Ves?

- Tak?

- Wiesz, jedna rzecz w tej misji nie daje mi spokoju - powiedział. - Dlaczego?

Vestara skrzywiła się kwaśno, wietrząc spisek.

- Ahri, nie zastanawiaj się nad tym. - Zerknęła w stronę jego kryjówki przez szparę w uchylonym włazie. - Rozkaz to rozkaz.

- Jasne i wcale go nie kwestionuję - odparł Ahri. W szczelinie między drzwiami a futryną błysnął jego srebrzysty hełm; panel twarzowy był uniesiony, więc Ves widziała wlepione w nią jedno jasne oko. - Nie rozumiem tylko, po co Abeloth Skywalkerowie.

- Nie wiem, nie zastanawiałam się nad tym - zełgała gładko Vestara. W rzeczywistości ona i Lady Rhea nieraz próbowały rozgryźć tę zagadkę, jednak z marnym skutkiem. Dlaczego Abeloth chciałyby wymienić kilkunastu Sithów na dwóch Jedi? Przychodził jej do głowy tylko jeden z grubszy logiczny powód, ale nie chciała, nie mogła się z nim pogodzić... - Może Abeloth sądzi, że są od nas silniejsi i nas pokonają?

- Ta-a, jasne - parsknął Ahri. - Dwóch Jedi silniejszych niż piętnaścioro Sithów. To... - Jego głos zagłuszyła seria wyładowań. Przez chwilę Vestara łudziła się, że to jego Mistrz każe mu być cicho... Bo wtedy nie potwierdziłyby się jej podejrzenia, że bierze udział w spisku Xala.

Kiedy jednak wyładowania ustały, w głośnikach rozległ się głos Lady Rhei.

- Idą do was - poinformowała ich. - Bądźcie czuj... - Transmisję zakłócił huk eksplozji, a pokład zadrżał tak mocno, że przez chwilę Vestara obawiała się, że cała stacja się rozpadnie. - ...są naprawdę dobrzy - dokończyła Rhea.

- Przyjęłam - odparła Vestara. - I dziękuję...

- Cisza! - zagłuszył ją ostry głos Xala. - Macie rozkazy!

Ves potwierdziła przyjęcie upomnienia kliknięciem włącznika. Ton głosu Xala, a także jej własna intuicja podpowiadały jej, że Lady Sithów się nie myliła i Mistrz Ahriego ma wobec Skywalkerów własne plany. Wyjęła z uprząży dwa granaty i odbezpieczyła je, a potem kucnęła przy szczelinie i czekała na ofiary. Nie musiała się kontaktować z Baadem Walusarim, żeby mieć pewność, że on także przygotował ładunki; Lady Rhea upewniła się, że oboje wiedzą, co mają robić. Nie mogli ryzykować. Jeśli Xal spróbuje jakichś sztuczek, mają natychmiast go unieszkodliwić.

Chwilę później jeden z włazów w ścianie otworzył się i do pomieszczenia wpadły dwie postacie. Odepchnęły się Mocą od pokładu i skoczyły w stronę dziwnej, błonistej śluzy powietrznej na górze. Panele twarzowe ich hełmów były opuszczone, więc Ves nie była pewna czy rzeczywiście ma do czynienia z Lukiem i Benem, których twarze widziała tyle razy na ćwiczeniach. Obaj mieli jednak na sobie takie same, dopasowujące się do ciała skafandry próżniowe, które rozpoznawała, a w rękach trzymali miecze świetlne i blastery.

- Głupcy! - rozbrzmiał w jej głośniku syk Xala.

Miał rację. Poruszali się co prawda szybko, co zawsze popłacało podczas próby zaskoczenia wroga, jednak poza tym wcale nie byli ostrożni. Czyżby mieli tak wielką wiarę we własne możliwości? Może tak bardzo przywykli to przewagi, jaką dawała im Moc, że nie zawracali sobie głowy sprawdzaniem terenu? Cóż, jeśli Jedi stać było tylko na tyle, to w pełni zasługiwali na los, jaki spotka ich, kiedy Plemię rozpocznie podbój galaktyki.

Ojciec i syn pokonali już jakieś trzy czwarte drogi do membrany. Z tej wysokości nie mogli zobaczyć, że włazy za ich plecami otwierają się na sygnał Xala:

- Teraz!

Vestara wychyliła się ze swojej kryjówki i rzuciła w stronę Jedi dwa granaty. Zanim

zamknęła klapę wjazdu, zobaczyła jak granaty wysłane przez Baada Walusariego zmieniają kierunek lotu i lądują z powrotem w jego schronieniu. Wydawało jej się, że czas zwolnił; w następnym ułamku sekundy podchwyciła spojrzenie Ahriego, ale natychmiast przeniosła wzrok na własne granaty. Ładunki zmieniały właśnie tor i kierowały się znów ku niej. Ostatnią rzeczą, jaką zarejestrowała, był Ahri ciskający w stronę Skywalkerów swoje granaty.

Opadła na kolana; ze ściśniętym gardłem i ciężkim sercem patrzyła na pociski wpadające w jej korytarz. Nie wybuchły.

Przewidując, że Xal spróbuje zabić Vestarę i Baada ich własnymi granatami, Lady Rhea przydzieliła im po parze rozbrojonych, „ślepych” ładunków. Teraz, mając przed oczami dowód jej przenikliwości, Vestara czuła wściekłość i rozczarowanie. Nie była zła na Ahriego. Pech chciał, że znaleźli się po przeciwnych stronach barykady, więc nie miała innego wyjścia, niż się z tym pogodzić. To jego głupota ją przerażała. Czy naprawdę sądził, że Abeloth zamierza towarzyszyć Xalowi na Kesh wraz ze Statkiem i Skywalkerami? A może był po prostu takim tchórzem, że wołał zginąć na planecie Abeloth, niż zdradzić własnego Mistrza i dobić targu z Lady Rheą?

Na zewnątrz rozbrzmiał słaby huk ładunków ogłuszających i Vestara była już pewna, że nadszedł czas otworzyć Ahriemu oczy. Sięgnęła do uprząży po dwa następne pociski - w pełni zabójcze - podeszła do wjazdu i uchyliła go nieco.

Na zewnątrz, w górze widziała tylko jednego Skywalkera, docierającego już prawie do dziwnej membrany. Przez chwilę wydawało się, że Xal i Ahri nie tylko schránili własną pułapkę, ale też cały plan. Przygotowując się psychicznie na doniesienie własnej Mistrzyni o ucieczce jednego ze Skywalkerów, odbezpieczyła dwa granaty odłamkowe i czekała. Wkrótce Xal i Ahri opuścili swoje kryjówki, otwierając kajdanki wstrząsowe, którymi zamierzali unieruchomić swoją ofiarę.

Zamiast jednak ruszyć razem w stronę więźnia, rozdzielili się. Vestara zobaczyła, że Xal kieruje się w jej stronę. Na chwilę zmroził ją strach - czyżby zdołał wyczuć, że przeżyła? Po chwili jednak spostrzegła, że jego wzrok jest utkwiony w ścianie nad jej wjazdem. Dotarło do niej, że granaty ogłuszające musiały po prostu cisnąć w tę stronę jednego ze Skywalkerów.

Po krótkim namyśle uznała, że ma prawo do małej wendetty. Mocą wysunęła z pochwy u pasa *shikkar*. Będący zarówno bronią jak i dziełem sztuki szklany sztylet został zaprojektowany tak, żeby po zadaniu ciosu można było go złamać. Ostrze zostawało w ciele ofiary, zadając mu niewyobrażalne męki. Ves z uśmiechem na ustach posłała go prosto w podbrzusze Xala.

Atak kompletnie zaskoczył Mistrza Sithów; ostrze zagłębiło się na dziesięć centymetrów w jego splot słoneczny, zanim zatrzymała je rękoność. Vestara sięgnęła Mocą i złamała szklany uchwyt, pozostawiając klingę w ciele mężczyzny.

Gdyby Xal wyświadczył jej tę przysługę i umarł w ciszy, Vestara może zdołałaby ocalić jego ucznia... Jednak Mistrz krzyknął z zaskoczenia i bólu niczym tchórz, którym był. Jego wrzask oderwał uwagę Ahriego od nieprzytomnego Skywalkera, którego właśnie zamierzał zakuć w kajdanki.

Nim jednak zdążył zareagować, rozległo się charakterystyczne buczenie klingi miecza świetlnego i w następnej sekundzie Ahri rozpadł się na dwie połowy, rozplątany wzdłuż tułowia.

Vestara prawie natychmiast zorientowała się, co się stało: najwyraźniej Skywalkerowie wcale nie ucierpieli podczas wybuchu ładunków ogłuszających. Zanim jednak zdążyła zebrać myśli, Baad Walusari rzucał już w stronę ojca i syna granaty odłamkowe.

Zabójca Ahriego był jednak szybszy. Ledwie pociski opuściły kryjówkę Baada, zostały odbite Mocą i wleciały do niej z powrotem. Sekundę później klapa wjazdu zatrzasnęła się, miażdżąc tkwiące wciąż jeszcze w szczelinie ramię Walusariego i wykrzywając je pod nienaturalnym kątem.

Było już za późno, żeby Vestara zdołała wyciągnąć wnioski z błędu przyjaciela. Nim cofnęła rękę, na jej nadgarstku zamknęła się dłoń w rękawicy i wyszarpnęła ją na zewnątrz. Druga ręka odebrała jej granaty i cisnęła w korytarz. Klapa wjazdu za plecami Ves zamknęła się z hukiem, a kiedy dziewczyna podniosła wzrok na swojego oprawcę, spojrzała prosto w bladobłękitne oczy Luke'a Skywalkera.

Otworzył jednym ruchem jej hełm, tak żeby mógł patrzeć jej w oczy, i unieruchomił w

uścisku jej wolną rękę.

- Powinniście byli wiedzieć - warknął w basicu - że Jedi potrafią się ochronić przed granatami ogłuszającymi.

- Głupiec! - odszczeknęła mu w keshirskim.

Chociaż miała unieruchomione ręce, myliłby się ten, kto uznałby ją za bezbronną. Mocą wyszarpnęła z pochwy u pasa swój parang i wyprowadziła ostrze prosto w twarz starszego Skywalkera.

Luke zareagował z nieprawdopodobną wręcz zwinnością, odchylając błyskawicznie głowę w tył i na bok. Mimo to nawet Wielki Mistrz Jedi nie mógł wygrać z ładunkiem energii Ciemnej Strony. Ostrze chlasnęło go przez policzek i nos, otwierając głęboką ranę. Twarz Vestary spryskały krople gorącej krwi, które zapiekły niczym żrący kwas.

Skywalker uwolnił jej rękę z uścisku. Ostatnim, co zobaczyła Ves, była pięść w czarnej rękawicy, zbliżająca się do jej twarzy - a potem wszystko pochłonął mrok.

ROZDZIAŁ 28

Luke był już prawie na miejscu... od dłuższego czasu. „Prawie na miejscu” wyznaczały według jego syna coraz to nowe punkty w zagraconym korytarzu: następny panel oświetleniowy, następne skrzyżowanie, następny właz - i tak dalej. Mistrz Jedi podtrzymywał swoje ciało samą już tylko Mocą. Jej energia wysączała się jednak z niego stanowczo zbyt szybko, pozostawiając po sobie pustkę palącego bólu, który mimo to paradoksalnie dodawał mu sił.

Luke'owi przemknęło przez myśl, że jeszcze nigdy nie był tak wycieńczony. Chciał też wierzyć, że już nigdy więcej nie przydarzy mu się nic takiego. Prawda była jednak taka, że wpadał w podobne opapy niezliczoną ilość razy, chociażby w jaskini wampy na Hoth, podczas bitwy o Mindora, lotu na Qoribu w systemie Gyuel w Nieznanych Regionach... Nie miał też złudzeń, że czeka go to jeszcze nieraz. Wolał nie myśleć o tym, ile razy śmierć zajrzy mu w oczy i ile razy będzie opłakiwany jako martwy. Teraz, dla dobra Bena - a także z mnóstwa innych powodów, które w tej chwili nie miały znaczenia - musiał się skupić na jednym: przetrwać.

- Dawaj, tato! - usłyszał znów głos syna. Biegli już dobre pół minuty, a z uszkodzonej stacji szybko ulatniała się atmosfera. - Jesteśmy już prawie przy tym centrum więziennym z pancierzami Killików!

Luke nie miał siły - a może serca? - mówić chłopcu, że jego ciągłe słowa zachęty bardziej go irytują, niż podnoszą na duchu. Wiedział, że Bena przeraża krew płynąca obficie z jego rany i gromadząca się na spodzie jego hełmu. Rana nie była tak poważna, na jaką wyglądała. Celowo nie pozwolił dziewczynie ciąć za głęboko, a podobne draśnięcie było stosunkowo niską ceną za uczynienie jej jego więźniem.

Ben nalegał, że to on będzie ją prowadził i Luke przyjął jego propozycję z ulgą. Chociaż samo utrzymywanie Mocą ciała w powietrzu nie było zbyt trudne, dużo wysiłku wymagało pilnowanie, żeby nie obracało się podczas zmian położenia stacji. Poza tym Luke musiał skupiać się teraz z całej siły na podtrzymywaniu energii Mocy funkcji własnego ciała.

Kiedy minęli jeszcze jedną podświetloną na żółto sekcję, korytarz pograżył się w mroku. Jeśli Luke dobrze pamiętał, pod koniec przejścia - czyli jakieś trzysta metrów dalej - kolor paneli ciemniał do zieleni. Stamtąd trafią już prosto do hangaru. Dalsza część podróży - dostanie się na pokład „Cienia” i opuszczenie stacji z ich więźniem na pokładzie - powinna już przebiec bez większych przeszkód.

Minęli drzwi do centrum więziennego, i właśnie wtedy Luke poczuł w całym ciele ostrzegawcze mrowienie. Bena najwyraźniej także coś tknęło, bo pchnął bez ostrzeżenia ciało dziewczyny w głąb korytarza.

Mistrz Jedi odwrócił się na pięcie, trzymając w pogotowiu miecz świetlny i blaster. Na drugim końcu korytarza, jakieś dwieście metrów od nich, membrana śluzy wybrzuszyła się w ich stronę, jakby ktoś napał na nią od środka. Luke sięgnął poprzez Moc; wyczuł około sześciu istot -

rozwścieczonych i niebezpiecznych - przyczajonych za membraną.

- Rany, czy oni są aż tak tępi? - jęknął Ben. - Chyba wyróżniliśmy już połowę ich grupy!

- A mimo to nie ustępują, prawda? - zauważył Luke. - Musimy się dowiedzieć, kim są.

- Spytamy tej dziewczyny... ale później - nalegał Ben. - Jak już będziemy na pokładzie „Cienia”.

Przez membranę przedarła się pierwsza osoba; za nią zaczęła się przeciskać następna i Luke przygotował się na atak. Jak na sygnał obaj intruzi padli na ziemię i zaczęli strzelać na ślepo w ich stronę.

W pewnej chwili Mistrz Jedi poczuł, że syn chwytą go za rękę; obaj podryfowali w głąb korytarza, kierowani przez Bena Mocą w stronę wind. Luke sięgnął po blaster i odpowiedział napastnikom ogniem, jednak zamiast próbować trafić dwójkę na podłodze, kierował strzały w membranę. Kilka sekund później Moc przepełniła fala bólu i zaskoczenia - widocznie któryś z nieproszonych gości został trafiony - a po chwili błona wypluła strugę białych oparów, szybko zasnuwających korytarz. Wreszcie membrana pękła; ze środka wysypało się siedem ubranych w skafandry próżniowe postaci.

Luke i Ben pakowali w skłębioną masę ciał seria za serią. Zanim napastnicy zdołali się pozbierać, trafili dwóch. Trzeci zginał, kiedy zaczepił o wózek transportowy i rozszczelnił przy tym skafander, a czwarty otarł się niefortunnie o pole energetyczne chroniące centrum więzienne. Próżnia szybko robiła swoje.

Reszta intruzów najwyraźniej nie zamierzała jednak dać za wygraną. Ostatnia trójka w końcu doszła do siebie, zapaliła miecze świetlne i zaczęła na wpół biec, a na wpół dryfować w stronę Skywalkerów, odbijając jednocześnie mieczem strzały - z przerażającą skutecznością. W tym czasie Ben i Luke dotarli już do sekcji zielonej. Tylko kilka kroków dzieliło ich od wejścia do hangaru.

Luke schował swój blaster do kabury, odpiął od pasa miecz świetlny... i poczuł u nasady głowy mrowienie, zwiastujące bliskie niebezpieczeństwo. Dryfował na wpół bezwładnie, więc nie bardzo mógł zanurkować w poszukiwaniu schronienia, dlatego ustabilizował swoją pozycję Mocą, uderzył w Bena i odsunął ich - na tyle, na ile to było możliwe - w stronę ściany.

- Tato! - krzyknął Ben. - Co ty u li... - Zamilkł na widok pojemnika z amoniakiem, przefruwającego tuż obok nich. Luke odwrócił się szarpnięciem, żeby zobaczyć, skąd butla się tu wzięła... i ze zdziwieniem spostrzegł jakieś piętnaście kroków dalej ich więźniarkę. Była wciąż związana, ale całkiem przytomna. Chociaż ledwie trzymała się na nogach, a jej nadgarstki wciąż krępowwały kajdanki, na jej twarzy malowało się najwyższe skupienie. Patrzyła w stronę małego wózka, który właśnie odrywał się od pokładu...

- No dobra, chyba czas się jej pozbyć - mruknął Ben, biorąc dziewczynę na cel. - Tylko nas pakuje w kłopoty.

- Ben, nie! Luke odsunął rękę syna, a potem unieruchomił Mocą wózek i posłał go w stronę ich przeciwniczki - jednak nie na tyle gwałtownie, żeby nie zdążyła się uchylić.

- Odbiło ci? - parsknął Ben. - Ona już drugi raz próbuje cię zabić!

- Spróbujemy ją tylko odstraszyć - mruknął Luke. Żałował, że musi puścić ją wolno. Był bardzo ciekaw, dlaczego czwórka napastników przyczajona w zasadzce na połączeniu korytarzy chciała się nawzajem pozabijać, jednak skoro nie miał innego wyjścia, zadowolony się możliwością jej śledzenia. - Mam pewien plan.

- Plan? - Ben wystrzelił w jej stronę dziewczyny kilka razy, dopóki nie zaczęła uciekać. - No dobra - zgodził się wreszcie niechętnie. - Skoro tak mówisz...

- Właśnie tak. - Mistrz Jedi obejrzał się na korytarz, w stronę, z której przyszli. Reszta intruzów była teraz jakieś siedemdziesiąt kroków od nich i najwyraźniej szykowała się do bezpośredniego starcia na miecze - co, zważywszy na stan Luke'a, mogło się dla niego bardzo źle skończyć. - Jak daleko do hangaru?

Ben skinął głową w stronę ciemnej niszy kilka kroków od nich.

- Jesteśmy tuż-tuż - zapewnił ojca. - Tam jest... - Zamilkł nagle.

Luke odczekał chwilę, aż syn dokończy, ale na widok zbliżających się szybko napastników

stracił wreszcie cierpliwość.

- Ben! Zatkalo cię?

- Eee, wybacz, tato - wymamrotał chłopiec, kręcąc z zakłopotaniem głową. - Ale... hm, chyba wiem, kim oni są...

- Świetnie. - Luke pchnął bezceremonialnie syna przed sobą i ruszył w stronę niszy. - To może podzielisz się ze mną tą rewelacją, póki mamy czas?

- No dobra, ale uprzedzam, że możesz mi nie uwierzyć - westchnął nastolatek. - To Sithowie.

- Sithowie? - parsknął Luke. Dotarli już do niszy i aktywowali zielony panel dostępu. - Ale to niemożliwe, Ben. Nie zostało ich nawet dzie...

- I może ich być wyłącznie dwóch naraz, wiem - przerwał mu Ben i wcisnął dźwignię na ścianie. Z góry wysunęła się płyta, oddzielając ich od korytarza. - Ale jest tutaj Statek. Czuję, że nas szuka.

- Statek? - powtórzył Luke, wyłączając miecz. - Ten Statek?

- Ta-a - potwierdził Ben, także dezaktywując broń. - Sfera medytacyjna Sithów. Właśnie ten Statek.

Winda zaczęła zjeżdżać, wioząc ich na poziom hangarów. Chociaż Luke'a korciło, żeby spytać syna, czy jest pewien, wiedział, że to zbędne. Kiedy Ben był jeszcze bezwolnym sithańskim uczniem Jacena, wytworzył ze Statkiem niezwykłą więź. Najwyraźniej nie zapomniał tego, co wtedy czuł.

Winda zatrzymała się, a panel podniósł do góry, wpuszczając do środka błękitnawe światło. Luke wskazał podbródkiem stojący kawałek dalej „Cień Jade”.

- Idź przygotować statek - polecił synowi. - Zatrzymam ich w windzie, dopóki nie będziemy gotowi do startu.

Ben ani drgnął.

- Ale tato...

- W tej chwili, Ben. Bez dyskusji - uciał jego protesty Luke. - Jeśli mają ze sobą Statek, na pewno będzie się starał nas zatrzymać.

W głośnikach jego hełmu zabrzmiało westchnienie, jednak Ben spełnił rozkaz i ruszył w stronę ich statku.

- No dobra - burknął. - Ale wiedz, że nie zamierzam się stąd ruszyć bez ciebie.

- Skoro już o tym mowa, to lepiej się na to przygotuj, jeśli zajdzie taka potrzeba - przestrzegł go Luke. - W razie czego ktoś musi zdać relację z tego, co tu zaszło. Jeśli w to wszystko są zamieszani Sithowie...

- Tak, tak, łapię - mruknął Ben. - To może być całe thakitillo.

Luke zmarszczył czoło.

- Thakitillo? - zdziwił się.

- No wiesz, rozwiązanie całej tej zagadki - wyjaśnił Ben. - Przyczyna, dla której Jacen przeszedł na Ciemną Stronę, dla której Jedi ze Schroniska popadają w obłęd... i dla której Statek powrócił.

- Masz rację. - Luke skinął głową. - To rzeczywiście może być całe... thakitillo. - Ledwie skończył mówić, panel opadł i winda zaczęła wracać na poziom. Posłał jeszcze Benowi poprzez Moc krzepiącego kuksańca, wyciągnął swój blaster i stanął przy wyjściu, ukrywając swoją obecność, żeby wrogowie... Sithowie, poprawił się w myśli, go nie wyczuli. Ich nagłe pojawienie się w tym miejscu wciąż było dla niego zagadką, ale fakty przemawiały same za siebie. Ben mógł mieć rację. Intruzi byli sprytni, dobrze wyszkoleni we władaniu Mocą, bezwzględni i śmiertelnie niebezpieczni. Nawet jeśli nigdy wcześniej nie miał do czynienia z podobnym odłamem, byli Sithami, bez dwóch zdań - i teraz tylko to się liczyło.

Panel się odsunął i Luke stanął twarzą w twarz z czwórką zaskoczonych napastników: sądząc po posturze, dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Bez namysłu wpakował trzy strzały z Mastera w pierś najbliższego i wraził ostrze miecza świetlnego w panel twarzowy drugiego, a potem wycofał się w kąt windy i Mocą sięgnął do dźwigni.

Spodziewał się, że pozostałe dwie napastniczki będą zaskoczone jego atakiem i rzuca się w poszukiwaniu kryjówek, żeby przegrupować siły przed ponownym natarciem. Mylił się. Miał do czynienia z Sithami, którzy działali kierowani mrocznym instynktem, chęcią mordy. Zanim jeszcze panel zaczął opadać, obie kobiety zanurkowały w głąb windy, kierując się do przeciwległych rogów, tak, żeby zaatakować z dwóch stron.

Luke wystrzelił w kierunku ich byłej więźniarki - poznał ją po pałających gniewem oczach - i w samą porę uchylił się przed rykoszetem, odbitym przez nią mieczem świetlnym. Bez ostrzeżenia niewidzialne pchnięcie Mocy cisnęło go na ścianę za jego plecami, a towarzysza dziewczyny - na oko sporo starsza - rzuciła się ku niemu, celując ostrzem w tułów.

Zdążył unieść miecz i zablokować cios dosłownie w ostatniej chwili. Niemal natychmiast wyczuł nowe niebezpieczeństwo - wąski, szklany sztylet wyfrunął z pochwy u pasa Sithanki i poszybował prosto w stronę jego żeber. Mistrz Jedi skręcił ciało w bok, żeby uniknąć trafienia. Chociaż klinga dosłownie otarła się o powierzchnię skafandra, to naruszyła jego wzmocnioną powierzchnię. Musiała być wyjątkowo ostra.

Dziewczyna wykorzystała chwilową nieuwagę Skywalkera, żeby zaatakować nisko mieczem. Luke zablokował znów cios, odbił go i wyprowadził wzmocniony Mocą kopniak pod jej ostrzem, posyłając ją na ścianę. Mimo to młodsza napastniczka nie zaprzestała prób ataku; chlasnęła szkarłatnym ostrzem, pozostawiając na jego piersi dymiącą szramę, przez którą natychmiast zaczęło z sykiem uciekać powietrze.

Luke nie dostrzegł jednak rany ani nawet jej nie poczuł. Kątem oka zauważył bowiem, że starsza kobieta odwraca się właśnie w przeciwnym rogu windy i zamierza się ostrzem prosto w jego gardło. Przyklęknął, kierując klingę własnego miecza w jej tułów i zaklął siarczyście, kiedy Sithanka uskoczyła z gracją z drogi miecza; jego cios pozostawił tylko dymiącą bruzdę na brzuchu jej skafandra.

W tej samej chwili widok przesłoniły mu kropelki krwi. Kiedy zerknął w dół, zobaczył fragment rozplatanego skafandra, szarpanego uciekającą atmosferą i powiewającego mu przed wizerem. Nie miał pojęcia, jak ani kiedy został ranny, wiedział jednak, że napastniczki zyskały nad nim przewagę. Wskoczył w rozpaczliwym salcie naprzód i rzucił się w przeciwny kąt windy, a potem Mocą podźwignął swoje ciało pod sufit, jednocześnie zasłaniając się ostrzem miecza przed następnymi ciosami. Chociaż zaprojektowany z myślą o walce skafander próżniowy sam się uszczelniał, nie był niezniszczalny. Luke zaczynał już odczuwać pierwsze skutki uszkodzenia - jego ciało kąsał chłód próżni, a sądząc po lekkim dzwonieniu w uszach, ciśnienie spadało nieuchronnie.

Atakujące kobiety rozdzieliły się i rzuciły w przeciwne strony windy, żeby go osaczyć, i wtedy nagle Luke zrozumiał: Sithowie wykorzystywali Moc niczym trzecie ramię, używając jej tak naturalnie, jakby była przedłużeniem ich ciał.

Kiedy starał się skupić na ich mieczach świetlnych, jedna z kobiet wysunęła z pochwy na biodrze ciemne ostrze - parang - i zaatakowała.

Luke zatrzymał się i zablokował cios, przecinając obcą broń na pół, wtedy jednak kobiety skoczyły jak na sygnał w jego stronę, żeby ostatecznie się z nim rozprawić. W desperacji wziął dziewczynę na cel, pakując w jej ciało serię strzałów z blastera: nisko, potem wysoko, a później znów nisko - zbyt szybko, żeby zdążyła je wszystkie zablokować. Jeden z energetycznych promieni dosięgnął jej hełmu... następny trafił w jej but, sprawiając, że się zatoczyła, a z cholewki trysnął słup dymu i powietrza.

Starsza kobieta nie straciła jednak ani na chwilę rezonu; chlasnęła go mieczem z jednej, a potem z drugiej strony, podchodząc jednocześnie na tyle blisko, że mogła go związać walką wręcz. Zaczęła okładać go łokciami, kolanami, a nawet uderzać hełmem. Luke wypuścił z ręki blaster i ujął rękojeść miecza oburącz, blokując cios z lewej i odbijając cięcie z prawej strony; jego stopa wystrzeliła w kopniaku, który miał jej podciąć kolana, a potem złożył przedramiona i rąbnął ją w odsłoniętą szyję.

Mieli na sobie skafandry próżniowe, więc żadnemu z nich ciosy zadane przez przeciwnika nie wyrządzały szczególnej krzywdy. Mimo to Luke wiedział, że wkrótce któremuś z nich powinnie się noga, a to oznaczałoby szybki koniec. Nie zaprzestawał ataków i kontrataków, chociaż

zaczynało mu się kręcić w głowie; system uzdatniania powietrza zaczynał szwankować, a jego kombinezon tracił coraz więcej atmosfery. Sithanka walczyła jak shenbit - ani na chwilę nie zwolniła, nie poddała się, nie zaprzestała ataku ani nie zawahała. Mistrz Jedi mógł tylko trwać tak między nią a ścianą i Mocą utrzymywać ją na dystans. To pozwalało mu wykorzystywać ją jako tarczę, żeby zatrzymać młodszą napastniczkę i powstrzymać przed prześlizgnięciem się z boku.

Nie miał pojęcia, jak dawno temu panel wejściowy wreszcie się podniósł. Jak przez mgłę docierały do niego krzyki Bena, że otwiera ogień do Statku. Odruchowo odwrócił się do ściany, żeby powstrzymać automatyczne zaciemnienie płyty twarzowej hełmu, który na pewno zareaguje na rozbłyski towarzyszące wystrzałom z działek „Cienia”. Sithanki nie miały pojęcia, co się święci, więc odwróciły się w stronę powodzi światła.

Za późno dotarło do nich, że popełniły błąd; kiedy ich wizjery pociemniały, uskoczyły natychmiast w serii uników, ale było za późno. Luke nie miał siły ciągnąć dłużej tego pojedynku. Skoczył za starszą z kobiet w głąb hangaru, wykorzystując jej chwilową dezorientację, i w serii ciosów dosłownie poszatkował jej ciało: najpierw obciął jej nogę, potem uzbrojoną w miecz rękę, a na końcu głowę.

Spodziewając się lada chwila ataku młodszej, rozwścieczonej Sithanki, Luke zawirował znów, żeby zadać cios ostrzem... i z zaskoczeniem spostrzegł, że dziewczyna jest jakieś trzydzieści metrów od niego, wnoszona wspomaganym Mocą skokiem nad zakurzonym, starym startripperem soro-suubu, który wygląda jak odległy przodek osławionej „Ślicznotki” Landa. Jej na wpół zaciemniony wizjer był zwrócony w stronę windy, jakby szukała tam czegoś, czym mogłaby ponowić przerwany atak z bezpiecznej odległości.

Najwyraźniej jednak wreszcie dotarło do niej, że Luke wygrał tę walkę, bo powoli odwróciła się w jego stronę. Trudno było z tej odległości dostrzec wyraz jej twarzy, ale Skywalker wyczuwał, że dziewczyna przygląda mu się wnikliwie, starając się odczytać jego intencje.

Kiedy nie zareagował, zapaliła swój miecz świetlny i podniosła ostrze do hełmu w niemym salucie. Odwzajemnił gest skinieniem głowy. Dziewczyna trwała tak jeszcze przez dobrą chwilę z podniesionym mieczem, aż w końcu dezaktywowała ostrze i w odwróconym salcie zniknęła mu z oczu za skorodowanym startripperem.

Mistrz Jedi odwrócił się w stronę wylotu hangaru. W zasięgu wzroku nie było żadnej szykującej się do odlotu jednostki poza „Cieniem”, więc ruchem podbródka aktywował łącze w hełmie.

- Ben? Jak tam?

„Cień” błyskawicznie zawrócił i skierował dziób w stronę hangaru. Chwilę później w głośnikach hełmu Luke’a rozbrzmiał głos syna:

- Tato? Wszystko w porządku? Sądząc po twoim głosie chyba nie czujesz się za do...

- Nic mi nie będzie - zapewnił go Luke. - Jeśli tylko się pospieszysz.

EPILOG

W okazałych apartamentach nazywanych skromnie przez hiperaktywny personel „prezydenckimi” wszystko urządzone z niebywałym przepychem. Jama wyciągnęła się obok Jaga na repulsorowej sofie, która mogłaby spokojnie pomieścić wszystkich członków eskadry myśliwców wraz z zespołem pomocników. Stopy trzymała oparte o stolik wielkości niewielkiej platformy lądowniczej, a wzrok wbijała w widekran, zdolny wyświetlić obraz stealthX-a w pełnej skali. W tej chwili wypełniała go pomarszczona trąba (wielkości Wookiego) osobnika o imieniu Perre Needma. Marszczyła się i wyginała, podczas gdy gigantyczne, szare usta odczytywały wiadomości:

- ...nie wiadomo, kto otworzył ogień do „Sokoła Millenium” - relacjonował Chewin. - Władze militarne Galaktycznego Sojuszu kategorycznie wypierają się uczestnictwa w tym incydencie. Świadcami eksplozji były tysiące cywilnych operatorów czujników. Ponadto na miejscu odnotowano obecność kilku myśliwców ChaseX, wysłanych z pokładu fregaty typu Nargi,

„Szybkiej Śmierci”. Szefowa Sojuszu Daala odmówiła komentarza w tej sprawie.

Jaina wyciszyła dźwięk i uśmiechnęła się do Jaga.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego tata tak lubi tego gościa - stwierdziła. - Mówi prosto z mostu i nie daje się zmanipulować.

Jag pozwolił sobie na oszczędny uśmiech.

- Cóż, na pewno przedstawia wersję, która zdaniem twojego ojca, jest zgodna z prawdą. - Zamilkł na chwilę. - Czy były jakieś ofiary?

Jaina pokręciła głową.

- Nie, a przynajmniej nie po naszej stronie - odparła. - „Sokół” i „Gizeriańska Odwaga” spotkały się bez przeszkód w umówionym punkcie. Teraz powinni kierować się już do Ulotnych Mgieł.

- Świetnie. - Na twarzy Jaga malowała się ulga, jednak poprzez Moc emanował niepokojem. - Czy to znaczy, że miałaś wieści od ojca? - spytał.

Jaina pokręciła głową.

- Nie. To mama dała mi znać. - Szturchnęła go żartobliwie pod żebra. - Ale nie martw się. Tata zaraz pewnie też się odezwie, jeśli się za nim stęskniłeś.

Jag nie wyglądał na przekonanego, ale zanim Jaina zdążyła coś dodać, do apartamentu wleciał droid służący.

- Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam, przywódcu Fel - odezwał się. - Ale nasz personel właśnie otrzymał informację o programie *Javis Tyrr przedstawia*. Ma się w nim pojawić wzmianka dotycząca pana i Jedi Solo. Założyłem, że chciałby pan to obejrzeć.

Jaina przymknęła ze znużeniem oczy i jęknęła:

- Co znowu?

- Proszę mi wybaczyć, Jedi Solo. - Droid najwyraźniej wziął skargę Jainy na poważnie, bo wbudowanym w korpus pilotem zaczął przełączać programy. - Ale obawiam się, że nie dostarczono nam szczegółów dotyczących treści.

Chwilę później wideościanę wypełniła przystojna twarz Javisa Tyrra - wydatnie zretuszowana i trzy razy większa niż normalnie.

- ...nowy, wyjątkowy materiał, prosto od Javisa Tyrra - mówił reporter, błyskając oślepiająco białym uzębieniem.

Jego wizerunek zastąpił widok Jaga i Jainy, siedzących na tylnym siedzeniu limuzyny. Jainę natychmiast ścisnęło w podołku; wyczuła, że Jag także tężeje w napięciu.

- Oto mały urywek z życia naszej ulubionej pary ze świecznika. Dzięki mnie możecie się przekonać, co takiego robią, kiedy są sam na sam - ciągnął Tyrr. - Jak tego dokonaliśmy? Nie mogę wam zdradzić naszego małego sekretu, moi mili, ale zapewniam was, że nie zawiedziemy waszych oczekiwań! - Obraz zmienił się w zbliżenie nachmurzonej twarzy Jainy. Solo pytała właśnie, co Jag próbuje przed nią ukryć.

Prawdziwa Jaina odwróciła się na kanapie do narzeczonego.

- Nie wiem, co powiedzieć... - wykrztusiła. - To napra...

- Spokojnie - przerwał jej Jag, oglądając się na droida służącego. - VeeTen, czy byłbyś łaskaw to wyłączyć?

Obraz natychmiast zniknął.

- Tak jest, sir.

- A teraz, proszę, zostaw nas samych - zażądał Jag. - I przekaz personalowi, że nie życzymy sobie kolejnych doniesień o raportach Javisa Tyrra.

- Oczywiście, sir. - Droid skłonił się sztywno i dodał: - Jeśli w jakiś sposób uraziłem pana albo Jedi Solo, błagam o wybaczenie.

- Nic się nie stało - zapewnił go Jag. Dziękujemy.

Kiedy robot zostawił ich samych, Jaina westchnęła i spuściła smętnie głowę.

- Jag, tak bardzo mi przykro... - zaczęła. - Tyrr najwyraźniej nagrywał wszystkie transmisje tego droida, kiedy...

- Jaino, wystarczy. - Jag ujął ją pod podbródek i zmusił, żeby na niego spojrzała. - To nie ty

podłożyłaś tę pluskwę do mojej limuzyny. Nic się nie stało.

- Nic się nie stało?! - wybuchnęła Solo. - Jak możesz tak mówić? - Wskazała wideościanę. - Gdybyś kiedyś przez przypadek był Jedi, przebywającym w Schronisku, podejrzewałabym, że ciebie także pogięło!

Jag nawet się nie skrzywił.

- To nic takiego - zapewnił ją ze stoickim spokojem. - Nie mogą nam nic zrobić. - Machnął beztrąsą ręką w stronę wideościany. - To tylko polityka. A ja nie zamierzam pozwolić, żeby rozdzieliły nas takie błahostki. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta, po czym dodał: - Nie zamierzam pozwolić, żeby cokolwiek nas rozdzieliło.

Jaina spojrzała na niego z mieszanką nadziei i wdzięczności.

- Obiecujesz? - spytała.

Jag przytaknął stanowczo.

- Obiecuję.

- Cóż, w takim razie... - Jaina przytknęła oczy i odwzajemniła jego pocałunek. - Ja także ci to obiecuję.

Leżący bez przytomności w przedziale medycznym „Cienia” Luke Skywalker sprawiał wrażenie osoby na granicy śmierci. Ben obmył jego rany bardzo pobieżnie, więc Luke wciąż był pokryty plamami zaschniętej krwi. Mimo to chłopiec wiedział, że jego ojciec wkrótce dojdzie do siebie, a siły wrócą mu po kilku przyzwoitych posiłkach. Wątpił jednak, czy po tym wszystkim jego ojciec odzyska swoją zwykłą, niezachwianą niczym wiarę w powodzenie ich misji. Kiedy głębiej zastanowił się nad tym, co ich ostatnio spotkało, uświadomił sobie, że Luke spędził Poza Cieniami całe tygodnie. A to nie było doświadczenie, po którym można było wrócić do normalnej rzeczywistości jakby nigdy nic. A na pewno nieprędko. Może nawet nigdy?

Ben sam spędził w tej przedziwnej krainie... czy też wymiarze, tylko kilka dni, a jednak nawet ta krótka wizyta ciążyła mu na sercu jak kamień. Oczywiście, nie mógł zaprzeczyć, że miała też swoje dobre strony. Cieszył się, że w Jeziorze Widm spotkał Anakina i był bezgranicznie wdzięczny za możliwość ostatniej rozmowy z matką. Miał także mocne postanowienie dochować obietnic, które jej złożył.

Jeśli jednak chodzi o spotkanie z Jacenem... Przerzązał go kompletny brak wyrzutów sumienia kuzyna. Jacen doskonale zdawał sobie sprawę z okrucieństw, których się dopuścił i bólu, jaki zasiał w sercach tych, którzy go kiedyś kochali. Ben widział to na własne oczy i nie potrafił się z tym pogodzić. Nie wiedział, jak ma znieść myśl, że jego były mentor uczynił to wszystko świadomie, a jednak godził się z tym, znając konsekwencje swoich czynów. Prawdę mówiąc, Jacen-Caedus zdawał się nawet z nich dumny, całkiem jakby usprawiedliwiał ból i cierpienie, którego przysporzył galaktyce, bo uznawał je za konieczne do osiągnięcia wyższego celu.

Jednak mimo wszystko Ben musiał też przyznać, że to nikt inny, a Jacen stworzył mu w końcu oczy; to dzięki niemu on i Luke przetrwali tę misję. W zapewnieniu jego kuzyna, że dalsza wędrówka w poszukiwaniu prawdy jest bezpieczna kryła się dziwna, przewrotna prawda. Ben wiedział też, że jest w tym coś jeszcze, ale głębszy sens tego przesłania wciąż mu umykał, pozostawał poza zasięgiem jego pojmowania.

Z zamyślenia wyrwało go lekkie zamięnienie Mocy; zerknął na ciało ojca i zobaczył, że jego błękitne oczy wpatrują się w niego natarczywie.

- Wolałbym, żebyś tego nie robił, tato - bąknął bez przekonania. - To trochę... upokarzające.

- Co takiego? - wymamrotał słabo Luke. - To, że próbuję być obok ciebie, kiedy potrzebujesz pomocy?

- Nie o to chodzi - zachnął się Ben. - Tylko o to, że... zawsze się domyślasz.

- Wybacz. - Na ustach Luke'a wykwitł znajomy, kpiący uśmiešek i nagle Ben poczuł się, jakby ktoś zdjął mu z serca ogromny ciężar. - Przykro mi - wychrypiął Luke. - Ale chyba musisz to przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza.

- Ta-a - westchnął Ben. Minęło kilka sekund, zanim dodał: - Hm, a skoro już wróciłeś do

świata żywych, czy mogę ci zadać kilka pytań?

- Typu: co my tu wciąż robimy w tej całej Otchłani, pozbawieni żywności i leków? -
podsunął żartobliwie Luke.

- Nie, to już rozpracowałem - zapewnił go Ben. Przeciągnął palcem po na wpół zagojonej
bliźnie na nosie i policzku ojca. - Naznaczyłeś tę dziewczynę krwawym znamieniem, prawda?
Teraz czekamy tylko, aż spotka się ze swoimi ziomkami i opuści Stację Ujście, żebyśmy mogli ją
śledzić...

Luke uśmiechnął się pod nosem.

- Cóż, chciałeś zadać pytanie, a wygląda na to, że sam sobie odpowiedziałeś.

- To nie wszystko - odparł Ben, kręcąc głową. - Coś jeszcze nie daje mi spokoju.

Luke spoważniał.

- Tak?

- Chodzi o to... - zaczął Ben i wziął głęboki oddech. - Kiedy Jacen zapytał cię, kogo
widziałeś na Tronie Równowagi...

- Tak, wiem, o co ci chodzi - potwierdził Luke. - Powiedziałem mu, że zobaczyłem Allanę,
otoczoną swiłą przyjaciół ze wszystkich ras.

- Dokładnie - zgodził się Ben. - A potem spytałeś go, co sam widział.

Luke skinął głową.

- Racja. Odpowiedział, że nie mnie. - Odwrócił wzrok i zapatrzył się w przestrzeń. - Nie
jestem do końca pewien, czy mogę mu wierzyć.

- Dlatego, że wiesz, co widział?

- Dlatego, że jestem częścią tego wszystkiego - odparł Luke, nie patrząc synowi w oczy. -

To wystarczy.

- No dobrze - skapitulował chłopiec. - W takim razie spytam otwarcie: co takiego zobaczył
Jacen?

Minęła długa chwila, zanim Luke znów spojrzał na syna.

- To, kogo ujrzał Jacen na Tronie Równowagi nie ma znaczenia... nie dla ciebie. -

Uśmiechnął się na wpół smutno, na wpół z nadzieją. - A wiesz, co w tym jest najlepsze? Że nigdy
nie będzie miało.

PODZIĘKOWANIA

*Wielu ludzi na różne sposoby przyczyniło się do powstania tej książki. Chciałbym
podziękować im wszystkim, a w szczególności następującym osobom: Andrii Hayday za jej
wsparcie, uwagi i sugestie; Jamesowi Luceno, Lelandowi Chee, Pablowi Hidalgo, Keithowi
Claytonowi, Christine Cabello, Scottowi Shannonowi, Frankowi Parisiemu i Carol Roeder za
znakomite pomysły w trakcie naszych burz mózgów; Shelly Shapiro i Sue Rostoni za wszystko od
niezwykłej cierpliwości poprzez wnikliwe uwagi po świetne pomysły; pozostałym autorom
Przeznaczenia Jedi, Aaronowi Allstonowi i Christie Golden, za to, że tak fantastycznie się z nimi
pracowało i za przeogromny wkład w tę książkę i w całą serię; wszystkim ludziom w Lucasfilm i w
Del Rey, dzięki którym pisanie Gwiezdných Wojen daje tyle frajdy; i wreszcie George 'owi
Lucasowi za to, że podzielił się z nami swoją galaktyką.*

Spis Treści

BOHATEROWIE POWIEŚCI

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6
ROZDZIAŁ 7
ROZDZIAŁ 8
ROZDZIAŁ 9
ROZDZIAŁ 10
ROZDZIAŁ 11
ROZDZIAŁ 12
ROZDZIAŁ 13
ROZDZIAŁ 14
ROZDZIAŁ 15
ROZDZIAŁ 16
ROZDZIAŁ 17
ROZDZIAŁ 18
ROZDZIAŁ 19
ROZDZIAŁ 20
ROZDZIAŁ 21
ROZDZIAŁ 22
ROZDZIAŁ 23
ROZDZIAŁ 24
ROZDZIAŁ 25
ROZDZIAŁ 26
ROZDZIAŁ 27
ROZDZIAŁ 28
EPILOG
PODZIĘKOWANIA

